

KRASZEWSKI JÓZEF IGNACY

SASKIE OSTATKI

(AUGUST TRZECI)

Cykl Powieści Historycznych Obejmujących

Dzieje Polski.

Część dwudziesta dziewiąta cyklu.

Skonował i błędy poprawił: J. Podleśny.

**SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO – OŚWIATOWA
CZYTELNIK
1949**

Wstęp

1.

WIELKI CYKL POWIEŚCI HISTORYCZNYCH Z DZIEJÓW POLSKICH JOZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO

Jednym z największych przedsięwzięć, jakie Kraszewski podjął w swojej długoletniej działalności powieściopisarskiej, było stworzenie cyklu powieści historycznych z dziejów Polski. Cykl ten miał objąć całokształt historii polskiej od czasów bajecznych do panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego włącznie. Przyświecał powieściopisarzowi w tej olbrzymiej pracy cel wzniosły, obywatelski: dostarczenia najszerszym warstwom społeczeństwa, nie mogącym często zaznajomić się w należyty sposób z dziejami narodowymi, książek mówiących przystępnie o przeszłości Polski.

Zachęcony przez najbliższych znajomych zajął się z niezwykłym zapałem urzeczywistnieniem swego planu. W przeciągu 11 lat wykończył 29 powieści, obejmujących 78 tomów. Istotnie pracował nad całym cyklem niezmordowanie, mimo niezmiernych trudności, jakie przy wykonywaniu pracy wynikały stopniowo, mimo innych zajęć, mimo więzienia magdeburskiego. 2 grudnia 1885 roku pisał, że do ostatecznego ukończenia cyklu brak już tylko 5 tomów: z czasów Augusta Trzeciego i Stanisława Augusta Poniatowskiego. Do napisania ostatniej powieści (byłaby to z kolei trzydziesta powieść) o Poniatowskim już nie doszło, śmierć nie dozwoliła na doprowadzenie planu do końca.

We wspomnianym cyklu uwzględnił Kraszewski także czasy królów saskich: Augusta Drugiego i Augusta Trzeciego. O pierwszym mowa jest w dwudziestej ósmej z kolei powieści: „Za Sasów” [(Czasy Augusta Drugiego) (2 tomy), o drugim w dwudziestej dziewiątej powieści, ostatniej w cyklu, 'mającej tytuł: „Saskie ostatki” (August Trzeci) (2 tomy). Powieść ta według notatki zamieszczonej przez samego autora w końcu tomu 1 i 2 powstała w San Remo w 1886 roku.

2.

„SASKIE OSTATKI” JAKO OSTATNIA POWIEŚĆ KRASZEWSKIEGO Z DZIEJÓW POLSKOSASKICH

Przystępując do napisania obu ostatnich powieści cyklu, o Augustie Drugim i o Augustie Trzecim, znalazł się Kraszewski w tym szczęśliwym położeniu, że już poprzednio w całym szeregu powieści uwzględnił ów okres w dziejach

Polski tak smutny, pod panowaniem obu królów Sasów. Miał zatem przygotowany już częściowo materiał do odmalowania ogólnego tła historycznego, zdobyty w wyniku długoletnich, niezwykle sumiennych studiów. Materiał ten jednak przy obu wspomnianych powieściach odpowiednio uzupełnił (w odniesieniu do „Saskich ostatków” por. poniżej rozdział 4). Dzięki temu powieści „Za Sasów” i „Saskie ostatki” należą pod względem historycznym do bardzo dokładnie opracowanych.

Kraszewski nie ograniczył się jedynie do przetworzenia bogatej treści wydanych poprzednio powieści saskich (powstałych między rokiem 1871 — 1883); z bogatego materiału, zbieranego i przygotowywanego przez długie lata, wydobył rzeczy nie wyzyskane poprzednio, tak że nową treścią wzbudził zainteresowanie w czytelnikach.

W odniesieniu do „Saskich ostatków” podkreślić należy, że nie ma w nich żadnych wątków poruszonych w „Brühlu”, „Z siedmioletniej wojny”, „Staroście warszawskim”, poza tym, że autor wprowadził naturalnie osoby Augusta Trzeciego i Brühla; osnowę zaś powieści, której akcja obejmuje rok 1763 (ostatni więc rok i życia Augusta Trzeciego, i panowania Sasów w Polsce), dał zupełnie nową.

W przedmowie do powieści „Za Sasów” sam zwrócił na to Kraszewski uwagę w następujących słowach:

„W kilku powieściach przed kilkunastu laty wydanych skreśliliśmy obrazy społeczeństwa naszego i dworu za czasów Augusta Drugiego i Augusta Trzeciego („Cosel”, „Brühl”, „Z siedmioletniej wojny”, „Skrypt Fleminga”, „Starosta warszawski” itd.), nie chcieliśmy i nie potrzebowaliśmy powtarzać, na nowo malując też same wypadki i ludzi. W dwu tylko tych epizodach dodatkowych (tj. w powieściach: „Za Sasów” i „Saskie ostatki”) dopełniamy wizerunku tej samej epoki; czytelnik łatwo znajdzie w dawniejszych to, czego im braknąć może”. („Za Sasów”. Warszawa. 1889. Tom pierwszy, strona 3).

3.

GLÓWNE WĄTKI POWIEŚCI „SASKIE OSTATKI” (AUGUST TRZECI)

Sam podtytuł powieści: „August Trzeci” wskazuje, że najważniejszym jej wątkiem jest panowanie ostatniego Sasa w Polsce i to, jak już wspomniałem, w jednym tylko roku: 1763, ostatnim roku i jego panowania, i jego życia. Obok ujemnych stron króla, stara się Kraszewski dopatrzeć w nim także dodatnich,

nielicznych wprawdzie, cech jego charakteru. Przede wszystkim uwydatnia, że król mimo ulegania we wszystkim ministrowi Brühlowi stara się w miarę możliwości zajmować sprawami państwa, m.in. interesuje się sprawą ufundowania trybunału w Wilnie, obawia się wybuchu konfliktu z Tatarami. Zgodnie też z prawdą podkreśla Kraszewski niepospolite znanstwo malarstwa i muzyki u króla. August Trzeci w „Saskich ostatkach” mniej nas razi, więcej zaś zajmuje niż w innych powieściach Kraszewskiego.

Drugim zasadniczym wątkiem powieści jest sprawa fundowania trybunału w Wilnie w 1763 roku. Był to najważniejszy wypadek w dziejach wewnętrznych Polski w pierwszej połowie tego roku, stąd też przedstawienie jego szczegółowe z samej natury rzeczy musiało zająć w powieści dużo miejsca. Jesteśmy świadkami wielkiej prywaty magnatów polskich, którzy z drugorzędnej sprawy obsadzenia trybunału czynią sprawę poruszającą i niepokojącą całe państwo, pragną też przy tej sposobności wyzyskać swe wpływy i znaczenie, powodowani próżnością i dumą.

Dzieje ufundowania trybunału wileńskiego w 1763 roku to smutny objaw nierządu w Polsce, nie znającej granic buty możnowładców. Jaskrawo przedstawia Kraszewski zwłaszcza intrygi rodziny Czartoryskich, którzy mimo znacznych ustępstw ze strony Karola księcia Radziwiłła ustawicznie wymyślają jakieś przeszkody, uniemożliwiając zgodę, co więcej nawet, wzywając w tej sprawie — zupełnie wewnętrznej — pomocy obcej. Przedstawicielem warcholstwa jest też biskup Massalski, w nienawiści swej do Radziwiłła nie znający granic. Najsmutniejsze w tym wszystkim że oba wrogie sobie obozy pociągają za sobą całe zastępy szlachty, której zdaje się, że walczy nie wiedzieć o jak ważną sprawę. „Oni to panują w trybunałach, oni na sejmach, oni u boku króla, oni sami wszędzie — a szlachta mając bielmo na oczach jest na ich łasce z życiem i mieniem.

Ale nie tylko mężczyźni — także kobiety zajmują się w owych czasach sprawami politycznymi. I tę rzecz znowu wykorzystał Kraszewski z niezwykłą zręcznością i spostrzegawczością, przedstawiając intrygi hetmanowej Izabeli Branickiej, głównie zaś hetmanowej Magdaleny Sapieżyny. Ta pełna niezwykle żywotności kobieta rządzi mężem, trzęsie całym swoim dworem, przywykła do bezwzględного posłuszeństwa wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób są od niej zależni, nieraz wykorzystująca ich w sposób bezwzględny (np. Tołłoczkę). W sporze między partią dworską a rodziną wstrzymuje męża od zdecydowanego postępowania.

Ostatnim wreszcie wątkiem powieści są starania rotmistrza Klemensa Tołłoczki o rękę Anieli Koiszewskiej, strażnikówny trockiej, której matka sprzeciwia się tym konkutom. Młoda paniątka, zasmakowawszy w obyczajach modnego świata, czując wstręt do dawnego, rubasznego życia staropolskiego,

jakkolwiek nie kocha Tołłoczki, postanawia w końcu wyjść za niego za mąż. Do małżeństwa jednak nie dochodzi, Tołłoczko bowiem straciwszy niemal wszystko na usługach Sapieżyny, nie ma możliwości uczynić zadość żądaniom swej bogdanki, która żąda m. in., aby wystarał się dla niej o rogówkę, bo ona „bez rogówki” nie pójdzie do ślubu. I o tą rogówką, której rotmistrz z powodu braku funduszy nie mógł dostarczyć pannie Anieli, rozbiła się cała ta tragikomedia małżeńska.

4.

STOSUNEK „SASKICH OSTATKÓW” DO HISTORII

Jak już wspomniałem poprzednio, Kraszewski oparł się w „Saskich ostatekach”, podobnie jak we wszystkich swych powieściach historycznych, na sumiennych studiach przygotowawczych.

Wiadomości historyczne zaczerpnął prawie wyłącznie z „*Pamiętników Marcina Matuszewicza (1714 — 1773)*”, przy czym podkreślić można, że poza Matuszewiczem *o 1763 roku pisano u nas bardzo mało*.

Matusiewiczowi zawdzięcza Kraszewski opis fundowania trybunału, o czym opowiada szczegółowo w pierwszym tomie powieści, uczyniwszy odpowiedni wybór ze szczegółów podanych przez pamiętnikarza.

Opis Matuszewicza, nie odznaczający się obrazowością, zanadto rozwlekły, podaje materiał historyczny *in crudo*, nie wzbudza też większego zainteresowania. Kraszewski wybrał z „Pamiętników” najważniejsze szczegóły nadając im w odpowiedniej przeróbce dużo życia.

Dzięki prawdziwemu kunsztowi powieściopisarstwu zdołał stworzyć niezwykle barwny obraz ufundowania trybunału w Wilnie, o czym opowiada szczegółowo w pierwszym tomie powieści.

Matuszewicza zaczerpnął Kraszewski wiadomość o obu manifestach partii Czartoryskich przeciwko Radziwiłłowi, przy czym nie chcąc nużyć czytelników przytacza z nich tylko bardziej znamienne urywki. Nie ujdzie przy tym bacznej jego uwagi błędne użycie zwrotu: „pieczołowanie króla nad dobrem publicznym” w pierwszym manifestie, co zaznacza podając przy nim w nawiasie: (sic). Z Matuszewicza przejął w dalszym ciągu wiadomość o bohaterskiej śmierci oficera flemmingowskiego (Matuszewicz 4, 31), o napaści na kamienicę marszałka Sosnowskiego wśród okrzyków tłumu: *Vivat Sosnowski! marszałek koniederacki! vivat cztery litery*” (tamże 4, 31). W ogóle cały opis fundowania trybunału w Wilnie w 1763 roku skreślił powieściopisarz

na podstawie Matuszewicza, przy czym wykorzystał także list jego „otwarty z wyłożeniem historii fundowania trybunału celem oczyszczenia Radziwiłła przeciwko wszelkim oczernieniom” (4, 55 — 63).

Niektóre szczegóły o Auguście Trzecim podał Kraszewski również za Matuszewiczem, m. in. obawy króla z powodu zatargu z Tatarami, wywołanego przez ludzi księcia Lubomirskiego, podstolego koronnego (4, 35: „wskutek obrabowania kupców tatarskich musi skarb koronny zapłacić Tatarom cztery razy więcej, niż cała pretensja była warta”) jako też wiadomość o drugiej skardze Tatarów, że „szlachcic Czarnocki na pograniczu tureckim mieszkający wpadł do Turek i bez żadnej racji i pretensyj kilkaset koni zabrał” (4, 35).

Opis śmierci króla opiera się na dwóch listach szambelana Józefa Zabielly do brata Antoniego, łowczego wielkiego litewskiego, i na liście królewicza Karola księcia kurlandzkiego do wspomnianego Antoniego Zabielly. O prawdziwym znów kunszcie powieściopisarskim świadczy fakt, że Kraszewski nie przytacza tych trzech listów dosłownie, lecz na podstawie ich stwarza prawdziwie dramatyczny opis śmierci Augusta Trzeciego, przy czym odpowiednio uwypukla i wyzyskuje szczegóły znajdujące się u Matuszewicza, np. o wzmożonym ataku podagry u króla, o słowach księcia kurlandzkiego po śmierci ojca, o wyniesieniu na rękach zrozpaczonej królowy Kunegundy przez Zabiellę.

Nadmienić jeszcze pragnę, że epizod o śmierci Augusta Trzeciego związany jest w powieści z podróżą Tołłoczki do Drezna, gdzie miał postarać się o nadanie mu przez króla starostwa kąkolownickiego.

Również ciekawym rezultatem porównania powieści z „Pamiętnikami” Matuszewicza jest stwierdzenie, że cała sprawa starania się Klemensa Tołłoczki o rękę panny Koiszewskiej jest z nich zaczerpnięta. Kraszewski przedstawia za Matuszewiczem, jak Piotr Zawadzki polecił Tołłoczkę hetmanowi Wiśniowieckiemu i wziął go pod swe rotmistrzostwo do janczarów, naprzód go kreując porucznikiem. Odnośny ustęp u Matuszewicza brzmi w ten sposób: „Tołłoczko, który dostawszy się do dworu księcia Wiśniowieckiego, wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego litewskiego, chudy pacholek, zasługiwał się Piotrowi Zawadzkiemu, rotmistrzowi janczarskiemu, mającemu kredyt u księcia Wiśniowieckiego. Ten tedy Zawadzki wypromował Tołłoczkę na porucznikostwo janczarskie, a potem słabym się czując... ustąpił temuż Tołłoczce rotmistrzostwa janczarskiego” (4, 39). Por. podobne szczegóły w ustępie 2, tomu I „Saskich ostatków”.

W dalszym ciągu opowiada Kraszewski również za Matuszewiczem, jak Tołłoczko ożenił się z Kołłątajówną, chorążanką powiatu wołkowyskiego, która wniosła mu znaczny posag, niebawem jednak zesła ze świata.

opowiadaniu o staraniach Tołłoczki o rękę młodej Koiszewskiej, o popieraniu go przez hetmanową Sapieżynę idzie Kraszewski również za Matuszewiczem; z niego zaczerpnął m.in. szczegół, że Aniela Koiszewska dała się uwieść namowom hetmanowej wbrew woli matki, mającej dla niej innego konkurenta (Kraszewski mówi o Alojzym Bujwidzie, staroście pogorzelskim, Matuszewicz wspomina o Głębockim, kasztelanu kruszwickim). Dalsze motywy całego opowiadania o miłosnych przejściach Tołłoczki i Koiszewskiej, m.in. zatajenie przez Tołłoczkę, że miał syna z pierwszego małżeństwa, sprawa rogówki, bez której młoda panna nie chce iść do ślubu, w końcu zerwanie małżeństwa: wszystko to (pominąwszy pewne zmiany) zawdzięcza Kraszewski Matuszewiczowi. Do ważniejszych zmian należy m. in. ten szczegół, że Kraszewski wprowadza jako osobę działającą tylko matkę Anieli, nie wspomina zaś o jej ojcu wbrew (Matuszewiczowi. Ale i u Matuszewicza ojciec jest podrzędną figurą, główną rolę odgrywa matka (4, 39 — 42).

O dalszych losach Koiszewskiej, niedoszłej żony Tołłoczki, nie wspomina Matuszewicz, a za nim i Kraszewski.

Z Matuszewicza przejął dalej wiadomość o głównych osobach występujących w powieści, m. in. o Karolu księciu Radziwille Panie Kochanku, o Massalskich, Sapiechach, Czartoryskich, o księdzu Adamie Krasińskim, biskupie kamienieckim, Flemmingu, Puszkowie, pułkowniku rosyjskim, Platerze, wojewodzie mściławskim (u Kraszewskiego: staroście), Adamie Brzostowskim, kasztelanie połockim, Aloem, sekretarzu królewicza Karola, Puttkamerze, generale-adiutancie hetmana polnego Sapiehy (m. in. o napaści dokonanej na niego przez Marcina Judyckiego, sędziego ziemskiego rzeszyckiego). Samego Matuszewicza wprowadza także, charakteryzując go jako człowieka czynnego i przebiegłego.

Postać hetmanowej Sapieżyny znalazł też Kraszewski u Matuszewicza, stworzywszy z kilkunastu wzmianek pamiętnikarza postać pełną życia i niezwyklej energii. Z niego m. in. przejął szczegół o niedyskretnym odezwaniu się Karola księcia Radziwiłła do niej: „Mościa Pani, nie w Warszawie to... się wyrabiać”, z aluzją do jej stosunków miłosnych z Alojzym Brühlem. Por. w powieści słowa Radziwiłła: „Jejmość sobie zaskarbiłaś względy pana generała artylerii, a przez niego i do pierwszego ministra, i do króla droga najprostsza”. Nie poprzestając na tym mówi Radziwiłł do Sapieżyny, że mąż jej nosi na głowie ciężar wielki, nie dziw więc, że nie jest zdrow. Dwuznacznik ten wywołał rumieniec na bladej twarzy hetmanowej. Z podobnym złośliwym

przytykiem do Sapieżyny odzywa się w innym miejscu powieści młody Branicki, starosta halicki.

Z całą stanowczością można stwierdzić, że wszystkie niemal osoby wprowadził Kraszewski do powieści swej na podstawie bardzo dokładnego przestudiowania „Pamiętników” Matuszewicza.

5. ZNACZENIE POWIEŚCI

Powieść: „Saskie ostatki”, napisana z wielkim wyczuciem epoki, należy do lepszych powieści Kraszewskiego w owym wielkim cyklu powieści historycznych, wspomnianym na wstępie. Podziwiać naprawdę można niezwykłą pomysłowość autora, liczącego w chwili pisania powieści 74 lata, barwność opisów, żywość opowiadania, trafną charakterystykę osób.

Wielką zaletą powieści jest dość znaczna ilość scen prawdziwie dramatycznych; zaliczyć do nich można m. in. opis ekscesów publicznych po ufundowaniu trybunału, spotkanie króla z zacnym Steinheilem, śmierć króla, powrót Anieli do matki.

„Saskie ostatki” nie stoją wprawdzie pod względem artystycznym na tym poziomie, jaki zajmują w twórczości Kraszewskiego „Hrabina Cosel”, „Brühl”, „Z siedmioletnie) wojny”, „Starosta warszawski”, niemniej jednak, są powieścią zasługującą na poznanie.

W sposób zajmujący zapoznał Kraszewski czytelników z ostatkami rządów saskich w Polsce, specjalnie z tak mało znanymi wypadkami 1763 roku.

Życie prywatne ówczesnej Polski jest również odmalowane w „Saskich ostatkach” zgodnie z rzeczywistością. Nawet historia niedoszłego małżeństwa Tołłoczki z Koiszewską, rozbijającego się z powodu braku „rogówki” i mogąca na pozór wydawać się nieprawdopodobną i przejaskrawioną przez autora, jest w rzeczywistości historycznie prawdziwa, a tym samym może stanowić ciekawy swego rodzaju dokument epoki, charakterystyczny dla czasów i ludzi.

NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA

Po raz pierwszy wyszły „Saskie ostatki” po śmierci autora w pierwszym zbiorowym wydaniu cyklu „Powieści historycznych, nakładem Gebethnera i Wolffa pt. „Saskie ostatki” (August Trzeci). Powieść historyczna. Warszawa. 1889. 2 tomy. s. 164 i 176 (Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego. Dwudzieste dziewięte). Wydanie to nie jest wolne od licznych błędów drukarskich, które w obecnym przedruku, dokonany na jego podstawie, usunąłem.

Niektóre ustępy wydają się niepotrzebnymi powtórzeniami, błędnie wprowadzonymi do tekstu. Tak np. ustęp w tomie pierwszym str. 140: „Okazało się jednak z jej powieści” przedrukowano niemal tak samo zaraz poniżej na str. 141: „Okazało się, że panna Aniela”. Wkradły się też do tekstu pewne niejasności, niedokładności.

Dalsze przedruki „Saskich ostatków” pojawiły się w 4 późniejszych wydaniach zbiorowego cyklu „Powieści historycznych” m. in. także w skróceniu dokonany przez Konstancję Łozińską (nakładem M. Areta w Warszawie).

Studium krytycznego o „Saskich ostatkach” nie posiadamy.

TOM PIERWSZY.

Rok 1763 rozpoczął się straszliwym dział *na zamku nieświeżskim* hukiem i grzmotem. Jedne po drugich dawały ognia, nabijane, co się zmieściło, zażegnane wpośród okrzyków, oblewane kielichami wina, które przy nich spełniano tak nieogłędnie, że kilku śmiałków armaty potrafiły i poobalały.

Niemniejszą wrzawą witała rok nowy Warszawa, w której król August Trzeci rezydował jeszcze, ale już mu się uśmiechał powrót do ukochanego Drezna, o którym śnił i marzył.

Mało to zaprawdę obchodziło Jego Królewską Mość, że wycieńczona *siedmioletnią wojną* Saksonia litości i miłosierdzia woła, że w Polsce rwały się sejmy, ładu nie było, panowała samowola i anarchia, że *Brühl* wszystko sprzedawał, co kto u niego chciał kupić, a stronnictwa W Koronie i na Litwie zdały się zapowiadać wojnę domową. *Brühl* z jednej strony, Czartoryscy z drugiej, *Fleming* i Radziwiłłowie — zajeżdżali się, palili, sądzili po trybunałach za *infamię*, godzili i waśnili, a jak król tymczasem wyśmienicie się bawił, wszystkim wiadomo. Po niezliczonych miłośnicach, które starannie do kronik za Augusta Drugiego wciągano, również jak liczne jego potomstwo, syn, który odziedziczył wszystkie gusta i nawyknięcia ojca, *wyrzekł się metres* zupełnie.

Na próżno go usiłowano nakłonić, aby jak Ludwik Piętnastego po Ludwiku Czternastym, on też wstępując w ślady swego poprzednika wybrał sobie jaką *Cosel* lub *Lubomirską*. Nadto był pobożnym, aby jawnochrześcijaństwem miał się zwać, potem zbyt miał zazdrosną żonę i rozumnego *kierownika sumienia*, który potrafił zapobiec, aby namiętności za brzegi się nie wylewały. Mówiono coś po cichu — nic nie stało się głośnym.

Rozpływał się król nad *cudnym głosem Faustyny*, słuchał jej rozkazów, lecz... królowała tylko w teatrze... Zresztą miał August Trzeci czym zastąpić rozkosze zmysłowe, nie potrzebując się ani kryć, ani wstydzić namiętności do łowów, upodobania w muzyce, nawyknięcia do słuchania grubych i tłustych żartów nadwornych swych błaznów, trefnisiów i ulubieńców; miłośnictwa obrazów, czci dla *Rafaela*, miłości dla pokutującej *Magdaleny*, na ostatek i rozkochania w tej fajce, z którą już August Drugi jeździł po lipskim jarmarku...

Wszystko złe, okropne, smutne, rozpaczliwe spadało na ramiona ulubieńca *Brühla*; on dźwigał wszelkie ciężary, on połykał wszystkie gorycze, on miał odpowiadać przed potomnością. U drzwi Jego Królewskiej Mości stała straż,

która gdy włożył szlafrok, nie puszczała nikogo oprócz ojca Guariniego, ministra Brühla, królowej i powołanej służby...

Nie przechodziły tego progu ani pisma, ani ludzie, ani jęki, westchnienia i pochlebstwa, ani śmiechy i paszkwile.

Przed oknami król miał plac tak strzeżony jak drzwi; pokazywano mu na nim tylko to, co chciał widzieć, zakrywano, co by go zafrasować mogło.

Przed oknem tym wieczorami, gdy król polowania nie miał albo powrócił nim niesyty, rzucono konie zdechłe, do których się przywlekały psy zgłodniałe... a król mógł do nich strzelać wygodnie.

Bawił się też oswojonym, ulubionym krukiem, a czasem i psami, ale od czasu, jak się dowiedział, że *Fryderyk pruski* hodował charty, odpadła go ochota zajmowania się nimi.

Czas upływał tak, wyśmienicie podzielony na nabożeństwo, odżywianie i napijanie, łowy, śmiechy, słuchanie Faustyny i przyjmowanie gości, z Saksonii i Polski napływających, gdy Brühl im wnijsć z sobą dozwalał, że król August nudzić się nie miał czasu.

A mimo to tęsknił!!

Wprawdzie lasy polskie i litewskie mogły mu zastąpić te, które rosły pod *Hubertsburgiem*, *Moritzburgiem* i w oddalonych Saksonii zakątkach, żubry warte były jeleni, ale galeria obrazów, którą tak kochał, którą zebrał takim kosztem, stała zamknięta w *Königsteinie* i jedna z niej Magdalena towarzyszyła królowi na polskim wygnaniu; ale nie miał tu takiego teatru jak w Dreźnie, na którym by tryumfy *Aleksandra Wielkiego* rozwijać się mogły, ani pysznej bażantarni z teatrem letnim w zieleni, ani swych śpiewaków, ani swego kościoła... ani swego Drezna!

Wielkie maskarady, *karuzele*, jarmarki, które tak swobodnie się obracały w saskiej stolicy, na warszawskim gruncie obracać się nie umiały.

I ci kontuszowi poddani Jego Królewskiej Mości, tak śmieli i krzykliwi, nie byli mu tak ulubieni jak jego spokojna szlachta saska, która słuchała, nie rezonowała, nie upominała się o nic i dawała zastępować na najwyższych dostojenstwach przez Włochów, Francuzów, przybłądów ze świata całego.

Pomimo pilnej straży, którą Brühl sprawiał u królewskich podwoi, wciskały się zuchwałe memoriały hetmana **Branickiego** przeciwko ministrowi Brühlowi, skargi: na jego chciwość, przekupstwa, zaskarżenia i potwarze.

Odrzucał je wierny swojemu ministrowi kroi z oburzeniem, darł je i deptał, ale psuły mu one humor, stanowiły choć krótko trwającą, lecz dysharmonijną nutę.

Nadzieja więc powrotu do Drezna po kilkoletnim z niego wygnaniu uśmiechała mu się bardzo... ale Brühl wielce rozumnie nie chciał go tam puścić, dopókiiby okrutne ślady zniszczenia, jakie mściwa ręka Fryderyka zostawiła po sobie, usunięte nie zostały.

A nie było to łatwym. Saksonia wychodziła spod jarzma obcego jak męczennica, którą puszczono po torturach okrwawioną, wynędzniałą, bezsilną. Siady pruskich rąk wypiętnowały się na zamku, w mieście, a najstraszliwiej wypiekły na Brühlowskim pałacu i ogrodach. Tu wszystko stało w ruinach. Królewski przepych pierwszego ministra leżał w gruzach, zasypany śmieciem.

Ledwie się z niego to dało ocalić, co się trwałością swą oparło plądrującym żołdakom.

Drezno miało czas zapomnieć, że niegdyś było najrozkoszniejszym, najweselszym, najożywieńszym miastem w Europie, że miało karnawały podobne do weneckich, dwór przypominający wersalski, króla, który chadzał cały w brylantach...

August Trzeci powracając nie powinien był zastać tego, co przed nim tajono. Przez cały ciąg wojny król wiedział tylko o powodzeniach, nie słyszał o klęskach, nie wierzył w nie. Gdy niespokojny zapytał czasem Brühla znienacka:

— Mamyż pieniądze?

Minister z oburzeniem odpychał posądzenie sarno, iżby ich mogło zabraknąć. I mógł na to zapytanie „mamy” nie kłamiąc zaręczyć, że je mieli, bo jego skarbcza nawet wojna siedmioletnia wyczerpać nie mogła. Brühl miał pieniądze. Opłacano mu każdy urząd koronny i litewski, każdy przywilej, który król podpisał, każdą łaskę, każde żądanie spełnione. Brał pieniądze od przyjaciół i od wrogów, którzy równie jak pierwsi opłacać mu się byli zmuszeni.

Niekiedy tylko kamerdyner królewski naśladowując Brühla, rano, nim nadszedł minister, podsunął coś Najjaśniejszemu Panu do podpisu i August Trzeci paląc

fajkę, z uśmiechem dziecka, które figiel płata, zamasztyso kładł na nim swe imię grożąc na nosie...

Składano na faworyta kruka, że on te arkusze przekradał.

Brühl tak, jak się osiedlił w Saksonii, umiał zakorzenić się w Polsce, wywieść od **Brühlów z Ocieszyna** i syna uczynić Polakiem, starostą i **generałem wojsk Rzeczypospolitej**.

Nigdy cynizm nie rozpościerał się zuchwalej na wysokimi na widok całego świata wystawionym stanowisku.

W przededniu, gdy się wygnanie polskie skończyć miało, gdy się król i minister powinni byli cieszyć z tego, co uratowali, gdy bić potrzeba było we dzwony i śpiewać **Te Deum**, niestety! jakieś przeczucia czarne opanowały wszystkich.

Brühl chodził zżółkły, posępny i struty. Dławili go Czartoryscy... Augusta Trzeciego dusiło wspomnienie pruskiego bohatera Fryderyka; w Polsce, gdy się pozbyciem Sasów radować chciano, jakieś przewidywania klęsk i zawiślań chmurzyły najpogodniejsze umysły.

August myślał czasami o swej rodzinie chcąc ją na tronie elekcyjnym ubezpieczyć, a od północy, która mu się z przyjaźnią oświadczała, niewiele jej dowodząc, grzmiało i błyskało jakąś grozą... Zapowiadano stamtąd jakiegoś tajemniczego następcę, którego obawiali się wszyscy.

Atmosfera była duszna i ciężka.

W Rzeczypospolitej naprawdę nie rządził już król, nie władał nią zręczny Brühl; rządzili się Czartoryscy, familia, zamącali nią Radziwiłłowie...

Po pałacach i dworach popijano i popuszczano pasów od rana do wieczora, ucztowano po **refektarzach** klasztornych, często na wąskiej grobli u młyna, w lesie, na polance spotykać było można rozstawione stoły i improwizowaną biesiadę dwu nie marnujących czasu senatorów, których potem dla kontynuacji podróży niesiono uśpionych do karet, aby w czas stanęli na **ufundowanie Trybunału**.

Czasu trybunałów sądzono na gardło, ale obok po szopach wyprawiano **lukullusowe** gody, na których beczka wina starego, pięćset czerwonych złotych wartująca, nie była rzadkością.

Cóż za dziw, że podchmieliwszy sobie panowie o północy dzwonili do furt panien zakonnice?...

Było tu w ogóle wesoło, że czasem wesela od pogrzebu rozeznąć nie było podobna. Z równym przepychem odbywały się jedne i drugie, ale ślubów nie brano na serio... Rozwody były tak łatwe, jak małżeństwa kruche. Po Auguście Drugim zostały galanterii tradycje i spadki.

Tylko w głębokich zaciszach oddalonych prowincji po staremu świętym był związek małżeński; w stolicy i miastach służył on za narzędzie spekulacji i rozpuście.

Nigdy się może w przededniu bankructwa nie sypały, nie płynęły takim strumieniem wezbranych pieniędzy jak w owych czasach, nigdy nie kochano się tak w przepychu jaskrawym i świecącym.

Dwory panów wyglądały na monarchiczne, a wojska ich liczyły się na tysiące; szlachta kusiła się na pańską postawę. Tylko *niekuśliwy* kmieć pozostał, jak był, ze swą rzepą na zagonie wyjałowiałym, w wytartym kozuchu, w podartej siermiędze, z chatą na pół w ziemię zapadłą.

Duchowieństwo, co z łona szlachty i panów rosło, nie było od niej różne. Na jednego *Konarskiego* iluż było *Massalskich*, co chodzili we frakach, przy szpadach i grywali po całych *nocach w faraona!*

Język Kochanowskich, zduszony łaciną, konał w jej objęciach. Drukowano na bibule obrzydłe panegiryki pojąc się nimi jak gorzałką. Po miastach, po pałacach, po dworach językiem modnym był francuski, w handlu szwargotano po niemiecku, w klasztorach i po trybunałach posługiwano się łaciną, polski język zszedł na folwark i do przedpokoju.

Książka też walała się zapomniana i była obumarłą, bez życia. Co najwięcej czytano kalendarz *Duńczewskiego*, edukowano się na ziemianinie *Haura*. Stare piosnki latały z obłamanymi skrzydłami w powietrzu.

Niepokój jakiś panował w umysłach.

Co to będzie?

Z cicha pytali się jedni drugich, a nikt odpowiedzieć nie umiał; wiedzieli tylko wszyscy, że tak, jak było, pozostać nie mogło. Anarchia doszła do tego stopnia, że tak długo potrwać nie mogło. Ci, co ją mnożyli, wiedzieli, że jutro jej coś kres położyć musi.

Król i Brühl patrzyli tęskniąc w stronę Drezna, inni na północ się oglądali, inni gotowali dla siebie korzyści z nieładu.

Magnatom śmiała się korona. Tak panować jak August Trzeci potrafiłyby z nich prawie każdy!

Zmiany, którą czuli wszyscy nadchodzącą, nikt przyspieszyć nie miał odwagi, nie pragnął.

Gmach porysowany, strzaskany, mógł się im obalić na głowy!

W saskim pałacu nie pakowano do podróży, w Brühlowskim stało jeszcze wszystko tak, jakby się ruszyć nie miało.

Powódź nieładu i burzliwe fale anarchii nie dochodziły do spokojnego pałacu saskiego. Oblegano Brühla, do króla nikt się nie dobijał; saska gwardia broniła przystępu.

W stolicy cień jeszcze jakiś władcy czasem czuć się dawał; dalej za rogatkami tyłu było panów, ilu magnatów nimi być chciało. I były państwa Czartoryskich, Flemingów, Brühla, Potockich, Radziwiłłów, Ogińskich, Lubomirskich lub skojarzonych małżeństwa i pokrewieństwa.

Na każdy sejmik ciągnęły obozy, na każdym się rozpoczynała wojna, często przelewała krew i zwyciężeni uchodzili do domów wpisując do akt stopy manifestów.

Nigdy tyle papieru nie zapisano na próżno. Siła rządziła i robiła, co chciała, ale w ważność i znaczenie papierów wierzono święcie.

Pisano, jak mówiono i pito, bez miary. Każdy sejmik kończył się manifestem, każdy sejm nim zrywał. Każda czynność nim groziła, a kto umiał wykrętnie piórem władać jak szablą, ten sobie łatwo torował drogę na świecie.

Stylu nie wymagano, ale zwinności myśli i giętkości *sofizmatów*. Kto umiał *władać konstytucjami, korektorami*, studentami, ten stał górą.

W ostatnim razie dopiero, gdy nie stało argumentów, szabla je zastępowała.

Był wieczór; król w swoim gabinecie czekając na światło odpoczywał w szlafroku jedwabnym tureckim, lekkim futerkiem podbitym, z fajką dopalającą się w ustach. Naprzeciw niego na

ścianie, niewysoko, wisiała ukochana Magdalena pokutująca, otoczona ramką srebrną pozłacaną i wysadzaną kamieniami drogimi. Magdalenie nie było zbyt do twarzy w tej oprawie, ale świadczyła ona dotykalnie o czci, jaką Jego Królewska Mość miał dla arcydzieła.

Wystawiało ono cudnie piękną grzesznicę, jeszcze świeżuchną i pulchną, więc chyba dopiero od godzin kilku zamieszkującą chłodną pieczarę, u której wnijścia spoczywała, zaczytana w ogromnej księdze.

Byłaż to pokutująca Magdalena ta, która godną stała się, aby jej Chrystus powiedział, iż wiele przebaczonej jej będzie, *bo wiele kochała?*

Malarz nie myślał podobno o tym, aby ją uczynić świętą, ale chciał i zrobił ją piękną. Król się kochał w tej piękności. Magdalena mu towarzyszyła wszędzie i teraz na wygnaniu. Powracać z nim miała do Drezna. Król patrzył na to arcydzieło, jak gdyby z nim rozmawiał — i zadumany milczał.

Był to ten sam August, którego postawa, twarz, wdzięczne ruchy młodzieńcze powszechną budziły dla niego sympatię na dworze Ludwika Czternastego, ten sam, którym zachwycaly się arcyksiężniczki austriackie — który gdy chciał, pozyskiwał sobie serca męskie i niewieście, ale ostatnich nie dopuszczał do siebie, by mu spokoju drogiego nie zamąciły.

Przestrzegała go ojcowska przeszłość i skarb wycieńczony na Cosel, na *księżną Cieszyńską, Denhoffową, Kónigsmark* i tyle innych, przestrzegał ojciec Guarini, pilnował zazdrosny Brühl, zasłaniała pobożna *królowa Józefa*. I August Trzeci nie chciał znać płochych kobiet.

A pomimo to piękny ów król dziś bardzo się zmienił, niepodobnym był do siebie. Siedmioletniej wojny nie brał zbyt do serca. Klęski nie dochodziły do niego.

Siedział spokojnie w Warszawie, gdy drudzy bili się za niego, polował, napawał się muzyką — i zestarzał od tej bawełny, w którą go Brühl obwijał tak starannie!

Oczy jego zgaśle nie miały blasku, usta blade uśmiechać się oduczyły prawie, policzki były nabrzękle i obwisłe, powieki jakby napuchłe, całe ciało ociężałe zdawało się obsuwać i opadać ku ziemi.

Często usypiał siedząc, a ziewał nawet, gdy Faustyna śpiewała; i czoło, dawniej wygładzone, marszczyło się i fałdowało jak u prostego biedaka.

Spoza uśmiechu, który nałogowo się zjawiał na jego twarzy i ustach, wyglądał strach jakiś i okrutna tęsknica, której nic nakarmić nie mogło.

Spoglądał z obawą nawet na Brühla, którego kochał i bez którego żyć by nie mógł.

Wyjazd był postanowiony, w Dreźnie oczekiwano, ale jak tu było tę polską Rzeczpospolitą, rozkołysaną, swawolną porzucić na łaskę i niełaskę Czartoryskich i Radziwiłłów?

Nie można było zaręczyć wszakże, czy król myślał o przyszłym Trybunale, który się tak burzliwym obiecywał, jak był Wileński, czy o chybionym strzale do sarny, czy o operze, którą dla niego w Dreźnie, na nowym teatrze, obiecywano. Miałż to być *Semiramis* czy *Artemiza*?

Wsparty na rękę, głęboko się zaciekał w te problema, z których rozwiązania czyniono mu niespodziankę!

U progu stał Brühl, ale to był też cień tego Brühla, który w przededniu wojny świeży, wesół, rumiany, pachnący — przynosił Augustowi na twarzy i w ustach zapewnienie szczęśliwego i swobodnego panowania!

Znękał go pogroźkami Fryderyk, zmęczyli uporem Polacy, zabrali mu żywot Czartoryscy, oczernił potwarzą *hetman Branicki*.

A w Saksonii nie wszystkich swych wrogów mógł osadzić w Kónigsteinie!

Był melancholicznie smutny; i jemu przecucie zabijało oddech, ale przed królem nawykł był wszystko malować różowo.

Zwolna August Trzeci zwrócił ku niemu oblicze i wzrokiem zdał się prosić, aby go pocieszył.

— Brühl? co ty mówisz? co myślisz? Gdy my dwaj tę nieszczęśliwą Rzeczpospolitą porzucimy, opuścimy, oni się tu pozajadają!

Minister pomilczał trochę.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się cicho, bo wiedział, że i jego ktoś mógł podsłuchiwać — gdyby ich się trochę pozjadało, przeredziło, szczególnie burzliwych, sędzę, żebyśmy na tym niewiele stracili.

Uśmiechnął się król i pogroził.

— Czartoryscy szczególnie — dodał Brühl — niezmierną butą gorszą i niepokoją. Gdyby im rogów przy-tarto lżej by wszystkim było!

— A któż to potrafi — przerwał August — jeżeli prawdą jest, że liczą na *czynną pomoc cesarzowej?*

— Chwałą się nią, ale cesarzowa — dodał Brühl — nie będzie śmiała wkroczyć bez przyczyny, a nie jest wam, Najjaśniejszy Panie, niechętną.

— Mamy przeciwko nim księcia miecznika, raczej *wojewodę wileńskiego* — poprawił się król — to zuch nieulekniony!

— Aż do szaleństwa śmiały — rzekł minister — to prawda, na Litwie mąci też i on, tak że na niego wszyscy się uskarżają.

— Ja go bardzo lubię, Panie Kochanku! — zaśmiał się August Trzeci. — Litwa za niego dałaby życie!

— Poi ją całą — rzekł Brühl — i wino daje dobre.

— A jak strzela i na niedźwiedzia idzie z oszczepem! — wykrzyknął król. — Pójdzie i na Czartoryskich!

— Pokaże się to na Wileńskim Trybunale, bo tam się oni zetknąć muszą.

— A biskup Massalski oleju do ognia doleje — szepnął August.

— Mnie się zdaje, że ich samych sobie zostawić potrzeba — odparł minister.

Król pomyślał trochę.

— Domagają się senatorowie, abym posłał od siebie pośrednika, co by ich jednał.

— A któż podejmie się tego? — zapytał Brühl. — Między dwu takich zapaśników słabemu iść — zgniotą go!

Król spojrział na niego szukając rady.

— Hm? — mruknął.

— *Biskup kamieniecki* wprowadzie się stręczy — dodał Brühl.

Na wspomnienie Krasińskiego czoło króla powlokło się chmurką; nie odpowiedział nic.

— Wiesz — począł odpoczawszy, zmieniając nieco kierunek — com ja nie czynił dla pojednania was wszystkich! Czartoryscy i ciebie prześladują!

— Tchnąć mi nie dają, ale przy twej opiece, Najjaśniejszy Panie, nic mi zrobić nie mogą, błotem tylko ciskają na mnie, a ich płatni pisarkowie paszkwilami mnie ścigają.

— Wiem, wiem — przerwał król — każ je katowi palić na rynku, pozwalamy ci! Niewdzięczni są!

— O, ten Trybunał, ten Trybunał się nie obejdzie bez przelewu krwi — dołożył Brühl, który się rozgrzewał.

Nagle August Trzeci spuścił głowę.

— Posłałeś do Drezna? — spytał.

— Posyłam co dzień — zawołał minister.

— Teatr będzie gotów?

— Dniem i nocą kończą — zapewnił Brühl.

— Galerię przewieźli z Kónigsteinu?

— Cała już jest w Dreźnie — zapewnił minister. — Madonna na swym miejscu.

Król słuchając złożył ręce.

— Kiedy ja nareszcie, stęskniony, to arcydzieło boskiego mistrza zobaczę! — zawołał głosem rzewnym. — Śniła mi się nieraz w jasności niebieskiej nade mną. Czulem ją, a oczów podnieść nie śmiałem. Aniołowie rękę jego prowadzili, gdy ją malował.

Głos mu drżał, gdy to mówił, i zniżywszy go, jakąś myślą wstrzymany, zamilkł. Zdało mu się, że Brühl, który miał też galerię, mógł być zazdrosnym. Chciał pocieszyć wiernego sługę.

— Ale i ty, mój poczciwy Brühl — rzekł — masz obrazy bardzo piękne i tobie nic z nich, spodziewam się, nie zginęło.

— Nic — odparł minister.

— Ten *Dietrich* — rozśmiał się August weselej — choć cudownie małpuje mistrzów, ale na Rafaela się nie porywa; to by było świętokradztwo!!

— Dietrich jest przecież niepospolitym malarzem — odważył się dodać Brühl.

— Ja go też cenię! — rzekł król. — Ho! ho! ale niech Holendrów się trzyma.

I znowu rozmowa przeszła na wyjazd króla.

— Warszawy żałować nie będziemy ani stękać po niej — mówił minister.

— Lasów i Saksonia już mniejszych nie ma — rzekł August.

— A nasze buki, Najjaśniejszy Panie.

— A ich dęby? — odparł król.

Stojący za drzwiami sądzić mogli, że tu o największych zagadnieniach polityki europejskiej była mowa i narada, bo nikt może nie wiedział, w jak małej dozie August Trzeci znosił poważne sprawy. Do nich przecież służył mu Brühl.

On odpędzał od siebie te czcze troski, które dziś pozbyte, jutro powracały. Dla niego one nie miały wagi. On z łaski Bożej wyznaczony był, aby dwa państwa starały się go uczynić szczęśliwym za to, że je wspaniale, majestatycznie reprezentował.

Bolała go strata prowincji, zwycięstwa Prusaka, lecz czymże to było? Chwilową fanaberią losu... który nie-ochybnie powiać miał wkrótce pomyślnie nad dynastią saską.

Po co miał mówić o tym, co go gryzło i męczyło.

Brühl widocznie miał na dnie coś, czego wydobyć brakło mu odwagi.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się przystępując bliżej stolika — nie chciałbym trudzić Waszej Królewskiej Mości, ale dla zapobieżenia, aby się to

nie odnowiło, chciałbym wiedzieć, jakim sposobem uzyskano dwa podpisy na *starostwo radoszkowskie*. O jeden z nich jam prosił Waszej Królewskiej Mości.

— No i podpisałem go — zawołał król.

— Tak, ale się znalazł i drugi, również podpisany — rzekł minister.

— Ja nic nie wiem o tym drugim — odparł król poważniejąc — nic a nic!

— Podpis nie ulega wątpliwości — potwierdził Brühl.

Zamyślił się król.

— Ty wiesz, jak ja je podpisuję — rzekł naiwnie. — Przynosisz mi je, składają się oto tu, na stole, z rana biorę się do tej nieznośnej mi pańszczyzny. Czasem pięćdziesiąt razy każesz mi się podpisywać.

— Są to nieodstępne od panowania obowiązki — wtrącił Brühl z uzaleniem.

— Obowiązki! obowiązki! — dodał August serio. — Po śniadaniu siadam i z kolei kładę na każdym arkuszu imię swoje. Nie czytam ich, nie patrzę, bo ufam tobie; mógłbym na siebie wyrok podpisać — wierz mi!

Brühl się w piersi uderzył.

— Na mnie, Wasza Królewska Mość, na starego sługę swojego, spuścić się możesz bezpiecznie.

— I spuszcza — dodał August. — Któż to wie, jak się dostał na stół ten przywilej.

— Najjaśniejszy Panie — zniżając głos rzekł minister — ludzie obwiniają o to Beringa!

— Ale on też jest moim starym, wiernym sługą! — przerwał król zapominając się, że na równi go nawet stawiał z Brühlem i mógł obrazić. W tejże chwili obawa go przejęła i podniósł się biorąc ministra w swoje objęcia. — Brühl, rozstrzygnij to, jak chcesz, na ciebie to zdaje.

Minister ruszył ramionami.

— Książę kanclerz zapieczętuje oba — dodał żywo — nie ulega wątpliwości, aby mnie i wam, Najjaśniejszy Panie, przysporzył kłopotu. Dwu starostw radoszkowskich nie ma.

— Wpiszcie mu inne! — odparł król.

— Kanclerz wyśmiewa się już — szepnął Brühl.

— O, niegodziwy! niemiłosierny! — zajęczał August. — To mnie tylko pociesza, że wojewoda wileński pomści się za mnie.

Brühl, jakby nie bardzo temu ufał, zamilkł. Wniesiono uroczyście światło. Król nieco oczy przysłonił i milczał.

— Tokarnię — rzekł — wyprawić do Drezna; jam do niej przywykł już. Chociaż nie wiem, czy toczyć będę... nogi mi puchną.

— To przejdzie — odparł Brühl — a tokarnia nas uprzedzi.

— Myślistwo wypraw całe; po co by ono tu zostawać miało? — dodał tęskno. — Ja nie wiem, czy tu kiedy powrócę. Sejmy mi zrywali wszystkie. Może gdzie indziej szczęśliwszy będę z nimi. Zwoływać je będziemy do *Wschowy*, do...

Zamyślił się król.

— Gdyby nie Prusacy — przerwał Brühl — bylibyśmy się postarali o to, aby je zwoływać bodaj do Drezna. Wszystko byłoby przygotowanym do *coup d'état*. Dziś się obawiam, aby nie było za późno, rozzuchwaliła się szlachta.

— A krzykliwi — wtrącił August — i głosy mają tak dyszharmonijne; każdy z innego tonu.

— A im z nich kto otylszy, tym cieńszym śpiewa dyszkantem — rzekł Brühl.

— Masz słuszość! masz słuszość! — począł August Trzeci uradowany tym spostrzeżeniem. — Wszyscy niemal mają głosy *Parqualliniego*.

Palec przyłożył do ust; roześmieli się oba. Lecz już go rozmowa z Brühlem znużyła, wyciągnął się na krześle i poziewać zaczął. Spojrzał na zegar, który wieczorną wybijał godzinę; rozjaśniło mu się oblicze. Potem już tylko pozostawały modlitwy z kapelanem i błogi spoczynek! A we śnie mogło przyjść

widzenie Drezna... i odnowionego teatru, świecącego od barw jaskrawych i złota!

Brühl zabierał się odejść, ale go powstrzymał przy sobie. Miał jakieś tajemnicze życzenie, które choć sami byli, cichuteńko mu szeptał długo do ucha. Uspakajał go minister.

Otworzono drzwi do jadalni... i Brühl zaproszony, pociągnięty, musiał iść za panem, aby patrzeć, jak łapczywie, z chciwością apetyt żarłoczny nasycał. Pod koniec zapomniał nawet o ministrze, który się wysunął po cichu.

Skąd pochodził właściwie pan Klemens Tołoczko, niegdy porucznik, potem rotmistrz janczarów, nareszcie *buńczuczny* polnego hetmana litewskiego, Sapiehy, podstarości grodzki wołkowyski? Czy zabłądził od Smoleńska do Wołkowyska, czy z Wołkowyskiego w Smoleńskie — zdania były podzielone.

To pewna, że począł z małego i że nie miał tak jak nic, gdy go pan Piotr Zawadzki, przyjaciel jego, polecił hetmanowi Wiśniowieckiemu i wziął pod swe rotmistrzostwo do janczarów, naprzód go kreując porucznikiem.

I tak się jakoś dobrze umiał akomodować panu Piotrowi Zawadzkiemu, póki on żył, księciu hetmanowi, dopóki go stało, że się do rotmistrzostwa dobił. Potem już rósł o własnych siłach.

Mężczyzna był urodziwy, jak na janczara przystało; zbudowany krzepko, silny, a gdy swój strój janczarski włożył i wymuskał się, oczy wszystkich kobiet za nim biegały. Pięknym tak bardzo nie był, ale miał coś w twarzy i postawie pociągającego, a z ludźmi się umiał obchodzić, iż się zbytnio nie unizając przed nimi, zyskiwał ich sobie.

Wszyscy mu tę sprawiedliwość oddawali, że w towarzystwie wesołym nie było człowieka nad niego.

Do zwady nigdy nie dawał okazji, owszem, niejedne załagodził i do kiereszowania się nie dopuścił, ale mu na męstwie nie zbywało. Przy tym i głowę miał tęgą, co się zowie, bo prawnikiem nie będąc, w interesie bodaj najzawilszym zawsze sobie radę dał nie potrzebując jej szukać u drugich.

Pięknej prezencji swej winien był zapewne, iż hożą i majątną, bo oprócz posagu wiosek parę dobrych miała po rodzicach, pannę Kołłątajównę, chorążankę wołkowyska zaślubił. Żyli z sobą szczęśliwie, ale krótko, bo żona mu, na przeżycie się z nim opisawszy, wprędce zapisy zostawiwszy, zmarła. Został tedy *possessionatus* już wołkowyskim, a tu, jak się prędko umiał wcielić

w obywatelstwo i stać ulubieńcem szlachty, dziwnym by się zdało, gdyby nie osobliwe przymioty, jakimi go Bóg obdarzył.

Rósł w oczach. Wczoraj niemal jeszcze nieznany, nie popierany, sam jak palec — ani się obejrżeli, jak im się stał wszystkim potrzebnym, że bez niego było ani stąpić.

Przez żonę swą Kołłątajównę, *koligacje* i pozawiazywane stosunki związał się z braćmi szlachtą takim węzłem, jakby z jednego z nimi wyszedł gniazda.

Innemu tak jak na drożdżach nagle wyrastającemu zazdrościliby drudzy, a szukali w nim, czym by go zmniejszyć mogli; ten, że dumnym wcale nie był, każdego poszanował, nie uchybił nikomu, więc mu się wszyscy ustępowali. Nie było w powiecie człowieka, co by go nie znał, nie bywał u niego, nie zapraszał do siebie, a nie cieszył się, gdy go miał. Nosili go na rękach.

Rotmistrzowską kopertą zdawał się być zaspokojony i o inny się tytuł nie starał; choć człowiek w sile wieku i właśnie w tej porze życia, gdy ambicja ludzi popycha, nie dobijał się żadnych funkcji publicznych. W domu u niego było czysto, dostatnio, pięknie, dla gości zawsze drzwi i serce otwarte, ale skromnie i po szlachecku.

Jednego mu brakło — to urodziwej i miłej jak i sam gospodyni, której mu życzyli wszyscy. Mawiał w początku, jakoby z żalu po chorążance nigdy się żenić nie miał; potem, gdy nań nalegano, że gotów by, ale mu się nie wiedzie i szczęścia nie ma.

W samej rzeczy nadchodził dla niego wiek, kiedy pospolicie żenią ludzie, a nie człek sam siebie. Wszyscy szukali żony dla Tołoczki. A nie mogło być inaczej, gdyż Sapieha, hetman polny litewski, raz wraz się nim posługiwał, a więcej może jeszcze sama pani hetmanowa, która mężem rządziła, domem i ludźmi trzęsła, bo była do tego stworzona.

Znała ją Korona cała, gdy jeszcze była za pierwszym mężem, Lubomirskim. Liczono ją do najpiękniejszych niewiast swojego czasu, gdy na nich nie zbywało na wielkim świecie. Ta piękność przymnożyła jej przyjaciół i niechętnych, zwłaszcza między współzawodniczkami. Umiała się też nią posługiwać tak, że kogo sobie zjednać chciała, pewnie się jej oprzeć nie mógł i czyniła potem z nim, co się jej podobało.

Zdolną była i śmiałą nad podziw, ze złośliwych ludzkich języków wiele sobie nie czyniąc.

Po śmierci pierwszego męża, Lubomirskiego, nic dla niej łatwiejszym nie było jak się wyswatać raz drugi. Młodziutką ją odumart; piękna jak anioł, majątna, mogła wybierać między pretendencjami. Naówczas wybór jej padł na Sapiehę. Nic mu zarzucić nie było można okrom tego, że na mężczyznę za miękki był i powodować sobą dawał łatwo. Lecz właśnie to może dla jejności było najpożądańsze.

Więc wydawszy się za Sapiehę Aleksandra, wojewodę połockiego, umysłem jego równie jak sercem o władnąwszy — już nad nim panowała.

Nim zaś do tego przyszło, mówiono, że i młody Brühl, generał artylerii, i stolnik litewski, urodzony z *Czartoryskiej*, głowy dla niej potracili. A komu ona raz głowę zawróciła, ten się niełacno wyzwolił i wytrzeźwił!

Wraz z mężem swym albo raczej zastępując go jęła się jejność czynne prowadzić życie, nie dając spoczynku dużo powolniejszemu księciu.

A czym naówczas było życie takiego pana, wysokie dostojęństwo piastującego, skoligaconego z możnymi rody, które rej wodziły w Rzeczypospolitej — to opowiedzieć trudno. O spoczynku tam myśleć nie było co. Samymi zabawami na śmierć się było można zamęczyć, gdyby do nich od młodości nie nawykli.

Nie miał taki pan wytchnienia ani na chwilę. Wybierano ich do trybunałów, na sejmy, na sejmiki, do komisyj, do sądów polubownych. Mało który nie miał wielkiego procesu, odziedziczonego po rodzicach. W sporach też familijnych od stawienia się, pomagania wymówić się nie było podobna.

Ledwie z Warszawy przybywszy konie wyprężono, musiano je już do Lublina, Piotrkowa, Wilna lub Nowogródka zaprzęgać. Wesela też, pogrzeby i tysiączne okazje wyciągały z domu.

Takim właśnie życiem przyszło żyć księżnie hetmanowej, która najczęściej z mężem rezydowała na zamku w Wysokiem. Z nią tu jeszcze ruchu i wrzawy przybyło, bo i wdzięki księżnej ściągały, i ona rada była, gdy się koło niej gromadzono i gdy mogła potem przez ludzi intrygi różne zawiązywać a nieustannie coś marzyć, coś robić lub odrabiać.

Rotmistrza Tołoczkę poznawszy, że niezmiernie usłużny był i baczny a hetmanowi oddany, pochwyciła go pod swoją komendę i już z niej nie wypuściła.

Następowało właśnie w tym roku fundowanie Trybunału Wileńskiego, na które Czartoryscy ze swej strony, Radziwiłł, wojewoda wileński, ze swej, z ogromnymi siłami i wysiłkiem się przygotowywali; więc jakżeby hetman polny i hetmanowa mieli na stronie neutralnymi pozostać?

Król wszelkimi możliwymi sposobami pragnął gorszącemu konfliktowi dwóch stronictw zapobiec. Słał z pośrednictwem do układów Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, i Brzozowskiego, kasztelana połockiego.

Co żyło na Litwie, zbierało się też albo Czartoryskich popierać, lub z Radziwiłłem trzymając, z nim ciągnąć.

Po której stronie miał być hetman Sapieha, niby to wątpliwości nie ulegało. Wypadało mu z Radziwiłłem stanąć, chociaż z sobą nie bardzo sympatyzowali, szczególnie księżna, której się grubiaństwo księcia wojewody nie podobało.

Ufając w protekcję króla, który namiętnych myśliwych i pańskiego animuszu Radziwiłłów lubił bardzo, rodzina książęca, do panowania na Litwie nawykła, nie znosiła tu nikogo na równi. Czartoryscy zaś, ufni w przyrzeczoną pomoc, czuli się silniejszymi nad Radziwiłłów wszystkich z księciem wojewodą Panie Kochanku na czele.

Książę kanclerz z pogardą odzywał się o księciu Karolu i jego „*Pandzie*”. Z obu stron przyjaciele nosili odgróзки, ostre słowa i wyzywania.

Sapieha i żona jego nie byli dobrze z księciem wojewodą, który jej samej nie lubił i grubiańsko to czuć dawał. Z Czartoryskimi nie bardzo wiązać się też chciano; hetmanowa radziła mężowi stać na stronie, czekać *ewentów* i z nich korzystać.

Oboje wybierali się do Wilna, chociaż aby na fundowanie tego Trybunału ruszyć z dobrej woli, na to potrzeba było niepospolitej determinacji.

Ale któż jej ma więcej nad kobietę, której wszyscy służą na klęczkach?

Książę hetman miał siła sług, przyjaciół, rezydentów z dodatkiem nowych i tych, których mu żona przyniosła z sobą, a pomimo to księżna Magdalena trwożyła się, że ludzi nie miała.

Często zaglądający do Wysokiego, do księcia, Tołoczko zdawał się bardzo zręcznym i mogącym się przydać, szczególnie teraz w Wilnie. Szło o to, czy pan rotmistrz zechce się zaprząć w służbę hetmanowej, która znaną z tego była, że obrożę kładła i obchodziła się despotycznie.

Przywabić pana Klemensa, zmusić do przebywania więcej w Wysokiem niż w domu zdało się hetmanowej łatwą sprawą, bo dotąd, co postanowiła kiedy, to się jej udawało zawsze. Tołoczko został zawojowanym łatwo, a na przyszłość otwierały mu się horyzonty szerokie i jasne.

Na taką fundację Trybunału jechać nie było rzeczą dla chudego pachółka pożądaną. Nie licząc tego, że bardzo łatwo można było guza oberwać, koszta same odstraszały. Miasto pod tę porę, nie wyjmując klasztorów, dworki mieszczan aż do chałup, wszystko było zapchane, drogo płacone, niedostępne. Siano i owies, kto go sobie dostawić nie mógł, kosztowały *sumy neapolitańskie*. Tołoczko więc ani myślał się wybierać do Wilna, w głowie mu to nie powstało.

Ale księżna postanowiła, że przy niej jechać musi, i rozpoczęła manewrować, aby go skłonić ku temu. Rotmistrz wcale o tym nie wiedział. Trzeba go było czymś kupić.

Jednego dnia po obiedzie księżna zarumieniona, swoim zwyczajem leżała na wpół na kanapce, bawiąc się z ulubioną psiną, wabiącą się Zefir, choć *dla sadła ledwie się poruszała*.

Tołoczko siedział nieco opodal.

Hetman w wygodnym fotelu zabierał się do poobiedniej drzemki. Odbывał on ją publicznie, wśród gwaru rozmów, śmiechów, chodzenia, co mu nie przeszkadzało spać tak głęboko, że go czasem waląc z moździerzy nie można było przebudzić.

Księżna raz i drugi zagadnęła Tołoczkę, a że gwar był ciągły, ledwie dosłyszał i mógł odpowiedzieć.

— Przybliź się trochę, rotmistrzu...

Pan Klemens przysunął się posłuszny.

W tej porze życia, choć niemłody i nieelegant, Tołoczko jeszcze bardzo świeżo i dobrze wyglądał.

— Czemu się waćpan nie żenisz? — wystrzeliła księżna Magdalena jakby z pistoletu do niego.

Zmieszał się rotmistrz zrazu.

— Byłem żonaty, mościa księżno — rzekł — straciłem wierną towarzyszkę w mojej Helusi, postanowiłem ślubów nie ponawiać.

Rozśmiała się hetmanowa.

— Dałbyś waćpan pokój temu romansowi zagrobowemu! — odezwała się. — Należy się ożenić, boć to prawo Boże, aby się człowiek nie marnował.

Tołoczko na to z cicha.

— Choćbym może i rad — niełatwa to sprawa! Za wdowca panny idą niechętnie, a ja bym z wdową żenić się nie chciał. Przy tym jeździć, szukać, w konkury się puszczać to nie moja rzecz, a panny mi nikt do domu nie przywiezie.

— Jak to znać, że nie masz przyjaciółki — odparła księżna — dawno by cię ożeniła.

— Ale ja, mościa księżno, trudny jestem — rzekł Tołoczko.

— Czegóż wymagasz po swej przyszłej? — pytała hetmanowa.

— Rozumie się — począł rotmistrz — piękną być musi i mnie się podobać.

— Tak, to się rozumie, ale sądzę, że nadto wybrednym nie będziesz — dodała hetmanowa.

— Zbytnej młodości nie życzę sobie — ciągnął dalej — ale i zwiędłego panieństwa nie chcę.

— Dojrzałą dziewicę — rozśmiała się księżna. — No, zapewne i posażną?

— O to się ja targować nie będę — rzeki Tołoczko. — **Będzie miała co pod poduszką**, tym lepiej, a nie, nie odstręczy mnie to.

— No i rodzina dobra? — pytała księżna.

— Juści z dobrego domu szlacheckiego musiałyby być — rzekł rotmistrz. — Do pańskich progów nie posunę się, ale krew debra u mnie znaczy wiele.

— No, a charakter i temperament? — dodała Sapieżyna w końcu.

— Mości a księżno — zawołał Tołoczko — a któż to się pochłubić może, iż charakter niewieści odgadnie albo przeczuje? Na to potrzeba błogosławieństwa Bożego, aby nie wpaść w paszczę.

Westchnął.

— Dlatego — dokończył — przy tylu trudnościach anim marzył o ożenku.

Pogładził się po łysinie, która już przeświecała mu z wierzchu głowy, choć bujne włosy dokoła ją otaczały.

Księżna długo się wpatrywała w niego.

— Wiesz co, rotmistrzu — rzekła — zróbmy z sobą umowę, choćby pod zakładem; waćpan będziesz nam jako przyjaciel towarzyszył na Trybunał do Wilna, a ja za to, żem mu słodki przerwała spoczynek, obowiązuję się znaleźć ci żonę, która wszystkim twoim odpowie warunkom.

Tołoczko chciał to w żart obrócić.

— Rączki całuję waszej księżęcej mości — odezwał się — ale nie śmiałybym takiego kłopotu narzucić, gdy ich jest i bez tego dosyć. Myślę zostać *maltańskim kawalerem*.

— Ja na to nie pozwalam — przerwała hetmanowa. — *Veto!* No, przybijmy targ.

Stojący blisko Sawicki, wojski lidzki, obrócił się do Tołoczki.

— Waćpan byś księżnie jejmości na kolanach powinien dziękować, a ty się jeszcze drożysz! Z tak pięknych rąk na ślepo żonkę można brać.

— Mościa księżno — wtrącił rotmistrz — boję się nawet z łaskawych rąk jej brać żonę. Za starym się czuję, ale gotówem i bez żadnej remuneracji jechać na Trybunał, byleby mi państwo kazali, a jam się tam przydał na co.

— O! bardzo! bardzo! bardzo! — wtrąciła wojewodzina. — Już tylko jedź, reszta się znajdzie. Pojedziesz?

— Jam sługa waszej księżęcej mości — odparł Tołoczko. Księżna mu rękę wyciągnęła uśmiechając się; przyszedł ją pocałować i tego dnia na tym się skończyło.

Przyjaciele Tołoczki śmieli się z niego, gdyż on uparcie utrzymywał, że się nie da ożenić.

Całą tę poobiednią rozmowę żartobliwą brał za prostą zabawkę księżnej, która rozmaitymi facecjami niekiedy się lubiła rozrywać. Tymczasem nazajutrz zaraz usłyszał w rozmowie, iż księżna Magdalena już na jego podróż rachowała i po kilkakroć powtórzyła:

— Gdyś mi pan rotmistrz przyrzekł, słowa dotrzymasz.

Nie było już co wątpić, musiał być posłusznym, bo hetmanową sobie narazić stokroć gorzej znaczyło niż hetmana. O ile dla przyjaciół była wylaną, tak dla tych, do których ząb miała, straszniejszego nad nią nie było wroga. Nie przebierała wówczas w środkach, gdy się pomścić i moc swą chciała dać poczuć.

Zakłopotał się mocno Tołoczko, nie dając tego poznać po sobie. Naprzód wydatek był znaczny, którego nawet obrachować nie mógł z góry, po wtóre czasu stracić dość musiał, sędziom się narazić, a co go czekało w Wilnie, tego żadna ludzka moc przewidzieć nie mogła.

Jeżeli kiedy fundowanie Trybunału obiecywało się jako walna bitwa, to teraz, gdy dwa najzamożniejsze rody w Księstwie o nie walczyć miały. Wojsko Radziwiłłowskie, litewskie pułki hetmana, tandem nawet siły imperatorowej, na granicy stojące, do Wilna pościągać miały.

Rozporządzenia wojenne, jak przed rozprawą krwawą, już się gotowały. Mówiono, kto i gdzie ma zająć stanowisko, a ewentualność bitwy przewidywali wszyscy. Miał ksiązę hetman ludzi kilka tysięcy gotowych; Czartoryscy się nie swoją milicją, bo ta się, Fleminga do niej włączywszy, nie równała Radziwiłłowskiej, ale cesarzowej nagotowaną siłą obraniać myśleli.

Co już o tym na dworze królewskim w Warszawie głośzono i rozpowiadano, strach słuhać było.

Hetman Sapieha z żoną zawczasu chciał przybyć, ciesząc się jakąś nadzieją, że może lepiej odegrać chlubną rolę pośrednika od księza biskupa kamienieckiego.

Tchórzliwsze umysły zaklinały, aby nie dopuszczając do konfliktu pojednanie jakieś wylatać, ale kto znał księcia kanclerza, grafa Brühla a nade wszystko księcia wojewodę, ten mało w zgodę wierzył.

Zawczasu w Wilnie postrach panował jakby przed najściem nieprzyjaciela, a jak byli tacy, co na ogień lecieli, tak drudzy od niego uciekali. Tyle tylko, że Kamieńca nie fortyfikowano, ale niewiele do tego brakło.

Księdzu biskupowi kamienieckiemu i kasztelanowi Brzostowskiemu, którym król polecił mediacje, choć pierwszy szczególnie był zdolności wielkich i zabiegliwy a zręczny, nikt nie ufał, aby mogli co sprawić.

Po księciu wojewodzie wileńskim pasje grały, że go żaden rozum nie mógł powstrzymać. Przyjaciele jego na humor pili i słuchać nie chcieli.

Postanowiono było unikać zetknięcia się z wojskiem cesarzowej, nawet je uchodzące po dobrach Radziwiłłowskich żywić i dawać im prowianty, ale Czartoryskim i ich partyzantom stawić czoło.

Dolewał do ognia oliwy ksiądz biskup wileński, kniaź Massalski, który w duchowieństwie polskim, jak ludzie zapamiętali, podobnego nie miał, i naśladowców, dzięki Bogu, nie znalazł.

Dumę kniazów Massalskich znali wszyscy, która tym więcej uderzała, że państwo to ich łączyło się z powikłanymi interesami, brakiem pieniędzy i chwytnością ich, gdzie i jak się nadarzyło!

Oprócz tej pychy i lekceważenia ludzi ksiądz biskup miał temperament, obyczaj, sposób życia, który więcej przystał rozpuszczonemu wojakowi niż pasterzowi owczarni i ojcu duchownemu. Przepisów Kościoła nie zachowywał wcale, nie będąc wiernym ani sukni duchownej, ani ślubom kapłańskim. Nosił się najczęściej po cywilnemu, francuską modą, przy szpadzie chodząc jako szef pułku swego imienia.

We dnie zabawiał się jak najwygodniejszym trybem życia, używając *po między rogówkami i robzonami*, a po całych nocach widywano go za zielonym stołem prowadzącego grę szaloną.

Swoje i cudze, kapitulne i biskupie sumy, gdy w ręce jego popadły, nie były poszanowane. Frymarczył dobrami nie pytając, a w postępowaniu jego samowola nie znała hamulca.

Gwałtowny, namiętny, z kolei galant i grubianin, niczym się wstrzymać nie dawał, a że mu pomocnicy potrzebni byli, takimi się, jak sam był, otaczał. Duchowieństwo zacne i świątobliwe truchlało ze sromu i grozy. Lecz najpoważniejszym ludziom, gdy się mu ważyli czynić demonstracje, odpowiadał łajaniem lub do szpady się porywał.

Złośliwy, dowcipny, cynik, był poczwarnym zaprawdę zjawiskiem, nawet wśród tego świata, który się wcale surowością obyczajów nie odznaczał.

Ksiądz biskup Massalski, z Radziwiłłami spokrewniony, ale na wojewodę zajadły do szaleństwa, całą potęgą duchowieństwa, które miał w ręku, występował przeciwko niemu. Mało sobie z tego wprawdzie czynił Radziwiłł, ale inni się oglądali na Kościół, na duchowieństwo i klątwy, którymi grozono.

Rozdrażnienie pomiędzy księciem wojewodą a księdzem biskupem doszło było do tego stopnia, iż Radziwiłł po dziesięć razy w dzień powtarzał:

— Chce on być Stanisławem, to ja mu *Bolesławem będę*.

Massalski jako żywo męczennikiem być sobie nie życzył, ale ubezpieczony za murem i gwardią swą, przeciwko księciu bluzgał najobrzydliwszymi, grubiańskimi pogrózkami.

Daleko jeszcze było do terminu fundowania Trybunału, a Wilno już wyglądało jakby w stanie oblężenia. Po ulicach dzień i noc ciągnęły sznury wozów, wyładowanych owocem, sianem, mąką, zapasami spiżarni i beczkami napojów. Niektóre wiozły sprzęty, broń, przybory domowe, namioty pod konwojem żołnierzy dworskich różnej broni, w barwach najosobliwszych.

Nie było dworku okazańszego, kamienicy, szopy, gdzieby już ludzie lub konie nadciągające się nie rozkładały. A że z obu stron nadchodziły siły sobie nieprzyjazne, a o miejsce było trudno, rodziły się z tego kłótnie, bójk i wśród wymysłów odzywały się strzały co chwila.

Przy pałacach, które hetmanowie zajmować mieli na *Antokolu* u Sapiehów, około *kardynalii Radziwiłłów* strażę jaki taki porządek utrzymywały, ale po kątach porządkował, kto chciał, i burzył, kto mógł. Przez ulicę przeciągnąć było trudno jednym i drugim bez porywania się na siebie.

Z tego, co się widziało w samym jądrze miasta, można wnosić, co się działo poza nim na przedmieściach i po obozowiskach, na *jurysdyc* Radziwiłłów, *Snipiszkach*, na Antokolu, około biskupiej rezydencji.

Tu brama żadna w biały dzień się nie otwierała bez parlamentowania, a przybywający wykazywać się musiał, kim był i z czym jechał.

Kościóły nawet, do których przystępu Massalski Radziwiłłowskiemu ludziom bronił, strzeżone były lub pozamykane. Niemniej zakonnicy, których stosunki

dawne łączyły z rodzinami pańskimi, pod pozorem autonomii zakonnej swobodniej sobie poczynali dając przytułek dobroczyńcom i przyjaciółom.

Tołoczkę pani hetmanowa wyprawiła przodem na Antokol, zleciwszy mu, ażeby zawczasu w położeniu się rozpatrzył i dla niej pozbierał wszystko, co mogło je rozjaśnić.

Nie był rotmistrz obcym w Wilnie, znał je jak każdy Litwin, ale dawno tu nie bował i krótko zawsze bawił; znalazł się więc jak w lesie.

Tylko że wszędzie sobie radzić umiał. Z dawnych stosunków pozostały mu mnogie znajomości z Radziwiłłowskimi, którzy go za swojego uważali. Mało też kto z tamtejszych do Czartoryskich lub Fleminga się przyznawał, bo pierwsi nigdy się o popularność nie starali i jej też nie mieli, a drugiego wyśmiewano jako Niemca. Chodziły o nim anegdotki, które go jako słabego umysłu i wcale kraju nie znającego malowały.

Radziwiłłowie zaś, choćby z nich który dokuczał szlachcicowi, byli jako swoi uważani i ludzie mieli do nich sympatię wielką.

W ulicy na Antokol ciągnąc Tołoczko, który dla nogi obrażonej na wozie się włókł, spotkał się z jadącym konno, dawno sobie znajomym Derkaczem, który niegdy był jego sługą, a potem się dostał dla umiejętności wabienia i naśladowania wszelkich głosów zwierzęcych do łowiectwa nieświeżskiego.

Tołoczko miał to szczęście, iż ludzie, co z nim kiedy do czynienia mieli, pozostawali mu życzliwi i przyjaźni. Derkacz też obaczywszy go przypadł go po nogach niemal całować. Człek był niemłody, *szpak*, brzydki aż strach, ale zręczny, przemyślny jak mało kto.

— A ty tu co robisz? — spytał rotmistrz. — Juści w ulicy polowania nie wyprawiasz!

— Daj Boże, aby go nie było i żebyśmy szlacheckiej zwierzyny nie bili! — odparł Derkacz. — Ale kto dziś wie, na co się zanosi? Mnie z ważnymi listami wyprawiono.

Nie mógł się w ulicy zatrzymać Tołoczko, więc go z sobą do Antokolu pociągnął rozpytując po drodze.

— Nie chciałbym ja być w skórze Czartoryskich — począł łowczy Radziwiłłowski. — Co się tam stanie z Trybunałem, tego ja nie wiem i nie rozumiem, ale że na księcia kanclerza zasadzki są wielkie, to pewna.

— Juści nie na jego osobę — rzekł Tołoczko — bo Radziwiłł obić na gościńcu obije, ale spiskować na życie nie jego rzecz.

— Nie jego, ano przyjaciół kaptować trudno, a i wiedzieć niesposób, co który czyni.

Mówili potem o różnych rzeczach, ale na Antokol przybywszy, gdzie już znalazł dla siebie pomieszkanie gotowe, rotmistrz wziął Derkacza na spytki.

— Coś mówił o kanclerzu? — zapytał. — Juści na życie jego nie godzą?

Derkacz się zmieszał.

— Nie będę prawił o tym, czego dobrze nie wiem, a zaś co mi jednym uchem wlazło, drugim wyszło. To tylko pewna, że i życia może być niepewien, taka zajadłość na niego!

— Nie boi się on tego — rzekł Tołoczko. — Strachy na Lachy; tym go książę nie strwoży. Ma i on siły, bodaj większe niż księcia wojewody, bo mu idą w pomoc żołnierze imperatorowej i pono są w drodze.

— Dlatego też się na niego odgrają — rzekł Derkacz.

— Gdzieś o tym słyszał?

Zmieszał się łowczy.

— Ojczulku mój — rzekł — nie wyciągajcież ze mnie tego, o czym ja powinienem był zamilczeć — odparł Derkacz. — Może to są plotki, czernidła.

— Ale kto? co?

Naglony mocno, Derkacz, który już za czapkę brał, cicho tylko się tłumaczył, że od dworu księcia z *Mitawy* zawiąło tą wiadomością, ale bójka być mogła. Więcej z niego nie dobył Tołoczko.

— U nas się spodziewają — dodał po chwili — że hetman polny ludzi da, aby zawichrzeniu zapobiec.

— Wątpię bardzo — rzekł rotmistrz — bo tu dziś ślepa babka i nie wiedzieć komu pomagać. Czartoryscy królowi są przeciwni i na niego godzą, bo im już za długo panuje. Radziwiłł tylko o sobie i swojej krwi pamięta. Ani z jednym, ani z

drugim trzymać na zabój nie można. Król wysłał od siebie rozjemców, a ci ich pewnie pogodzą.

— Co daj Boże, amen — skłaniając głowę dodał Derkacz,— bo człowiek od rozumu odchodzi patrząc na to, co się dzieje.

To mówiąc łowczy, któremu badanie nie w smak było, pożegnał dawnego pana i zniknął.

Tak na samym wstępie Tołoczko, jakby Opatrzność się nim opiekowała, dostawszy języka nie miał już pokoju, dopóki nie wyjechał na miasto, aby się więcej dowiedzieć, nimby pani hetmanowa nadjechała.

Ale to, o czym się od Derkacza dowiedział, co potem wieczorem od Brzostowskiego kasztelana, którego znał, udało mu się wyciągnąć i o czym powszechnie rozpowiadano, wzajem się strasząc Trybunałem, tak się z sobą kłóciło i pogodzić nie dawało, że wszystko jedną baśnią mu się zdało.

W gabinecie ministra Brühla pod wieczór leżała na stole olbrzymia koperta, sznurkami i pieczęciami umocowana, które dopiero co porozrywano.

Wydobyte z nich różnych kształtów listy i papiery w nieładzie zalegały biurko, a minister, białą ręką przebierając w nich, szukać się zdawał czegoś, o co mu szło na j pilniej.

Skrzywione pogardliwie usta, wzrok zmęczony i wystygły, postawa cała człowieka znudzonego świadczyły, że odebrany depešom niewiele ufał i nie bardzo do nich chciał śpieszyć. Niekiedy wzrok podnosił ku drzwiom, jakby kogoś oczekiwał.

W chwili gdy zniecierpliwienie dochodziło do najwyższego stopnia, drzwi się powoli uchylły i młody, bardzo przystojny, wielce arystokratycznej powierzchowności panicz wsunął się do pokoju.

Strój jego prędzej do dworu króla saskiego niż do polskiego dozwalał go wpisać. Ubrany był francuską modą, a nawet wielce wytworne suknie Brühla nie gasiły elegancji młodego pana, który z pełną uszanowania poufalością przybliżył się do stolika.

— Kochany starosto — odezwał się minister wskazując na biurko — przybywasz z Wilna, miałeś zrzeczność nasłuchać się wszystkiego, co tam

warczy i huczy przeciwko nam, uwolnij mnie od czytania plotek, a powiedz prawdę. Jak stoją Czartoryscy?

— Podparci na pułkowniku Puczkowie, który im ma przybyć na pomoc.

— Sam jeden?

— Ale nie, z pułkiem — rzekł przybyły — chociaż będzie on tylko pogrózką, bo bić się nie myślą i wojny nie wypowiedzą.

Brühl słuchał obojętnie.

— I ja tak sędzę — westchnął minister. — Czy myślisz, że się złęknie Radziwiłła?

— Nie — mówił dalej starosta — ale niewygodni to są śmiałkowie.

— Plan ich niedorzeczny, dziecinny — odparł Brühl wzruszając ramionami.

— Nie sędzę — przerwał starosta marszcząc piękne czoło. — Plany ich obmyślane są wybornie, idzie o to, jak się wykonać dadzą. Idzie mu o zerwanie i niedopuszczenie ufundowania Trybunałów. Służyć to ma później za pretekst do zawiązania konfederacji przeciwko królowi, którego chcą zdetronizować.

— Jak im pilno — szepnął Brühl zimno. — Wszystko to mrzonki są próżne; konfederacja z pułkownikiem Puczkowem kraj na nich oburzy. Po kraju mącić i wywoływać burzę łatwo, z nieprzyjacielem się wiązać, krajowi chcieć prawa dyktować — myśl zuchwała i nieroztropna. Detronizacja! — powtórzył smutnie. — Nie wiedzą więc, że z króla skroni inna ręka niż ich zdejmie koronę?

Starosta spojrział niespokojny.

— Najjaśniejszy Pan wyjeżdża do Drezna? — zapytał. — Jak tylko będzie mógł — on i ja — dodał Brühl — cesarzowa pozwoli się przejechać i zabawić pułkownikowi swemu, ale nic więcej, a tymczasem któż wie, co może spotkać kanclerza?

Uśmiechnął się.

— Cóż Aloe? — zapytał.

— To mi się zdaje niedorzecznością — rzekł starosta.

— Tak, ale rzeczy, które są niespodziewane, dziecinne, śmieszne, najczęściej się udają, dlatego że nikt do nich przygotowanym nie jest — odparł Brühl.

— Aloe — mówił dalej starosta — jest człowiekiem bardzo zdolnym; dał tego dowody stojąc u boku księcia Karola w Mitawie. W tym go jednak nie poznaję.

— Możem źle słyszał? — wtrącił Brühl.

— Aloe, który zna obyczaje księcia kanclerza i sposób jego życia w Wołczynie, powiada, że bardzo by było łatwo zmusić go do odwołania wszystkiego, co doniósł cesarzowej. Do tego dosyć było, aby się znalazł człowiek śmiały, który by księciu w kancelarii jego, gdzie najczęściej sam przesiaduje, przyłożył pistolet do piersi i przymusił do podpisania listu przygotowanego.

— W tym nie ma sensu — rzekł Brühl po krótkim namyśle — ja to słyszałem inaczej. Możnaż przypuszczać, aby książę kanclerz u siebie w domu dał się zmusić do podpisu i żeby napastnikowi dał potem ująć spokojnie? Na ostatek, jaki ma walor wymuszone pismo? Wszystko to awanturnicze. Nie podobna mi przypuścić, ażeby faworyt kanclerza Małachowskiego taką dawał radę, a poważni ludzie mogli ją wziąć na serio.

Uśmiechnął się Brühl.

— Toż samo — dodał — w stosunku naszym do Rosji. Wieleśmy jej winni od czasów nieboszczyka pana, któremu *Piotr* zawsze przychodził w pomoc; terażniejsza cesarzowa od tej tradycji nie odstąpi. Pozwólmy się im ludzić, że dla Czartoryskich — saskiej dynastii odstąpi. Nie mogą się uskarżać na nas, byliśmy i jesteśmy powolni — świadczy *Kurlandia*. Król własny interes poświęcił polityce.

Starosta słuchał bawiąc się sznurkiem leżącym na stole, jak gdyby przedmiot rozmowy mało go obchodził. Brühl też, choć więcej się rozgniewał i poruszał, nie przywiązywał wagi do sprawy, o którą rozpytywał.

— Cóż robią Krasiński i Brzostowski? — rzekł po namyśle. — Biskup nam... to jest królowi, obiecywał bardzo wiele.

— Mnie się zdaje — odparł starosta — że gdzie szło o traktowanie z panem wojewodą, inny wybór *plenipotencjariusza* uczynić wypadło. Biskup Krasiński

nie dotrzyma mu placu do kielicha, a traktowanie z nim na sucho się nie może ani poczynać, ani skończyć.

— Powinien mu być pomocą Massalski — wtrącił minister.

— Nie wiem, czy on zgody i porozumienia pragnie — odezwał się starosta — a gwałtownością nie ustępuje księciu wojewodzie.

Lekka oznaka zniecierpliwienia dała się czuć staroście, gdy Brühl głos zabrał.

— Więc jakże sądzicie, że się to skończyć może? — rzekł żywo. — Król wie, żeście dziś przyjechać mieli, zechce z ust waszych posłyszeć, co się tam dzieje, jest niespokojny. Trybunał ten zatruwa mu chwile, które myśmy mu powinni się starać osłodzić. Cóż powiecie przed Najjaśniejszym Panem? Nie idzie tu wcale, aby się dowiedział prawdy; byłoby okrucieństwem mu ją wyjawić. Starosta musisz tak ułożyć relację, aby ona go pocieszyła i uspokoiła, rozumiecie?

— Ale ja — odparł starosta wysłuchawszy lekcji, jaką mu dał minister — nie potrzebuję się żadnym fałszem posługiwać. Rzecz jest pewna, że Radziwiłł *per fas lub per nefas* z Trybunałem się utrzyma, a Czartoryscy zostaną przy manifeście. Z jednej strony będą lamenta, o których Puczków doniesie Najjaśniejszej Pani, z drugiej hałaśliwy tryumf... bo z taką determinacją szaloną jak księcia wojewody musi się choć chwilowo utrzymać górą.

— Szalona pałka, książę wojewoda — odezwał się Brühl. — Byli ludzie, którzy sądzili, że wojewoda pogrzebie miecznika, tymczasem cały duch i obyczaj miecznika przeszedł na wojewodę. Szczęściem mamy go przy sobie.

Brühl spojrzął na zegarek. Ściemniało się.

— Należałoby, abyś zaraz się stawił do króla — rzekł po namyśle.

— Gdzież mam króla szukać? — zapytał przybyły.

Brühl zmarszczył się nieco.

— Jest na wieczornej strzelnicy — rzekł cicho — dokąd tylko poufałych się dopuszcza; ale wy idziecie ze mną.

— Na strzelnicy wieczornej? — powtórzył starosta.

Brühl nie odpowiedział na pytanie, śpieszył się i wskazując drogę poprowadził przybyłego.

Musieli wniknąć na wewnętrzny korytarz pałacowy, który właśnie oświetlono i służba się po nim kręciła.

Zawrócili się razy kilka, przeszli pokoje puste, wszędzie pod nogami znajdując drogę kobiercami wysłaną. Na ostatek ukazały się wschodki pod dachem, wspartym na słupkach. Był to rodzaj altany, wychodzącej na tyły pałacu saskiego i plac pusty.

Król August ze strzelbą w rękę siedział upatrując niecierpliwie jakiegoś zwierza, którego wśród miasta odgadnąć było trudno. Starosta patrzył ciekawie nie mogąc zrozumieć.

U podnóża altany, na piasku żółtym, w mroku wieczornym zarysowały się niewyraźne kształty rosłego konia, który leżał rozciągnięty bez życia.

Kruki, gałki i wrony unosiły się nad nim w powietrzu zniżając niekiedy ponad zastawiony dla nich żer a nie śmiejąc go dotknąć jeszcze. Nieco dalej przemykały się cienie wychudłych psów bezpańskich na bezpłatną strawę.

Oczy króla skierowane były ku nim, strzelba drżała mu w rękę, najłżejszy szelest, który psy spłoszył, gniewał go widocznie.

Wejście Brühla, którego kroki posłyszał, groźnym wyrazem twarzy przyjęte zostało, ale zaledwie mógł go rozpoznać, z pośpiechem wesołym zwrócił się do niego.

— Musisz mi dobrą przynosić wiadomość, kiedy tu przychodzisz — zawołał August broni z rąk nie wypuszczając i wpatrując się zmrużonymi oczyma w starostę Platera, który szedł za ministrem.

— Ja sam nie przynoszę nic — odparł Brühl przybierając ton mowy swobodny i wesoły — ale oto jest starosta Plater, wprost przybywający z Wilna, który jako naoczny świadek przygotowań do fundowania Trybunału najlepiej ze wszystkiego sprawę zdać może.

Król, z uśmiechniętym łagodnie obliczem, obrócił się do pokornie kłaniającego mu się starosty.

— Mów, proszę — odezwał się cicho.

Poznać było łatwo z postawy, ruchów i wyrazu twarzy Augusta Trzeciego, o ile wieczorny mrok czytać na niej dozwalał, że króla żywo obchodziła relacja o

Trybunale, którą miał z ust Platera posłyszeć, lecz nadto był namiętym myśliwym, aby zupełnie o swym dziwacznym polowaniu, nawet dla Trybunału, zapomnieć. Można powiedzieć, że z wielkim uszczerbkiem powagi królewskiej połowa Augusta słuchała Platera, a druga rzucała wejrzenia ku placowi, na zdechłego konia i cienie psów, które się powoli, ostrożnie ku niemu zbliżały.

Jednym uchem chwycił opowiadanie, drugim krakania wron i biegania psów po pustym placu. I nie można było rozpoznać, co go w istocie odchodziło więcej, czy psy, na które czekał, czy Trybunał, o którego losie chciał się dowiedzieć.

— Najjaśniejszy Panie — mówił Plater z unізonością — wszystko zapowiada, że mimo pułkownika Puczkowa, którego sobie Czartoryscy uprosili u imperatorowej, mimo zagrożenia interwencją rosyjską Radziwiłł na swoim postawi. Ludzi ma dosyć, zajął pozycję mocną, a nastraszyć się nie da. Posiłkuje go z energią wielką biskup Massalski.

Słów tych domawiał Plater, gdy król, który dotąd go słuchał cierpliwie, ale psów z oka nie spuszczać, podbiegł na palcach mimo ociężałości swej do galeryjki okrytej kobiercem, która ganek otaczała, wymierzył szybko i strzelił.

Kłęb dymu na chwilę nie dał widzieć trafności strzału, ale król pamiętał liczbę psów; dwa tylko widać było uchodzące ze skomleniem, a pod galerią rozlegało się bolesne wycie ranionego.

Twarz Augusta Trzeciego i oczy wprzód przygasłe zajaśniały radością tryumfu.

— Nie sądzicie — odezwał się do Brühla — żebym ja go chciał zabić, a ranił tylko z przypadku. Chciałem go ranić i nogę mu utracić; okaże się, iż spełniłem, com zamierzał. — Psów jest mało, potrzeba ich oszczędzać.

Plater, epizodem tym dziwnie zmieszany, milczał nie wiedząc, co począć z sobą; królowi tymczasem czeladź jego myśliwska podała drugą strzelbę nabitą. Polowanie na psy głodne nie było skończone.

— Mów, starosto, dalej — rzekł August weselej — proszę, słucham. Zdaje mi się, że mówiłeś o Massalskim.

Król skrzywił się znacząco, dając się dorozumiewać, że nie bardzo go szacował, choć Radziwiłłowi pomoc dał.

— Tak jest — począł starosta — książę biskup...

— Biskup i pułkownik — wtrącił żartobliwie Brühl — to mi się trafia rzadko, aby w jednej osobie dwa się takie *incompatibilia* łączyły.

— Książę biskup — ciągnął dalej starosta — Trybunałowi pozamyka kościoły, nie pozwoli duchowieństwu słuchać deputatów przysięgi. Ludzi swych daje pod komendę wojewody.

— I do bitwy i krwi rozlewu nie przyjdzie? — wtrącił August Trzeci niespokojnie. — Nie przyjdzie?

— Czartoryscy nie będą mieli z czym przeciw prepotencji księcia wojewody wystąpić. Pułki Radziwiłłowskie dobrze okryte, na męstwie im nie zbywa. Skończy się więc prawdopodobnie na manifeście kanclerza, a i tego żadne akta nie przyjmą.

Królowi się twarz śmiała.

— A biskup Krasieński? — spytał.

— Bardzo czynny — mówił Plater — sam byłem świadkiem nieustannej jego pracy — szyderstwo przebijało się w głosie. — Nie wyprzegają ani na chwilę koni biskupa, który sztuka i dobija się to do kardynalii, to do pałacu biskupiego z kolei. On i Brzostowski spodziewali się, gdy wyjeżdżał, doprowadzić do tego, aby *arbitrowie* byli wyznaczeni do układów.

— Czasu to wiele zabierze, a wątpię, ażeby do czego doprowadziło — odezwał się Brühl. — Czartoryscy, dopóki jakkolwiek siłę mają, nie ugną się. Radziwiłł nie ustąpi. Szczęście, że książę wojewoda mocniejszy jest.

Było już tak ciemno, że król spojrzawszy na plac, na którym ledwie się jeszcze widzieć dawała leżąca przynęta, z westchnieniem i żalem widocznym oddał pachołkowi strzelbę, którą trzymał w ręku, i poprzedzany przez służbę, która się ze światłem zjawiała, ciągnąc za sobą ministra i starostę udał się z nimi do swych pokojów.

Kilka osób czekało tu na niego. Król pomimo tęsknicy, jaką miał do Drezna, choć niespokojny o losy Trybunału i ciągłymi skargami na Czartoryskich niecierpliwiony, był dosyć wesoły i Brühla ciągle przywołując do siebie na szepty jakieś tajemnicze, słuchał, co mu powiadano, uprzejmie przyjmując pochlebstwa i umyślnie dla niego przyprawiane wiadomości.

Starosta, który nie był tu zbyt częstym gościem, z wielkim zajęciem przysłuchiwał się rozprawom i rozmowom, ucząc się z nich zapewne wiele, gdyż to, co tu mu się słyszeć dawało i co tu uchodziło za prawdę, gdzie indziej wcale by wyglądało inaczej.

Dla człowieka rozpoczynającego zawód przy dworze nauka była wielka, z jaką ostrożnością z królem o przeszłości i teraźniejszości mówić było potrzeba, ażeby się z tym nie minąć, co tu za rzecz pewną uznawano, a co gdzie indziej było wierutnym fałszem.

Przekonał się, z jaką synowską pieczołowitością o zdrowie i humor pański minister kołysał go i usypiał doskonale ułożonymi baśniami o jego własnym panowaniu.

Wszystkie wypadki nieszczęsnej wojny siedmioletniej na pokojach Augusta Trzeciego były tryumfami i nader pomyślną zapowiadały przyszłość. Wiele głośnych faktów, powszechnie znanych i wiadomych, na pokojach ignorowano, nie istniały lub przybierały barwę, która naturę ich zmieniała.

Starosta też wkrótce uląkłszy się, aby mimowolnie nie wymówił się z czymś niewłaściwym, stał się bardzo milczącym. Na pokojach wieczoru tego szczęściem najwięcej mówiono o Dreźnie, odwracając uwagę od Polski i tego, co się tu działo. Z oburzeniem wspominał tylko król o potwarzach, którymi prześladowano ulubionego mu ministra, a szczególnie o zuchwałym memoriale czynności jego wyjaśniającym, podanym przez hetmana Branickiego.

Brühl spokojnie, jako niewinna ofiara, nieprzyjaciołom swym płacił wielką wspaniałomyślnością, która u Najjaśniejszego Pana uwielbienie dla niego wzbudzała.

— Dla tych to wrogów swych — mówił August z uniesieniem — Brühl, zamiast domagać się na nich kary, prosi o przywileje i nadania!

Tak było w istocie, bo minister, nawet od Czartoryskich biorąc zwykły haracz, i dla nich wyrabiał urzędy i starostwa złotodajne.

Po wieczerzy szczupłe kółko gości królewskich rozchodzić się i rozjeżdżać zaczęło, a Plater powrócił do swoich, aby tam rozmyślać o dziwach, które widział i słyszał.

Brühl nazajutrz jeszcze wezwał go do siebie, aby się dowiedzieć o drobnostkach, które dla niego miały znaczenie wielkie. Zapomniał był między

innymi zapytać o hetmana polnego litewskiego, Sapiehę, a raczej o piękną żonę jego, która polityką męża kierowała. Wpływ jej nie był do pogardzenia.

Władza ona wielu umysłami, mówiono o wielce nią zajęтым synu ministra Brühla, dla którego i ona słabość miała. Znajdowano, że król nawet, gdy ją spotykał, witał z galanterią i słodyczą na ustach. Tym też usilniej starano się ją oddalić od dworu.

Nazajutrz pierwsze pytanie zadane staroście jej się tyczyło.

— Piękna Magdalena — ale nie pokutnica — rzekł Brühl — jestli w Wilnie? Oczywiście jej mogą zaważyć, a głos stanowić o zwycięstwie! — Dwaj hetmanowie powinni trzymać z sobą.

— Hetmanowa jest w Wilnie — odparł starosta — bo hetman tam przybyć musiał, a ona by go samego nie puściła.

— Ma zupełną słuszność — wtrącił Brühl. — Jest najlepszym jego adiutantem.

— Jak są z sobą hetmanowie, nie wiem — mówił dalej starosta — sędzę jednak, że się zbyt nie kochają, a książe wojewoda wileński nie gustuje wcale w pięknej Magdalenie.

— Zły ma gust — wtrącił Brühl.

— Dał tego dowody nieraz! — roześmiał się Plater. — Hetmanowa polna nie zadaje sobie wcale pracy, aby go pozyskała. Ma dosyć galantów, nie licząc męża.

Starosta urwał nagle i stał dobrą chwilę milczący.

— O stolniku słyszeliście zapewne? — zapytał głos zniżając.

— Jest w Petersburgu — rzekł kwaśno Brühl. — Familia stara się z niego zrobić wielkiego człowieka, którym on nigdy nie będzie. Nie wątpię tylko, że po ojcu i wujach odziedziczy zręczność wielką i umiejętność siedzenia w potrzebie na dwu stołkach.

— Stolnik z Petersburga powrócił, jest w Wilnie i dworuje pilno około hetmanowej polnej.

— Ach! — zawołał Brühl — czy nie za wiele dwóch Sapieżyn na jednego Poniatowskiego? Wszakże wiadomo, że jest w wielkich łaskach u księżnej *województwowej mściławskiej*. Dosyć by było tej jednej!

Plater się roześmiał.

— Przypisują mu nie tylko tę nową zdobycz — rzekł — ale nadzieję, że go cesarzowa na przyszej elekcji pomiędzy kandydatów do korony ma postawić.

— To trochę za wiele! — wybuchając śmiechem zawołał Brühl. — Grzeszycie, mój starosto, zbytnią łatwownością. Komuż na myśl mogło przyjść tak poczwarną nedorzecznosc wymyśleć. Poniatowski stolnik kandydatem do korony!

— *Relata reiero* — odparł Plater — chociaż sam widzę, że to jest plotka niezgrabna. Dla charakterystyki obecnej chwili i ona ma swoje znaczenie. Przywieziono ją z Petersburga — nie narodziła się w Wilnie.

— Mogła przyjść na świat w Wołczynie — rzekł Brühl — bo Czartoryskim wygodniej by było mieć na tronie kreaturę posłuszną swojej roboty niż nawet samym panować.

Zamyślili się dwaj rozmawiający. Wtem, gdy Plater myślał, czym by jeszcze ciekawosc chciwego nowosci Brühla mógł nakarmić, wszedł kapelan Augusta Trzeciego ze zleceniem, aby ministra prosił natychmiast do króla.

Brühlowi znane były dobrze te po kilka razy na dzień wznawiające się, pilne zawsze sprawy, do których był potrzebnym, kończące się najbliższym jakimś pytaniem.

Król bez niego żyć nie mógł, czuł się opuszczonym, a trwożył, a gdy nie miał co z nim omówić, chciał choć patrzeć na niego. I tym razem nic się ważniejszego znaleźć nie spodziewał, chociaż kapelan zapewniał, że listy nadeszły od podstolego koronnego Lubomirskiego, które August Trzeci sam rozpieczętował i czytać je sobie kazał.

Zmarszczył się minister dowiadując o tym, bo się lękał, ażeby samowola królewska nie weszła we zwyczaj, gdy dotąd wszystko przechodziło przez jego ręce.

— Cóż się to stało Najjaśniejszemu Panu — odezwał się do kapelana — iż sam list otworzył. Mógł w nim znaleźć coś niemiłego i zatrważającego, czemu bym ja mógł zapobiec.

— Najjaśniejszy Pan — odparł duchowny — tak jest niecierpliwy, aby mu co wyjazdu do Drezna nie kazało odroczyć.

Brühl nie dosłyszawszy końca ruszył natychmiast do pałacu saskiego. Konie zaprzężone zawsze na zawołanie czekały.

Króla zastał ze zgasłą fajką, krokami ociężałymi przechadzającego się po pokoju. List otwarty leżał na stole. August Trzeci nie mówiąc nic wskazał go rozpaczliwym ruchem rąk Brühlowi, który łapczywie go pochwycił.

Podstoli koronny miał dobra rozległe na granicy Wołoszy; trudno mu się tam upilnować było. Ludzie Lubomirskiego napotkawszy kupców tatarskich złupili ich i ubili kilku z czeladzi. Lament stąd powstał i narzekania nie na Lubomirskiego i jego ludzi, ale na samą Rzeczpospolitą. Chan odgrazając się oznajmił, że jeżeli by zaspokojonym nie był, Ordę ściąga i z nią pójdzie we wnętrznościach Rzeczpospolitej szukać sobie wynagrodzenia krzywd swoich.

Król drżał przerażony. Wojna z Tatarami, zatem dziczą, której okrucieństwa i rozboje były w żywej wszystkich pamięci!

Lubomirski list chana z przekładem przesyłał w oryginale królowi, uniewinniając ludzi swych a zarazem składając skargę drugą Tatarów, że im Czarnocki, majątny szlachcic z Sandomierskiego, który też miał posiadłość na pograniczu, upatrzwszy chwilę sposobną wpadł znienacka i kilkaset koni, na pastwiskach pochwyconych, wprowadził.

Mieli więc Tatarowie aż dwa słuszne powody do wypowiedzenia wojny i grozili zemstą srogą, jeżeli by wynagrodzonymi nie byli. Lubomirski się do winy nie przyznawał i pretensyj tatarskich zaspakając nie myślał, a Czarnocki, choć sprawa głośną była, sianem się chciał z niej wykręcić. Ani z jednego, ni z drugiego na razie nic nie można było wyciągnąć, a Tatarowie krzyczeli, że czekać nie myślą.

Król przewidywał już, że go dla Tatarów zatrzymać mogą w Warszawie.

— Brühl — zawołał król — potrzeba na to rychłego ratunku. Odjechać mi stąd nie dadzą, póki żarłoczności Tatarów nie zaspokoimy. Powiedzą, że się od Tatarów salwuję jadąc do Drezna, a ty wiesz, jak mi tam pilno. Sześć lat nie miałem ani jednego godnego mnie widowiska. Cleofida czeka na mnie!

Brühl stał, wpatrzony w rozwinięty długi list chana i porozrzucane papiery; zdawał się dumać nad środkami obrony.

Król naglił.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się wreszcie — kto się ośmielił papiery te, które tylko za pośrednictwem moim dochodzić powinny Waszej Królewskiej Mości, wprost oddać do rąk Jego? Ja staram się zapobiec, aby Wam trosk próżnych oszczędzić. To spisek na spokój, zdrowie i życie Waszej Królewskiej Mości; ja się naprzód domagam ukarania tej zuchwałości.

August Trzeci zadumał się nieco, ale z wdzięcznością przyjął to oburzenie Brühla.

— Brühl! — wyjęczał — zostawmy to wykroczenie do rozpoznania w przyszłości. Tatarów mamy naprzód do pozbycia się ich!

Minister wiedział bardzo dobrze, iż zarówno Tatarów jak i chrześcijan, gdy się z nimi wojować nie chce lub nie może, pozbywa się pieniędzmi. Żał mu ich było dla smarowania brudnych kozuchów Ordy, ale nie strwożyły go te pogrożki. Chcąc jednak uchodzić za wybawiciela i nową uzyskać u króla wdzięczność, musiał się złączyć z dziczy pogańskiej choć na chwilę.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział z surowym wyrazem twarzy — tak jest, naprzód wszelkie niebezpieczeństwo od Ordy usunąć potrzeba. Pozwólcie mi się tym zająć.

— Wszystko zdaję na ciebie; ty jeden uratować mnie możesz — przerwał August. — Tatarzy muszą już stać na granicy, gdy my nie mieliśmy nawet przeczucia tego, co nas czeka. Tatarzy i kanclerz! Brühl, naprzód proszę cię, niech duchowieństwo nakaże nabożeństwo po kościołach dla odwrócenia od nas tej klęski, a potem...

— Zaczniemy od Boga — odezwał się minister z westchnieniem potężnym. — Miałem też samą myśl, a potem... weźmiemy się energicznie do dzieła.

Król się zająknął zamyślony, wymawiając z trudnością:

— Pospolite! pospolite!

— Ja mam nadzieję, że pospolitego ruszenia potrzebować nie będziemy — przerwał Brühl. — Tatarowie są. więcej na grosz niż na krew łakomi. Któż wie?... może nam się uda...

Zrozumiał August i rzekł żywo:

— Ale mamyż my pieniądze?...

— My je zawsze mamy — odpowiedział minister — ale ma je i skarb koronny, który za grzechy szlachty płacić powinien. Proszę Was, Najjaśniejszy Panie, raczcie być spokojni — zrzucie na moje ramiona ciężar ten. Spodziewam się mu podolać.

Rozrzewniony August Trzeci uściskał ukochanego ministra, który zagarnawszy papiery, natychmiast z nimi do pałacu swojego pośpieszył.

Tu rzucił się na kanapę nie spojrzawszy nawet na nie i spokojnie zajął się nierównie dla niego więcej interesującą korespondencją, która na niego czekała.

Były to listy poufne, z których przynajmniej połowa charakterem zdradzała pochodzenie swe z buduarów i sypialni niewieścich. Lecz nie miały już one dla zestarzałego i przeżytego ministra żadnego uroku i siły pociągającej. Daleko ciekawszymi były tajemnicze notatki, które z różnych stron nadchodziły donosząc o ludziach, o interesach, o intrygach, w które Brühl był mniej więcej wmieszany.

Umiał on ze wszystkiego korzystać i dlatego na wszystkie strony miał oko. Przez niego tylko robiło się to, co od królewskiej zależało woli, a August Trzeci tak był do tego przywykłym, iż nic sam przez się ani przez nikogo bez Brühla dokonać nie śmiał. Jeżeli przypadkiem coś się zrobiło pomijając go, zawsze prawie stawał się potem cud, zrobione trzeba było przerabiać, odrabiać i odwoływać. Brühl się widocznie nie mieszał do tego, przychodziło to samo z siebie.

Niepospolitej potrzeba było zręczności, znajomości charakteru króla i odwagi, ażeby przez lat kilkadziesiąt utrzymać go w tej kurateli, nie dać mu się poruszyć, nic począć, pomyśleć nawet. Brühl dokonywał tej sztuki sposobem bardzo prostym: żywił w Augustie Trzecim wszystkie jego słabostki, pomagał do ich rozwinięcia, do przeistoczenia się w nałogi, pielęgnował namiętności, upodobania, fantazje.

Miłość i poszanowanie pamięci ojca były sprężyną, która pobudzała króla do naśladowania go we wszystkim oprócz miłostek. Teatr, stworzony przez Augusta Drugiego, utrzymał jako dzieło, myślistwo mu ulubione uczynił najgłówniejszą swoją rozrywką, dla siebie zbierał tylko obrazy, które ściągał i drogo opłacał.

Brühl naprzód starał się o to, aby nigdy panu na tych zabawach nie zbywało, zajmował go nimi do tego stopnia, iż potem na nic innego czasu i sił nie stawało.

W spuściznie po ojcu wziął także król upodobanie w lipskim jarmarku, na który wówczas zjeżdżali się dla zabaw książęta niemieccy, całe ich dwory, panie i młodzież. Jarmark lipski, nadzwyczaj ożywiony, był karnawalem weneckim północy. August Trzeci, ile razy mógł, przybywał do Lipska na mięsopust, bawił aż do popielca i cieszył się, gdy tłumny zjazd znajdował. Brühl naturalnie nigdy mu towarzyszyć nie omieszkął.

Sprowadzano aktorów francuskich, a handel też z tego korzystał.

Wszystko to, czego król podczas siedmioletniej wojny był pozbawiony, ciągnęło go teraz do Drezna i Lipska, do lasów hubertsburskich i do galerii, w której królowała Madonna Rafaela i dwa arcydzieła *Corregia*.

W chwili gdy się spodziewał temu najgorętszemu pragnieniu zadosyć uczynić, zagrożonym był przez Tatarów i to przyprowadzało go do rozpaczki niemal.

Ale od czegoż był Brühl, ten Brühl, który wyszedł cało z walki z Fryderykiem i monarchę swojego ocalił!

Przypisywał mu to przynajmniej August Trzeci i wdzięczność jego nie miała granic. Troszczył się tylko o to, jak potrafi nagrodzić ulubieńcowi wszystkie straty, jakie on poniósł, będąc wystawionym na zemstę króla pruskiego, zrabowane pałace, zniszczone zbiory, spustoszone majątności.

Tatarowie przychodzili ministrowi w porę, niemal pożądaną, bo zażegnawszy niebezpieczeństwo od nich zagrażające, mógł zaskarbić sobie nowe prawa do wdzięczności. W istocie zaś pogróżki od Ordy nie były żadną nowością; znano się z nimi i zawsze w jeden sposób radzono sobie: umawiano się o haracz, który im zapłacić miano.

I tym razem nic nie zagrażało nikomu, oprócz skarbu koronnego, który choć wycieńczony, mógł się łatwo zdobyć na kilka lub kilkanaście tysięcy czerwonych złotych.

Brühl też ani spojrzął na listy Lubomirskiego, a zajął się swoimi osobistymi sprawami. Kilka *wakansów* było do rozdania więcej płacącemu. Nie zbywało na ofertach. Szło o to, aby pieniędzy wziąć jak najwięcej, a rozdać dobrodziejstwa tym ludziom, którzy najmniej szkodliwymi lub pożytecznymi być mogli.

Polska teraz po odjeździe króla wystawioną była na teatr zapasów stronnictw, walczących z sobą. Czartoryscy mieli nie tylko cesarzową, ale niepospolite zdolności, powagę, znaczenie ludzi, którzy polityką zajmowali się całe życie.

Brühl nie taił przed sobą, że to stronnictwo, co popierając go stało przeciw niemu, wyposażone było niepospolitym zuchwalstwem i butą.

Przybywająca do Wilna księżna hetmanowa, aczkolwiek śmiała i nie dająca się lada czym ustraszyć, na samym wstępie, zdążając na Antokol przez miasto, mogła już powziąć wyobrażenie o tym, czym będzie sama walka o Trybunał, z przygotowań, jakie zastała dokoła Wilna i w nim samym.

Ulice i domy pełne były ludzi uzbrojonych, gromady pijanych piechot, *hajduków*, kozaków, *pajuków*, dragonów zalegały podwórza, rynki i domy, z których właściciele powyrzucano.

Były to dopiero same dwory możnych panów, którzy w tym dramacie role ważniejsze odgrywać mieli.

Z tych wszystkich wysłańcy królewscy, Krasieński, biskup kamieniecki, i Brzostowski kasztelan, najmniej byli widoczni i pokaźni. Brzostowski chodził niepostrzeżony, działał ostrożnie i po cichu, jedną i drugą stronę strasząc nie tylko niełaską królewską, ale i siłami przeciwników. U Radziwiłła powiedział o pułkach wciągających *in viscera* Rzeczypospolitej, których wprowadzenie kraj miał zrzucić na tych, co zmuszali do ich powołania. U księcia kanclerza wyliczał regimenta Radziwiłłowskie, jego nadworną milicję, a wreszcie pomoc wojsk, które hetman polny dać mu będzie zmuszony.

Nie wiedziano jeszcze zupełnie, czy Sapieha to uczyni, bo księżna jejmość nie cierpiała wojewody wileńskiego, ale Brzostowski znajdował pożytecznym zapewnić, iż to jest postanowionym.

Krasieński czynniejszym był jeszcze, wymowniejszym, zręczniejszym, lecz tak jak król, w którego imieniu tu stawał, nie miał powagi i znaczenia.

Król to był Brühl, a u Brühla wszystko robiły pieniądze. Czartoryscy i Radziwiłł do ufundowania Trybunału po swej myśli przywiązywali największą wagę i gotowi byli ofiar nie szczędzić. U jednych i drugich biskup Krasieński znajdował opór żelazny i niecierpliwość zmierzania się z nieprzyjacielem.

Wyśmiewano się z księcia wojewody wileńskiego, że u niego ciągle pijatyka i wrzawa, że po dziedzińcach strzelano, po ulicach biegano i nie tajono planów wojennych. Czartoryscy stosunkowo cicho siedzieli, ale to nie znaczyło wcale, ażeby mieli dać za wygrane.

Nie było dnia, ażeby przy drzwiach zamkniętych nie radziły obie strony, co poczynać mają. Narady niekiedy trwały do późnej nocy. Nie mogła naturalnie uczestniczyć w nich księżna. Sapieżyna, ale wysyłała Tołoczkę, który towarzyszył hetmanowi i ze wszystkiego zdawał sprawę. Tołoczko był powiernikiem jej myśli, a Sapieha wiedział o tym i musiał się na niego oglądać.

Im termin owego fundowania zbliżał się bardziej, tym gorączka rosła. Stronnictwu Czartoryskich przekładano, że narażać się na niechybną klęskę nie godziło, gdy w układach, do których Krasieński się ofiarował, zyskać mogli dobre warunki. Nie wahał się obiecywać wysłannik królewski.

Wiadomym było, że Radziwiłł brawurując to, że sił wojskowych prowadzić w taki czas nie było mu wolno, ruszył w cztery tysiące milicji nadwornej, pod pozorem ingresu, na województwo wileńskie.

Wjazdy takie uroczyste i z pompą wielką książęta zwykli byli od wieków odbywać, a cały szereg wojewodów, za księciem stojący, stanowił *praecedens* niezaprzeczone. Nie można mu było wzbronić tego, co przedtem było dozwolonym.

Pomiędzy lawirowaniem i stanowczym wystąpieniem zdania były podzielone.

Nazajutrz po przybyciu hetmanowej do Wilna, Tołoczko doniósł ze szczegółami, na czym stało u księcia kanclerza. Zwołana z pośpiechem wielkim rada przyjaciół Familii po kilkogodzinnych, burzliwych rozprawach postanowiła czekać ewentów dalszych, a mianowicie zezwolenia na poparcie wojskami, na które hetman wielki zgodzić się nie chciał.

Czartoryskim uśmiechał się plan nader zuchwały młodego Branickiego, starosty halickiego, który obiecywał całe wojsko Radziwiłła zetrzeć na miazgę. Drudzy widzieli w nim niebezpieczny eksperyment, który nie udać się mógł i nieszczęście sprowadzić.

Branicki, który miał wielką eksperyencję wojskową i służył czasu wojny z Prusami w wojsku austriackim, wnosił, aby nocą zniszczyć most na Wilii, mogący służyć do połączenia rozdzielonych sił księcia wojewody, i na połowę ich uderzyć całą siłą.

Ale potrzeba było do pozoru zaczepki i pewności, że się nie pośliznie noga. Hetman na eksperyment wojsk narażać nie chciał. Zalecano starostę halickiego, z jego służby w wojsku austriackim, na co miał dowcipnie odpowiedzieć nie należący do rodu pan Burba.

— Nie zaleca to pana starosty, że edukacją brał w austriackim wojsku, w którym się tylko nauczyć mógł, jak się biorą plagi.

Rozchwiał się więc ten plan, a biskup Krasieński ciągle na układy nalegał, męczył i miał nadzieję, że one dojdą do skutku.

Książę kanclerz nie życzył sobie układów, które zdaniem jego powagę stronnictwa nadwyręzały ukazując słabość jego. Z klęski nawet można było jakąś korzyść osiągnąć, a przyjmując pakta i o nie się dobijając przyznawano się do niemocy.

Nie śmiano jednak wbrew okazać oporu odpychając układy; książę kanclerz obiecywał sobie prowadzić je tak, coraz nowe robiąc wymagania, aby spełży na niczym.

Biskup Krasieński wieszował już sobie sukcesu, gdy Czartoryscy wiedzieli z góry, iż zerwą w końcu umowę.

Radziwiłł ze zwykłą swą butą żartował z księcia kanclerza i powiadał, że gotów się układać, byle wszystkie jego warunki przyjęto.

— Bo ja, panie kochanku, kroku w tył nie uczynię i nie dam się zbłaźnić.

Najgorzej wychodzili ci, co chcieli wyrozumieć Sapiechę, który sam nie wiedział, gdzie mu stanąć wypadnie, a żona go od wszelkiej decyzji jasnej wstrzymywała. Ciągnięto go do księcia wojewody i dałby się być ująć, ale jejmość na to pozwolić nie mogła. Osobiście się jej naraził książę wojewoda podchmieliwszy sobie, gdy jej grubiańsko przyciął przypominając amory z młodym Brühlem, któremu jak fama głosiła, winien był Sapieha polną buławę.

Drugą też tajemną pobudką do odstrychnięcia się od Radziwiłła było to, iż Sapieżyna zajęta była i rozkochana w stolniku Poniatowskim i pragnęła go odciągnąć od znieawidzonej rywalki, księżnej wojewodzicowej mściławskiej.

Obie one walczyły naówczas o pozyskanie serca siostrzeńca Czartoryskich, o którym głoszone tajemniczo, iż wielka czekała go przyszłość.

Stolnik, który się naówczas w Wilnie znajdował, zachwycał wszystkie kobiety należące do wielkiego świata. Pięknej i nader wdzięcznej twarzy, zalotny jak kobieta, dowcipny, pełen życia, stworzony do królowania w salonach, stolnik miał już za sobą sławę, przywiezioną z Petersburga. Był to, pomimo swej młodości, człowiek uniwersalny, mówiący doskonale kilku językami, któremu żadna nauka nie była obcą, umiejący być poważnym ze starymi, roztrzepanym w towarzystwie młodych, chwytającym wszystkich za serca.

Mówiono żartobliwie, iż mu do perfekcji na jednej rzeczy tylko zbywało — pić nie umiał, a w Polsce naówczas bez kielicha się nic nie odbywało, od niego zaczynało, na nim kończyło. Był on *mediatorem*, *superarbitrem*, najlepszym obrońcą i najskuteczniejszą sprężyną.

Mało go widywano w towarzystwach w Wilnie, gdzie więcej zdawał się szukać ludzi, aby ich poznać, niż aby być poznanym; w niewieścich jednak kółkach obracał się chętnie i te mu były najmilszymi. Brat pani wojewodzicowej mściławskiej służył mu za przewodnika i adiutanta.

Zażywając Tołoczkę do spraw publicznych, szczególnie tam, gdzie na męża rachować nie mogła, hetmanowa zleciła mu też, aby się starał zbliżyć do młodego Branickiego, do stolnika, a nawet do wojewodzicowej, której każdy ruch śledzić była rada.

Posłuszny rotmistrz starał się o zawiązanie stosunków, lecz to mu się nie bardzo wiodło. Naprzód pan Klemens był wychowany na łacinie, a kółko to czysto francuską miało fizjognomię i obyczaje. Wielka zaporą dzieliła te dwie części szlachty i jedna do drugiej wcale nie była podobną.

Łacinnicy przechowywali tradycje narodowe, mieli dla nich poszanowanie, obcych naśladowań nie chcieli i wstręt nawet do nich głosili, gdy „francuzi” rozmiłowani w swym pierwowzorze i suknię starą zrzucali, i wszystkie starodawne zwyczaje zastępowali elegancją nowoczesną. Łacina prowadziła do kościoła — francuszczyzna narzucała ateizm i niewiarę. W modzie było naśmiewać się z duchownych, bluźnić i szydzić z mnichów i pod niebiosa wynosić *Voltaire'a*.

Niewielu panów, na łacinie wykarmionych, zarazem z francuszczyzną się godzili, ale i takich napotkać było można.

Pomiędzy kobietami matrony tylko trzymały się starych tradycji i modliły z *Heroiny chrześcijańskiej*, młode już, zamiast pobożnych ksiąg, *Rousseau* nosiły w kieszeni.

Tołoczko pomimo ogłady, która mu w salonie miejsce zajmować dozwalała, choć po trosze francuszczyznę rozumiał, nie mówił tym językiem, aby śmiesznym nie być, i w głębi duszy brzydził się nim. To mu zawadzało, gdy trzeba było mieć do czynienia z paniami młodymi. Zręcznie się jednak posługując drugimi przynosił hetmanowej wiadomości i z tego mniej mu dostępnego świata.

Pracował tym gorliwiej dla niej, iż trafem napatrzył był właśnie w Wilnie panienkę, o której rękę zamyślił się starać z pomocą swej protektorki. Znaj jej wielką zręczność w tych sprawach, a pewne okoliczności dawały mu nadzieję, iż księżna wielkich trudności w spełnianiu swej obietnicy mieć nie będzie.

W niewielkiej odległości od Wysokiego Litewskiego, w którym hetmanowa najczęściej przemieszkiwała, znajdowała się Kuźnica, majątność pani Koiszewskiej, strażnikowej trockiej, która tu z córką Anielą, jedynaczką, od lat kilku przebywała.

Przedtem Koiszewska nie była tu znaną, z mężem swym rezydując około Wilna. Przybywszy w te strony strażnikowa dała się tu poznać zaraz z tego, iż w osobliwszy sposób we wszystkim sobie radę dawać umiała. Mało potrzebowała porady prawników, gdyż statut i *korektury* na palcach znała. Około gospodarstwa chodziła jak stary ekonom, który na tym zęby zjadł. Z jedną tylko francuszczyzną modną, choć język ten rozumiała, w zgodzie nie była i do nowych obyczajów nawrócić się nie dała. Wszystko w niej było po staremu aż do przesady, wedle tradycji, jak ongi bywało.

Rozumie się, że córkę Anielę chciała wychować wedle swej myśli i upodobania, nie cudzoziemską modą, ale po staropolsku.

Gdy się to działo, strażnikowa zamieszkiwała pod Wilnem, gdzie miała siostrę cioteczną, elegantkę i już na nową wiarę nawróconą. Mając wiele do czynienia z majątkiem i interesami, Koiszewska córkę często oddawała do siostry nie przypuszczając, aby ona tam się nienawistną jej francuszczyzną zarazić miała.

Tymczasem stało się, że panna Aniela całym sercem do elegancji przyłgnęła i nauczywszy się szczebiotać i pisać po francusku, więcej się stała do ciotki niż do matki podobną.

Koiszewska opatrzyła się poniewczasie, odebrała córkę, poczęła ją przerabiać na swoje kopyto, ale panna tym się mocniej przywiązała do tego, co jej wydało

się lepszym i piękniejszym. Panienska była nie nadzwyczajnej, rażącej piękności, ale wcale nieszpeta, a bujne włosy i duże oczy szczególnie ją odznaczały.

Lukta się poczęła pomiędzy matką a córką, zrazu bez wypowiedzenia, potem jawna. Panna Aniela nie śmiała przeciwko rodzonej matce występować, ale płakała, męczyła się, a przerobić nie umiała. Chciała z niej strażnikowa zrobić gosposię dobrą, a jej śnił się wielki świat i towarzystwo takie, jakie u ciotki widywała.

Ponieważ wpływ ciotki, w sąsiedztwie mieszkającej, zawsze się na pannie Anieli czuć dawał, aby utrudnić stosunki, przeniosła się Koiszewska do Kuźnicy, ale trafiła z deszczu pod rynnę. Znalazła tu hetmanowe, która towarzystwo młodych, wesołych dziewcząt lubiła, a tu wszystko było na francuskim sosie.

Zrobiwszy naprzód znajomość z księżną, Koiszewska potem tak prawie jak odsunęła się od niej, aby jej córki nie bałamuciła.

Powszechnie się użalano nad losem panny Anieli, pod ciężkim jarzmem despotycznej matki cierpiącej, ale Koiszewska twarda była. Nie dawała sobie imponować nikomu, robiła, co chciała, wedle przekonania.

Od zupełnego zerwania z Wysokiem, które by było nastąpiło niechybnie, broniło to, że Koiszewska pobożną będąc z córką do parafialnego kościoła w Wysokiem jeździć musiała. Tu się spotykała z księżną, która przez litość nad panną a trochę też, aby na swym postawić, narzucała się Koiszewskiej.

Matka i córka obie z sobą były nieszczęśliwe, ale ani jedna, ani druga zmienić się nie mogła. Strażnikowa została kobietą starego *autoramentu*, a panna Aniela innego świata dziecięciem.

Jedyną nadzieją matki było, że ją potrafi wydać za szlachcica takiego, o jakim dla niej marzyła, który by ją uczynił szczęśliwą i od płochego towarzystwa oderwał.

Wiadomym było, że panna miała gotówką pod poduszką dwanaście tysięcy złotych, a oprócz tego i wioskę, chociaż ją różne obciążały zapisy i *kondykta*. Dwanaście tysięcy nie było do pogardzenia, panna też świeża, młoda, lubiąca elegancję, umiejąca szczebiotać i mogąca się podobać. Na starających się zbywać nie było powinno, ale strażnikowej Koiszewskiej każdy się obawiał. Powiadano, że męża w ryzie trzymała, wiedziano, że z córką też obchodziła się despotycznie, nie ważył się nikt do jej ręki.

W domu strażnikowej osób bywało mało, ona też nie lubiła wizyt i często wyjeżdżała. Tyle tylko, że pannę w niedzielę i święta widywano przybywającą z matką do kościoła i modlącą się ze smutnym twarzą wyrazem. Ubolewano nad jej losem.

Tołoczko, który jakoś rzadko kiedy niedzielę u hetmana przesiadywał, jeżdżąc zwykle do domu i gospodarstwa, panny Anieli nie widział prawie i nie znał wcale. Uderzyła go postawa i twarzyczka, serce mu zabiło.

Po mszy, gdy wychodzili, zaraz w progu zapytał rezydenta hetmana, Śniegurskiego, kto by była?

— A cóż to pan rotmistrz naszej panny strażnikówniej nie zna? — zapytał chorąży.

— Jeżeli się nie mylę, po raz pierwszy ją widzę — rzekł Tołoczko. — Panna wcale niczego, a nosi taki smutek w oczach, że mi jej czegoś żal.

— Ale bo w istocie doła jej nie do zazdrości — mówił chorąży. — Koiszewska, strażnikowa trocka, szacowna i zacna matrona, ale, panie, kozak w spódnicy, trudno z nią żyć. Toteż słyszę, córka tam krzyż pański z nią znosi.

— Dlaczego? — badał Tołoczko.

— Bo wychowywała się czy przebywała często u ciotki w domu eleganckim, wedle nowej mody, i to do niej przyłgnęło, a Koiszewska tego obyczaju i *parle franse* cierpieć nie może. Stąd pono między matką a córką nieporozumienie. Koiszewska, przeniósłszy się v/ te strony, przyjechała z *submisją* i do hetmanowej, a jak tu powąchała francuszczyzny, tak jej już ani złapać, ani wciągnąć; dziewczyna się w tej Kuźnicy samotnie męczy. Panna ma gotowego posagu dwanaście tysięcy, a po najdłuższym życiu dużo więcej mieć będzie, no i przystojna, i w głowie, słyszę, dobrze, a nikt się do niej nie przysunie. Córkę wziąć to nic, ale z nią matkę razem, dopiero orzech do zgryzienia!

Tołoczko słuchał, ale ani słowem się nie odezwał, żeby nie dać poznać po sobie, co mu już po głowie chodziło.

— Gdyby za mnie wyjść chciała, ja bym się sekutnicy strażnikowej nie zląkł.

Przyszła potem jakoś właśnie rozmowa o ożenku, z hetmanową, która się go wyswatać obiecywała. Tołoczko to sobie przypomniał. Tegoż dnia w rozmowie, gdy do Wilna go wyprawiała księżna Magdalena, śmiejąc się wtrącił.

— Niechże księżna jejmość zawczasu mi *remunercję* przyobiecana gotuje, bo ja się o nią upomnę, dalibóg.

Hetmanowa, która już była zapomniała, o co szło, zapytała.

— Cóżem ja obiecała?

— A ożenić mnie — rzekł Tołoczko.

— Prawda! prawda! przypominam to sobie — odparła — ale jestem słowna! Co się obiecało, święte. Tylko mi usłuż na tym Trybunale, żebym była dobrze o wszystkim uwiadomiona. Wiesz, że mój poczciwy hetman negliżuje się i lekceważy wiele; ja za niego i dla siebie muszę być pilną, a na was *rachuję jak na Zawiszę*.

— Jeżeli tylko, jak na pana wojewodę mińskiego... — przerwał Tołoczko żartobliwie.

— A nie łapże mnie za słowo — dodała piękna hetmanowa — a myśl, jakbyś swojego dotrzymał. Co się tyczy mnie, bądź spokojny.

Tołoczce, który sobie węzełek zawiązał na strażnikównie Koiszewskiej, nie wyszła już ona z pamięci; miał ją ciągle przed oczyma i przybywszy do Wilna medytował tylko, jakby na nią zasłużyć.

Tymczasem, jakby naumyślnie, u księży bernardynów na mszy będąc zobaczył ją tu znowu, gdyż matka dla interesu w Trybunale przybyła i ją z sobą przywiozła.

Tegoż dnia wiedział rotmistrz, gdzie strażnikowa stała, i szukał już, kto by go przedstawił.

Koiszewska domyśliła się łatwo, co go tu sprowadzało, ale nie dała tego znać po sobie, przyjęła go dobrze, wybadła, wypytała, wyciągnęła, co się dało, i poczęła zaraz zbierać po znajomych wiadomości o Tołoczce. Ale mało kto go znał i niewiele mogła się dowiedzieć.

Rotmistrz już nie spuszczał ich z oka.

Koiszewska przybywając na ten Trybunał, o którym jeszcze nie wiadomo było ani czy się ufunduje, ani czyj będzie, miała dwie sprawy na celu. Naprzód proces zadawniony i trzeci już raz mający się sędzić *de noviter repertis* z Flemingiem, a w rzeczy pozbycie się córki i wydanie za takiego, który by jej nie dał przerobić się na francuską elegantkę, bo tych strażnikowa nienawidziła. Sama czuła, że nie podoła z nią, nie mogła bowiem pilnować jej ciągle; mąż poważny, uczciwy, łagodny a energiczny razem mógł jeden ją ocalić, w skromnym domowym życiu uczynić szczęśliwą.

Koiszewska poznała już charakter Anieli dostatecznie, aby wiedzieć, jak sobie z nią ma począć. Siłą na niej nic wymóc nie było można, trzeba było kunsztu zażyć i dać jej męża, który by ją na dobrej drodze utrzymał. Strażnikowa o sfrancuziałym towarzystwie mówiła otwarcie.

— Bardzo ono ładnie i elegancko wygląda, ale płóche jest i na zgubę duszy godzi. Wolę, żeby córka moja nie tak pańsko i pięknie wyglądała, a Boga miała w sercu i tak żyła jak jej prababki.

Rozpatrywała się więc zajmując niby procesem. Tołoczko, gdy o nim zasięgnęła wiadomości, nie podobał się jej głównie z tego, że hetmanowej służył. Szukała więc innego.

Nastręczył się w Wilnie znajomość z nią robiąc krewny daleki, młody Bujwid, starościc pogorzelski. Przybył on do Wilna w imieniu ojca, aby atentować przy procesie, który miał z Preciszewskimi.

Chłop był piękny, po staremu w bojaźni Bożej wychowany, a mówiło to za nim u strażnikowej, że ani słowa po francusku nie umiał. Wychował go starosta starym obyczajem na *Alwarze* i łacinie, kierując na prawnika i gospodarza. Prawnika z niego chciał mieć dla dogodności swej, bo nieustannie się pieniał i niezliczone miał sprawy, gospodarzem zaś musiał być, bo mieli na Żmudzi za Kownem dobra znaczne. Zrobił z niego, czego sobie życzył, bo Alojzy Bujwid między młodzieżą szlachecką prym trzymał. Konia dosiąść, do celu strzelić, w szable się wyrąbać, orację zaimprovizować, na łowach tydzień w lesie leżeć w najgorszy czas przychodziło mu łatwo. Nie opuszczał też nabożeństwa i w kościele basem śpiewał, że wszystkich głuszył. Nosił się po polsku zawieszisto, suto, jaskrawo i z pewną elegancją.

Ale w salonie z niego nie było pociechy; stał jak trusia, jękał się i nie wiedział, co z rękami zrobić. Przejmując staropolskie cnoty, przejął też i przywary, bo jakkolwiek młody, pił choćby półgamcowe kielichy spełniając duszkiem i przy stole dotrzymywał najstarszym pałkom.

O wszystkim tym Koiszewska była zawiadomioną, ale to ją nie zniechęcało i nie odstręczało; za wszystko płaciło, że francuszczyzny nie umiał i *na fircyka* w peruce przerobić się nie dał.

Pannie Bujwid się podobał, póki go nie poznała bliżej, bo był powierzchowności przyjemnej, a wyglądał jak lew; kobiety zaś miękkich i słodkich mężczyzn nie lubią. Lecz w kilka dni odkrył się cały i Aniela patrząc na niego nie chciała; wydał się jej dzikim, nieokrzesanym gburem. A że mówiąc przeciągał jak po trosze wszyscy Litwini, przeważała go (bo po litewsku umiała nieco) *żemajtys kokutis* (kogut żmujdzki). Wydawał się jej śmiesznym ze swą brawurą, krzykliwością i manierami wiejskimi.

Matka się unosiła nad nim, panna patrzyć nie mogła.

O Tołoczce, który się jej wydał za stary, i wiedziała, że wdowcem był, ani pomyślała, żeby się o nią mógł starać.

W mieście przez ten czas, poprzedzający ingres księcia wojewody i fundowanie Trybunału, stan był taki, że o *assamblach*, zabawach, wieczorach ani pomyśleć nie było można. Szczęk oręża głuszył muzykę, umysły były podrażnione, ludzie zajęci ważniejszymi sprawami i kobiety, które się wybrały na Trybunał do stolicy, bardzo źle na tym wyszły. Życie było nie do zniesienia. Z rana kilka godzin zajmowało nabożeństwo, ale potem, wyjąwszy, że się która z pań, mających ekwipaże, pojechała przypatrzeć obozom albo do sklepów za sprawunkami, nie było co robić.

Odwiedzały się wzajem, narzekając, zjeżdżały na kawę i podwieczorki, a mężczyźni latali odwiedzając swe znajome i plotki roznosząc.

Miejsca publicznego, gdzieby się towarzystwo liczniejsze zebrać mogło, nie było.

A że panie podzielały sentymenta mężów i braci, więc choćby się zbliżyły do siebie, wzajem by chyba przymówkami ostrymi się zabawiały.

W znaczniejszych domach, jak u Radziwiłła, Sapiehy, Lubomirskich, Massalskich, Pocijów, Ogińskich, Prozorów, domy stały wieczorami otworem; zabiegał tam, kto chciał, a każdemu radzi byli, bo coś z sobą przynosił, prawdę czy fałsz.

Takich pośredników, którzy przenosząc się z miejsca na miejsce do intryg posługiwali bezwiednie albo dobrowolnie, dosyć było. Do nich też śmiało i pana

Klemensa Tołoczkę można było zaliczyć, bo choć stary i poważniejszy, tak obchodził domy i dostawał języka jak inni.

Bujwid też szczególnie około Radziwiłłów i Massalskich się kręcił.

U pani strażnikowej, która domu nie miała wielkiego, nie zbierało się gromadnie jej towarzystwo, ale wieczorem zawsze ktoś był i jejmość się nie nudziła.

Panna Aniela, której w tej atmosferze starych po większej części ludzi lub prostaczków duszno było, siedziała w kątku milcząca. Do towarzystwa miała tylko pannę Antoninę Szklarską, którą jej dobrała matka.

Szklarska, dosyć majątna, ale bardzo niepiękna, była już starą panną. Sierota, nie mając bliskich krewnych, najczęściej przebywała u przyjaciół, nie będąc nikomu ciężarem, bo lubiła być czynną, językiem władała po mistrzowsku i humor miała doskonały. Łączyły ją ze strażnikową jednokie pojęcia, nienawiść do francuszczyzny, miłość starego obyczaju.

Ubierała się Szklarska ze staroświecka, dziwacznie, chodziła w niemodnych już kontusikach, a rogówki i robronu nie kładła nigdy.

Osobliwe to było zjawisko, lecz że ją dla dobrego serca szanować musiano i znano z uczynków dobrych, wybaczano jej wiele, co by drugim nie uszło.

Szklarska dochodziła do czterdziestki i sama mówiła o sobie, że chyba już za mąż nie pójdzie. Ospowata, piegowata, z oczkami małymi, z szerokimi i tłustymi wargami, drobnym noskiem zadartym a brodą szeroką i wystającą, brzydka bardzo, mimo to miała coś w wyrazie twarzy, w uśmiechu, co ją czyniło znośną. Gdyby się nie nosiła cudacznie, nie opinała kokardami żółtymi i czerwonymi, wiele by na tym zyskała.

Gdy jej kobiety doradzały coś tyczącego się stroju, odpowiadała:

— Ja bo ubieram się dla siebie, nie dla ludzi; dajcie mi pokój, mnie się to podoba i kwita.

Rozumie się, że Szklarska trzymała z Radziwiłłami.

— Czartoryscy i Flemingi do nas nanoszą niemczyzny. Niemczyzna a francuszczyzna to wszystko jedno!... To zaraza!

Tołoczkę, jako nie umiejącego po francusku, Szklarska lubiła, a w Bujwidzie się kochała prawie.

Wtajemniczoną będąc we wszystkie projekta strażnikowej, Anielę pozyskać chciała dla Bujwida.

Panna do niej wstręt miała, bo się jej wydawała śmieszna; lecz wśród tych nudów uroczystych, jakie ją otaczały, była przynajmniej zabawną i to jej pannę Anielę jednało. Ale pomocą wielką matce być nie mogła, bo rzeczywistego wpływu na chwilę mieć nie mogła. Gdy stawała w obronie starego obyczaju, strażnikowa nie spierając się, zamykała w milczeniu.

Tymczasem rozwiązanie przeciągało się. Tołoczko, mając w tym swą rachubę po trosze, a starając się przy-mnożyć gości hetmanowej, która lubiła, ażeby się około niej zwijano i dworowano, chciał strażnikową namówić, aby odwiedziła sąsiadkę hetmanową.

— A dajże mi pan rotmistrz święty pokój. Co ja tam będę robiła? Wszystkie te lalki woskowe paplą po francusku, a ja tego języka nie umiem i znać nie chcę. Będę siedziała jak malowana.

— Przecież tam się znajdzie siła po polsku mówiących — mówił Tołoczko.

— Beze mnie się chyba obejdzie — odparła strażnikowa. — Nie chcę, aby mi się Aniela do tego towarzystwa przyzwyczajała.

— Wiem, że pani hetmanowa rada by była strażnikowej, dla której respekt ma wielki.

Koiszewska ruszyła ramionami.

— Mnie mój krupnik z półgęska lepiej smakuje niż jej pulpety.

Na tym się skończyła pierwsza próba.

Spotkały się potem we drzwiach kościoła i hetmanowa pozdrowiła strażnikową imieniem sąsiadki, zapraszając ją do siebie. Podziękowała Koiszewska grzecznie, ale zimno, coś niewyraźnego precedziwszy przez zęby.

Wysłane później przez dworzanina formalne zaproszenie nie pomogło też. Strażnikowa się wymówiła chorobą.

— Wiem, o co babie chodzi — rzekła do Szklarskiej. — Wiedzą, że Aniela posag będzie miała, i pewnie jakiegoś swojego klienta rada by jej zaswatać. Stara sztuka, ale ja się na nich znam i córką moją nie dam rozporządzać nikomu.

Zabiegom niezmordowanym księdza biskupa kamienickiego udało się nareszcie Radziwiłłowskich przyjaciół, a przez nich samego księcia skłonić do porozumienia z Czartoryskimi. Z obu stron pozwolono na tę próbę zaręczając, że ona nie zda się na nic.

Chociaż przez *deferencją* dla króla próbować gotowi. Nikt się niczym wiązać nie chciał, tak aby każdego czasu pod najbliższym pozorem mógł zerwać umowę i odstąpić.

Mógł się jeżdżąc po wszystkich biskup Krasieński przekonać teraz, że ci, co byli razem i trzymali się kupą, niekoniecznie byli z sobą tak związani, jak się zdawało. W wielu rzeczach hetmana wielkiego litewskiego, Massalskiego, trudno było zrozumieć, a ciotecznego brata księcia wojewody Radziwiłła, hetmana polnego Sapiechę, na oko stojącego przy Radziwille, także posądzono, iż go żona studzi.

Księżę kanclerz obiecywał posłać od siebie dla porozumienia się kogoś, ale śmiał się i ruszał ramionami.

— Niech pogadają — mówił — cóż to szkodzi, *próba frei*, księżu biskupie!

Przyszło do wyboru miejsca, gdzieby się na neutralnym gruncie mieli znaleźć pełnomocnicy z obu stron. Wydało się ks. Krasieńskiemu właściwym zaprosić do kardynalii Radziwiłłowskiej.

Gmach to był rozległy, w samym centrum miasta, około kościoła św. Jana położony. W nim o salę do obrad i osobne pokoje dla ubocznych traktowań na stronie nie było trudno.

Nikt się nie spierał;znaczono dzień i godzinę, a choć to po cichu i *privatim* się miało odbywać, nie omieszkał księżę wojewoda nakazać, aby dwór jego i czeladzie wystąpiły odświętnie.

Sam zaś, nie chcąc wcale osobiście mieć udziału w układach, zapewnił sobie tylko kątek taki przy sali wielkiej na dole, aby mógł słyszeć wszystko i rozeznąć głosy.

Radzili mu przyjaciele, aby lepiej ciekawość swą poskromił i czekał na osobności rezultatu, bo się obawiali, aby czymś podrażniony nie wyrwał się z ukrycia i wszystkiego nie zepsuł swą niecierpliwością.

— Ale cóż bo, panie kochanku — odezwał się — rozumiecie, że ja taki jestem gorączka? Mnie to ani ziębi, ani grzeje, wiem z góry, że z tego nic nie będzie.

Umocowani od Czartoryskich mieli tedy przybyć na godzinę trzecią i na przyjęcie ich wszystko było w gotowości takiej, ażeby nic nie zdradzało, że się tu miało coś niezwykłego odbywać. Chodzili więc ludzie, zaciągały warty, przyjeżdżali goście, wchodzili i wychodzili mnodzy Radziwiłłowscy klienci.

Biskup Krasieński i Brzostowski kasztelan oczekiwali już od godziny, a na twarzy biskupa łatwo poznać było, iż otrzymanemu rezultatowi swych starań rad był niezmiernie i sobie przypisywał tak szczęśliwie zapowiadającą się ugodę.

Księżę też na swym miejscu drzemał, osłoniony parawanem, który maskował drzwi otwarte. Przy nim stał do posyłek wyznaczony młody Orzeszko, dworzanin na służbie dnia tego.

Uderzyła godzina trzecia.

W ulicy ruch był i taki ścisk przed kardynalią, że przybywający, których się spodziewano lada chwilę, w tłumie rozpoznani być nie mogli. Domyślano się też, że jawnie się pokazywać nie zechcą.

Czekano tedy niecierpliwie. Na wieży też uderzył pierwszy kwadrans. Radziwiłł kazał nieco uchylić parawanu.

— Nie ma nikogo!

Nie było nikogo. Wszedł Nietyksza podkomorzy, który miał interes prywatny do wojewody, a o zjeździe wcale nie wiedział. Musiano go schować za parawan, aby przybywających nie spłoszył.

Rdułtowski wniósł, aby dla odwilżenia ust pośredników kazać przynieść wina. Księżę coś zamruczał tylko.

Biskup kamieniecki, żywego wielce temperamentu, czerwieniąc się i blednąc, ciągle na zegarek spozierał, a zęby mu się ścinały z gniewu, który w sobie tłumiał.

Najmniejszy ruch, szelest zwracał oczy wszystkich na drzwi, które stały dotąd nieporuszone. Książę baraszkował z Nietykszą.

Następny kwadrans wydał się wiekiem. Brzostowski, na pozór spokojny, siedział u okna i patrzył w ulicę z obojętnością doskonale udaną. Krasieńskiemu, gdyby nawet chciał, nie powiodłoby się udawanie takiego chłodu. Nie taił się z temperamentem, a że do prowadzenia tych układów wiele czasu i trudu poświęcił, podanie w wątpliwość skuteczności starań jego wprawiało go w niewysłowione rozdrażnienie i gniew prawie.

Zdawało mu się, że miejsce za zgodą wspólną oznaczone zostało i że przybycie nie powinno było ulegać kwestii. Spojrzał na towarzysza, który obojętnie bawił się sznurkiem od firanki. Zbliżył się do kasztelana.

— Pół do czwartej! — szepnął.

— Pół do czwartej — potwierdził Brzostowski. — *Le quart d'heurie de grace* minął i *un quart d'heure de disgrace*.

— Cóż dalej będzie?

— Juści, *de bonne ou mauvaise grace*, w końcu przybędą — rzekł kasztelan.

— I ja tak sądzę — dodał biskup.

Zahuczało coś w ulicy, spojrzeli oba. Ogromny furgon Radziwiłłowski, czterema bachmatami zaprzężony, wyładowany wysoko, wciągał właśnie do kardynalii.

Zza parawanu słycać było gruby głos księcia wojewody, śmiechem przerywany.

Biskup Krasieński, który w miejscu ustać nie mógł, pośpieszył do księcia wojewody. Badał go oczyma; na twarzy rumianej księcia nie było najmniejszej oznaki wzburzenia lub niecierpliwości.

— Taki dzień do polowania stracić między czterema ścianami na stołku, w izbie, to grzech! — zamruczał książę. — W. panie księżę biskupie, nie umiesz tego ocenić, bo jesteś myślącym a nie myśliwym, ale ja...

Drzwi się otworzyły w pokoju pierwszym. Krasieński pośpieszył zobaczyć, kto nadchodzi. Dworzanie księcia wnosili butelki i kielichy i ustawiali je na wielkim

stole. Zresztą nie było nikogo. Z ulicy dochodził ten sam rumor, złożony z przeróżnych głosów i szmerów, skrzywienie kół, klaskanie z batów, rżenie koni, szczekanie psów, otwierania drzwi niesmarowanych, tarcia o bruk nierówny kół ciężkich. Z dala dochodził cienki głosik jakiegoś dzwonka, który kwilił jak ptaszek w szumiącym lesie.

W progu ukazał się hajduk ogromny, który głową niemal sięgał *uszaka* górnego. Była na nim znana barwa Czartoryskich. Obejrzał się powoli po sali i zobaczywszy biskupa, którego w życiu nie widział, ale miał opisanego, zbliżył się do niego z pokłonem kartkę trzymając w ręku.

Żywo wyrwał mu ją Krasieński i czytał, czytał i odczytywał. Ramionami zżymał w gniewie.

— Zaczekacie na odpowiedź. Hajduk wyszedł pokłoniwszy się.

Biskup stał już za parawanem.

— Bardzo księcia przepraszam — zawołał — nie winienem. Umówiliśmy się o kardynałę, a odbieram list od Morochońskiego, sekretarza Fleminga, że oczekują nas u niego.

— U Fleminga? — zapytał wojewoda.

Nastąpiło milczenie.

— Jedźcie do Fleminga — rzekł książę.

— Z kim?

— Sami, panie kochanku.

— Na cóż się to zda?

— Ano, na nic — rzekł książę — i na nic by się nie zdało zebranie u mnie, ale jam zawsze rad gościom.

Biskup stał w płomieniach.

— Mości książę, mówmy serio, kogo książę wyznacza od siebie.

— Nikogo, nikogo, księżę biskupie — rzekł wojewoda. — Chcą się układać, niech przyślą układaczy, ja się układać nie myślę.

— Ależ książe przystał na to! — zawołał zrozpaczony biskup.

— Przystąpiłem słuchać, panie kochanku, będę słuchał cierpliwie.

Uśmiechał się mówiąc to książe. Krasieński stracił cierpliwość.

— Zaklinam pana wojewodę, zapobieźmy daremnemu krwi przelewaniu, niech książe wyznaczy, jak przyrzekł.

— Ale z moich nikt nie pojedzie do nich i ja nie mogę szukać układów, bo ich nie potrzebuję; zgadzam się tylko na to, że propozycji słuchać będę.

Zza księcia dały się słyszeć głosy.

Jedni żwawo brali stronę Radziwiłła, a drudzy Krasieńskiego.

Książe milczał krążąc wzrokiem dokoła.

— Jeżeli koniecznie potrzeba — rzekł — czynić ustępstwo, pošlę im Szyłę i Drużbackiego.

— Ale bogdajby ich, byle mieli umocowanie księcia — zawołał biskup.

Byli to dwaj nieznaczący dworzanie księcia wojewody, którzy zwykle jeździli przy jego powozie.

Uderzał kwadrans na piątą.

Znużony i zrozpaczony biskup począł ręce łamiąc nalegać na księcia, który milczał głowę spuściwszy.

Wszyscy dokoła zabierali głos i nikogo już słyszeć nie było można. Brzostowski wstał od okna i zdawał się wybierać odjechać z niczym.

— Nie widzę innego środka — wyrwał się Krasieński — tylko sam chyba stanę do księcia kanclerza. Jadę do niego po...

Książe Hieronim ruszył się, jakby on także chciał uczynić krok jaki, ale wejście wojewody go wstrzymało.

Radziwiłł z obojętną dumą nie patrzył już na biskupa. Układy nie zdawały się go obchodzić. Wszystko już groziło zerwaniem, gdy od Fleminga nadeszła nowa karteczka.

Ze strony księcia nalegali jego przyjaciele, wojewoda znudzony począł mięknać.

— Jedźże, mój księże biskupie — rzekł — i powiedz, że ja im ustępuję pierwszego kroku, niech powiedzą, czego chcą, czym ich mogę zaspokoić. Ja od nikogo nic nie potrzebuję, bo mam za sobą *legalitatem*, a oni warcholą. Jak kapryśnym dzieciom, aby nie krzyczały, ustąpić im potrzeba. Jedź, księże biskupie.

Krasiński nie dał sobie mówić dwa razy, skinął na kasztelana i ruszył do karety w chwili, gdy książę wina podać kazał i miała się solenna rozpocząć pijatyka, o której wyrokować nie było można, czy się skończy dziś, jutro lub za trzy dni, gdy wszyscy będą leżeć bezprzytomni.

Nie było dwu dworów mniej do siebie podobnych nad księcia kanclerza i księcia wojewody. Radziwiłł reprezentował stary obyczaj, stare państwo, lepsze czasy, Czartoryski był wcieleniem myśli Konarskiego, na pół *kosmopolitą*, *propagatorem* reform, zwolennikiem oświaty i duchowego związku z zachodnią Europą.

Na oko nawet wszystko się różniło na tych dwu dworach, choć Czartoryski całkiem swojego polskiego na europejski sposób przerobić nie mógł. Widać tu było jeszcze kozaków nadwornych, *bojarów*, dworzan po polsku ubranych, ale obok nich peruki, francuskie fraki, szpady, stroje przeważały i szły przodem. Język też francuski był tu niemal tak używanym jak polski. Cudzoziemców kręciło się wielu.

U Radziwiłła można się było sądzić gdzieś na wschodzie, u księcia kanclerza — przypominał się Paryż. W kardynalii napijano się ciągle, strzelano, wyprawiano huczki: około Czartoryskich cicho było, ludzie chodzili karni i posłuszni.

Sam książę kanclerz miał postawę i rysy twarzy wielce arystokratyczne, a wychowanie i życie uczyniło go typem magnata czującego swą siłę i dumnego nią. Radziwiłł się ubiegał za popularnością, Czartoryski ją sobie lekceważył. Podchmieliwszy sobie Panie Kochanku czasem pana brata widział w szlachcicu, choć gdy mu się on sprzeciwił, bił go na kobiercu. Książę Czartoryski szlachtą ubogą i ciemną posługiwał się, ale się z niej wyśmiewał.

Fleming zachował typ swój niemiecki nienaruszonym i był po prostu śmiesznym, ale czuł także siłę, jaką miał, i dumny był a opryskliwy.

Biskup Krasiński zastał ich obu razem, w towarzystwie pułkownika Puczkowa, sprowadzonego na to, aby był naocznym świadkiem wypadków i zdał sprawę imperatorowej. Pułkownik, średnich lat mężczyzna, miał powierzchowność dosyć przyjemną i więcej przypominał salonowego dworaka niż żołnierza.

Gdy biskup w progu się ukazał, Puczków czując, że zawadzać może, pożegnał księdza kanclerza.

Po wyjściu jego Krasiński łamiąc ręce zawołał.

— Mości książe, nie rozumiem, co się stało! Miałem przyrzeczenie, że ktoś będzie przysłany do układów, czekaliśmy.

— Ja czekałem także — odparł książe szorstko. — Pierwszemu mnie zabiegać i prosić o pacyfikację nie przystało. Czekam, co mi książe wojewoda zaproponuje.

— A on oczekuje, jakie książe postawisz warunki pokoju — rzekł biskup.

Fleming i kanclerz spojrzeli na siebie.

— Przybywam się dowiedzieć w imieniu wojewody.

Czartoryski się przeszedł po pokoju, milczał.

— Idzie o zapobieżenie przelewania krwi braterskiej, o uniknięcie wojny domowej.

— Wszystko to słyszeliśmy — odparł kanclerz.

— Pierwsza rzecz — począł spiesznie Fleming po francusku — rozpuścić to wojsko, którym grozi.

Kanclerz dał znak ruchem ręki, aby mówić poprzestał; nastąpiło milczenie.

Służący wszedł z biletem na tacy, który Czartoryski czytać zaraz zaczął zapominając o biskupie.

Brzostowski tymczasem odciągnąwszy Fleminga na bok żywo mu coś kładł w ucho. Zawołano pisarza z kancelarii i książe jakiś interes obcy ekspediował

pozostawiając biskupa w oczekiwaniu. Krasieński potrzebował całej swej siły moralnej, aby się pohamować i nie wybuchnąć. Wtem kanclerz siadł i zwrócił się do niego.

— Niech to będzie dowodem powolności z mej strony, że ulegam namowom waszym i gotów jestem z księciem wojewodą traktować. Zbierzmy się gdzie w miejscu neutralnym, tylko nie u wojewody.

Krasieński, który miał obszerny lokal, chociaż w klasztorze, zapraszał do siebie.

Zgodzono się na to.

— Im mniej mamy radzić, aby to poszło łatwo — rzekł biskup — tym bym życzył rozpocząć wcześniej.

Zaczęto roztrząsać możliwość godziny dziesiątej. Dla księcia była ona za wczesną. Zgodzono się na jedenastą.

— Tymczasem ja moje warunki pacyfikacji czarno na białym spisać każę — wtrącił kanclerz — aby potem nie obgadywano mnie, że niemożliwych rzeczy pragnął.

Straciwszy tu czas na słuchaniu uskarżeń się, wyrzutów, szyderstw ze stronnictw króla, przycinków do Brühla itp. biskup zmęczony siadł do karety.

Kasztelan Brzostowski stał we drzwiach książęcych.

— Ja nie widzę potrzeby towarzyszenia księdzu biskupowi — odezwał się. — Zrobiliśmy, co się dało zrobić, idzie o to, abyś Wasza pasterska mość raczył o tym zawiadomić wojewodę. Ja zbytecznym byłbym jako pośrednik, a jako świadek nie jestem potrzebny.

Nie nalegał Krasieński; znużony, zasunął się w głąb powozu i konie ruszyły.

Wieczór już był późny bardzo, ale miasto nie myślało o spoczynku. Nie było w nim prawie okna ciemnego; powozy, konni, piesi przesuwali się popod domami. W niektórych kamienicach na dole szynki, w których głębi widać było ścisk tłuszczy i słycać krzyki, brzmiały muzyką dziką.

Przez okna, tu i owdzie nie pozamykane okiennicami, na jasnym tle szyb wiły się ciemne cienie postaci dziwacznych.

Biskup roztargnionym wzrokiem spoglądał na ten obraz, mieniący się coraz, podobny do snu gorączkowego. Niecierpliwy był już stanąć w kardynalii i dzień ten utrapiony zakończyć wezwaniem do upragnionych traktatów.

Kardynalię z daleka można było rozpoznać. Otaczały ją kupy ludzi, stojące na ulicy dokoła i przypatrujące się wyjeżdżającym i wjeżdżającym.

Mówiono w tych tłumach, że ksiązę miał wyjeżdżać sześciu niedźwiedziami na miasto, inni utrzymywali, że wyjedzie nago, na srebrnej beczce, jako *Bachus* itp. Najniedorzeczniejsze plotki trzymały ciekawych, przysłuchujących się tu wrzawie dochodzącej ze wnętrza.

Nie było wątpliwości, że u wojewody ucztowano, a tam się rzadko biesiada kończyła bez jakiegoś wybuchu.

Kareta księdza Krasińskiego z wielką trudnością mogła się zbliżyć do bramy, potem dopiero za pomocą czeladzi wojewody, która niemiłosiernie rozpędzała ciekawych, wtoczyła się w oświecone wrota i ogromne sienie, tak pełne ludu jak ulica.

Tu wesołość panowała jak zwykle po chmielu, a z beczek piwnych czerpano jeszcze.

Biskup Krasiński wszedł do tej samej sali, w której rano oczekiwano konferencji, ale tu nikogo nie było. Na krzesłach w kącie spało kilku dworzan, już doprowadzonych do tego, że dłużej na nogach się utrzymać nie mogli.

Przez drzwi otwarte widać było cały szereg pokojów, mniej więcej pełnych gości, a w końcu rzęsto oświecone stoły, przy których wojewoda przyjmował. Tu na przemiany panowało milczenie, po którym następowały wybuchy śmiechów i krzyku.

Biskup wstrzymał się zamyślony, czy mu wypadało w sprawie ważnej przystąpić do tak mało przygotowanych do niej ludzi, ale miał nadzieję, że kogokolwiek znajdzie trzeźwym i będzie mu mógł zdać to, z czym przychodzi. Czasu nie miał do stracenia. Zbliżył się więc do książęcego stołu, gęsto obsadzonego towarzystwem, które w kielichy potrącało i wypróżniało je ochoczo. Szło o to, aby napatrzeć kogoś, z kim by rozmówić się było można.

Rozmyślał jeszcze, gdy uczył, że go ktoś pochwycił za rękę. Był to młody Rzewuski, na którego twarzy wesołej, ale nie okazującej skutków upojenia, malowało się szyderstwo i lekceważenie tego towarzystwa, w które był wmieszany.

— A, księżę biskupie — zawołał — przybywacie za późno; myśmy wszyscy już *pod hełmem*, a do nas się teraz dostroić trudno.

— Ale ja przychodzę w ważnej sprawie — przerwał biskup — chciałbym ją tylko zdać komu; pomóżcie mi, proszę.

— Wiem! wiem! — odparł Rzewuski — ale nie widzę, kogo bym mógł nastroczyć, wszyscy, nawet Narbutt...

Podniósł się na palcach szukając oczyma. Krasieński stał niemal zrozpaczony. Wtem księżę wojewoda, który mały kieliszek trzymał w rękach naprzeciw światła i lubował się bursztynową barwą zawartego w nim wina, trafem rozeznał naprzeciw siebie stojącego biskupa i żywo się poruszył.

Baczni na każde jego poruszenie przyboczni powstali z krzesel pytając spokojnie, co rozkazuje.

— Nic, dajcie mi pokój; muszę iść. Rozstępowano się szeroko, a Radziwiłł raźniej i pośpieszniej, niż się po długim zasiedzeniu można było spodziewać, przysunął się do biskupa, który szedł na jego spotkanie. Ujął go pod rękę.

Tuż był przyciemniony gabinet, który oświecała tylko jedna alabastrowa lampa. Nie było w nim nikogo oprócz Morawskiego koniuszego, który drzemał.

— A cóż, panie kochanku? co? — zaczął księżę. — Czego oni chcą? Szybki z okna czy kafelka z pieca?

— Jeszcze nie wiemy — rzekł biskup — ale nareszcie mamy obietnice, że jutro swe żądania do mnie przyniosą, gdzie księżę będzie łaskaw posłać kogo od siebie, aby mógł się ułożyć.

— Tak to łatwo — zamruczał księżę i zadumał się chwilę. — Różne to są *konsyderacje*. Trybunału w ich ręce dać nie mogę. *Maioritas* przy mnie musi być, ale niemiłych im ludzi gotówem *sakryfikować*. Rosjan bym sobie na kark nierad sprowadzać, a Puczków mi siano i owies może wszystek wyjeść. Bić się też, gdyby z Sasami, z Niemcami, to tam jeszcze pół biedy, ale ze swymi! Koniec końców, coś się im ustąpi, ale sza! sza!

Księżę przyłożył palec do ust.

— W jakimże oni usposobieniu?

Skrzywił się biskup.

— Książę kanclerz twardy — rzekł.

— Im słabszy będzie, tym stwardnieje mocniej — wtrącił wojewoda.

— Kogo książę pośle? — spytał Krasieński.

Wojewoda utopił wzrok w podłogę, jakby na niej kogoś szukał.

— Na węzłki chyba pociągnę — rzekł — sam nie wiem. Zobaczę.

Krasieński nie nalegał już; po kilkakroć powtórzył godzinę i miejsce oznaczone w klasztorze.

— Cóż myślicie? będzie co z tego? — spytał książę.

— To zależy od was, mości książę. Jeżeli jest dobra wola utrzymania pokoju.

Nie było na to odpowiedzi; Radziwiłł westchnął, kazał sobie i biskupowi przynieść po kieliszku starego wina, otarł pot z czoła i usiadłszy na kanapie, pomrukując coś usnął.

Krasieński, który ciągle go miał za zamyślonego mocno i gotującego odpowiedź — osłupiał. Posądzał go o udawanie, lecz była to prawda jak najszczerza; książę chrapał i opadłszy na poręcz siedzenia spoczywał po trudach dziennych.

Nie pozostało biskupowi jak oddalić się po cichu, bo rychłego przebudzenia nie było się co spodziewać.

Wyszedł mocno znękany tym niepowodzeniem. W progu spotkał go młody Rzewuski.

— Nie mogę ani snu księcia przerywać — rzekł do niego — ani czekać, aż się przebudzi. Godzina późna. Będziecie łaskawi jutro przypomnieć wojewodzie moją z nim rozmowę i proście, aby mi dotrzymał słowa, jeżeli o wszystkim nie zapomni.

— O to się nie macie co obawiać — rzekł Rzewuski — jeżeli chce pamiętać, będzie, ani mu przypominać trzeba.

Krasiński się już miał oddalić, gdy ciekawi, którzy na niego czatowali, zbliżyli się biorąc między siebie. Szło wszystkim o dowiedzenie się, jaki nareszcie będzie koniec tych wojennych przygotowań. Nikt pono nie życzył sobie katastrofy i wojny domowej.

Biskup o tyle mógł ich uspokoić, że w nikim zbytniej nie widział do boju porywczosci.

— Książę nasz — odezwał się Narbutt — na krew bratnią też nie nastaje, ale czci Radziwiłłowskiej broni i całą ją konserwować musi. Nie trzeba go do ostateczności doprowadzać. Gotują przeciwko niemu imponujące manifesty, w których go gwałtownikiem szermującym prawami czynią. Chodzą już z rąk do rąk te skryptury, o których, daj Boże, aby się nie dowiedział, boby je piszący za atrament krwią płacić musieli.

— Nic o nich nie wiem — odparł biskup.

Rdułtowski obejrzał się dokoła powoli i ostrożnie wysunął zwitek papieru z kieszeni. Skupiono się wokoło niego, cisza nastąpiła. Rzewuski pobiegł się upewnić, że wojewoda śpi.

Rdułtowski trzymał arkusz cały zapisany gęsto, na który zewsząd oczy się zbiegały, przeczytał z niego kilka ustępów, tyczących się więcej miecznika niż wojewody, jakoby *kontempt* praw wszelkich swoim postępowaniem dowodzącego, gdzie go *Katyliną* i nieposłusznym majestatowi króla i Rzeczypospolitej czyniono. Wstrzymał się jednak wkrótce widząc oburzenie przyjaciół wojewody i obawiając się, aby mu manifestu nie wyrwano z rąk, schował go głęboko za żupan na przodzie.

Stali niektórzy z ichmościów prawie powytrzeźwiani wrażeniem, jakie na nich ułamki manifestu uczyniły. Odgrazano się pragnąc imię autora dośledzić, a Rdułtowski dodał:

— Gdyby do wiadomości księcia to doszło, nie skłoniłoby go to pewnie do ustępstwa, ale do zemsty pobudziło.

— Zatkanby mu gębą tym papierem — zawołał Wojniłowicz — ażby się własną niepoczciwością udusił.

Wykrzykiwać zaczęto tak, że nareszcie i wojewodzie sen przerwano. Wstał przecierając oczy i dopytując o przyczynę tej *wocyferacji*, ale mu jej nie powiedziano składając hałas na doskonałe wino, które tak szumieć zwykło, gdy się do dobrych głów dostanie.

Byłaby może biesiada skończyła się tym snem, gdyby wojewoda czując się po krótkim spoczynku orzeźwionym nie zażądał *de noviter repertis* z innej beczki począć libację.

Posłano z rozkazem, aby nowe gąsiorki na stół przyniesiono, do których inni zażądali przekąski, tak że służba na nowo nakrywać i **podkurek** zastawiać musiała. Lekka ta przekąska, oprócz wędlin, wódek, pierników, słodyczy, dla poważniejszych żołądków musiała fundamentalnych dostarczyć półmisków, pieczeni cielęcych i baranich, zrazów i bigosu, który z wielkim aplauzem powitano.

Księżciu on przypomniał łowy i śniadanie w lesie, stąd zaraz rozmowa się zawiązała o ostatnim niedźwiedziu, postrzeżonym w *Nalibokach*, który psiaczowi skórę z czaszki zdrapał, ale zdrowy chłop wygoił się; tyle tylko, że grubszej czapki używać musiał. Posypały się anegdoty myśliwskie, które na czas jakiś o kanclerzu, o Czartoryskich, o wszelkich utrapieniach zapomnieć dozwalały.

Nic dziwnego, że przy bigosie i nowych kieliszkach, na podkurku czas tak zszedł niepostrzeżony, iż po klasztorach na jutrznię dzwoniło, gdy książę poszedł do łóżka.

Z gości znaczniejsza część do domów się nie rozjeżdżając w kardynalii mieściła się, jak mogła. W sali narzucono siana i słomy, po pokojach kanapki i krzesła zużytkowane zostały.

Młody Rzewuski, który na siebie wziął księżciu wojewodzie przypomnieć, iż biskup posłów od niego oczekiwać będzie na jedenastą, zasnął też snem młodych i sprawiedliwych.

Nikt nie śmiał z rana budzić znużonych i godzina dziesiąta biła, a wojewoda nie wstał jeszcze i Rzewuski się dopiero przebudził.

Przypomniał on sobie natychmiast przyrzeczenie swoje, ale spełnić go nie mógł. Książę spał, a gdy począł wołać na służbę, było już blisko jedenastej.

Następowały zwykle ranne **ablucje** i pierwsze śniadanie, modlitwy, potem raporta pilne i Rzewuski nie dostał się do wojewody aż po czasie.

— Mówił mi wczoraj ksiądz biskup Krasieński — rzekł po przywitaniu — iż mu książę kogoś wysłać przyrzekł na jedenastą godzinę.

— Hm! — odezwał się książę — w istocie tak jest, ale do jedenastej daleko.

— Nie przyjdzie wcześniej jak za godzin jednaście — rozśmiał się Rzewuski.

Książę podniósł oczy na zegar.

— Zaspaliśmy — rzekł spokojnie — nie ma w tym nic złego, że na siebie czekać damy.

— Jedźże, asindziej, sam do niego i tłumacz się, jak chcesz, a żądaj, aby Czartoryscy swoje *desiderata* przysłali na piśmie. Więcej tam do czynienia nie ma nic.

Hetmanowa rada. była, że mężowi towarzyszyła do Wilna, bo jej zawsze życie miejskie lepiej smakowało niż Wysokie Litewskie, które pustynią nazywała. Tym razem jednak wiele ją tu rzeczy niecierpliwiło i przyprowadzało do złego humoru. Naówczas mąż pokutować musiał.

Zawczasu już roztrząsano kwestię nadzwyczajnej wagi: czy hetman polny miał wedle prawa i zwyczaju. dać żołnierzom do utrzymywania warty przy Trybunale? Hetman wielki albo *mniejsza buława* była do tego obowiązana.

Massalski otwarcie oświadczył z góry, że gdyby do ufundowania Trybunału przyjąć miało, co się zdawało więcej niż wątpliwym, on straży nie postawi.

Wiedział o tym Panie Kochanku, ale rachował na ciotecznego brata, hetmana polnego Sapiehę, iż ten mu jej odmówić nie może.

Pomimo tak bliskich stosunków rodzinnych nie widywali się teraz często. Sapieha, pod kierunkiem żony będący, unikał wojewody, a Radziwiłł dla hetmanowej, której nie lubił, nie śpieszył do brata.

Jednakże o tę straż dla Trybunału zawczasu trzeba było się upewnić.

Posłał dla wyrozumienia Wojniłowicza.

Hetman Sapieha za miękkiego człowieka uchodził i giętkością umysłu się nie odznaczał, ale gdy mu potrzeba było się wykręcić, miał szczęśliwe instynkta. Wojniłowicza, gdy o straży wspomniał, wyrozumiawszy, iż dla niej przychodził, zagadał zaraz jego własnymi interesami, o których wiedział, że one

go obchodziły gorąco. Poczęli więc rozmowę i straż trybunalska została na boku, bo później więcej osób nadeszło.

Książę nic się nie dowiedział, ale tegoż dnia Sapieha do żony przyszedł, jak był zwykł, poufnie chcąc się naradzić.

Hetmanowa miała sposoby różne rządzenia mężem. Pierwszy był, iż mu *insynuowała* to, czego sobie życzyła, tak iż sądził, że czynił wedle własnego natchnienia to, co ona mu podyktowała. Często nawet dla niepoznaki udawała, że jest przeciwnego zdania i że się poddaje posłusznie woli męża.

Ale gdy nie miała czasu, a niecierpliwiła się, pilno jej było, wówczas wprost wstępny bojem brała męża i dysponowała, jak ma postąpić.

W razie oporu i scysji napadały ją *wapory*, mdłości, serdeczny śmiech, a wówczas wojewoda hetman na klęczkach, całując nóżki przeproszał i rozkazom czynił zadosyć.

Nad położeniem męża w tej sprawie Radziwiłłowskiej hetmanowa medytowała długo.

Hetman był związany pokrewieństwem z wojewodą i nierad był go sobie narazić, ale z drugiej strony ściśle stosunki łączyły go z rozmaitymi osobami przeciwnego obozu. Nie wypadało mu więc ani dla jednej, ani dla drugiej strony okazać się powolnym; musiał zostać neutralnym a winę składać na ludzi i okoliczności, które go zmuszały powstrzymać się od czynnego udziału w tym sporze.

Może za skłonnością swą idąc byłby popierał Radziwiłła, ale wiedział, że żona nie pozwoli na to. Należało się z nią rozmówić poufnie w tym przedmiocie. Wojewodzina też upewnić się pragnęła, że mąż jej nie da się skłonić do wyraźnego poparcia wojewody.

Gdy hetman wszedł do pokoju żony, która odpoczywała jeszcze okryta *pudermantlem*, zastał ją chmurną i smutną. Pocałował ją w czoło, w rękę i usiadł przy niej zapytując o zdrowie.

— Nie podobna być zdrową — odparła hetmanowa. — Lubię życie, ruch, wesołość, nie cierpię nudów i milczenia, mam ich dosyć w Wysokiem; ale tu znowu wrzawa, prawdziwe piekło. Po ulicach strzelają, biją się, ścigają i coraz o jakiejś nowej dowiadujemy się awanturze.

Hetman odparł:

— A potrzebaż ci było, duszko moja, do Wilna się wybierać! Mówiłem i przestrzegałem, że tu spoczynku ci nie dadzą.

— Obawiałam się samego cię puścić — dodała piękna pani patrząc w zwierciadło. — Masz nadto dobre serce, ludzie z tobą robią, co chcą, a ty potem za cudze błędy pokutować musisz.

Sapieha słuchał znajomych już sobie z dawna wyrzutów tych.

— Nie jestem tak dobroduszny i powolny, jak sądzisz — odparł hetman — a tu właśnie *casus* taki, że potrzeba energii. Radziwiłł wiele wymaga, a nie wszystko po jego woli pójść może.

— O cóż to chodzi? — zapytała księżna.

— O bardzo wiele rzeczy — mówił hetman. — Wiesz, jak bliskie nas łączy pokrewieństwo; chce tedy, abym ja z nim szedł, gdziekolwiek on pójść zamarzy.

— Spodziewam się, iż sam widzisz, jakim to jest niepodobieństwem — przerwała hetmanowa. — Księżę Karol, dzięki ludziom, co mu bębenka podbijają, głowę sobie zalewa, szaleje, unosi się, naraża całemu światu; ale on zawsze sobie da radę w końcu, ma czym sypnąć i usta zamknąć, a ci, co mu pomagają, padają ofiarą.

— Słowo w słowo to samo mówiłem wczoraj — rzekł Sapieha. — Zdaje się, że Trybunał mimo Czartoryskich będzie ufundowany, choćby przyszło do rozlewu krwi, ale zamiast krwi — poleje się atrament. Wiadoma rzecz, że Trybunałowi należy się warta honorowa, którą hetmanowie dostarczyć powinni. Hetman Massalski wprost oświadcza, że jej nie da. Cóż tedy? Obróć się do mnie, abym ja ją przysłał. Nie mam żadnego powodu, dlaczegobym jej miał odmówić.

Hetmanowej usta się ścięły mimowolnie, z gniewu wyprostowała się dumnie.

— Jak to! myślisz mu wartę postawić?

— Przepraszam cię, myślę, jak nie postawić, ale dajże mi na to sposób — odparł Sapieha.

Księżna wsparła się na łokciu i dumiała.

— Narażę sobie Radziwiłła, to nieunikniona, ale się później da przejednać, o to mniejsza; rzecz główna, dlaczego ja mam mu tego odmówić, co się każdemu Trybunałowi należy? Dlaczego?

Zadawszy to pytanie, na które w istocie odpowiedź była trudna, hetman wstał i poszedł drażnić ulubioną żony papugę, którą zawsze przyprawdzał do złości.

Księżna zadzwoniła i kazała nakryć klatkę. Nie odpowiadała nic.

— Jesteś pewny, że Trybunał stanie? — zapytała męża.

— Tak się zdaje nie mnie tylko, ale wszystkim — mówił Sapieha. — Primo, Czartoryscy sił do postawienia przeciwko wojewodzie nie mają, zresztą sami nie chcą na żadną zgodę i pojednanie przystać, rezerwując sobie przyszłość.

— Krasieński ma nadzieję ich pojednać.

— Nie zna ani Radziwiłła, ani Czartoryskich.

— Sądysz więc?

— Trybunał stanie — zaśmiał się hetman — i warta będzie potrzebna. Poślą do Massalskiego, który naturalnie odmówi. Przyjdzie kolej na mnie. Dlaczego bym ja miał nie dać warty honorowej, nie wiem.

— Rzecz bardzo prosta — żywo poczęła wojewodzina — nie dasz dlatego, że hetman wielki jej nie dał... Zasłonisz się wprost jego przykładem. Honor ten nie należy ci, nie chcesz go uzurpować ani sobie przywilejów nienależnych przywłaszczając.

— Hm — rzekł zadumany Sapieha — słaby to argument.

— Owszem, najmocniejszy!

— A co gorzej — dodał Sapieha — że wnosząc z tego potem, można by sądzić, iż hetman polny podległy jest hetmanowi wielkiemu i od niego zależy. Spostponują moją buławę.

— To w istocie na konsyderację zasługuje — odpowiedziała hetmanowa — a bądź co bądź, ja nie jestem za tym, ażebyś mu dawał wartę i okazał się też sługą Radziwiłłów. Buława na tym nie zyszcze, a ty stracisz. Winienes okazać się niezależnym od nich. Radziwiłł ma więcej pieniędzy, ale Sapieha taki dobry jak on.

— To nie ulega wątpliwości — potwierdził księżę prostując się i dumniejąc.

— Argumentów znajdzie się na obronę dosyć — dodała księżna — ale z góry to sobie powiedz, iż warty dać nie możesz.

— Tak, ja to widzę, iż nie mogę — szepnął Sapieha — ale potrzebuję czegoś, na czym bym się oparł. Zerwać z Radziwiłłem groźna rzecz; naprzód wiesz, że on na wszystko gotów, nawet i do szabli, gdy sobie podpije, a teraz pije jak nigdy. Po wtóre, z Radziwiłłem się podrapać to nic; ale on — to połowa Litwy. Kto nie z nim, ten jest przeciw niemu, na każdym kroku grozić coś będzie.

— Pytam się, co zyskałeś na jego pokrewieństwie i przyjaźni? — zawołała księżna. — Ani nawet *antalka* wina!

Pomilczała chwilę księżna dając się wysapać mężowi; chodził i on zadumany głęboko.

— Czekajmy, jaki obrót wezmą sprawy — odezwała się głos niższy. — Ja ci nic nie chcę narzucać i dyktować; postąpisz, jak ci własne przekonanie doradzi, ale nie trzeba się z deklaracją żadną śpieszyć a księcia unikać, ażeby się nie związać lada półsłowem.

Widać było, że powolności tej małżonka hetmanowa była bardzo rada; spodziewała się, poczynszy tak zręcznie, poprowadzić sprawę warty do pożądanego końca. Nie potrzebowała nawet gwałtownie występować przeciwko panu wojewodzie, co zawsze potem na Sapieżę przykre zostawiało wrażenie. Znał go bardzo dobrze i wszystkie jego przywary, ale zarazem kochał i nierad był z nim zrywać.

Wyprosiwszy męża, gdyż nadchodził czas ubierania się i godzina, w której przyjmowała wizyty, księżna pośpieszyła z toaletą i zaledwie wdziała rogówkę, posłała po Tołoczkę, któremu nowe chciała dać instrukcje i dowiedzieć się czegoś od niego. Co najmniej dwa razy na dzień rotmistrz musiał się stawić do niej, a pilno spełniał swą służbę, bo mu panna Aniela co dzień więcej przypadała do smaku i na interwencji protektorki największe pokładał nadzieje.

Tołoczko już był w mieście i pozbierał plotki.

— Jak stoją układy z Czartoryskimi? — spytała go niecierpliwie.

— Wczoraj nie doszły do skutku — odparł Tołoczko — a księżę pił potem do rana ze swymi. Dziś Czartoryscy podadzą swe żądania.

— Nie wiesz jakie? — ciągnęła dalej.

— Wiem tylko, iż niepomierne będą wymagające — rzekł Tołoczko. — Ponieważ na księcia hałas jest wielki, że siłą i gwałtem wszystko chce poczynać, więc Radziwiłł coś może ustąpi, aby dać dowód królowi, iż mu był posłusznym i zgody życzył, ale wszystkich warunków nie przyjmie.

Zbliżyła się do rotmistrza.

— Pamiętajcie wpajać przy każdej zrzeczności hetmanowi, że warty do Trybunału dać nie powinien. Pomyśleliby ludzie, że jest sługą księcia wojewody. Nie chce dać Massalski, nie powinien dawać Sapieha!

Tołoczko się skłonił.

— Wczoraj przyjeżdżał tu Wojniłowicz, zdaje się dla wietrzenia, chcąc wyrozumieć hetmana, ale pono mowy o tym nawet nie było. Księżę jest ostrożny!

Rozśmiała się żona i poruszyła ramionami.

— A! gdyby nad nim nie czuwano — rzekła — co chwila by nam figle płatał. Dobry jest i łagodny do zbytku, a tego nieznośnego wojewodę weneruje, choć on sobie drwi z niego.

— Mój rotmistrzu — dokończyła śpiesząc się hetmanowa — biegnij, proszę, abyśmy wiedzieli, jak stoją układy.

Tołoczko nisko się skłonił i zniknął.

Przyczyna, dla której pani hetmanowa tak się na pokoje śpieszyła, była, iż się pożądanego bardzo gościa spodziewała. Płocha i zalotna a od dzieciństwa nawykła zabawiać się jedną co najmniej miłośką, hetmanowa nie miała serca, nie kochała męża, nikogo z tych, którym zawracała głowy, ale sama głową i fantazją roznamiętniała się czasami. Naówczas potrzeba było cudu, ażeby się nie naraziła na złe języki, na zazdrość męża, na potwarze i tysiączne nieprzyjemności.

Wszystko to gotowa była znieść, byle postawić na swoim i tego, kogo zamierzała mieć u stóp swoich, zmusić do zdania się na łaskę. Serce w tym

najmniej miało udziału, ale miłość własna nabawiała ją szalem niemal, gdy spotykała trudności.

Płochy te miłości, które zwykle nie trwały długo, nie wyprowadzały jej nigdy z tego świata arystokratycznego, w którym żyła. Ci ulubieńcy, którymi się chlubiła, należeli wszyscy do największych rodzin, do najwytworniejszego świata, do młodych gwiazd dworu i stolicy. Byli to zwykle ulubieńcy mody, którymi zajmowali się wszyscy, o których serca dobijały się wszystkie piękne panie. Pokonanie trudności, odebranie rywalce grało tu także wielką rolę.

Do tych najświetniejszych zjawisk owego czasu należał głośny już z miłostek wysoko sięgających siostrzeniec Czartoryskich, stolnik litewski, Poniatowski.

Wracał on właśnie z Petersburga i znajdował się w Wilnie. Oczy wszystkich kobiet zwracały się ku niemu.

Piękny, miły, dowcipny, Francuz wychowaniem, słynął już sukcesami w sercach niewieścich począwszy od Paryża do północnej stolicy. Wróżono mu wielką i świetną przyszłość.

Opiekowała się nim oprócz wujów przywiązana wielce do niego ciotka, *hetmanowa Branicka* — i co tylko z kanclerzem i Czartoryskimi było w stosunkach.

Sapieżynie dość było go spotkać parę razy, aby rozmiłować się wielkim płomieniem w ślicznym młodzieńcu, i zaprzysiąc, że go zdobyć musi. Szło jej o to tym bardziej, że fama głosiła, jakoby się już kochał w wojewodzicowej mściławskiej Sapieżynie, siostrze młodego starosty Branickiego.

Z panią wojewodzicową hetmanowa była w stosunkach najnieprzyjaźniejszych, nienawidziła jej, nie cierpiała. Wyrwać jej stolnika litewskiego było teraz najgłówniejszym zadaniem, dla którego gotową była wszystko poświęcić. Ku temu celowi zmierzało, co tylko czyniła.

Stolnik, dawniejszą mając znajomość z wojewodzicową, dotąd jeszcze zdawał się bardziej ku niej skłaniać, ale hetmanowa już umiała go podrażnić, przyciągnąć, zająć tak, iż zaczynał jej szukać i gonić za nią.

Wojewodzicowa pięknnością nie mogła się mierzyć z rywalką, ale temperamentem, śmiałością, namiętnością ją przechodziła. Na przeszkodzie hetmanowej było to, iż w kołach, w których się stolnik obracał, ona była na pół obcą. Ale kobiety niezbyt się pilnowały polityki mężów i rodziny i nie gardziły hołdami z nieprzyjacielskiego pochodzącymi obozu.

Dla spotkania się ze stolnikiem hetmanowa oddała kilka wizyt, nie zważając na to, iż je fałszywie tłumaczyć było można.

I teraz też spodziewała się u siebie osób, z którymi Sapieha unikał stosunków. Głosiła salon swój neutralnym, z którego wszelkie intrygi były wygnane, a wesołość i zabawa w nim królować miały.

Stolnik już raz przechodził się tu nieznacznie, a zastał takie przyjęcie, iż sama wdzięczność do powrotu go zmuszała. Oczekiwano go z niecierpliwością na Antokolu.

Tymczasem zajeżdżały powozy jedne po drugich, a ani młody Branicki, starosta halicki, ani on się nie pokazali. Wieczorem zaś przyjmowała u siebie wojewodzicowa — i tam, tam stolnik niechybnie się musiał znajdować.

Hetmanowa, zapomnieniem dotknięta do żywego, myślała teraz, czy pojedzie na wieczór do znenawidzonej rywalki. Wzdrygała się na tę myśl, ale nigdzie prędzej i pewniej stolnika napotkać nie mogła, gdy tak bardzo widzieć go i mówić z nim potrzebowała. Z poddaniem się losowi swemu, postanowiła przewyciężyć się, jechać, a potem pomścić okrutnie. Stolnika się wyrzec było dla niej tym, czym wyrzec się życia. Nim teraz żyła tylko!...

Panie, co ją tego ranka odwiedzały, mogły poznać po twarzy, wejrzeniu, głosie, że coś ją do najwyższego stopnia wzburzyło, lecz tyle mieć mogła powodów niepokojenia się! Nikt nie odgadł tajemnicy.

Dla stolnika Poniatowskiego, który całą swą młodość niemal spędził z cudzoziemcami, za granicą, we Francji, Anglii, Dreźnie i Petersburgu, kraj własny był ciekawą i nową kartą.. Słyszał o nim wiele, widział go bardzo mało.

Burzliwe to fundowanie Trybunału było dla niego pierwszym praktycznym studium obyczajów i ludzi. Z niezmierną ciekawością jechał do Wilna, a że się tu spodziewano i lękano nawet walki i przelewu krwi, pani hetmanowa Branicka łapała wszystkich z Litwy do Białegostoku przybywających, dowiadując się, czy ukochanemu siostrzeńcowi się co nie stało.

Stolnik, jakkolwiek mocno zajęty tym dramatem, zdaje się nie miał najmniejszej ochoty grać w nim czynnej roli. Francuz strojem, szablą nie władał i w zajścia kontuszowe wdawać się nie myślał. Ale z młodzieńczą ciekawością patrzył na ten świat, znany sobie tylko z opisów i tego, co się czasem pokazywało w Wołczynie.

Nie dziw teraz, iż w dniu, w którym wszyscy podglądali i nasłuchiwali, co się dzieje i *transpiruje* od księdza biskupa Krasieńskiego, on ze starostą halickim objeżdżał piękne panie i domy, w których spodziewali się młodych twarzyczek.

Po drodze stolnik napomknął o Antokolu, ale starosta miał od siostry instrukcje:

— Wieź go, gdzie zechcesz, tylko nie do hetmanowej. Ta niepocziwa zalotnica poprzysięgła mi go odebrać.

Pomiędzy siostrą a bratem związek był jak najczulszy, jak najściślejszy. Wojewodzicowa ratowała go, gdy się zgrał w karty, on służył jej za posła do tych, z którymi potrzebowała, a nie mogła się zbliżyć. Rozkaz jej był dla starosty ważniejszym nad wszelkie inne względy.

— Na Antokol! — podchwycił. — Zmiłuj się, wszak to za światem, a hetmanowa już dziś, po tylu przebytych przygodach, nie może być tak ponętną, aby dla niej odbywać podróz. Uwolń mnie i siebie od Antokolu.

— Nie mogę, kochany starosto — odparł stolnik — winienem hetmanowi odwiedziny, które mi dziś wuj przypomniał; nie do niej jadę, ale do niego.

— Nie zastaniemy go — odparł Branicki.

— To właśnie pobudka, ażeby jechać teraz i wpisać mu się tylko, nie narażając na nudną z nim rozmowę.

Zamyślił się Branicki.

— Więc u hetmanowej nie będziemy? — zapytał.

— Zapiszemy się u niej i u niego — powtórzył Poniatowski. — Zdaje się, że nas nie zje! — dodał śmiejąc się.

Godzina wizyty była spóźniona i dlatego hetmanowa przestała już spodziewać się upragnionego gościa, gdy powóz się przed ganek zatoczył.

Hetmana nie było w domu, ale usłużny kamerdyner oświadczył głośno, iż księżna pani jest w domu i przyjmuje. Branicki skrzywił się, pewien, że go spotka ostra od siostry wymówka, lecz nie było sposobu zapobieżenia. Weszli do salonu...

Potrzeba było widzieć uszczęśliwioną hetmanowę, która wybiegła na spotkanie stolnika zaledwie spojrzawszy na starostę, pochwyciła Poniatowskiego i porzucając Branickiego samego uniosła zdobycz z sobą do gabinetu.

Zły i kwaśny ciągnął za nimi Branicki.

— Cóż to za szczęście — szczebiotała pałac go oczyma księżna — iż pan stolnik raczyłeś nas sobie przypomnieć. Doprawdy! nie wiem, jak mu dziękować... i gdzie ten dzień zapisać.

— Ja wiem, że go na wdzięcznym sercu zapiszę — odparł Poniatowski. — Jestem tak nieświadomy obyczaju, godzin, iż nie śmiałem pochlebić sobie, abym miał szczęście zastać panią hetmanowę. Sprzeczałem się o to ze starostą.

— Który utrzymywał, że mnie nie ma, nieprawdaż? — śmiejąc się złośliwie, zawołała księżna. — Ale co innego u pani wojewodzicowej, która jest przesycona towarzystwem i może sobie pozwolić nie przyjmować, gdy ją kto odwiedzić raczy. Ja jestem tak spragniona ludzi żyjąc na pustyni...

— Pustyni! — podchwycił starosta. — Ale sąsiedztwo mają państwo liczne i bardzo dystyngowane!

Na tę uwagę hetmanowa nie odpowiedziała, zalotnym uśmiechem wabiąc Poniatowskiego, któremu żywo coś szeptać zaczęła.

Stolnik się też zapomniał. Oboje wdawszy się w cichą, poufną rozmowę, oddalili się od niego i pozostawili go w pustym salonie na pokucie.

Musiał więc starosta przypatrywać się ogromnemu portretowi *Lwa Sapiehy* w karmazynowej *delii* stojącego u stołu, na którym leżał przywilej z przywiesistą pieczęcią.

Mało go to bawić musiało, gdyż odchrząkiwał ciągle, dając znać o sobie, nie mogąc jednak odwrócić uwagi towarzysza ani pięknej hetmanowej. Ulitowała się w końcu nad nim księżna i zwróciła ku niemu.

— Przebaczysz mi, panie starosto — rzekła — że sobie przywłaszczam gościa, którego widuję tak rzadko, a wy go macie codziennie. Mieliśmy ważną sprawę, bo ja się, wyznaję otwarcie, mieszam do polityki i intryguję okrutnie.

Branicki nie mógł się powstrzymać od złośliwego żartu, którym chciał za lekceważenie zapłacić.

— Za kimże i dla kogo pani hetmanowa może intrygować — zawołał — bo pan hetman, spodziewam się, starczy sobie sam, a Brühla nie ma w Wilnie.

Zarumieniła się od gniewu hetmanowa.

— Odgadłeś pan — odparła dumnie — mam w istocie polecenie ministra, aby poruszyć do zgody, i intryguję z całych sił za nią.

— A ja jestem za wojną — rzekł Branicki — to moje powołanie żołnierskie, a wszystkim nam tu tak się sprzykrzyło wojować słowami, że radzi byśmy, aby raz szable rozstrzygały.

— Wracaj pan do Austrii — zawołała księżna — gdzie pierwsze zbierałeś laury.

Stolnik widząc, że obrót rozmowy mógł być niebezpieczny, pośpieszył wmieszać się do niej.

— Ja z panią hetmanową głosuję za pokojem i gotówem wpisać się do jej pomocników.

Księżna usiłowała powstrzymać swych gości, lecz starosta dobył zegarka i nielitościwie przypominał znowu godzinę.

— Moja siostra czeka na nas — rzekł wiedząc, iż tym wspomnieniem dokuczy księżnie, bo był we wszystko wtajemniczony.

— Nie śmiem zatrzymywać panów — odparła hetmanowa — tym bardziej że ich jeszcze dziś spodziewam się widzieć; wybieram się wieczorem do księżnej wojewodzicowej, za którą mi tęskno; tak dawno jej nie widziałam...

Wyplaciwszy się tak staroście hetmanowa pożegnała gości, a stolnik ucałowawszy białą jej rączkę rozmarzony siadł do powozu z Branickim.

— Zestarzała bardzo! — odezwał się starosta szydersko, odjeżdżając od ganku. — Nic dziwnego, prowadzi życie bardzo pracowite. Hetmani za męża, mówią, że zastępuje w Warszawie młodego Brühla, w Wysokiem gospodaruje, w Wilnie zasiada w Trybunale, sejmikuje w *Wołkowysku* i *Slonimie*...

Stolnik się uśmiechnął słuchając.

— Ja znajduję, że wygląda na wdowę bardzo młodo — odezwał się. — Praca ją widać nie męczy, bo szczęśliwie jest obdarzoną.

— Nie chwal jej tylko przed moją siostrą, bo choć obiedwie Sapieżyne, zdaje mi się, że nie bardzo się kochają.

Stolnik i sam się tego domyślać musiał.

Zwrócili rozmowę i drogę, gdyż Poniatowski zamiast odwiedzić wojewodzicową, zażądał wrócić do księcia kanclerza, a starosta musiał się zgodzić na to. Sam jednak nie wstąpił do niego i wysadziwszy tu stolnika, pojechał do siostry.

U księcia kanclerza, choć na pozór spokój panował, ciche szepty i rozmowy obracały się wszystkie około toczących układów. Oczekiwano stamtąd wiadomości, która nie nadchodziła.

Dziwił się temu książę kanclerz, który znał Radziwiłła i sądził, że od razu warunki zgody przeczytawszy zerwie traktowanie o nią. Były one daleko sięgające i obrachowane na to, ażeby odstręczały. Musiano je wszakże wziąć na uwagę, gdy nie wracali ani ci, co z nimi pojechali, ani one.

— Słabszym więc jest książę wojewoda — rzekł — anizeliśmy go sobie wyobrażali, jeżeli nasze kondycje przyjmuje. Ale co zrobimy, jeżeli się zgodzi na nie? Nie będziemy mieli czym się przed Puczkowem pochwalić.

— Tak — odparł wojewoda — ale zapominacie, że to są nasze warunki, niekoniecznie wszystkie... Znajdą się dodatkowe.

Księżu kanclerzowi zaczynało być markotno. Chociaż pełnomocnicy jego mieli instrukcje jeszcze i wiedzieli, o co chodziło, lękał się, aby nie zrobić fałszywego kroku. Niepokój taki nim owładnął, że spojrzawszy na siostrzeńca powziął myśl wysłania go do Krasieńskiego. Nim jednak usta otworzył, karetka wioząca jednego z pełnomocników stanęła przed domem i on wszedł do pokoju.

Książę zwykle poważny bardzo i panujący nad sobą, tym razem podszedł kilka kroków i z oznaką zniecierpliwienia zawołał po francusku:

— Cóżście mogli robić tak długo? Chybaście mnie nie zrozumieli? Warunków moich jużście przyjąć nie mogą i przyjaciół swych poświęcić, po cóż było daremnie dyskutować? Posłałem je im, nie żebym się spodziewał przyjęcia, ale dlatego tylko, aby były odrzucone.

— Tak — odparł młody starosta, który okazywał po sobie, jak był nierad z obrotu rzeczy. — Tak, myśmy rachowali na to, że nie przyjmą naszych postulatów, a oni wzięli je pod rozagę i) jeżeli się nie mylę, zgodzą się na wszystko.

Kanclerz aż wykrzyknął oburzony:

— Ale to zdrada, wpadliśmy w łapkę! Waćpan wiesz, panie starosto, jaki był plan mój; zerwać, pokazać przed Puczkowem, że tu ich przemoc wszystkim włada i że my pomocy cesarzowej potrzebujemy. To być nie może, aby przyjęli!

— Owszem, bardzo być może. Chcą tylko w spisaniu układów położyć, że się *sakryfikują* dla spokoju publicznego, że składają broń przed groźbą wojny.

Rzucił się kanclerz i wojewoda.

— To nie może być — zawołał — żądamy od nich zbyt wielkich ofiar. Sejmik kowieński *pacifice* się zakończył wyborem Bohusza i Łopacińskiego, a my go za niedoszły mieć chcemy. Na Słonimskim obrano księcia Hieronima, który był *designatus* na marszałka trybunalskiego przez nich. Nie może księżę brata obrazić.

— I jam tak sądził — odparł przybyły — a jednak wzięto na *deliberację*... i widzę, przeczuwam, że gotowi są do zgody!

Czartoryscy spojrzeli po sobie. Kanclerz wstał z krzesła, na które tylko co się rzucił.

— Ha! jeżeli im tego mało — odezwał się — wymyślimy im coś takiego, na co się bez zupełnego zaparcia zgodzić nie będą mogli. Nie kończcie w żadnym razie, dawajcie do zrozumienia, iż mogą być żądania dodatkowe, uzupełniające. Nie chcę zgody a nawet takiego kulawego pokoju z nimi. Nie mogę *paktyzować* z warchołami.

— Jakże wam szło? — wtrącił wojewoda.

— Zbyt dobrze, jak się okazuje — rzekł starosta. — Księżę sam nie występuje, ale skryty gdzieś słucha i wszystkim kieruje.

— To się rozumie! — szepnął Czartoryski. — Im ta zgoda potrzebna: czyni ich wspañiałomyślnymi... Mnie ona szkodliwa, bo się okaże, iż malowałem tego diabła czarniejszym, niż jest w istocie.

— Wiedzą, żeś pojechał do mnie? — zapytał w końcu.

— Mogą się domyślać, chociażem inny wynalazł pretekst — odparł starosta.

— Powracajże. Jeżeli będą skłonni do zgody, przywoź mi spisane jej warunki. Potrzeba tam wtrącić coś takiego, aby się wszystko rozbiło. Rozumiesz mnie?

Drzwi się zaledwie zamknęły za starostą, gdy Czartoryscy po cichu z sobą żywo zaczęli coś roztrząsać. Stolnik, pozostawiony na stronie, przypatrywał się atlasowi, który leżał na stole rozłożony.

— Lękam się, ażeby mnie nie dosyć zrozumiano. Sprowadziłem pułkownika, aby mu pokazać anarchię naszą, a pokażę mu zgodę i sam sobie kłam zadam!!

— Nie rozgrzewaj się tak — wtrącił wojewoda — ugoda nie podpisana. Łatwo ją uczynić niemożliwą.

— Ale chyba pokoju chcą *a tout prix*! — zawołał kanclerz — kiedy nawet księcia Hieronima, przyszłego swego marszałka, chcą mi poświęcić.

— Jeszcze go nie zarznęli — rozśmiał się wojewoda — czekajmy!

— Lękam się przyjaciół więcej jeszcze niż wrogów — odparł kanclerz — gotowi mi się przysłużyć taką zgodą, która cały mój plan zrujnuje.

I książę chodził po pokoju niespokojny taki, popijał wodę, zamyślał się, zżymał, patrzył na zegarek, aż bratu żal go było.

— Zamiast się tak niepokoić, proszę cię — odezwał się — poślij lepiej kogo z kartką do nich, aby na żaden sposób nie zbliżali się do zgody, niech płaczą, niech nas bodaj skompromitują, ale niech nas nie wiążą.

Nawzajem książęta się uspakajając zaczęli i doszli do tego przekonaniu, że przecież nic złego stać się nie może.

Stronnictwo Radziwiłłowskie z porywcznością swą, butą, ostentacją potęgi i popularności, uchodziło w kraju za daleko mniej zręczne i w polityce nie mogące się mierzyć ze stronnictwem Familii. Wszystko to byli w opinii ogółu ludzie zacofani, wieku przeszłego, i przepowiadano im klęskę.

Z tym wszystkim w traktowaniu o zgodę, nie wiadomo kto był doradcą księcia wojewody, ale mu dał radę, która choć chwilowo pomieszała wszystkie osnute plany przeciwnego obozu.

Doradzono księciu, pomawianemu o gwałty, najazdy, o przemoc wywieraną na wszystkich, co mu posłusznymi być nie chcieli, ażeby tym razem okazał się powolnym, posłusznym życzeniom króla, gotowym do ustępstwa.

Czartoryscy się tego tak mało spodziewali, iż z początku sami nie wiedzieli, co począć. Zgoda nie była w ich programie, już gotowym.

Chciano doprowadzić wojewodę do tego, aby zawichrzył, dopuścił się gwałtu, i usprawiedliwić manifest, który prowadził do konfederacji.

Ta, gdyby raz przyszła do skutku, Czartoryscy by w niej mieli broń przeciwko Radziwiłłowi zarówno jak i przeciw królowi.

Gdy dnia naznaczonego pełnomocnicy księcia kanclerza przybyli do biskupa, ciekawość warunków podbudzona była do najwyższego stopnia. Cisnęli się ciekawi, aby posłyszeć kondycje. Odczytanie ich powitano milczeniem. Wymagania były niemal upokarzające.

Żądali Czartoryscy, aby sejmik kowieński, który zszedł zupełnie spokojnie, a obrano na nim bez *kontradycji* Bohusza i Łopacińskiego, ogłoszony został *pro vacanti*. Po wtóre, aby sejmik Słonimski, gdzie wybrano księcia podkomorzego litewskiego, Hieronima Radziwiłła, jawnego i jedyne go kandydata do łaski marszałkowskiej, przeciw któremu Czartoryscy nie stawili nikogo, również *pro vacanti* został ogłoszony.

Tych dwu punktów, a szczególnie ostatniego, zdawało się Czartoryskim dosyć, aby zerwać układy; nie przypuszczali bowiem, aby *pro honore domus* nie ujął się wojewoda i nie uparł przy Słonimskim.

Tymczasem rzecz była przewidziana i pełnomocnicy księcia prosili, aby to wziąć mogli *ad deliberandum*. Jeden z nich pojechał zaraz do kardynalii obiecując powrócić wkrótce.

Biskup Krasieński, który słuchał czytania desperując, wielce się zdziwił, duch w niego wstąpił. Obawiał się nagłego zerwania.

Począł tylko posłanym przez kanclerza czynić wymówki, że z tak nadzwyczaj uciążliwymi występowała kondycjami.

Kardynalia nie była zbyt odległą, wymknął się i pojechał sam błagać wojewodę, aby miał wyrozumiałość i cierpliwość, dwie cnoty, na które mu się najtrudniej zdobyć było. Zastał księcia przy śniadaniu, w humorze doskonałym, śmiejącego się i opowiadającego niebywałe dzieje.

Obok niego gromadka doradców roztrząsała sejmikowe sprawy kowieńskie i Słonimskie. Dziwnie to wyglądało, iż właśnie chciano mieć za niedoszłe te sejmiki, na których spokojnie, bez sprzeciwiania się żadnego, posłów jednozgodnie obrano.

Biskup zaklinał wojewodę, aby dla spokoju, *propter bonum pacis*, wspaniałomyślnie, dając przykład obywatelskiego heroizmu przyjął te nietrafne warunki.

Ucierano się na pół serio, pół żartem, jak gdyby to wszystko było jakąś igraszką tylko. Wojewoda w końcu kielich sobie nalać kazał i wychylił duszkiem zdrowie mediatora oświadczając, że się zdaje na niego i honor swój powierza, gotów nawet na ofiarę brata.

Krasiński nie czekając już, aby odmienny wiatr nie zawiał, popędził z tym do domu.

Tymczasem pełnomocnicy kanclerza pojechali do niego i przywieźli wiadomą instrukcję, nie wiedząc, jak ją spełnić potrafią.

Nadjechał biskup Krasiński i przemawiając do posłów kanclerza zaklinał ich, aby ze swej strony okazali równą powolność, jakiej dał dowód książę wojewoda, który pomimo tak dla niego obciążających kondycji gotów w ostatku oba sejmiki ogłosić za niedoszłe.

Umocowani wysłuchawszy tego tak dla nich niespodziewanego zakończenia mieszczeni się mocno; potrzeba było o tym donieść księciu kanclerzowi, który ostatecznie miał rozstrzygnąć itp.

— Ale ja nie widzę, aby tu co było do rozstrzygnięcia — zawołał biskup. — Podane zostały warunki i mimo że ograniczają stronę przeciwną, ta przyjęła je. Rzecz jest zatem skończona. Idzie o spisanie jej tylko.

Posłowie uparcie się odwoływali do kanclerza. Biskup obawiając się, aby mu nie uszli i aby się przez to koniec nie odroczył, ofiarował się jechać sam.

Wszystko tedy zdawało się iść nadzwyczaj pomyślnie, chociaż bardzo posępne twarze pełnomocników były złą wróżbą.

Krasiński jak piorun wpadł do księcia kanclerza, z radością na twarzy zwiastując mu nowinę pomyślną, że kondycje jego przyjęte zostały.

Spodziewał się jeżeli nie podziękowania i wdzięczności, to przynajmniej zaspokojenia. Zdumiał się niezmiernie, gdy książę kanclerz odparł:

— Bardzo się cieszę, że raz w życiu wojewoda trochę zdrowego okazał rozsądku; ale to nie są wszystkie kondycje moje.

Z kolei biskup pobladł zdziwiony.

— Więcej nam nie przedstawiono!!

— Ja nie mogę, nie zabezpieczywszy się, wyrzec się tego, co mi zapewnia spokój i należny położeniu memu wpływ na wymiar sprawiedliwości.

To mówiąc książę od niechcienia sięgnął po papier, zapisany świeżo własną jego ręką.

— Chciej mnie posłuchać, książę biskupie. Dwa te warunki za *preliminaria* tylko uważać się mogą. Sejmiki wołkowyski i grodzieński, gdzie do poselstwa szli przyjaciele domu naszego, zostały przemocą, siłą, szabłami, strachem zerwane i rozpedzone. Nie mogę na to dozwolić i żądam, aby moi posłowie się utrzymali. Jest to warunek, *sine qua non*.

Na twarzy pośrednika malowało się zważenie.

— Za pozwoleniem, mości książę, ale ze swej strony jakież uczynisz wojewodzie ustępstwo?

— Ja? — odparł Czartoryski. — Zdaje mi się, że czynię największe nie ogłaszając go *urbi et orbi* tym, czym jest, to jest gwałtownikiem, zbójem, *oppressorem* swobód naszych i ludzi. Że go nie pozywam przed sąd świata jako godnego banicji.

Kanclerz unosił się tak mówiąc, że biskup na wystąpienie to odpowiedzieć nie umiał.

— Z mojej strony — dodał książę — ustępstwo jest ogromne, gdy się kontentuję takim składem Trybunału, ażeby w nim *paritas* głosów była, połowa moich, a połowa jego, co mi sprawiedliwość zabezpieczy. Przyjmiecie te warunki — gotówem ustąpić i milczeć, aby królowi ostatnich może chwil nie

zatrzuwać; jeżeli Radziwiłł je odrzuci, zaniesiemy do akt manifest, w którym go oszczędzać nie będziemy.

Długi czas po tych słowach biskup, który zrazu stracił odwagę i otuchę traktowania, na nowo począł zaklinać, przekonywać, tłumaczyć, chcąc kanclerza skłonić do tego, aby złagodniał. Wszystko było próżnym i im natarczywiej nastawał biskup, tym się gwałtowniej rzucał Czartoryski. Nie było sposobu na nim nic wymóc.

Ponieważ przy całej tej rozmowie Fleminga nie było, Krasieński cokolwiek na niego rachując wymknął się, aby go szukać.

Znalazł go zamkniętym w domu i zajęтым czytaniem listów, które nadeszły z Warszawy.

Ledwie po długim traktowaniu wpuszczono Krasieńskiego, ale Fleming mu kwaśno oznajmił, że wszystko zdał na kanclerza i że się do niczego nie mięsza.

Nie dał się tym odstraszyć, dając dowody istotnego poświęcenia się, biskup i począł namawiać Fleminga, aby się przyczynił pośrednictwem swym do układów, które mogły spokój, tak wszystkim potrzebny, zapewnić.

Był to głos wołającego na *puszczy*. Fleming, który kilka razy wdaniem się swoim niezręcznym zniecierpliwiał kanclerza, a teraz mu dał słowo, iż się do niczego mieszać nie będzie, odpowiadał na wszystkie argumenta.

— Nie mogę! nie mogę!

Straciwszy wiele czasu na próżno, wprost stąd udał się biskup do wojewody, przygotowany z góry do tego, iż po uczynionych ustępstwach znajdzie tu oburzenie, gniew i wymówki za to, że do próżnego upokorzenia prowadził.

Po drodze spotkał Wojniłłowicza, wysłanego, aby dostał języka. Ten zasłyszawszy zaledwie, na co się zanosilo, zakrzyknął i wyprzedzając Krasieńskiego poleciał do kardynalii.

Znękany, bezsilny, zachrypły przybył biskup za nim w kilka minut do sali, w której książę wojewoda teraz jadł znowu, ale był tu już obiad, który miał się zakończyć, bo podawano pieczyste.

Słudzy z półmiskami szli czekając, aż je roznieść będą mogli, bo w tej chwili przybycie Wojniłłowicza, który w krótkich słowach oznajmił, z czym wystąpili

Czartoryscy, wywołał taką wrzawę, rozruch, roznamietnienie we wszystkich, iż nikt o jedzeniu nie myślał.

Książę z okrutnym przekleństwem uderzywszy pięścią o stół poprzysiągł, iż więcej na włos jeden nie ustąpi. Przyjaciele jego odgrażali się, że na szablach przeciwników rozniosą. Tumult, wrzawa, krzyki dochodziły do szału. Niektórzy porwali się od stołu, gromadzili w kupki, mając jeszcze serwety pod brodą, i pięści ogromne podnosili do góry. Zabierano głosy, aby łajać i grozić; książę, cały czerwony, pił, kazał nalewać, zżymał się i wołał coś niezrozumiałego kończąc jednym:

— Kamień na kamieniu nie zostanie!

O zgodzie, o *komplancji*, o traktowaniu jakimś mowy nawet być nie mogło. Biskup stanął zmieszany, aby być świadkiem tego wybuchu, którego uśmierzyć żadna siła nie mogła.

Studzy z półmiskami musieli odejść do kuchni, nikt nie myślał kończyć obiadu, ale za to wino pokutowało, bo je nalewano, rozlewano i wypijano z jakąś wściekłością, jakby gniew żarem swym wywołał nienasycone pragnienie.

Głowy, już wprzód podchmielone, teraz całkiem się pozamraczały. Młodzież odgrażała się iść do wojsk na Snipiszki i gotować je do boju.

Najdziwniejszym sposobem hetman Sapieha, który był tu przyszedł na chwilę, został przez wojewodę pochwycony, wyściskany i posadzony przy sobie jako brat najukochańszy. Na próżno mu się chciał wyrwać.

— Daj pokój, panie kochanku — mówił całując go — ja cię znam; ty się żony boisz, ale ty ją powinieneś trzymać ostro, bo to baba chytra jak wąż. Ona trzyma z Czartoryskimi i w błoto cię ciągnie. Zostań ze mną.

Hetman tak się zląkł głośnych wynurzeń o żonie, że aby ich uniknąć, wołał zostać przy wojewodzie.

Pić on pił jak naówczas wszyscy, ale głowę miał słabą i zaraz w początku obiadu dobrze sobie podchmielił. Raz poczuwszy, iż mu zaszumiało, bez pamięci wypróżniał kieliszki starego wina i coraz się więcej dla brata wojewody rozczulał. Niewiele zważano na niego, ale gdyby go słuchano, wnosić by wszyscy mogli, że ciałem i duszą do Radziwiłłowskiego obozu należy.

W istocie postanowionym było, żeby się trzymał neutralnie.

Dla wielu jego przytomność tutaj znaczyła, że warta honorowa dla Trybunału była zapewniona, a hetman wcale jej dać nie myślał. Szło mu o to, jak się od tego uwolnić.

Wszystkie te jednak na cichej naradzie z żoną uczynione postanowienia uniosło z sobą wino węgierskie. Hetman był tak przejęty, iż sam gotów był iść z szablą na nieprzyjaciół brata.

Wrzawa nierychło się dała ukołysać. Biskupowi podano krzesło, posadzono go, spróbował jeszcze przemawiać za pokojem, ale go wnet zakrzyczano, że Czartoryscy drwią sobie domagając się takiego upokorzenia, jakiego by nie tylko Radziwiłł, ale najostateczniejszy szlachciura z ujmą honoru nie dopuścił.

Co tam się wysypało i wylało na Familię, jak ją z błotem mieszano, a za nieprzyjaciół ogłoszono, wśród szczęku i brzęku talerzy i kielichów, opisać trudno. Kilka razy zaczynał coś biskup, nie dano mu dokończyć i widząc, że więcej swą przytomnością drażni tu umysły, niż łagodzi wzburzenie, dobrawszy chwilę, gdy na niego nie zważano, wymknął się do domu.

Nie zastał tu już nikogo, bo też nic nie miał do czynienia. Pod szczęśliwą wróżbą rozpoczęte układy zwiększyły tylko rozdrażnienie, dowiodły, że pacyfikacja była zupełnym niepodobieństwem.

Odpozywającego smutnie nawiedził kasztelan Brzostowski, który z rana robił, co mógł, aby mu być pomocą, i dopiero gdy się wszystko rozchwiało, plac opuścił.

— Nie mamy tu już nic do czynienia — odezwał się siadając przy nim. — Nie miałem nigdy nadziei, aby istotne pojednanie nastąpić mogło, dziś się przekonuję, że to inaczej jak katastrofą jakąś zakończyć się nie może. Nie ludzie tu występują przeciwko sobie, ale siły jakieś tajemnicze, którymi fatalność włada.

— Nie zapominaj o Bogu, panie kasztelanie — odparł biskup. — Nie fatalność, ale wyroki Jego spełniają się na nas.

— Nam już nic do czynienia nie pozostało — dodał Brzostowski.

— Przepraszam was — przerwał biskup — dziś mamy sobotę. Niedziela cała nam pozostała, abyśmy próbowali spełnić nasz obowiązek, choć nie mamy wiary w to, abyśmy mu podołali.

Brzostowski się skłonił i dodał:

— *Admiruję!*

— Bądź co bądź potrzeba na stanowisku dotrwać do ostatka. Żołnierz nie schodzi z placu, choć nie ma już nadziei zwycięstwa.

Z obiadu Radziwiłłowskiego podchmieleni goście rozchodząc się po mieście roznieśli wprędce wiadomość, iż wszelkie usiłowania pojednania rozbiły się o opór i nadzwyczajne wymagania kanclerza.

Znający Radziwiłła wiedzieli, że raz doprowadzony do ostateczności, miary w niczym znać nie będzie. Ludzie też jego z umiarkowania nie słynęli. Popłoch straszliwy poszedł po mieście. Wiele osób przelękłych postanowiło pakować się i wyjeżdżać natychmiast.

W obozie też przeciwnym u Massalskich panowało niemniejsze rozdrażnienie i niepokój. Siły ich wcale sprostać nie mogły czterotysięcznemu wojsku nadwornemu wojewody, musieli się więc mieć na wielkiej bacności, aby się nie dać pochwycić i nie wywołać tumultu, który by się w bójkę mógł przemienić.

Księżę kanclerz, który się spodziewał poparcia od hetmana Massalskiego, znalazł tu tylko grzeczne tłumaczenie się, iż hetman wielki do tej sprawy wcale się mieszać nie chce czynnie, odmawia straży honorowej Radziwiłłowi, ale w niczym więcej nie może pójść za żadną stroną. Zapewniał tylko o swej neutralności.

Tak samo tłumaczyli się inni, a niektórzy dodawali, że ponieważ Czartoryscy pewni będą poparcia przez wojska imperator owej, której pułkownik już się znajdował w Wilnie, nie mogli się łączyć z obcą potencją przeciwko swoim.

Można sobie wyobrazić, jak namiętna pani hetmanowa, która czynną chciała odegrać rolę w tym zajściu, nie występując na widownię, poruszona i niespokojna, spędziła chwile te rozstrzygające. Tołoczko musiał jej służyć ciągle, biegać, jeździć, zwozić wiadomości i spełniać poselstwa. Miała oprócz niego agentów swoich w robronach, ale rotmistrz był ze wszystkich najczynniejszym.

U księżnej wojewodzicowej wieczorem przyjęta została nadzwyczaj uprzejmie, ale gospodyni, jej brat i kilka zamówionych osób tak ją otaczali ciągle, zabawiali rozmową, nie dali odetchnąć, że to, po co tu przybyła głównie, widzenie się i poufna rozmowa ze stolnikiem w oczach rywalki, zupełnie było chybione. Ani Poniatowski do niej, ani ona do Poniatowskiego przybliżyć się

nie mogła. Znalazł się zawsze ktoś na drodze, który przeszkadzał, zagadał, odciągał.

Rozpaczliwie rzucała się coraz zuchwalej hetmanowa, ale wojewodzicowa tak pilnowała, iż czujności jej nie było można w błąd wprowadzić. Bawiła tu do bardzo późna, ciągle się spodziewając pochwycić stolnika, i odjechała w końcu, wściekła na gospodynię, poprzysięgając, że jej tego nie daruje. Starosta halicki, zastępujący tu gospodarza, przeprowadził ją do karety, grzeczny, złośliwy i szyderski.

W pałacu u siebie znalazła Tołoczkę, który na nią oczekiwał i siadłszy przy stoliku w salonie usnął snem tak twardym ze znużenia, iż hetmanowa przyjechała, przeszła mimo niego, miała czas zrzucić rogowkę i wrócić do salonu, a Tołoczko spał jeszcze i zbudzić go musiała.

— Zmiłuj się, rotmistrzu, co się dzieje. Jestem niespokojna o męża. Nie wiem, co się stanie z Trybunałem, kto tu zwycięży? Mąż mój gotów temu wiecznie napilemu bratu dopomagać i nas wciągnąć w ten los, który go czeka. Myśmy się powinni trzymać na boku i pozostać spektatorami. Mój mąż, jak pojechał do miasta, tak ani wiedzieć o nim.

— Księżę udał się wprost stąd do kardynalii — rzekł rotmistrz. — Księżę Radziwiłł już się zaczął tym obrażać, że go zaniedbał. Musiał pojechać.

— Ja to wiem, ale miał być potem u Massalskiego hetmana dla porozumienia się z nim, bo my w obu obozach powinniśmy mieć stosunki.

— Wiedziałem też ja o tym — odparł Tołoczko — i dlatego opóźniwszy się szukałem go u Massalskiego, i nie znalazłem. Musiałem więc iść do kardynalii i tam księcia znalazłem, ale byli właśnie przy śniadaniu.

— A! przy śniadaniu! — zawołała hetmanowa. — No! to już nie masz mi co więcej mówić; upoili go, został do obiadu, przy obiedzie poprawili jeszcze i' już go się teraz można spodziewać takim, że pójdzie wprost do łóżka, a mówić z nim nie będzie można.

— Mościa księżno — przerwał Tołoczko — nie trzeba tych rzeczy brać tak tragicznie. Co się robi przy kielichach, o tym można zapomnieć a nawet się zaprzecć. Gdyby był trzeźwym, gorzej by było.

Hetmanowa zamilczała.

— Spodziewano się przez cały dzień, że układy jakiś owoc wydadzą — mówił dalej rotmistrz — ale Czartoryscy sobie zażartowali z króla i jego posłów. Biskup Krasiński latał przez cały dzień. Wyrobił to na Radziwille, iż pierwsze warunki Czartoryskich przyjął, ale gdy się to stało, wzięli na kiel i chcieli, aby się książe sam zabił własną ręką. Więc zerwano traktowanie.

— I cóż, wojna? — podchwyciła księżna z wyrazem, w którym rozpoznać było trudno, czy była jej rada, czy przestraszona.

Tołoczko ruszył ramionami.

— Gdzie zaś wojna! Książe ma dobrze wyćwiczonego żołnierza do czterech tysięcy, a oni pułkownika Puczkowa bez pułku i milicje dworskie po kilka dziesiątków ludzi. Biskup Massalski, który oficerów Francuzów do formowania swego pułku sprowadził, *na sztych* go nie wystawi. Hetman Massalski wojska nie da, więc Radziwiłł górą.

Księżna ręce załamała.

— Toć dopiero w butę wzrośnie — zawołała.

— Czartoryscy gotują przeciwko niemu manifest straszny — mówił ciągle Tołoczko. — Trybunał się ufunduje, ale to dopiero początek, a kto zwycięży w końcu, ten się będzie mógł pochwalić.

— Myślicie, że Radziwiłł? — zapytała hetmanowa.

— Nie jestem prorokiem! — rzekł rotmistrz — póki stanie króla Augusta i Brühla, poty książe wojewoda na Litwie będzie wyprawiał sceny i nikt go nie pohamuje; ale przy małej zmianie, gdy się wszyscy nieprzyjaciele tego królika do kupy zbiorą, a protekcji królewskiej nie stanie, nie chciałbym być w jego skórze!

Oczki księżnej zaśmiały się.

— Sam sobie winien — rzekła — dziwuję się, że Panu Bogu cześć oddaje, bo zresztą nikogo w świecie szanować nie chce, a i z Panem Bogiem za pan brat.

Tołoczko odebrał potem instrukcje na dzień następny i gdy dla późnej pory miał się żegnać, przystąpił do hetmanowej całując ją w rękę.

— Mam obietnicę pani — rzekł.

— A! wiem już! Wpadła ci pono w oko Koiszewska strażnikówna, nieprawdaż?

— W oko to nie, ale w serce — westchnął Tołoczko — czuję, że od tego moje szczęście zawisło.

Błagające zwrócił na nią wejrzenie.

— Czekażcie, aż wrócimy do Wysokiego.

— Aleby pani hetmanowa mogła tu, przez łaskę swą, wcale o mnie nie czyniąc żadnej wzmianki, trochę zjednać sobie panią strażnikową, a pod pozorem, że u niej dom weselszy, ucześniejszy, dla panienki przyjemniejszy, mogłaby wziąć do siebie na czas jakiś pannę Anielę..

— A waćpan byś ją tu wygodniej niż u matki mógł widywać — rozśmiała się hetmanowa. — Bardzo to mądry plan, choć boję się, czy go matka nie odgadnie. Jakże ona patrzy na waćpana?

— Nie wiem, nie powinna by być przeciwną — mówił skromnie rotmistrz — mam sytuację niezłą, fortunę szlachecką, ale niezgorszą, imię poczciwe. Nie jestem pierwszej młodości, to pewna, alem nie tak znowu stary, aby śmieszno mi się żenić było.

Hetmanowa słuchała zdejmując rękawiczki.

— Zobaczmy, co się da zrobić — odparła. — To waćpanu przyrzekam, że się postaram strażnikową pozyskać, ale nie przyjdzie to łatwo. Kobieta prosta, bez wychowania, pełna staroświeckich przesądów.

Tołoczko raz jeszcze pocałował w rękę i już szedł do drzwi, gdy go zawróciła hetmanowa.

— Mówiąc z mężem moim — szepnęła — staraj się go nakłonić, ażeby pozostał neutralnym i z nikim się nie wiązał, a szczególnie z Radziwiłłem.

Na tym się skończyło, a było już po północy. Hetman spoczywał dawno w *objęciach Morfeusza*.

Następny dzień z rana zdawał się spokojniejszym, jak gdyby wszyscy już, pewni tego, co czynić mieli, nie mając na myśli zmieniać nic ani się targować, gotowali się tylko do odegrania roli, jaka im z losu wypadła.

Mianowicie Radziwiłł i jego obóz z pewną *ostentacją* usiłował okazać się spokojnym, pewnym siebie i najmniejszej obawy nie mającym o dzień jutrzejszy.

W obozie na Snipiszkach, jeżeli co widać było, to chyba przygotowania do parady. Dobywano i czyszczono najlepsze zbroje, trzepano mundury, myto konie, wojsko sposobiło się do wystąpienia, ale jakby na okaz tylko i paradę.

Dowódcy przechodzili się flegmatycznie, wydając rozkazy, niektóre oddziały w mundurach odświętnych jechały do miasta zaciągać warty u księcia. Przyjaciele Radziwiłłowscy unikali nawet rozmów o tym, co nazajutrz się odbywać miało, jakby o to najmniejszej nie mieli troski.

Księżę w poszostnej karecie, otoczony świetnym dworem, oddawał wizyty niektórym osobom wcale nie zważając na to, iż go w wielu miejscach nie przyjmowano.

W ulicy się zjechawszy z biskupem Krasińskim, gdy ten zbliżył się ze swą karetą pod okno powozu książęcego i zagadnął o zgodzie, odparł śmiejąc się.

— Zgoda pojechała od nas, że jej nagonić nie mogliśmy; dajmy pokój pogoni, aż sama powróci. A uczyńcie mi ten zaszczyt, żebyście u mnie dziś chlebem się przełamali. Będziemy mieli podgardle z dzika, któremu warto dać gęby.

I z tym go opuścił. Biskup pojechał smutny do kanclerza jeszcze, który go przeprosić kazał, iż przyjąć nie może.

Po mieście rozchodzić się zaczynała pogłoska, iż po nieszpórach w kościele katedralnym coś gotowano, jakąś przeciwko Radziwiłłowi manifestację, na którą biskup Massalski zapraszał tajemniczo.

Tołoczko, który już z rana o tym odebrał wiadomość, a przewidując, że hetmanowa, choć *incognito*, zechce się tam pewnie znajdować, pobiegł do niej z oznajmieniem.

Pomimo największego starania, aby dostać języka, co to się odbywać miało w kościele po nieszpórach, nie mógł się nic dowiedzieć, oprócz, iż miała być manifestacja. Zawczasu już gotowano się na nią tłumnie.

Księżna, nim przybiegł Tołoczko, wiedziała, że dzwoniło, ale nie wiedziała w jakim kościele.

— Ale cóż to ma być? — poczęła nastawać.

— Nikt nic nie wie, oprócz tego, że przeciwko Radziwiłłowi wystąpią.

— Juścić w katedrze jest jakiś kątek, gdzieby niepostrzeżonej można się dostać, aby widzieć i słyszeć własnymi uszami. Rób sobie waćpan, co chcesz, a miejsce mi znaleźć powinienes!

Tołoczko nieszczęśliwy musiał tedy natychmiast biec do katedralnego kościoła i starać się o miejsce dla księżnej.

Nadchodziła pora obiadowa, a że to była niedziela, zjazd na Trybunał bardzo znaczny, ciekawość rozbudzona, w kardynalii więc, gdzie się większość gości cisnęła, przysposabiano miejsce na paręset osób, wiedząc, że te natłokowi nie starczą.

Było to obyczajem książęcego domu, iż przyjmowano znajomych i nieznanym, a wchodził tu, komu się zamarzyło, proszony i nieproszony.

W głównej sali przy księciu gromadzili się znaczniejsi, a dalej, u szarego końca, *goście ewangeliczni*. Wszystkim nalewano zarówno, z tą jednak różnicą, że dla drugich stołów był tak zwany kapuśniaczek, kwaskowate wino węgierskie, które obfitością dobroć zastępowało.

Nim uderzyła zwyczajna obiadu godzina, pokoje u księcia były nabite ludźmi, a twarze tak wesołe, jakby najmniejszej o przebieg sprawy trybunalskiej wątpliwości nie było.

Książę Hieronim obchodził wszystkich i jedno prawie powtarzał.

— Hasło nasze jest, że dziś na nieszpory do katedry nikt z nas nie pójdzie!
Wojniłowicz, Rdułtowski, Rzewuski toż samo powtarzali. Sam Panie Kochanku niektórych ściszał i szeptał.

— Kto mnie kocha, od katedry wara!

Z rana manifestu przeciwko księciu wymierzonego tenoru nikt nie znał, przy obiedzie już kopię jego przyniesiono i sekretnie ją odczytywano, oburzając się przeciwko gwałtowności.

Ponieważ w nim grożono imperatorową, której pułkownik Puczków miał zdać sprawę z gwałtów popełnionych przez Radziwiłła, radzili przyjaciele, ażeby

książę z memoriałem wyjaśniającym sytuację od siebie także wysłał do Petersburga.

Książę od rana aż do pierwszych libacyj trzymał się z takim umiarkowaniem i krwią zimną, jakby w sercu gniewu nie miał, chociaż kipiało w nim i po kielichach już się utrzymać nie mógł. Ale zagłuszono go i dalej u stołów nikt nie słyszał ani łajania, ani pogroźek, które się tu aż do wieczora, rosnąc i potęgując, na dzień następny burzą okrutną zapowiadały.

Przy ogromnym natłoku nie pobożnych, ale zaciekawionych zapowiedzią jakiegoś niebywałego skandalu — rozpoczęły się w kościele katedralnym sobotnie nieszpory.

Stara świątynia, której wieża była jakoby pozostałością z czasów pogańskich i *świątyni Perkuna*, nie tylko we wnętrzu przepelnioną była zawczasu, ale plac przed nią aż do zamku gęsto zajmowały tłumy. Stały tu powozy z pocztami dygnitarzy, czeladzi państwa i lud.

Do kościoła już nie wpuszczano. Obrócić się tu było trudno.

Tron biskupi, na nowo odświeżony, obwieszony karmazynowymi, aksamitnymi ścianami z fręzlą złotą, uderzał oczy naprzód, a obok niego na podwyższeniu znacznym przygotowane było siedzenie, wspaniałe krzesło, wprawdzie bez baldachimu, ale miejscem, które obok tronu zajmowało, odznaczające się.

Zagadką było, kto je zajmie, dopóki z zakrystii w towarzystwie kanonika, czyniącego mu honory, nie wyszedł mężczyzna w pełnym mundurze wojsk ruskich, cały orderami obwieszony. Poznano w nim pułkownika Puczkowa, którego Czartoryscy sprowadzili, aby był świadkiem tego, co się tu działo.

W kościele pomimo ścisku uroczyste panowało milczenie.

Poniżej tronu i siedzenia pułkownika, na kilku stopniach w prezbiterium widać było liczny dosyć zbiór osób, ze strojów, elegancji i powierzchowności pańskiej na dygnitarzy wyglądających.

Pomiędzy nimi lepiej uświadomieni pokazywali sobie Fleminga, słynnego naówczas z bogactw, Czartoryskich, ich *adherentów*, przyjaciół, pomocników, kilku cudzoziemców i młodego, z Petersburga niedawno przybyłego stolnika Poniatowskiego. Bardzo na widoku stał hetman Massalski, usiłujący sobie nadać powagę wielką, wysokiemu swemu dostojęństwu odpowiadającą.

W twarzach tego zgromadzenia, które nie okazywało się wcale pobożnym i dosyć swobodnie prowadziło rozmowę, jakby w teatrze lub na balu, postrzegać się dawało pewne rozdrażnienie i niepokój. Oglądano się bojaźliwie niemal, szukając w tłumach oczyma twarzy znajomych.

Bardzo mało było kobiet, w samej nawie kościelnej gdzieniegdzie rozsianych, więcej ich widać było na chórze i w kilku ciemnych łóżach ponad bocznymi nawami. A że katedra ówczesna obfitowała w kapliczki, różnymi czasy przybudowane, do których wniścia tworzyły wgłębienia, w nich też stroje jaśniejsze kobiece zdradzały, że się tu mieściły. Osobliwie naprzeciw i około tronu biskupiego ścisk osób dystyngowańszych był wielki, a ku drzwiom tu i owdzie widać było żołnierzy pułku Massalskich, utrzymujących rodzaj straży i pilnujących porządku.

Sam biskup *in pontificalibus* przytomnym był nabożeństwu, a ci, co go we fraku i przy szpadzie widywać byli przywykli, znajdowali, że nie umiał nosić infuły i kapa mu ciągle z niespokojnych ramion spadała. Ruchy też miał na tym tronie biskupim, który majestatem pokoju zwykł być otoczony, zbyt żywe i gwałtowne, a oczy biegały po przytomnych i po kościele wcale świętością miejsca i chwili nie namaszczone.

Ktoś właśnie uczynił słuszną uwagę, że Jego Pasterska Mość we fraku się lepiej wydawał niż w ornacie biskupim i że pastorałem wywijał, jakby nim bić, nie błogosławić się gotował.

Prawda, że pomimo tylu oczów, zwróconych na siebie nie umiał się powstrzymać i co moment albo którego z kleryków, stojących przy tronie, mustrował, albo rozkazy jakieś wydawał i cicho, ale żywo sypał coś do ucha tych, co koło niego się mieścili.

Stosunek też pasterza do duchowieństwa nie był zwykłym: nie okazywano mu należnego poszanowania, ale rodzaj lekceważenia i zbytnej poufałości.

Nabożeństwo zwyczajne miało się ku końcowi; niecierpliwa ciekawość przytomnych rosła, cisnęli się coraz natarczywiej ku tronowi biskupiemu. Milczenie po odśpiewaniu ostatniej modlitwy trwało krótko, biskup wstał i pastorałem uderzył w stopnie.

Podniósł głos i mówić począł, ale zrazu tak mało słyhać go było, iż całych sił musiał dobyć, ażeby nawet bliżej stojący coś mogli zrozumieć.

Mowa była może przygotowaną, ale żywy temperament i chęć wyrazistego oświadczenia się przeciwko zamachom wojewody nie dala mu się starać o retorykę.

Krzycząc więcej niż mówiąc napadł na księcia wojewodę jako opressora praw wszelkich, mącaącego spokój publiczny, który z wojskiem, z działami wtargnął do Wilna, aby gwałtownie fundować Trybunał. Nie ma na niego innego sposobu, tylko uniwersalne, jednozgodne przeciwko gwałtownikowi powstanie przez zawiązanie konfederacji.

Najwięksi przyjaciele biskupa nie mogli mu powinszować tego wystąpienia, w którym więcej było animozji, gniewu niż argumentów. Sam też ksiądz biskup czuł, że potrzebował poparcia, i do tego dobrany był Narbutt, marszałek lidzki, który wbrew innym Narbuttom szedł z Massalskim przeciwko wojewodzie.

Narbutt był sejmikowym mówcą, którego nic nie kosztowało nagromadzić siła słów dźwięcznych, posypanych łaciną, tak jak ciasto się cukrem po wierzchu posypuje. Z tego więc samego tematu przeciwko opresji wydeklamował orację, kończąc ją tylko śmielszym oddaniem się pod protekcję imperatorowej.

Ostatnie słowa naturalnie wypowiedział zwróciwszy się do pułkownika, który nie wiedząc, co zrobić z sobą, węża pokręcał.

Z gromadki, która bliżej tronu stała, nasadzeni poczęli wołać o manifest żądając, aby go zaraz spisano, a że gotowy już był od dni trzech, sekretarz Fleminga, przybliżywszy się do świecy, którą w pobliżu kleryk trzymał, donośnym głosem czytać począł.

W ogólnych wyrazach malował im smutny stan kraju, zostającego pod opresją, do której znoszenia cierpliwości się przebrało... Nie zbywało na komplementy dla króla Jego Mości i łaskawego jego pieczołowania (sic) nad dobrem publicznym: na ostatek mówił manifest:

„Kiedy księżę jegomość, wojewoda wileński, sprowadziwszy liczne rozmaitego zaciągu żołnierstwo, trzyma dotąd w tym mieście i po przedmieściach z podniesioną bronią i armatami jakoby przeciwko nieprzyjacielowi wiary świętej lub ojczyzny uzbrojone — izbę sądową żołnierstwem nadwornym i armatami osadził, tedy nie mogąc znieść ucisku wszyscy muszą się związać w konfederację, dla obrony honoru, życia i substancji”.

Po odczytaniu manifestu głosy się słyszeć dały o podpisywanie go. Pierwsze tedy podpisy, zaraz tamże w zakrystii położyli przewodniczący konfederacji, a

tegoż wieczora, w nocy i nazajutrz kopie roznoszono po mieście, wożono po domach, zbierając podpisy, od których jednakże wielu się cofało.

Kościół natychmiast po tej scenie dramatycznej, która się w nim odegrała, wypróżniać się zaczął, ale naprzód pańskie powozy i poczty pozabierały dostojników, których odjazdowi lud się przypatrywał ciekawie, potem dopiero mieszczanie i szlachta gromadami ku bramie zamkowej popłynęli.

W tłumach tych słyhać było rozprawianie, śmiechy, wykrzykiwania, z których trudno było wnieść, za kim była większość, czy za wojewodą wileńskim, czy za księciem biskupem i Czartoryskimi, których tu mało znano, gdy Radziwiłł ze złej i z dobrej strony dał się poznać i był przez jednych czczony, przez drugich nienawidzony.

Przez cały czas niesporów i manifestacji pani hetmanowa, której Tołoczko zapewnił miejsce i sam jej towarzyszył, przypatrywała się z górnej łoży wprost całemu widowisku, gdyż miała miejsce naprzeciw tronu biskupiego tak dobrze wybrane, iż jej wcale widać nie było, a ona doskonale stąd przypatrywać się mogła i słuchać.

Tołoczko wymógł na niej, że z sobą do towarzystwa zaprosi strażnikową z córką. Ta odmówiła zrazu i nie chciała jechać, ale gdy hetmanowa na nią nastąpiła, aby choć córce z nią zabrać się dozwoliła dla rozrywki, zezwoliła, aby Aniela towarzyszyła Sapieżynie.

Rotmistrz nasz był tym uszczęśliwiony, bo mu nic nie przeszkadzało zbliżyć się do panny Anieli i po raz pierwszy rozmowę z nią prowadzić. Hetmanowa tak była cała zatopioną w tym, co miała przed oczyma, iż na pannę wcale nie zwracała uwagi. Tołoczko więc bawił ją, naprzód tłumacząc i mianując osoby prywatne, potem w ogóle o Wilnie i o pobycie w nim terazniejszym zagadując.

Rotmistrz, chociaż oglądy francuskiej nie miał, nadto długo się obracał około panów, ażeby to na niego nie wpłynęło i nie odjęło mu nieco rubasności żołnierskiej. A że greczny był, usłużny i około panny biegał, przyszło do tego, że się jej wydawał znośnym.

Zagadnął naprzód rotmistrz strażnikównę, jak się jej w Wilnie podobało, i odebrał obojętną odpowiedź, że mało co wychodząc, mało też kogo widując, więcej się nudziła, niż zaznała przyjemności.

— Naturalna to rzecz — odparł Tołoczko — gdy szanowna pani strażnikowa, zajęta swym procesem, mało się w świecie pokazuje; ale pani nie masz powodu zawsze być u jej boku, a księżna hetmanowa, lubiąca towarzy-

stwo, z przyjemnością by ją w domu swym nie tylko w odwiedzinach widywała, ale jako przyjaciółkę, przynajmniej na ten czas, gdy pani strażnikowa w Wilnie pozostaje, u boku swego mieć by sobie życzyła.

Panna Aniela, której pragnieniom nic więcej odpowiadać nie mogło, zarumieniała się mocno, nie wiedząc co odpowiedzieć, aż nareszcie szepnęła cicho:

— Ode mnie to nie zależy i co się mnie tyczy, ja bym z wielką przyjemnością księżnie się ofiarowała, ale...

— Niechże mi pani da umocowanie, abym ja się mógł starać o to, a ręczę, że się to zrobi — odparł rotmistrz.

— Moja matka ma pewne uprzedzenia — mówiła Aniela.

— Ja to wszystko mniej więcej wiem, ale są środki, z pomocą których da się pani strażnikowa skłonić. Nie godzi się, aby panią zamykano w domu, w którym mało kto oprócz prawników bywa, gdy przyjaźń księżnej świat jej otwiera.

— Pan rotmistrz rozumiesz to — odezwała się panna Aniela — że ja nie mogę być czynną ani się wrywać od matki, ani okazywać, że się nudzę, choćbym w istocie się nie bawiła.

— Bądź pani spokojną — rzekł Tołoczko uszczęśliwiony tym, że mu się powiodło pozwolenie panny otrzymać, zawiązać z nią małą intryżkę — ja pani nie wydam i nie skompromituję; wszystko będzie wypływało od hetmanowej.

Skłonieniem głowy milczącym i półuśmiechem podziękowała panna Aniela. Tołoczko był w uniesieniu, bo mu się zdawało, że ją już sobie całkiem pozyskał.

Wstęp ten zrobił większą z obu stron poufałość i lepsze porozumienie; Tołoczko przestał się lękać, ażeby nie został odepchnięty, pannie zaś zdało się, iż wszystko to ją do niczego nie obowiązuje, że może się starym wdowcem posługiwać nie będąc zmuszoną wywdzięczać mu się żadną ofiarą.

Panna strażnikówna korzystała z towarzystwa rotmistrza rozpytując go o osoby i stosunki wielkiego świata, których nie znała, a niezmiernie była ciekawą.

Tołoczko tak był usposobiony, żeby się był jej z grzechów śmiertelnych swoich i cudzych spowiadał.

Rozmowie ich cichej hetmanowa, niesłuchanie zajęta tym, na co patrzyła, wcale nie zawadzała, nie odwróciła się nawet, nie spojrzała na nich i parę tylko razy nie odwracając się przywołała do siebie rotmistrza, zadając mu pytania.

Jakie wrażenie uczynił na niej cały przebieg rzeczy tego wieczora, ona sama może nie umiałaby powiedzieć. Były chwile, iż się cieszyła tym, gdy jej niechętnego gburą wojewodę obelżywie traktowano, ale zwycięstwo Czartoryskich i jej obozu czasem też ją oburzało. Czowała, że całym sercem ani po jednej, ani po drugiej stronie stanąć nie mogła.

Manifestacja w kościele, choć pozornie była tryumfem, w istocie szerzyła klęskę i gdy ku końcowi Tołoczko zapytał jej po cichu:

— Cóż pani hetmanowa na to? . Odparła żywo:

— A cóż, przyznali się, że mu rady dać nie mogą! Wątpię, aby manifest do akt wnieść dopuszczono; Radziwiłł będzie się z niego śmiać. Jest to więc na gwałt wołanie: gwałt, gwałt, ratujcie! A co gorzej, pokazują, że w kraju nie mają się do kogo odezwać o ratunek, kiedy im protekcja imperatorowej potrzebna. Wszystko to — żał się Boże, przez rozumnych ludzi dosyć nieroztropnie prowadzone. To tylko dobre — dodała w końcu — że bitwy ani krwi przelewu nie mamy się co lękać; kto tak krzyczy żałośliwie, ten bić się nie myśli!

Szukała oczyma po kościele hetmanowa męża, bojąc się, aby nie wystąpił niepotrzebnie, ale go nigdzie nie dopatrzyła.

Radziwiłł trzymał wszystkich około siebie. Pito, wyśmiewano się na całe gardło. Nie przeszkadzało to, ażeby jakichś nie wydawano rozkazów, nie odbierano raportów, i nie sposobiono się na wszelką ewentualność dnia następnego.

Ponieważ hetman wielki, Massalski, wojska na strażę na *praesidium* zamkowe dać odmówił, zatem z wieczora już dnia tego milicja nadworna wojewody pozajmowała wszystkie posterunki na zamku, w gmachu Trybunału i w mieście, gdziekolwiek się obawiano jakiego sporu lub zwady.

Partia księcia kanclerza hucznie od kościoła wyruszyła do domów, oprócz tych, których biskup Massalski do siebie zaprosił. Tu się wrzekomo cieszą tym, co było uczynionym, ale w istocie na twarzach więcej było widać troski niż zaspokożenia.

Czuli wszyscy, że mimo protestacji Trybunał się utrzyma, otworzy i sprawy bieżące sądzić będzie.

Pożałowano może zerwania układów, które by dozwoliły ciężką chwilę przebrnąć, dopóki sprawy krajowe nie wzięły innego obrotu. Ci mianowicie widzieli się tym położeniem zagrożonymi, którzy mieli procesa w Trybunale, będące na *wokandzie*. Musiały one przyjść na stół, a jeśli sędziowie obozu przeciwnego rozstrzygać je mieli, pewni byli przegranej.

W tym wypadku była i pani strażnikowa trocka, potrzebująca protekcji Radziwiłłowskiej, którą tylko przez hetmanowe zapewnić sobie mogła. Dla świata nie było wiadomym, jakie hetmanowa miała w sercu sentymenty dla wojewody, a cały świat znał to tylko, że Sapieha i on byli ciotecznymi braćmi.

Zmuszoną więc była Koiszewska, chociaż sfrancuziałej księżnej nie cierpiała, akomodować się jej, aby przez nią najpewniej męża pozyskać. Dawał jej to do zrozumienia Tołoczko. On zaś sam fundował na tym przyszłe swe nadzieje, że księżna pannę Anielę wzięwszy do siebie ułatwi mu zbliżenie się do niej i pozyskanie serca, a potem i samo małżeństwo skleić potrafi.

Nie bardzo rachował na to, aby się pannie mógł podobać, bo co dzień się w zwierciadle goląc znał swą podstarzałą twarz, na gacha nie wyglądającą, ale mówił sobie, że gdy na kobiercu połączeni zostaną, serca do niego nabierze i będzie mu dobrą żoną.

Dnia tego hetmanowa jeszcze, powracając na Antokol, pannę Anielę do matki odwiozła, ale w drodze się z nią umówiła, iż tymi dniami weźmie ją na czas pobytu w Wilnie od matki do siebie.

Panna Aniela w milczeniu za to ręce jej ucałowała.

U pani strażnikowej trockiej dnia tego była wieczerza dla znajomych i przyjaciół, na którą właśnie trafiła panna Aniela powracająca z kościoła.

Tu szlachecki był świat. Kontusze i żupany ze starych kufrów podobywane a i ludzie jakby z przeszłego wieku i obyczaj niedzisiejszy. Wieczerza niewytworna, ale obfita, wino dobre i nie żałując dolewane, wesołość szczerą i prostą.

Pannie Anieli, rozkochanej w innych obyczajach i elegancji wyszukanej a sentymentalizmie kłamliwym, ludzie, mowa i obejście się ich wprost były wstrętliwe.

Z tym uczuciem znalazła się teraz wprost spod skrzydeł hetmanowej, której dowcip i szczebiotanie ją zachwyciły, rzucona w towarzystwo rubaszne,

niewykwintnej wcale powierzchowności, krzykliwe, serdeczne, ale aż do grubiaństwa poufałe, szczególnie po kieliszkach.

W progu witał powracającą mocno już ożywiony węgryzmem pan Alojzy Bujwid, na klęczkach prosząc o rękę do pocałowania. Z drugiej strony rzuciła się jej na szyję Szklarska ściskając i ciągnąc do stołu.

— U hetmanowej cię pewnie nie nakarmili, bo tam po pańsku, porcelana saska, ale potrawy mało na niej; siadaj i jedz.

Matka też miejsce jej robiła u stołu, choć na próżno się wymawiała, iż jeść nie chce.

Posypały się pytania. Goście wszyscy byli ożywieni bardzo, bo Bujwid, uproszony o to przez strażnikową, węgryzna jej nie żałował, a poczciwi ludziska za kołnierz sobie lać nie dawali.

Musiała panna Aniela, o której wiadano, iż na nieszpórach była w katedrze, opowiadać, co się tam działo. Okazało się jednak z jej powieści, że tak ją mało sprawy krajowe obchodziły, iż o osobach i partiach wyobrażenia nie mając mieszała ludzi z sobą.

Śmiano się z tego, po trosze ją tłumacząc, choć Koiszewska oświadczyła, że ona w tym wieku będąc co córka, sejmik by była mogła poprowadzić.

Rada była panna Aniela skryć się i stać niewidoczna, tak ją męczyli ci ludzie, pytania, dowcipy grube i komplementa przestarzałe a zawsze oklaskami przyjmowane.

Opiekująca się nią Szklarska, zalecający się jak niedźwiedź Bujwid, goście wszyscy, obsypujący ją grzecznościami, często tak dobitnymi, iż się rumienić musiała, większy niż kiedykolwiek wstręt i obrzydzenie w niej obudzili.

Powiedziała sobie:

— Ach! choćby już ze starym Tołoczko, byle się raz wydobyć z tego piekła!

Tołoczko więc tego wieczora ogromny uczynił postęp, nie w sercu, bo te nie zabiło dla niego, ale w rachubach panny strażnikówniej.

Okazało się, iż panna Aniela, która na miejscu w katedrze naocznym była świadkiem manifestacji, połowy nie widziała ani słyszała tych rzeczy, o których tu już przy stole rozpowiadano.

Towarzystwo było dosyć mieszane, znaleźli się więc i *partyzanie* Radziwiłłowscy i obrońcy Czartoryskich.

Zaczęto rozprawiać żywo i panna Aniela chwilę upatrzywszy mogła się wymknąć od stołu, usiadłszy w kątku dla spoczynku.

Tu czatujący na nią, spragniony widzenia i rozmowy Bujwid, który się dla niej w nowiuteńki kontusz ustroił, w barwach województwa wileńskiego, natychmiast pośpieszył zabawiać.

Zniecierpliwiona tą natrętnością byłaby może uciekła od niego, gdyby surowy wzrok matki jej nie wstrzymał. Siadł więc pan starosta pogorzelski i począł od ubolewania, iż panna strażnikówna zmęczyć się musiała dotrzymując towarzystwa hetmanowej.

— Niech mi pan wierzy — odparła z cicha, obawiając się, aby jej matka nie posłyszała — że mniej się zmęczyłam przez cały ten czas, gdym z panią hetmanową była, niż tu od wnijscia mego do domu.

Bujwid nie zrozumiał. Zamyślił się, umilkł. Długiego potrzebował czasu, nim mu się wyrwało:

— Niechże mnie panna strażnikówna raczy objaśnić, jak ja to mam rozumieć?

— Jak pan starosta chce.

— Więc to ja zapewne tak panią męczę i nudzę? — zapytał.

— A gdyby tak było? — odparła.

— Czy panna strażnikówna myśli, że mnie tym odpędzi od siebie? — począł Bujwid, niezmiészany bynajmniej. — Ja się nie daję tak łatwo zrazić, bo miłość prawdziwa jest bardzo cierpliwa. Im mniej dotąd miałem szczęścia się podobać jej, tym muszę więcej szukać wszelkiej okazji pozyskania jej faworów.

Panna ramionami poruszyła.

— Wiem ja to, że panna strażnikówna — mówił dalej — woli towarzystwo wysokie, paryżanów naszych i fircyków modnych; ja jestem prosty starego autoramentu szlchcic, ale na mnie i serce moje liczyć można, gdy na tych, co w

perukach chodzą, z *rożenkami*; u boku, wcale rachować niebezpiecznie, bo to są wyrodki!

Panna spojrzała złośliwie i szydersko; Bujwid wytrzymał ten wzrok i nie ustąpił. Owszem, siadł w bliskości, aby dowieść, że się odpędzić nie da. Szczęściem Szklarska była też niedaleko i zrozpaczona Aniela musiała dać jej znak, aby na pomoc przybyła.

— Waćpan tu, panie starosto — odezwała się zrozumiawszy położenie — trzymasz w oblężeniu strażnikównę. Dajże jej spocząć.

Starosta wstał nareszcie.

— Dwie na jednego, siła złego! — odezwał się. — Muszę zrejterować, ale pani tego nie daruję, że mi najpiękniejszy owoc tego wieczora wyrwałaś. Gdyby się choć na mnie pogniewała, i to bym wołał niż taką lodowatą obojętność.

— Jeżeli panu o gniew chodzi tylko — przerwała panna Szklarska — uspokój się. Miarkuję z oczów Anielki, iż celu waćpan dopiąłeś.

— A zatem — zawołał starosta padając na kolana — obowiązkiem jest moim stopy ucałować i o przebaczenie prosić.

To mówiąc pochylił się zręcznie i tak niespodzianie zdjął pannie Anieli haftowany jej na korku trzewiczek z nogi, iż krzyknęła oburzona nie mogąc go już obronić.

W górę podniósł rękę z nim i począł wołać na głos.

— Pani strażnikowa dobrodziejka, pozwoli! Skutkiem zajścia z winy mojej, dla przebłagania panny Anieli, piję zdrowie jej z tego trzewiczka. A kto nie chce mieć do czynienia ze mną, ten to spełni jak ja.

Strażnikowa chciała się opierać, ale ta staropolska fantazja Bujwida przypominała jej dawne czasy; było w tym wybryku tyle wesołości i fantazji, że zabraniając śmiać się zaczęła. Goście zaś wszyscy wstali podnosząc ręce i wołając:

— Toast z trzewiczka! z trzewiczka!

Najstarszy pan wojski trocki, Glinka, zaprotestował tylko, że on sam to zdrowie wniesie i trzewiczek odebrawszy Bujwidowi, wstawił w niego kielich.

— Kwiatka naszego, różyczki naszej, panny strażnikównej zdrowie i abyśmy wkrótce na weselu jej powtórzyli.

Hałaśliwie przyjęto toast. Kielich z trzewikiem poszedł z ręki do ręki, a każdy silił się na jakieś słówko. Panna Aniela gniewna, zapłoniona, stała w kąciku nie dziękując nawet. Szklarska pocieszała ją całując.

Bujwid sobie wymówił, że ostatni pić będzie. Kielich nareszcie przyszedł do niego, lecz gdy go brał, strącony zręcznie upadł na ziemię i rozbił się na drobne kawałki. Starosta wąsa pokręcając rozśmiał się.

— Nie tak się pije z trzewiczka — zawołał — już niech będzie, co chce, ja piję z niego bez szkła i całuję tę nóżkę, która go dotykała. — To mówiąc nalał szybko wina do trzewika, napełnił go po brzegi i bardzo zręcznie duszkiem wychylił wśród gromu oklasków.

Z trzewika spadły jeszcze krople na ziemię, a starosta go skrzętnie składając i zwijając w serwetkę, pochwyconą ze stołu, złożył pod kontuszem na sercu.

— Wyrządziłem pannie strażnikównie szkodę, ale mi pani matka dobrodziejka dozwoli, abym jutro inną parą starał się je zastąpić — zawołał nie słuchając i nie szukając odpowiedzi.

To mówiąc zbliżył się do pani Koiszewskiej, rękę jej całując z przyklęknięciem.

Strażnikowa wcale się gniewać nie myślała. Wszystko to jej, nawykłej w młodości do daleko śmielszych wybryków, wydawało się miłym wspomnieniem, echem własnej młodości. Ale panna Aniela, którą te zaloty, rubaszenie prowadzone, do najwyższego stopnia oburzały, płonęła z gniewu. Szklarska jej uspokoić nie mogła; uciekła kulejąc do swojego pokoju.

Chociaż pora była spóźniona, goście rozochoceni siedzieli jeszcze i humory się coraz stawały weselsze, a strażnikowa, rada, coraz wino świeże przynosić kazała i wzięwszy się w bok poza stołem chodziła, animując i Bujwida karcąc, że nie dość troskliwie pilnował sumiennego spełnienia kielichów.

Już się wcale nikogo więcej nie spodziewano do tej kompanii, gdy dyskretnie się drzwi otworzyły i wsunął się, nie bardzo chcąc być postrzeżonym, Tołoczko.

Strażnikowa nie bardzo go lubiła, bo już tego zacięcia staropolskiego mu brakło i choć miał tytuł buńczuczny, buńczuczno nie wyglądał ani się znajdował.

Ale każdemu gościowi gospodyni musiała być rada, przyjęła go więc u drzwi i zaraz kielich przynieść kazała, który ust prawie nie otworzywszy spełnić musiał. Kilku dobrych znajomych przyszło go powitać, inni badali, czy nie wiedział co o dniu jutrzejszym.

— Dajcie mi pokój, ja się noszeniem nowinek nie bawię i jestem jak w rogu! Mój pan hetman na stronie stoi i stać będzie, do niczego się nie mieszając. Radziwiłł nas nie potrzebuje.

Pani Koiszewska przeczuła, że tak późno do niej nie przyszedł bez celu i ustąpiła z nim na stronę.

— Choć nie w porę, ale chciałem dziś jeszcze rozmówić się z panią dobrodziejką w jej własnym interesie.

— Bardzo panu rotmistrzowi jestem wdzięczną; ,ale cóż tam takiego — odparła Koiszewska.

— Jeżeli pani strażnikowej szczęśliwe rozwiązanie procesu na sercu leży — rzekł Tołoczko — przynoszę przyjacielską radę. Pani hetmanowa nudzi się nie mając towarzystwa w domu, a lubi bardzo pannę Anielę. Chce panią prosić, abyś córce dozwoliła u niej przebywać, póki jest w Wilnie. Panienka się zabawi, rozerwie, a hetmanowa wdzięcznym sercem przyłoży się przez męża do tego, aby proces został wygrany. Mogę za to ręczyć.

Pochwycona tak, strażnikowa z początku mrużeniem niewyraźnym odpowiedziała, niespokojna, oglądając się, na wpół zakłopotana, wpół ucieszona. Widać jednak było, że nawet nadzieja wygrania procesu nie mogła jej odjąć troski o córkę, dla której towarzystwo hetmanowej uważała za zgubne.

Ale jak tu było przed domownikiem Sapiehów tłumaczyć się z tego?

— Prawdziwie — odezwała się — wdzięczna jestem panu rotmistrzowi za radę, chociaż... wolałabym protekcję hetmanowej nie taką okupić ofiarą. Widzisz pan, Anielka młoda... pod okiem matki zawsze bezpieczniejsza.

— Ależ pani hetmanowa — zawołał Tołoczko — na chwilę jej z oka nie spuści, bo ją dla swego towarzystwa bierze! Dom senatorski, książęcy!

— Wielki to zaszczyt dla dziecka mojego — odparła strażnikowa — ale, panie rotmistrzu, nie bardzo to zdrowo do pańskiego życia nawykać, kto panem nie jest.

— Panna Aniela przez krótki czas nie nawyknie, ale pozna tylko, a znać i widzieć wszystko potrzeba — dodał Tołoczko. — Zresztą... ja przychodzę z radą a nie z namową. Wiem tylko, że hetmanowa zostanie ujętą tym i może być pani użyteczną.

Strażnikowa poprawiła machinalnie czepka.

— Jeżeli hetmanowa zażąda Anielki, rozumie się, ja nie odmówię.

Ostatnim wyrazem zadławiła się prawie i w duchu dokończyła.

— Stary lis... wszystko to jego sprawa!

Dzień był chłodny, wiosenny, pogoda niestateczna, jak u nas zwykle w kwietniu bywa, ale wszystkim tym, co dnia tego czynnymi być musieli u boku księcia wojewody, przy kanclerzu i biskupie Massalskim, gorąco dokuczało, tak biegali i niepokoili się, aby w czym nie zawinili.

Z rana już piechoty wojewódzkiej dwieście głów bez armat zaciągnęło do Trybunału i warty swe w cichości porozstawiali. A że im zalecano znajdować się bardzo skromnie i cicho, więc bez huczków i ostentacji, bo też i bez oporu, pozajmowali stanowiska.

Na zamek księżę, mający *jurysdykcję grodzką* jako wojewoda, wprowadził też swoich ludzi, nie znalazłszy ze strony przeciwnej nikogo, bo ani Fleming, ani kanclerz swojej milicji na pewne posiekanie narażać nie chcieli.

Tymczasem biskup Krasieński, który pośrednictwo swe gorąco brał do serca i nie chciał się wyrzec nadziei, że może coś da się jeszcze ułożyć, jak dnia wczorajszego, tak i tego od rana biegał, zaklinał, prosił o komplanację.

Księżę kanclerz Czartoryski, który wszystkim kierował, z góry już mając plan osnuty, w który wchodziło, aby do walki nie wyzywać, a księcia szkalować, dokuczać mu pismami i jątrzyć go, a miłość własną jego drażniąc, do pasji przyprowadzać, nie dawał się niczym skłonić do najmniejszego ustępstwa.

Poparcie Rosji, które miał sobie zaręczone, dawało mu siłę wielką. Z dumą, chociaż grzecznie, przyjmował ks. Krasieńskiego, o królu Augustynie wyrażał się z jakąś rewerencją szyderską, lecz ani króla, ani księcia wojewody znać nie chciał, gdzie indziej mając zwrócone oczy.

Ile razy biskup żądania królewskie powtarzając wdzięczność obiecywał, uśmiechał się książe kanclerz.

— Nie żądamy żadnych łask, tylko sprawiedliwości. Król Jego Mość, *ekstra* szlchetnego charakteru, dobroci wielkiej, najmniejszej siły nie ma. Oszukiwany jest. Brühl robi, co chce. Zgody z nim być nie może. Krajowe sprawy nie poprawią się. Popuszczamy pasa, zalewamy głowy, bezład i anarchia się szerzą jak zaraza. Trzeba temu koniec położyć.

Krasiński na próżno bronił króla i Brühla, zaklinał, aby się nie rozdawać, starać zbliżyć itp.

Powtarzane argumenta, prośby, obietnice rozбивały się o postanowienie niewzruszone kanclerza.

Czartoryscy ani osobami swymi, ani przyjaciółmi nie chcieli uczestniczyć w Trybunale, pod pozorem, że gdzie był żołnierz Radziwiłłowski, tam żaden z nich życia pewien nie był.

— Pan wojewoda zaleje pałkę — mówił otwarcie kanclerz — a wówczas na wszystko gotów; ludzi ma przy sobie, którzy się przed morderstwem ani gwałtem nie cofną.

Od pierwszych czasów, gdy Trybunały zostały *postanowione przez Batorego*, obyczajem było narodu pobożnego, iż czynności każdego rozpoczynały się od kościoła i modlitwy.

Katedralny kościół zwykle od rana do południa otwarty dla nabożeństwa, gromadził deputatów, palestrę, wszystkich w mieście będących na solenną wotywę o „Duchu świętym”, przy której miewał kazanie w ostatnich czasach zwykle pijar i od 1750 roku też przysięga deputatów w kościele uroczystie się odbywała.

Ksiądz Krasiński uprosił sobie u księcia, iż czekać będzie do godziny dziesiątej, bo jeszcze sobie pochlebiał, że Czartoryskich do porozumienia nakłoni.

W kardynalii tymczasem podawano śniadanie, a książe z podkomorzym, ze swymi przyjaciółmi i hetmanem Sapiehą był w pogotowiu do wyjazdu.

Fantazja tego dnia skłoniła go do włożenia na uroczystość tę nie paradnego stroju, ale starego ubioru województwa wileńskiego, który oznaczać miał, iż

długie pokolenia Radziwiłłów w województwie tym przodowały na krześle wojewodzińskim.

Delię tylko miał nową, rysiami podbitą po szyję, z *karbunkulem* diamentami gorejącym, takąż drugą spinkę, jakoby dziesięć tysięcy czerwonych złotych wartującą, *u kity* na czapce.

Twarz przybrał wesołą niby, ale pod tą maską widać było gorycz, gniew i wzburzoną dumę.

Wyrazy manifestu, odczytanego w kościele, chodziły mu po głowie i powtarzały się dokuczliwie.

Dziesiąta biła, gdy na znak dany wszyscy otaczający księcia ruszyli na konie i do powozów.

Sam wojewoda jechał konno, mając za sobą paradną sześciokonną karetę złocistą, otoczony dworem wiejskim, służbą najrozmaitszej broni i barwy.

Kawalkata była ogromna, ludzi mnóstwo, wojska na kupki podzielonego mnogość wielka. Ponieważ się spodziewano czegoś i obawiano, gawieź niezmiernie liczna zalegała ulice, place, podwórza i okna domostw.

Niektóre kamienice, w których stali przyjaciele i znani adherenci Czartoryskich, bramy miały pozamykane, okiennice pozaciągane i wyglądały jak wymarłe. Ale wewnątrz pełno było ludu zbrojnego z ponabijanymi muszkietami, gotowego bronić się do ostatka, gdyby był napastowany.

Rozkazy najsurowsze wydane były do wojska, aby się nikt nie ważył waśni rozpoczynać, wyzywać i obelżywymi słowami zaczepiać.

Cały więc ogromny orszak księcia wojewody, który plac pomiędzy kardynalią, kościołem świętego Jana, dzwonnicy zajmował i ledwie się mógł tu pomieścić, gdy księżę ku katedrze ruszył, pociągnął w pewnym porządku za nim.

Nie potrzebujemy mówić, że to, co do dworu wojewody należało, choć on sam występował w starym mundurze, błyskało od świetnych strojów i wytwornych zbroi. Twarze też godziły się z nimi, bo na nich malowała się śmiałość i duma jakby zdobywców i zwycięzców całego świata. Nikt już nawet w tej rannej godzinie zupełnie trzeźwym nie był, co dodawało animuszu. Pieśni tylko i chorągwi było brak, aby to na wojenne ciągnięcie wyglądało.

Pochód wolnym krokiem skierował się ku kościołowi katedralnemu aż pod same wielkie drzwi jego, które zastali zamknięte. Stukano i dobijano się chwilę, ale książę natychmiast dał znak do odwrotu. Uchylił sam kołpaka przed kościołem i w tym samym porządku milczący orszak jechał do izby sądowej.

Wszystko, co się tu odbywać miało, zawczasu było przewidziane.

Wiadomym było, że książę biskup Massalski zakaże duchowieństwu brać udział najmniejszy w fundowaniu Trybunału, ale tam, gdzie potrzeba było kapłanów do słuchania przysięg, znaleźli się upatrzeni wcześniej księza ze żmudzkiej diecezji.

Z sądownictwa dawnego książę nie znalazł nikogo oprócz starego podsędka wileńskiego, Mańkiewicza, któremu zwierzył zaraz, aby porządkiem zwykłym przystąpił do ufundowania, zapraszając deputatów do przysięgi.

Wiedziano już, ilu ich było i gotowych do zajęcia miejsca na krzesłach.

Mańkiewicz tedy powołał do przysięgi.

Przez poszanowanie stanu duchownego na pierwszym miejscu szło tu duchowieństwo, deputaci kapituły wileńskiej, żmudzkiej i innych.

Wileńscy, którym pod *ekskomuniką* Massalski zakazał się stawić, nie stanęli. Znalazło się jednak choć dwu, dających dobry przykład, deputat duchowny kapituły żmudzkiej i kapituły smoleńskiej.

Kolej przychodziła na deputatów świeckich, których wielu należało do partii Czartoryskich. Ci, chociaż zostali wybrani zgodnie, bez opozycji i wybór ich nie podpadał najmniejszej wątpliwości, wszyscy byli nieprzytomni. Można się było obawiać, iż Trybunał dla braku sędziów niemożliwym się stanie.

Z obliczenia jednak przyjaciół Radziwiłła i hetmana Sapiehy wypadało, że Trybunał mógł być ukonstytuowany. Z tych ani jednego nie zabrakło, a przeciw żadnemu z nich nie objawiła się opozycja.

Wszystko to szczęściem jakimś pomimo wielce wzburzonych umysłów, mimo namiętności grających silnie szło tak spokojnie i gładko, że książę podkomorzy wydziwić się nie mógł i powtarzał ciągle:

— „Jak z *partesów*, jak z partesów!”

Na twarzy księcia wojewody malowało się wielkie ukontentowanie. Poważny był i spokojny.

Deputaci, złożywszy przysięgi, nie bawiąc szli na ustęp dla wyborów spomiędzy siebie marszałków, wicemarszałków i innych trybunalskich urzędników.

Jak to poprzednio już postanowionym było, księżę Hieronim Radziwiłł, podkomorzy litewski, *unanimité* wybranym został marszałkiem wielkim. Bohusz, książe sługa — wicemarszałkiem, Łopaciński, przyjaciel i wierny adherent domu — marszałkiem trybunału skarbowego itp.

Do koła duchownego z należnych mu ośmiu deputatów świeckich, marszałek, obrany *stante pede*, wyznaczył tylko dwu, dopókiby deputaci kapituły wileńskiej przysięgi nie złożyli.

Wszystko to wedle dawnego obyczaju, w niczym mu nie chybiając, nie zmieniając, z osobliwym pośpiechem a jeszcze osobliwszym spokojem, niezakłóconym niczym, odbyło się, jak gdyby już opozycja zwyciężona dała za wygrane.

Księżę dotrawszy tu *decenter* i z wielką powagą do końca samego, po zaproszeniu Trybunału całego do siebie nazad z tą samą pompą i orszakiem przez ulice, jeszcze ducha pełne, pociągnął do kardynalii.

Lecz w tym powrocie, chociaż się ludzie książe wstrzymywali od wszelkiej manifestacji tryumfu i *rankoru* do nieprzyjaciela, nie obeszło się tu i owdzie bez zaczepki i napaści, bez słów obelżywych i odgrózek.

Gdzie się ludziom wojewody nie podobała jaka fizys skrzywiona, oddawano jej za kwaśne oblicze ruchami wyrazistymi, a niejeden przechodzień podejrzany po plecach oberwał. Wszelako komendanci umieli tak jakoś hamować swoich podwładnych, że do żadnego znaczniejszego tumultu nie przyszło, a gdy ciągnięto przed kamienicami, w których były gniazda kanclerskich przyjaciół, tam podwajano baczność .

Z tego jednak, co utrzymanie wojska w karności dnia tego kosztowało, wnosić było można, iż jeśli się kanclerscy przyjaciele prędko nie wyniosą z Wilna, na sucho im nie ujdzie. Wszyscy bowiem o manifeście wczorajszym wiedzieli już, chodził on z rąk do rąk, czytano go z oburzeniem, a gdy ludzie od pióra odpowiedzi się dopominali, zagłuszano ich tym, że na pisma podobne ki-jem tylko odpowiadać się godzi.

Wzburzenie przeciwko kanclerzowi i biskupowi Massalskiemu po przyjęciu i pijatyce w kardynalii urosło jeszcze, gdy się dowiedziano, co tymczasem zaszło od strony przeciwnej.

Biesiadowano tu ochoczo i wesoło, gdy Tołoczko, który był ciągle na koniu lub na wózku, nadbiegł do hetmana Sapiehy z wiadomością, że Massalski w katedrze zabiera się nowy manifest czytać i podpisywać.

— Płakać i manifestować się każdemu wolno! — zawołał Bohusz wicemarszałek — niech im przez to ulży na wątrobie.

Ponieważ Tołoczko sam się ofiarował jechać do katedry na zwiady, dano mu *benedykcję* na drogę wielkim kielichem, który i on spełnić musiał, bo księżę wojewoda wymówki żadnej słuchać nie chciał.

Chociaż kościół katedralny z rana był zamknięty, teraz dla wszystkich był otwartym, miano jednak baczenie u drzwi, aby się nie wcisnęło nadto Radziwiłłowskich przyjaciół, którzy by tumult wywołać lub protest publiczny mogli uczynić. I Tołoczko dostawszy się do drzwi musiał parlamentować ze stojącą u nich strażą, póki go wpuszczono. Ale że sam jeden był i kilku *tynfami* poparł prawo swe wniknięcia do kościoła, dano mu *ingres* bez przeszkody.

Katedra w tej porze dnia, niezwyklej do nabożeństwa, niezbyt była przepełnioną, tak że część publiki posądzić było można o to, iż z rozkazu biskupa tu się znajdowała.

Dostojniejsi tylko, ciż co wczoraj, nie wyjmując pułkownika Puczkowa, znowu w prezbiterium swoje zajęli miejsca.

Biskup w fioletach tylko, w komży i stule, ale z koronkowymi mankietami i koronkowymi obszyciami bogatymi, na tronie swym zasiadał. I tak samo jak wczora zabrał głos namiętny przeciwko opresji i dokonanemu już gwałtowi, który poparł tenże sam Narbutt, a po nim kilku innych *stellae minores*. Dopominano się *iterum* manifestu, który znalazł się gotowym i natychmiast był odczytany.

W tych wszystkich czynnościach jedno się najwyraziściej czuć dawało — to pośpiech gorączkowy jakiś, jak gdyby się obawiano, aby gwałtownik ów, przeciwko któremu się porywano, nie najechał kościoła i protestujących nie rozpędził.

W manifeście nie pominięto pośrednictwa przez króla zesłanych rozjemców, księdza biskupa kamienieckiego i kasztelana połockiego, wystawując

Czartoryskich jako do ustępstw skłonnych, a wojewodę jako głuchego na wszelkie namowy i rady.

*„Jaśnie Oświecony Książę Radziwiłł — mówił dalej manifest — nie tylko żołnierzy swoich nadwornych do izby sądowej zbrojnie przystawionych i armat pod zamek sprowadzonych odciągnąć nie chciał, ale jeszcze większą ich przymnożywszy liczbę, przystęp szlachcie z manifestami i dekretami przeciwko deputowanym a nawet niektórym sędziom zatamował. Także duchowieństwo **obmetum** sprofanowania **diluvii sanguinis** kościoła nabożeństwa zwykłego odprawować bezpieczeństwa nie miało i duchowni deputaci do przysięgi **accedere** nie wzięli się”.*

Cały manifest równie zręcznie tłumaczył to na korzyść Czartoryskich, co było ich winą, jak zasługi wojewody w pohamowaniu się od gwałtów i naruszenia pokoju zaprzeczał, a wymyślone opresje mu wyrzucał.

Protestował w ostatku, ale i tonem, i obelżywymi wyrazami nie tak już raził jak pierwszy.

Czuć w nim było niezmierny ból, iż stronnictwo, które się za silne dosyć uważało, by wojnę wypowiedzieć Radziwiłłowskiej potędze, zostało zwyciężone, pokonane i Trybunał *de facto* ufundowany istniał.

Dla zerwania go potrzeba było **absencji** kilku deputatów przeciwnego obozu i kilku duchownych albo zupełnego cofnięcia się większości i opatrzenia wojewody.

Tymczasem jawnym było po ukonstytuowaniu wedle obyczaju i dopełnionych przysięg, iż Trybunał istniał i sądzić miał jak poprzednie, a legalność przynajmniej co do form zachowaną została.

Tołoczce zdawało się, że widział na twarzach, że czuł w głosie protestujących znużenie jakieś i zniechęcenie. W tej grupie, która otaczała tron biskupi, żywe prowadzono rozmowy, które z dala wydawać się mogły sporami i wymówkami. Twarze były posępne, a ksiądz biskup Massalski miotał się namiętniej niż kiedy, nie zważając na wielki ołtarz ani na świętość miejsca.

Jeden tylko świadek bierny, pułkownik Puczków, znudzony poziewał, po kryjomu ręką się zasłaniając, i okiem ciekawym, znużonym toczył po starych, poczerńniętych murach kościoła, okrytych nagrobkami.

Po odczytaniu nowego manifestu, który jak się później okazało, równie z pierwszym do akt wniesionym nie został, biskup, hetman wielki, kanclerz,

pułkownik, wszystko razem z pośpiechem wielkim wyniosło się, powisało do powozów i rozproszyło po kwaterach.

Tołoczko wyszedł niepostrzeżony przez nikogo, a że hetman miał na niego czekać w kardynalii, pojechał z raportem do niego. Został tam to, czego się spodziewał — pijatykę rozpasaną, hałaśliwą, a księcia wojewodę przodującego. Winszowano mu tryumfu, co on z uśmiechem przyjmował.

Gdy Tołoczko się pokazał, zwrócił się do niego i *ante omnia*, dla odwilżenia gardła, kazał mu spełnić jednego z apostołów.

Apostołami zwano dwanaście kieliszków, tak wymierzonych, iż każdy z nich we dwójnasób tyle wina w sobie mieścił co poprzednik. Szczęściem dla niezbyt tęgiej głowy pana buńczuczny dostał mu się jeden z początkowych, a wojewoda o dalszy ciąg nie nastawał.

Rotmistrz potwierdził, że manifestacja dzisiejsza daleko była umiarkowaną od swej poprzedniczki i że ichmoście protestujący przeciwko gwałtom — mieli twarze smutne, zniechęcone oblicza...

Pito tedy zdrowie księcia podkomorzego, nowego marszałka, Bohusza, deputatów, urzędników itp.

Zanosilo się na jedne z tych hulanki nocnych księcia wojewody, które czasy miecznika przypominały. Tołoczko nie miał ochoty brać udziału w tym rozpasaniu, któremu rzadko kto mógł wydołać, i wymknął się nie czekając na hetmana, który wygodnie się rozsiadłszy drzemać się zabierał.

Służba powoływała go na Antokol, gdzie już spodziewał się znaleźć pannę Anielę zainstalowaną.

Nie był Tołoczko jeszcze tak dalece wtajemniczony w sympatie i antypatie hetmanowej, ażeby zawsze mógł odgadnąć, co ją pocieszy, a co ją zasmuci, i dziwował się, gdy czasem przyniesiona plotka, która mu się wydawała smaczną, znalazła się dla niej wstrętliwą.

Zręczna pani umiała mu potem to wytłumaczyć, ale w taki sposób, że zwykle jej nie odgadł. Pan buńczuczny wprost tylko po szlachecku wnosil, że cioteczni bracia z sobą musieli się kochać i że hetman a zatem i hetmanowa z sukcesów Radziwiłłowskich cieszyć się musiała.

Po drodze na Antokol mógł się przekonać, że Radziwiłłowscy, dwornia rozpuszczona na dziadowski bicz, tryumfem pańskim i winem do szalu była

doprowadzoną. Spotkał kilkudziesięciu młodzieży konno z pistoletami przebiegających ulicę i szukających tylko sług Fleminga lub Czartoryskich, aby na nich wyrzucić pomstę za manifesty, księcia *infamujące*.

Napadli oni nawet Tołoczkę po ciemku, którego poznawszy, gdy ich zgromił a zapowiedział, że o tym doniesie księciu, puścili nietkniętego. Słychać było po zaułkach krzyki i strzały; niespokojnie zapowiadał się Trybunał.

Postanowił o tym mówić hetmanowi, aby nie dopuścił rozpasania i gwałtów, które by i nieprzyjaciela niepotrzebnie drażniły, i Radziwiłła jako gwałtownika okrzykanego mogły w istocie uczynić w oczach wszystkich niepoprawnym a do miecznika litewskiego podobnym.

W pałacu na Antokolu tego wieczoru hetmanowa nie miała nikogo oprócz panny Anieli i przyjaciółki swej z lat dziecińczych, wojewodziny, z którą żyła jak z siostrą.

Wojewodzina wówczas na wielkim świecie znana pod imieniem Sylfidy, była bliską krewną Lubomirskich, a charakterem i temperamentem zbliżała się wielce do hetmanowej. Tyle tylko, że jej piękności nie miała, ale za to z wielką sztuką umiała malować się, stroić i czynić ponętą, bo figurę, rączkę i nóżkę miała zachwycającą.

Panna Aniela, która z dala się musiała trzymać, bo dwie przyjaciółki szeptały coś cicho, nudziłaby się może, ale mogła swobodnie przez ten czas czytać romans francuski, niezmiernie sentymentalny, który ją do najwyższego stopnia zajmował. Dwie przyjaciółki zwierzały się sobie wzajemnie i zdaje się, że Sylfida miała posłannictwo pośrednictwa, aby stolnika przyciągnąć do hetmanowej.

Dwie panie tak były przejęte rozmową, która już trwała przeszło godzinę, iż nie posłyszały, jak Tołoczko się zjawił w salonie. Ale za to się on nie gniewał, bo po drodze mógł naprzód powitać pannę Anielę, pocałować jej rączkę i przypomnieć, że on dzwonił na to kazanie.

— Widzi pani — szepnął jej po drodze — że się moje przepowiednie ziściły.

Szelest i szept zwrócił uwagę hetmanowej i nareszcie postrzegła Tołoczkę. On zdumiał się złemu humorowi, który na jej twarzy był widocznym, a wywołała go w części obojętność stolnika, intrygi wojewodzicowej mścisławskiej w ostatku i tryumf Radziwiłła, którego właśnie Tołoczko przyjechał winażować.

— Nie spodziewam się, żebym pierwszy tu przyniósł pani hetmanowej wiadomość, żeśmy świetne odnieśli zwycięstwo.

Sapieżyna przerwała niecierpliwie.

— Zmiłuj się, któż to — my? my? Ale ja ani dla męża, ani dla siebie z tryumfu tego nic nie myślę *rewendykować*.

— Jak to? — zawołał zdumiony rotmistrz — a po którejże my stronie stoimy?

— My... — odparła księżna — a przynajmniej ja, nie chcę stać po żadnej stronie. Czartoryskich nie mamy ochoty kochać, a księcia Radziwiłła, choć to brat cioteczny jegomości księcia — nie cierpię!

— Cóż to znaczy? jak Boga kocham, nie rozumiem! — zawołał Tołoczko.

— No, to już nie będziesz chyba tego nigdy rozumiał — wołała księżna — że ksiązę z tą swoją pijatyką, którą mi męża do choroby zamęcza, stał mi się nieznośny. A gbur i impetyk, jakiego drugiego nie znaleźć.

Rotmistrz stał skonfundowany mocno tym wybuchem szczerości.

— Księżna pani pozwoli, ażebym ja o tym nie wiedział — odezwał się zmieszany. — Ja z obowiązku sługi pana hetmana i pani mej, którą weneruję, przyjeżdżam oznajmić, iż Trybunał *feliciter* ukonstytuowany, ale to tak świetnie i szczęśliwie...

— Wiesz waćpan wszystko? — przerwała mu księżna.

— Zdaje się, że chyba niewiele kto więcej czym się pochwali — rzekł Tołoczko.

— Znajdujesz wszystko dobrym, co ksiązę zrobił — mówiła *zaanimowana* wielce hetmanowa — a cóż powiesz na to i co powiedzą nieprzyjaciele jego, gdy się okaże, że ksiązę na deputatów do przysięgi dopuścić kazał takich, których nigdy nikomu ani się śniło wybierać.

— Jezus! Maria! — zawołał Tołoczko — któż to hetmanowej doniósł... kogóż się to tyczy?

— A pan sędzia Aleksandrowicz — mówiła hetmanowa — a Romanowicz, a Gutowski?

Tołoczko, który szczegółów się nie dowiadywał, stał niemy. Bolało go i to, że księżna była tak informowaną doskonale i że zdawała się nie sprzyjać Radziwiłłowi.

Zafrasował się tym szczególnie, że o tych posłach nie wiedział.

— Ha! — odparł pokornie — ja się chyba do dymisji podać muszę, kiedy jestem tak źle informowany.

Księżna widząc jego minę skrzywioną i upokorzenie, nagle, jak to się jej trafiało często, ze smutku przeszła do śmiechu.

— Nie frasujże się, bo ja te wiadomości przecież winnam wam — zawołała. — Przejęłam liścik do was pisany.

— Ale mnie *konfuzja* spotyka wielka — rzekł Tołoczko — widzę, że się nie zdał do niczego, nie wiedziałem o tych deputatach.

— Będą nimi księciu w oczy rzucali — wtrąciła hetmanowa. — Wiem, że on sobie nic z tego nie czyni, ale ci, co z nim trzymają, radzi by go widzieć czystym, no i rozumnym... a on robi, co może, od rana do nocy, aby się pozbyć odrobiny rozumu, której go miecznik nie pozbawił.

Tołoczko miał czas się rozmyślić, a że nigdy księżnie się nie sprzeciwiał, zamilkł i teraz. Nie rozumiał jej, a urazę jakąś do księcia miał za przemijającą. Wysłuchawszy wielu przycinków, dawanych Radziwiłłowi, zabrał głos i co wiedział o fundacji Trybunału, o nowym manifeście Czartoryskich, o ceremonii powtórzonej w kościele, opowiedział żartobliwie.

— Będziemy się wszyscy starali — dodał — księcia nie dopuścić do wybryków żadnych i on teraz do nich ochoty nie ma. Co wojewoda, to nie miecznik, co się młodemu miecznikowi tolerowało, nie przystało poważnemu wojewodzie. Bieda tylko będzie z młodym dworem księcia jegomości, który za manifest pomsty szuka.

Hetmanowa pomiarkowała snadź, że zaszła za daleko, wynurzając się przed Tołoczka, i zamilkła.

Rotmistrz był zasmucony, choć mu w końcu za jego informacje podziękowała.

— Idź, waćpan, zabawiaj pannę Anielę — szepnęła mu chcąc się go pozbyć — bo my jeszcze mamy małą konferencję z panią wojewodziną.

Uradowany rotmistrz odszedł do strażnikówny, którą znalazł w dosyć dobrym humorze. Obdarzyła go wejrzeniem łaskawym, wywdzięczając mu się za wyratowanie z tego towarzystwa gburów, które matkę otaczało.

U hetmanowej była w tym świecie, do którego wzdychała. Wczorajszy trzewiczek Bujwida nie mógł jej wyjść z pamięci. Rumieniła się myśląc o nim. I miała może słuszość, bo niekoniecznie rada była, że miarę nóżki jej wzięto, która choć pięknych kształtów, niekoniecznie drobnymi się odznaczała rozmiarami.

Tołoczce, chociaż był rozkochany, na sentymentalną rozmowę w tym tonie, jaki by się mógł podobać pannie Anieli, zdobyć się było trudno; ograniczył się więc zabawianiem jej rozmaitymi szczegółami tyczącymi hetmanowej, jej gustów i usposobień, aby zastosowaniem się do nich mogła sobie jej względy zaskarbić.

Umiała to ocenić panna Aniela.

— Nie miej pan o mnie złej opinii — rzekła w końcu — iż od matki rodzonej uciekam i innego szukam towarzystwa. Z panią matką byłoby mi najlepiej i najmilej, gdyby żyła z ludźmi, jakich ja lubię.

— Bardzo bym jej wdzięcznym był — przerwał Tołoczko — gdybyś mnie nauczyć raczyła, czym się jej podobać można?

— Mnie? — odpowiedziała strażnikówna. — Ja się wychowywałam więcej przy ciotce niż w macierzyńskim domu. Nawykłam do ludzi i obyczaju większego świata, a tej poufałości, rubaszości i grubiaństwa, jakie matka moja znosi, bo się z nimi oswoiła, nie cierpię. Wczoraj o małym się nie spaliła ze wstydu i gniewu, gdy mi starosta pogorzelski trzewik zdjął, aby z niego zdrowie pić! Nie wiem, jaki to obyczaj, ale pewnie w Paryżu o nim nie wiedzą! Ja lubię ludzi łagodnych, grzecznych, miłych i szlachetne mających *sentymenta*, a nie sejmikowiczów i *palestrantów*.

Panna mówiła śmiało; Tołoczko dumiał.

— Sądzę, że u pani hetmanowej — rzekł — panna strażnikówna będziesz w swoim żywiole. Postaram się o to, ażeby ona zatrzymała ją przy sobie. Zabawić tylko potrzeba i smutnej nie okazywać twarzy, a pokocha i nie puści od siebie.

— A! ten Bujwid — odezwała się po chwili — dla niego jednego rada bym uszła, bo mnie prześladowe swoimi konkurami, a ma protekcję matki. Cała moja nadzieja w pani hetmanowej.

— I ja ręczę, że ta nadzieja nie zawiedzie — dodał Tołoczko — a na Bujwida, który tu się dostać nie będzie mógł, znajdziemy sposób.

— O, bardzo panu wdzięczną będę — wtrąciła ożywiając się strażnikówna. — Wolałabym do klasztoru niż wyjść za człowieka, który nigdy sentymentu dla nikogo mieć nie może, bo jest nieokrzesanym gburem. Ja tu u pani hetmanowej innym oddycham powietrzem!!

Tołoczce to poufne zwierzenie się bardzo smakowało, ale mimowolnie myśl mu przyszła i wątpliwość, czy on też był dosyć okrzęsany dla strażnikówny.

— Ha! — rzekł sobie w duchu — dziej się wola Boża, ostatnia to miłość moja; albo ta, albo żadna!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

San Remo 1886

TOM DRUGI.

Obawy tych wszystkich, którzy wojewodę znali, aby szczęśliwe ufundowanie Trybunału nie podniosło go w dumę zbytnią, nie były płonne. On sam hamowałby się może, przynajmniej gdy sobą władał, ale z dawnych czasów owych miecznikowskich pozostało w jego służbie siła ludzi, których potęga pana upajała do szaleństwa. Nie mogli znieść tej myśli, aby co wolę jego ograniczało... aby on potrzebował się w czym hamować.

Po szczęśliwym ufundowaniu Trybunału sądzili się w Wilnie przy wojewodzie panami. Nie mogli wytrzymać spokojnie, szukali okazji do zaczepki, wywoływali huczki i wyzywali na awantury.

Najmniejszy pretekst starczył im do podbudzenia wybuchu.

Ostrzegano księcia, aby zakazał po ulicach dokazywać, ale wojewoda bronił ich i tłumaczył.

— Zachowują się spokojnie — mówił — ma się na nich baczność, a młodość ma swe prawa. Huknąć i stuknąć — trudno zabronić, byle nie przebrali miary.

Zaraz pierwszego wieczoru po małych uliczkach, przedmieściach były zaczepki, strzelano, porąbało się kilku, ale w owe czasy nie raziło to jeszcze, bo duch w ogóle był niespokojny, a miotali się tak wszyscy.

Najgorszym było, że dla spraw w Trybunale zjazd był znaczny, ludzi różnych, zwaśnionych z sobą co niemiara. Ci radzi byli pozyskać sobie Radziwiłłowskich, aby z ich pomocą dokuczyć nieprzyjaciółom.

Pojono ich i przyjmowano podbudzając na tych, którym przypisywano niechęć dla księcia wojewody.

Zaraz nazajutrz pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dworzan, wojskowych, z milicji, hajduków, podpiwszy sobie związali się słowem, że na nieprzyjaciółach księcia za manifesta mścić się będą.

Dowiadano się o kwaterach ludzi nienawistnych, obmyślano środki, aby im się dać bezkarnie we znaki. Wiadomym to było, że książę swoich, winnych czy niewinnych, bronił do upadłego i nic im uczynić nie dawał. Uchowaj Boże, aby mu kto tknął człowieka, który w jego usługach zostawał, choćby służba ta była tylko pozorem.

Milicja Fleminga, Czartoryskich, Sosnowskiego, pisarza litewskiego, Massalskich po kątach się musiała kryć, aby nie narazić na zaczepki i bijatykę.

Niektóre domostwa po całych dniach stały pozamykane; ludzie mieli się na baczności, broń stała ponabijana. Czartoryscy usiłowali wszelkimi możliwymi środkami nie dopuścić gwałtów i bójek, raz, że słabsi daleko byli, po wtóre, iż grali tu rolę ludzi spokoju i porządku, szanujących prawa i nienawidzących warcholstwa. Ludziom ich zakazano było pokazywać się w ulicach.

Ale nie wszyscy się tak umieli zachować jak oni. Sosnowski, pisarz litewski, niektórzy oficerowie Fleminga— zdradzali dumą lekceważenie Radziwiłła.

Chociaż Trybunał stanowczo mógł być już uważany za doszły i to bez krwi przelewu, bez najmniejszej walki, opór przeciwko niemu nie ustawał. Jednym z najzjadlejszych był ks. biskup wileński. Nie dosyć, że pierwszego dnia pozamykał kościoły, nie dał później zgromadzić się na zwykłe po ufundowaniu nabożeństwa u świętego Jana, gdzie deputaci słuchali kazania i *Te Deum*. Kościół stał zamknięty. Pomnażało to gniew młodzieży i ochotę odwetu.

Pierwszą ofiarą padł Sosnowski niemal w biały dzień. Zawczasu go ogłaszano, jako desygnowanego marszałka przyszłej konfederacji. Nie sływał on ani z rozumu, ani z taktu, ale z dumy, której nie było na czym oprzeć.

Radziwiłłowska banda, jak ją nazywano, usadziła się go wyśmiać i nastraszyć, nie mogąc wyzwać na rękę ludzi, którzy siedzieli jak w więzieniu zamknięci w najętym domu.

Napędzono świadków ciekawych, wcześniej ogłaszając, że Sosnowskiego będą okrzykiwać marszałkiem.

Jakoż nad wieczór, gdy już gawiedzi ulicznej pełno było, pokazała się w dali banda zbrojnych, stojących a wykrzykujących ludzi Radziwiłłowskich, jadących z taką butą i fantazją, jak gdyby gród nieprzyjacielski zdobywać mieli. Prowadził ją dowódca hajduków, prawdziwy *Goliat*, chłop ogromny z wąsami do pasa, który *muszkiet* krótki a gruby trzymał o siodło oparty i dawał znaki swoim. Za nim jechali dobrani warchoły najszałeńsi, wszyscy podpili, każdy z

muszkietem albo z pistoletem, niektórzy szablami wywijając. Mieli tam już swoich namówionych, którzy wcześniej kupy kamieni nagromadzili.

Stanąwszy przed kamienicą Sosnowskiego jeden wyjechał naprzód i *buzdyganem* począł w bramę walić, choć wiedział, że mu jej nie otworzą.

Z wnętrza nikt ani pary nie puścił, ani dał znaku życia.

Wtem z tłumu ozwało się wołanie.

— Vivat Sosnowski, marszałek konfederacki!! Vivat!!

— Vivat cztery litery! — wołali drudzy.

— Vivat pół-psa — pół-kozy — niedowiarek Boży! — krzyczeli inni.

Powtarzali jednak najwięcej — vivat cztery litery!

Gdy stukanie do bramy nic nie wywołało, bo były wydane rozkazy, aby się nikt nie ruszał, chybaby bronić się przyszło, pierwszy hajduk z muszkietu strzelił ku oknom, a za nim, co kto miał nabożów gotowych, poczęli kulami do okien i drzwi ognia dawać.

Ale że im wreszcie kul i prochu żal było albo to za zbyt wielki dla Sosnowskiego honor mieli strzelbami go oblegać, rzucili się do kamieni, które chłopcy uliczni rażno im podawali, sami też ochotnie bombardując okiennice, okna, ściany. Tynk z nich opadał kawałkami, okiennice się rozsypywały i wisały deski porozbijane, a szkło szyb w oknach z brzękiem sypało się na ziemię. Ale i to nawet nie mogło ludzi Sosnowskiego wyzwać do boju, bo im go starsi bronili wiedząc, że gdyby się ruszyli, napłynęłyby gromady Radziwiłłowskich i z boju tego nikt by nie wyszedł cało. Nie udało się więc Radziwiłłowskiemu, bo nakrzyczawszy się, nałupiwszy okien i ścian, a ludzi nie mogąc dostać, nadaremnie tylko znużyli się i pomiarkowawszy, iż księżę z tego nie będzie rad, ze śpiewami i hałasem odciągnęli precz. Tyle pociechy mieli tylko, że nienawistnemu człowiekowi, pieczeniarczowi Brühla, dokuczyl.

Był to początek i próba, bo Sosnowski, mała figura, niewiele znaczył i tyle tylko, że należał do ligi przeciwko Radziwiłłowi. Znaczniejszą i wybitniejszą rolę odgrywał w tej koalicji podskarbi Fleming, nielubiony nawet przez tych, co z nim jednej się trzymali klamki. Nazajutrz więc stanęła umowa, aby na pałac Fleminga napaść. Tu spodziewano się nieodmiennie wywołać bójkę, którą by potem na zaczepkę ludzi podskarbiego złożyć było można.

I tu już pierwszym znakiem tego, że się gotowała utarczka, był napływ gminu, który na placu się skupił zewsząd nadbiegając. Jeden i drugi oddział milicji przeszedł mimo bramy spokojnie, choć piechota podskarbiego się w niej pokazywała. Za tymi jak za przednią strażą przyciągnął Goliat ze swymi, śpiewając polsko-żydowską piosenkę satyryczną, którą Fleminga jako Niemca prześmiewano.

Za pierwszym wystrzałem ku oknom pałacu na pierwszym piętrze, z których się szyby posypały, nastąpiło kilka innych, również na okna skierowanych.

Straż Fleminga, którą dowodził Niemiec Dreher, oficer młody, odważny i rozjątrzony już ciągłymi zaczepkami i obelgami, jakimi ich prześladowano, nie chciał znieść tego cierpliwie i z odwagą młodzieńczą wypadłszy z kamienicy, wprost na jednego ze strzelających się rzucił, konia mu za uzdę chwytając, aby go za sobą uprowadzić.

Ten, jak miał pistolet nabity w rękę, wprost się zmierzył do piersi Drehera i wystrzelił, a oficer pochwycił się za serce, zwrócił się tylko, okręcił i padł krwią brocząc bruk.

Ludzie Fleminga zobaczywszy to nie mogli się już powstrzymać i wszyscy, co w bramie stali, dali ognia do wojewodzińskich, którym szczęściem, oprócz jednego konia zabitego i kilku poranionych, nic się nie stało. Zabierało się tedy na formalny bój, który by był mógł przybrać niebezpieczne rozmiary, ale młody kasztelan, który przez swawolę komendę sobie nad oddziałem przywłaszczył, widząc, że to nie przelewki, pocziwego imienia swego na brudną burdę pożałował i pierwszy uszedł; za nim popędziła gromada z Goliatem.

Tołoczko właśnie przejeżdżał tedy, gdy się to odbywało, i parę kul mu około uszów świsnęło. Wiedział on i słyszał z ust samego księcia wojewody, iż burdy chciał uniknąć, a i hetmanowi o to szło, aby się brat jego zachował *cum dignitate*, więc Tołoczko, który kasztelan na oczy widział, miał sobie za obowiązek pobiec z tym do kardynalii.

Tu teraz, o jakiegokolwiek dnia godzinie kto przyszedł, zawsze pewien był jedno zastać: kielichy, wino i ludzi oszołomionych.

Wszedł rotmistrz mocno kasztelanem, który był krewnym i wojewody, i hetmana, zakłopotany, wołając na głos o wojewodę.

— A toć ci nie uciekam! — zagrzemiał głos siedzącego pana. — Na cóżem ci potrzebny?

— Na rany Chrystusowe! — krzyknął Tołoczko. — Wasza Książęca Mość jeden możesz to powściągnąć. Wszak kasztelanie z bandą lada jakich ciurów⁵) poszedł na pałac Fleminga; oficera jednego ubito... strzelają do siebie zajadle.

Książę posłyszawszy nazwisko kasztelanica zerwał się z krzesła.

— Co ci się przyśniło. Kasztelanica tam nie było, nie mogło być... milczcie mi!

— Mości Książę — odparł dumnie Tołoczko — oczy mam, a gęba moja się nigdy żadną potwarzą ani plotką nie zwałała. Widziałem.

— Nie widziałeś! — zagrzemiał książę — a choćbyś widział, toś powinien milczeć... rozumiesz to... ja ci zakazuję...

— Mości Książę, nie jestem pod jego rozkazami — odparł Tołoczko — a książę nie jesteś jeszcze hetmanem.

Zuchwała ta odpowiedź wprowadziła Radziwiłła w pasję; ścisnął pięść i cały się krwią oblał.

— Nie waż mi się mówić o tym... Moja ręka, choć w niej buławy jeszcze nie trzymam, sięga daleko, a komu na kark spadnie, temu *Miserere* śpiewają!

Tołoczko zamachnął ręką i zwrócił się do Sapiehy, który stał już, jakby u niego szukał obrony, choć się jej nie bardzo spodziewał.

Hetman stał z twarzą nachmurzoną, posępny, ale nie tak pokorny dla Radziwiłła, jak się ten spodziewał.

— Niech się brat umityguje — rzekł. — Co mój pan rotmistrz buńczuczny mówił z intencji dobrej, za to się go karcić nie godziło. Nie skłamał pewnie.

— Kasztelanica sobie tam uroił — przerwał książę — będzie to roznosił po mieście, aby mnie też do spółki wciągnął z tymi, co burdy poczynają.

— Ale Mości Książę — zawołał Sapieha — intencji w tym nie było.

Radziwiłł się perzył z gniewu.

— Kasztelanica tam nie było! Ja o tym wiedzieć nie chcę!! Sami oni wyprawiają hałasy, sami mącą, a na mnie i na moich zrzucają!

Sapieha nie dzieląc tego gniewu parę razy jeszcze przerwał bratu, lecz ten i względem niego opryskliwie się znalazł i stawiał okoniem.

Oba, Radziwiłł i on, co się wczoraj jeszcze całowali i poprzysięgali sobie *alians* i zgodę wiekuiłą, teraz nagle pod wpływem jakimś, którego odgadnąć było trudno, koso poczęli spoglądać na siebie.

— Warchoł niepoprawny, nigdy miecznikiem być nie poprzestanie — mruzczał sam do siebie Sapieha.

— Hetmanowej pacholik... pod pantoflem u żony... — szeptał księżę.

Sapieha, nie żegnając się, razem z Tołoczka wyszedł brata samego zostawiając, który natychmiast przywołał Bohusza i kazał mu wydać ordynans, aby nikt nie śmiał o żadnych donosić burdach, strzelaniach... bo on wiedzieć o tym nie chce...

Hetman, że od rana z Radziwiłłem się zabawiał, a nieustannie pić musiał, ledwie do karety wsiadł rozkazawszy Tołoczce jechać z sobą — coś zabełkotał, głowę na poduszki pochylił i — usnął. Aż do Antokolu jechali tak milczący, a Tołoczko był bardzo zafrasowany tym, iż się mimo woli księciu naraził. Gdy u ganku stanąwszy księżę się z powozu ruszać nie myślał, wybiegła hetmanowa przelękniona, czy mu się co nie stało, ale dowiedziawszy się, iż śpi, kazała tylko hajdukowi zanieść go do łóżka, a sama, splunąwszy, na pokoje swe powróciła.

Zawołała Tołoczka, ażeby jej wytłumaczył, co to wszystko, znaczyć miało. Rotmistrz, że i tak chciał się księżnie wypowiadać, począł zaraz opowiadanie *ab ovo*, to jest od napaści Fleminga.

Księżna słuchała ciekawie, a gdy w końcu przyszedł do tego, iż znalezienie się z nim księcia i ujęcie się za nim hetmana opowiedział, na twarzy hetmanowej odmalowało się prawie radosne uczucie.

— Te Deum będzie śpiewał — rzekła — ale kto wie, co potem — czy *Tadeusza nie zakwili!*

Nie tała się już przed Tołoczka ze swą *animozją* przeciw Radziwiłłowi, który jej przypisywał to, że Sapieha warty Trybunałowi odmówił, a choć księżę przełknął to zrazu, dławilo go po dziś dzień, że brata nie mógł sobie nakłonić do posłuszeństwa i przewodzić nad nim.

Po tej krótkiej zawierusze ludzi Radziwiłła pozamykano i kazano się im nie ruszać z kwater ani w ulicach pokazywać; ksiązę udawał spokojnego i o niczym nie wiedzącego.

Z przeciwnej strony lamenty, skargi i odgrazania były nieustające. A że dopóki Trybunał trwać miał, Wilno pozostawało w ręku Radziwiłła, Czartoryscy już tu nie mieli co robić i lękając się nowych zajęć wyjeżdżać postanowili.

Gdy o tym wojewodzie doniesiono, powiedział:

— Płakać po nich nie będę. Baba z wozu, kołom lżej. Z Panem Bogiem!

Zaczęli się wszyscy pakować i zmówili wyruszyć razem, aby kupą ciągnąc, na zaczepki mniej byli narażeni.

Sam ksiązę wojewoda dni następnych mało co się pokazywał siedząc zamknięty ze swoimi... Ale przyjaciele jego nie próżnowali. Bohusz, prawa ręka wojewody, człek obrotny, Judycki Marcin, sędzia ziemski, Rzeczycki, młody a porywczy i ognisty chłop, który Radziwiłła za sobą mając czuł się silnym — jeździli i chodzili nosząc się z *prepotencją* i powtarzając głośno, że tu wszystko musi być tak, jak oni zechcą i rozkażą.

Więc Bohusz, umiejący z każdej zręczności korzystać dla siebie, a na nikogo się nie oglądający, oprócz innych od księcia darów i dobrodziejstw wyrobił sobie u wojewody posesję na *ekonomię* wilejską, którą dotąd Abramowicz, starosta starodubowski, trzymał. Tego brat, kasztelan brzeski, do żywego dotknięty odebraniem staroście starodubowskiemu ekonomii, publicznie się z Bohuszem zetknąwszy, gdy ten go witać chciał po staremu, rękę jego odtrącił i od ostatnich słów łajać zaczął, przy czym dosyć świadków było.

Gdyby tam na miejscu zaraz ich nie rozwadzono, byłoby do szabel przyszło, choć Bohusz do niej skorym nie był. Ale złajaniu tego pana wicemarszałka Trybunału świadków było dosyć i na Bohuszu plama została niezmyta.

Gryzł się tym i nie mógł strawić ksiązę wojewoda, bo co spotykało Bohusza, poniekąd na niego spadało; na Abramowiczach mścić się było potrzeba, a oni też swoich popleczników mieli.

Tryumfując więc na oko, wszystko, jak chciał, sprawiwszy, Radziwiłł wcale się nie czuł szczęśliwym.

Po odjeździe Sapiehy, z którym aż do tego dnia po bratersku byli i dopiero z rana jakoś zaczęli się jeden drugiemu przekomarzać, popadł wojewoda w

senność, spoczywał, a przebudziwszy się — wszystkie *cirkułstancje* rozważając zmiarkował, że z Sapiehą przyjaźń braterska na włosku już wisiała. Sam nie wiedział, czy ją miał odnawiać lub wcale się o nią nie troszczyć. Wszystko zważywszy, do czasu postanowił z Sapiehą tak się obchodzić, jak gdyby między nimi nic nie zaszło.

Tołoczko zaś przybył na Antokol z mocnym postanowieniem, że noga jego nie postanie w kardynalii.

Wszystkie te dni po ufundowaniu bardzo niespokojne były; gotowało się jak w garnku. Chociaż większych napaści nie było ani po ulicach bójek — po przedmieściach, po zaułkach, w szynkach strzelano i rąbano się ciągle. Ludzi nie podobna było utrzymać, wykradali się po nocach.

Czartoryskim to już dokuczyło równie jak Flemingowi i pożegnawszy Massalskich ruszyli precz z Wilna. Wybrali do tego ranek wczesny spodziewając się, że opoje wojewody zaśpią go i dadzą im wyjść spokojnie.

W istocie nikt im drogi tamować nie myślał, ale przeszli jak przez różgi, nim się z Wilna wydobyli, bo wszędzie ich gawieź przeprowadzała śmiechami i drwinami.

Radziwiłł bez mała sam ze swoją partią pozostał.

W kilka dni potem idąc za radą swoich przyjaciół, choć wiedział, że go biskup do siebie nie dopuści, chciał uczynić zadość obyczajowi i nie Massalskiemu, ale pasterzowi owczarni, do której należał, złożyć należne poszanowanie. Z wielkim więc splendorem udał się, otoczony dworem licznym, do pałacu biskupiego, który został zamkniętym; oświadczone mu, że ksiądz biskup nie przyjmuje ani dziś, ani jutro, a wkrótce nawet Wilno opuszcza dla objazdu diecezji.

Tyle tylko, że się ludzie przypatrzyli pańskiemu dworowi wojewody, który w takich razach z przepychem monarszym występował.

Na Antokolu parę dni potem księżna się jeszcze dosyć ożywiona kręciła, bo stolnik bawił i spodziewała się go widzieć. Ale ją zawiodła nadzieja, gdyż nie mając tu co robić Poniatowski z wujami razem stolicę opuścił. Wyjechała zaraz za nim pani wojewodzicowa mścisławska, opuściło Wilno osób wiele i hetmanowa już tu nie miała co robić.

Hetman pod rozmaitymi powodami wyjazd swój ociągał, bo mu się do Wysokiego nie chciało. Z Radziwiłłem nie widzieli się wcale przez dni kilka.

Wtem, gdy księżna Sapieżyna najmniej się tego spodziewała, bo ksiązę wojewoda mało kogo odwiedzał, w czasie niebytności hetmana w domu przyjechał ksiązę wojewoda z uszanowaniem.

Nie przyjąć go nie można było, gdyż powozy gości, a było ich tego dnia dosyć, świadczyły, że z domu nie wyjeżdżała. Załamała ręce zniecierpliwiona, ale nawykła była *faire bonne mine a mauvais jeu*.

Ksiązę, który jej nie cierpiał, choć na pozór grzeczność czynił, w istocie nie mógł progu przestąpić, ażeby nie pomyślał, czym dokuczyć jej potrafi.

Hetmanową otaczało pań około dziesiątka, było i ichmościów prawie tyleż, a między innymi i Tołoczko. Zobaczywszy karetę i paradny *cug* wojewody przystąpił do hetmanowej, po cichu jej oświadczając, iż księcia bawić i gospodarza wyręczać nie będzie, gdyż z wojewodą są na noże.

— A gdybym ja rotmistrza pięknie prosiła? — spytała Sapieżyna.

— Ja bym jeszcze piękniej odmówił — rzekł Tołoczko, który się pospiesznie pokłonił i wszedł poza kobiety.

Na młodego więc Lubomirskiego spadło u boku hetmanowej czynić honory domu.

Radziwiłł był po śniadaniu, a choć mu świeże powietrze *trochę chmielu* odjęło, miał go dosyć, aby się gburowato trzymać i prawić, co ślina do gęby przyniesie. Wszedł poufale, nie śpiesząc witać hetmanową, jakby go ona niewiele obchodziła.

— Czołem pani Magdalenie — zawołał w końcu, podszedłszy i uśmiechając się — a cóż ci to jejmość dobrodziejka męża bez opieki wypuściła? Gotów co zmalować... a do niańki nawykł... to mu o swej mocy nie dobrze chodzić!

Zarumieniona mocno hetmanowa szukała chwilę odpowiedzi.

— A! — odparła — co się tam, ksiązę, troszczysz o hetmana; myśmy się tu ciągle o drogie zdrowie wasze niepokoiłi... Bo na wojnie lada kto z kąta może strzelić.

— A gdzież to pani hetmanowa wojnę widziała? — spytał Radziwiłł siadając nieproszony, choć gospodyni stała.

— Gdzie? wszędzie jej było pełno, nawet w kościołach! — odparła Sapieżyna.

— Myśmy o niej nie wiedzieli — zamruczał książę. — Gawiedź i ciury trochę sobie czupryn namordowali... ale im odrosną.

— Oficerowi Fleminga pono życie nie wróci — zawołała złośliwie księżna, która wiedziała, że książę o tym słuchać nie lubił.

Radziwiłł ruszył ramionami.

— Jeżeli to prawda, że tam Niemca jednego uśmiercił parobek jaki, to szkoda, że się nie dostało lepiej Flemingowi samemu.

Obejrzał się dokoła po paniach.

— Cóż, księżna tu też Trybunał fundujesz?

— A jakże! — zawołała Sapieżyna. — Wybieramy się sądzić wszystkich złych mężów.

— To chyba żaden się nie ostoi krom ślepych — rzekł książę. — A czymże ich karać będziecie? Gdzie będzie *fundum* i wieża?

Sapieżynie, którą w duszy gniew burzył, sprzykrzyły się już żarty książęce.

— Mamy i my swoje tajemnice, których nie wyjawiamy nikomu — odparła żywo.

Wojewoda głową poruszył; rad był jej czym dokuczyć, a nie miał nic boleśniejszego nad wspomnienie młodego Brühla, którym ją prześladował zawsze.

— Miałaś jejmość świeże *kresy* z Warszawy? — zapytał.

— Sądzę, że książę masz pewnie lepsze i pewniejsze stamtąd wiadomości — zaburczała hetmanowa przeczuwając, do czego zmierza.

— Ja? a skądżeby? Jejmość sobie zaskarbiłaś względy pana generała *artylerii*, a przez niego i do pierwszego ministra, i do króla droga najprostsza.

Spojrzał ku niej, ale znalazł ją zimną i wcale nie zmieszaną.

— Z Warszawy mi piszą, że z księcia niekontenci — rzuciła Sapieżyna — spodziewali się, że księcia kanclerza pan wojewoda zmoże, a tu się okazało, że on górą!...

— Hę? — zapytał wojewoda — górą??

— A tak... przecież oni ekskomunikowali Waszą Książęcą Mość w kościele... — zawołała hetmanowa — a księżę ich nawet nie śmiałeś w kardynalii...

Wojewoda zmiarkował wreszcie, że z hetmanową na języki nie wyjdzie zwycięsko, sapnął mocno, obejrzał się i rzekł:

— Żebyś, asińdzka, choć szklanką wody mnie przyjęła? Pić mi się chce!

Hetmanowa skinęła na kamerdynera.

— Wody dla księcia! — zawołała...

— Juści z winem albo też i samego wina — odparł wojewoda — jeżeli co jeszcze po fundacji pozostało, bo u mnie — pasz...

— A to chwała Bogu — przerwała Sapieżyna — bo mi choć raz może mąż powróci bez bólu głowy od księcia.

— Hę? hę? — rozśmiał się wojewoda — a asińdze się zdaje, że jego od mego wina głowa boli? Jako żywo... nosi on na niej ciężar wielki, co za dziw, iż zdrów nie jest...

Dwuznacznik ten wywołał rumieniec na twarz bladą hetmanowej.

Podano tymczasem na tacy wino i wodę... Kamerdyner ujął flaszkę z wodą.

— Dajże ty mi pokój z tym paskudztwem, w którym gęsi nogi myją... nalej wina za zdrowie hetmanowej.

To mówiąc powstał i kielich duszkiem spełnił.

— Widzę, że się hetmana nie doczekam — rzekł ocierając usta. — Zatem stopy całuję...

To mówiąc zawrócił się już nie patrząc na gospodynię, która go szydersko i swobodnie milczącym dygiem pożegnała, i zwolna pociągnął nazad do ganku,

dokąd go młody Lubomirski przeprowadzał. Do niego się nie odezwał ani słowa. Dwu dworzan pod ręce go ująwszy pomogli mu sięść do karety.

W salonie księżnej przez czas jakiś panowało milczenie; księżnie się jeszcze twarz paliła od gniewu. Panie, które słuchały rozmowy, nie wiedziały, czym teraz zatrzeć jej wrażenie, gdy hetmanowa się odezwała:

— Nie mam szczęścia do księcia jegomości... Zawsze z sobą wojnę prowadzić musimy.

Sceny tej była świadkiem, choć z daleka, i panna Aniela; wykwintnej i sentymentalnej panience sławny książę wojewoda nie podobał się wcale. Niewiele zrozumiała z rozmowy, ale po głosie czuła, że jej protektorka i wojewoda nie byli z sobą w najlepszych stosunkach. Nigdy sobie nie wyobrażała, aby w świecie, do którego należał najpotężniejszy magnat na Litwie, taki ton i obejście się uchodzić mogły...

Miałż się dziwić, że w domu matki mała szlachta znajdowała się czasem obcesowo i grubiańsko, gdy Radziwiłł i księżna tak sobie wydrapywali oczy przy ludziach?

Zadumała się mocno: gdzie miała szukać tego wykwintnego towarzystwa, za którym dusza jej tęskniła?

Nieszczęśliwym się mógł nazwać król August Trzeci, taka go piekła żądza powrócenia do Drezna, a nielitościwy minister Brühl, który robił z nim, co chciał, i zawsze umiał gniew pański od siebie odwrócić, pod rozmaitymi pozorami nie puszczał go. Niekiedy płakał, rozczulony cierpieniem pana swojego, tak pragnął go zaspokoić, lecz tysiące drobnych przeszkód powrót tamowało.

Niemal co dzień stęskniony kilkoletnim oddaleniem od swojej najmilszej stolicy, od swych obrazów, od swej opery — król pytał nieśmiało:

— Brühl, kiedyż my pojedziemy do Drezna?

Naówczas minister białe ręce łamał, padał mu do nóg i zaklinał go, aby był cierpliwym. Polaków niespokojnych odjechać tak nie było można, trzeba było na czas oddalenia jakiś sposób obmyśleć, aby Czartoryscy przeciw najlepszemu panu nie podburzyli umysłów... Zaklinał o cierpliwość jeszcze.

Przyczyną zaś zwłoki było, że należało spustoszoną Saksonię tak urządzić, ażeby się na pozór wydawała nie-zniszczoną, tak jej usta zamknąć, aby się na zdzierstwo nie skarżyła, a ludzi tak rozstawić, aby August powracający, zwycięski, tylko przyjemne wrażenia spotykał.

Brühl bowiem umiał mu wmówić, że z wojny tej wyszedł zwycięsko.

Trzeba było dać czas Dreznu, aby wycieńczone, znędzniałe, na pół wyludnione, trochę choć odżyło nadzieją pokoju i lepszej przyszłości.

Król niemal z pokorą błagał litości w końcu; minister ciągle obiecywał, a ciągle spełnienie gorących życzeń przeciągał.

Potrzeba było takiej znajomości charakteru Augusta, takiego doświadczenia w wyborze środków do łagodzenia go i zajęcia, jakie miał Brühl, ażeby przez czas dosyć długi umieć odwlec podróż i nie zniechęcić króla do siebie.

Fundowanie Trybunału służyło też Brühlowi bardzo skutecznie do utrzymania króla w Warszawie.

Takich Trybunałów, o które walki prowadzono, wiele już widziała cała Rzeczpospolita; ten nie był żadną nowością, ale Brühl umiał go królowi przedstawić jako wyjątkowo groźny i pełen znaczenia.

Zwiększał moc i zręczność w postępowaniu Czartoryskich, znaczenie spisków, które oni knuli w Petersburgu, potrzebę zasłonięcia się potęgą Radziwiłłów, która króla nic nie miała kosztować.

Wszystkie wiadomości, przychodzące co dzień z Wilna, rozdęte, powiększone, komentowane wedle potrzeby, służyły Brühlowi do utrzymania króla w stanie wyczekiwania... nie dając mu się pogniewać. Brühl bowiem nic tu winien nie był, a wszystkim nadzwyczaj zręcznie kierował. Minister umiał na swą korzyść wytłumaczyć wszystko... sobie przyznając władzę, której wcale nie miał.

Fundowanie Trybunału w Warszawie w redakcji ministra przeradzało się w istny romans, w którym role jasne grały osoby miłe jemu, a czarne — jego nieprzyjaciele.

Kazano się Najjaśniejszemu Panu spodziewać najszcześniejszego rezultatu, który miał Czartoryskich pokonać, odjąć im męstwo i złamać. Książę wojewoda miał w interesie króla otrzymać na Litwie moc nieograniczoną.

Król lubił księcia wojewodę, znajdował go bardzo miłym, bardzo mężnym, bardzo przywiązanym do *dynastii Wettinów*, a nawet przemądrym politykiem.

Gdy August dowiadywał się czasem o jakim zuchwałym a niezgrabnym wybryku księcia, tłumacząc go mówił:

— Przebiera się on za niedźwiedzia, ale w nim siedzi *Machiawel*. Nieprawda, Brühl?

Brühl potakiwał zawsze.

Biskup kamieniecki i kasztelan połocki donosili królowi wprost o staraniach pojednania, ale listy ich nie dochodziły do króla.

Zarządzonym było tak, że żadne pismo, jak żaden człowiek, nie dochodziło do króla bez pośrednictwa ministra.

Król przekonawszy się nieraz, iż to, co się przekradało do niego, zawsze go tylko nadaremnie gryzło, nie napierał się wiadomości, nawet gdy ich był najmocniej spragnionym.

Brühl miał w Wilnie swoich sprawozdawców, którzy umieli rzeczy tak malować, jak mu było potrzeba.

Zwykle kresy przychodziły w nocy, z rana je Brühl przeglądał i układał *ad usum Regis*. Heroicznie a nader łagodnie wyglądał w nich wojewoda; jako gwałtownicy i warchoły — Czartoryscy i ich sprzymierzeńcy.

Król się nikomu nie dziwował, bo Polaków wszystkich niemal miał za duchy niespokojne, krom podskarbiego Fleminga, ale według Brühla nad nim taką przemoc wywierali Czartoryscy, że nawet córkę jedynaczkę wkrótce wydrzeć myśleli. I król bolał nad nieszczęśliwym podskarbisem.

Można sobie wyobrazić, jak w doniesieniach ministra wyglądało traktowanie o pokój z Czartoryskimi. Radziwiłł wspaniałomyślnie wszystko chciał przebaczyć, podawał obie ręce do zgody, przystawał na wszystkie warunki, nadaremnie! Czartoryscy go uwodzili... i nastawali na upokorzenie jego i zgubę. Oni to zmusili Radziwiłła do ściągnięcia wojsk na swoją obronę, bo się chcieli posłużyć przeciwko niemu wojskiem cesarzowej.

August rozczulał się nad losem wojewody, nad jego umiarkowaniem, taktem, ofiarnością.

Zaciekawiony jak dramatem, król z dnia na dzień wyczekiwał nowych *perypecyj*, zawikłań i z trwogą pytał ministra wieczorem, co jutro przyniesie?

Brühl śmiało zaręczał, że zwycięstwo zostanie po stronie tej, która w obliczu Boga zasłużyła na nie. Kapelan potem odprawiał msze na intencję Radziwiłła, na które minister przychodził, dla króla zawsze będąc katolikiem — i czekano dni następnych.

Zerwanie układów opisano królowi tragicznie i dopiero potem poczęły się opisy tryumfów Radziwiłła, uciśnionego, ekskomunikowanego przez Massalskich, spotwarzanego w sposób najnikczemniejszy.

— Tandem bona causa *triumphat!* — wołał Brühl.

Król swobodniej teraz oddychał. Nie szło mu o Trybunał ani o wymiar sprawiedliwości, ale o to, aby jak najprędzej mógł wyjechać do Drezna. Brühl powstrzymywał jeszcze, ale już czyniły się przygotowania, dzień był naznaczony.

Tymczasem z Saksonii donoszono o niedokończonych restauracjach, mianowicie teatru, który miał służyć potężnie do odwrócenia uwagi króla od jęków wyniszczonej Saksonii. Galeria też, z Kónigsteinu przywieziona, jeszcze nie była rozwieszoną. Na ostatek łowiectwo królewskie nie było w stanie takim, aby mogło dawne, świetne przypominać czasy.

Cały etat myślistwa Jego Królewskiej Mości składał się z dwóch-set do trzechset ludzi, łącznie ze starszyzną stojącą na czele. Saskie łowiectwo pod naczelnikiem *Jagermeisterem*, najwyższym dworu hrabią Wolfersdorf, liczyło trzech *landjagerów*, czterech *kammerłowczych junkrów*, sześciu paziów i jeszcze stu różnych pomniejszych urzędników. Oprócz tego łowiectwo polskolitewskie było także pod zwierzchnictwem Wolfersdorfa, ale z osobnym *nadformeistrem* i mnóstwem różnych stopni myśliwych.

Tak zwane myślistwo *Parforce* podlegało zwierzchnictwu i komendzie hrabiego Brühla, z naczelnikiem baronem Feulner, panami von Trützsetter i von Wehleu itd.

Nie brakło i sokolniczych. Tych miał pod sobą hrabia Hrezan... jednego kapitana sokolnictwa, kamerjunkra, czterech sokolmistrzów, ośmiu sokolniczych i sześciu posługaczy.

Wojna i przenosiny do Warszawy skład nadwornego myślistwa mocno nadwerżyły, a Brühlowi szło o to, aby król w niczym nie uczuł uszczuplenia,

zubożenia. Właśnie w tym ulubionym zajęciu najdotkliwiej mogła się dać uczuć strata. Przygotowywano więc ludzi, konie, psy, tak aby August znalazł ten sam zbytek, do jakiego był nawykły.

Brühl dłużej nie mógł już tu króla utrzymać, jakkolwiek był pewien swej władzy i przywiązania Augusta do siebie. Z Drezna mu donoszono, iż rodzina króla, rozdrażniona, przygotowywała się wystąpić przeciwko niemu do ojca. Potrzeba było osobistym swym nieodstępnym czuwaniem zapobiec katastrofie.

Struna była zbyt naprężona i w końcu pęknąć mogła.

Trybunał stanął i spodziewano się, że spokojnie urzędować będzie. Czartoryscy powrócili do domu, postrach wojny domowej zniknął. Następujący Trybunał piotrkowski miał im dostarczyć okazji do nowego wystąpienia w Koronie przeciwko Potockim, których prowadził *wojewoda kijowski* mający za sobą Brühla.

Ostatnie dni pobytu w Warszawie, chociaż ani na chwilę nie zmieszał się porządek rozrywek i zabaw królewskich, nie rozchmurzyły czoła Augusta. Chodził pod wrażeniem tego, co tu tracił, niespokojny, co znajdzie tam, dokąd powracał.

Przed samym prawie wyjazdem posłańcy przynieśli Brühlowi dosyć dla niego niesmaczną wiadomość o tym, że Sapieha, hetman polny, niemal zupełnie się rozbrała z Radziwiłłem.

Księżna, jeżeli zerwania z nim nie życzyła sobie, była przynajmniej za tym, aby jej mąż nie wisiał przy Radziwille, jak mówiła, ale szedł i stał, gdzieby mu się podobało, to jest, gdzieby ona go postawiła.

Z dawnych przyjaciół i sług Sapiehy najściślej z nim połączony przyjaźnią, w młodości zrodzoną i późniejszymi losy, był generał adiutant buławy polnej, Putkamer. Nie mówiliśmy o nim, bo się rzadko albo wcale nie pokazywał na pokojach samej księżny. Ona mu darować tego nie mogła, iż Sapieże małżeństwo z nią odradzał, i uważała go za nieprzyjaciela. Jakoż w istocie Putkamer jej nie lubił i unikał.

Próbowała go sobie pozyskać na próżno, a przekonawszy się, że tego nie dopnie, usiłowała z mężem poróżnić, a przynajmniej serce hetmana dla niego ostudzić.

Putkamer dumnie i wysoko się nosił. Sapieże wiele w wojskowości dopomagał, bo ją rozumiał i żołnierz z niego był doskonały. Zresztą w

towarzystwie opryskliwy, nieprzystępny, lekko sobie szacujący ludzi, więcej miał wrogów niż przyjaciół.

W czasie fundowania sądów trybunalskich Putkamer dla Sapiehy ciągle z nim był, zatem i do Radziwiłła uczęszczać musiał, choć go to nie bawiło, bo pijatyki nie znosił.

Uchowaj Boże było go zaczepić, bo jak rękę do szabli, tak język miał straszliwy.

Powiadają o zwierzętach dzikich, że język niektórych z nich bywa tak ostry, że gdy polizą z miłości swojego nadzorcę, to mu język ich skórę znosi. Niejednego tak Putkamer poliział.

W kardynalii raz po obiedzie wdał się z nim w dysputę Marcin Judycki, sędzia ziemski rzeczycki, młody człek, który sobie dobrze ufał. Putkamer go politycznie śmiesznym uczynił i poszedł jak zmyty.

Chciał się potem mścić za słowo, które wszyscy powtarzali, ale po trzeźwemu zmiarkował, że nie było za co, a porwanie się na człowieka szanowanego na większe go pośmiewisko wystawić mogło. Rzecz tedy zdawała się ubita i skończona.

Księżna hetmanowa powaśnawszy z sobą braci i poruszywszy miłość własną hetmana, a obawiając się, aby czas dłuższy bawiąc w Wilnie nie dał się ująć wojewodzie, nagle zaczęła się zrywać do wyjazdu.

Hetman zwierzył się z tego Putkamerowi, boby może miło mu było, samemu tu pozostawszy bez żony, wypocząć i zabawić się. Adiutant, choć nie radził tego, wszakże skombinowawszy, że dla pokoju domowego lepiej było usłuchać hetmanowej, zrazu nakłaniał do wyjazdu, potem mieszać się nie chciał, a gdy rzecz postanowioną została, sam też hetmanowi towarzyszył. Był więc w tym neutralnym.

Księżna postawiwszy na swym bardzo była ucieszona, a żeby mąż nie zmienił sentymentu, wyjazd przyśpieszała.

Tołoczko, jak się tylko dowiedział, iż jechać potrzeba, uradował się tym bardzo, ale o swojej pieczeni nie zapominając począł pracować nad tym, aby hetmanowa wzięła z sobą pannę Anielę.

Dawszy słowo raz, potem lubiąc się rozerwać towarzystwem, księżna Sapieżyna na nowo mu to przyrzekła. Prawdę jednak powiedziawszy,

strażnikówna, choć przystojna, układna i pełna dla niej poszanowania, nie przypadła jej do smaku.

Hetmanowa chciała raz jeszcze Tołoczkę wyrozumieć.

— Mój rotmistrzu — rzekła — dałam ci słowo — nie cofam; postaram się o to, aby Koiszewska, w której się tak rozmiłowałeś, twoją była, ale powiedz ty mi szczerze, wybadawszy siebie, czy ona ci jest tak koniecznie do szczęścia potrzebna? Ja ci słowo daję, dobrze życzę i wyznam otwarcie: dziewczyna mi się nie bardzo podoba. Chce się jej grać rolę damy jakiejś, na którą nie jest pono stworzoną. W pretensjach, fummy wielkie, sentymentalna, a ty na gacha jesteś za stary. Miarkuj, czy ona dla ciebie, czy ty dla niej?

Posłyszawszy to rotmistrz w lament okrutny, ręce łamiąc, do nóg się schylając, błagając począł hetmanową *konwinkować*, że dla niego nie ma na świecie nikogo... oprócz panny Anieli.

Naśmiała się z niego hetmanowa i rzekła.

— Zatem rzecz skończona; pojedzie ze mną i będziesz ją miał. Daj tylko Boże, abyś później tego nie żałował.

Tołoczko natychmiast pobiegł do strażnikowej zabiegając, aby dla zyskania protekcji w procesie potrzebnej nie odmawiała hetmanowej córki do towarzystwa.

Trafił na złą godzinę, bo się Koiszewska tą opieką nad nią rozciągniętą uczuła obrażoną. A że Bujwida chciała dla córki, palnęła z góry.

— Jeżeli Anielka pani hetmanowej potrzebna, nie odmówię, aby na czas na jej dworze pozostała, choć mi to miłym nie jest, bo my swój kawałek chleba mamy i cudzych kątów wycierać nie potrzebujemy. Ale muszę przestrzec pana rotmistrza, że jeżeli myślisz, iż Anielkę sobie pozyskasz, a mnie skłonisz, abym ją wydała za ciebie, to z tego nic nie będzie. Lubię być otwartą. Waćpanu nie uwłaczam, ale starszy dużo od niej jesteś i wdowiec, a ja jej za wdowca wydać nie chcę.

Tołoczko, pochwycony zniecka, zmieszał się i zamiast sprawę swą *promować* wytłumaczył się, iż nikomu się narzucać nie myśli.

Strażnikowej o wygranie procesu chodziło, ostatecznie więc gotową była zgodzić się na pobyt córki w Wysokiem i gdy księżna Sapieżyna przyjechała po nią, wszystko ułożyło się łatwo.

Panna Aniela uszczęśliwiona była wielce, gdyż w swoim żywiole czas jakiś przebyć się spodziewała; w Tołoczce wprawdzie nie bardzo smakowała, miała jednak na widoku, że znajdzie młodszego i miłszego galanta.

Wszystkim więc stało się po myśli, chociaż hetmanowa zawczasu nad losem Tołoczki bolała.

Najszczęśliwszą może była panna Aniela, której się zdawało, że z jej posażkiem, twarzyczką, trochę francuszczyzny i figurką zręczną kawalera we fraku i przy szpadzie dostać będzie łatwo.

Panna Szklarska na drogę jej dała *admonicję*, ale to był groch na ścianę.

— Anielciu droga — powtarzała jej — masz zepsuty smak, podobają ci się fircyki! Na gacha to jeszcze pół biedy, ale na męża się nie zdali na nic! Ja jestem stara i niepowabna, a gdyby się o mnie taki galant w peruce starał, kijem bym go od siebie precz odpędziła.

Otóż, czego świadkiem być miała panna Aniela na tym świecie polerowanym i tak wykwintego obyczaju.

Z Wilna wyjeżdżać incognito, jak do niego wjechał, nie godziło się hetmanowi; trzeba było okazać hetmańską fantazję, a choć już dwór teraźniejszego Sapiehy nie mógł się zrównać z dworem tych Sapiehów, kanclerzów i hetmanów, którzy na raz z sobą po kilkaset ludzi dla swej okazałości na koscie swym prowadzili, książę musiał wyciągnąć z pewną pompą. Szło kilka powozów dosyć wytwornych; w jednym z nich jechała hetmanowa na przedzie mając pannę Anielę a obok siebie panią Połubińską, starościnę nowomiejską. Hetman jechał przodem, w karecie też i chciał mieć przy sobie generała adiutanta Putkamera.

Putkamerowi zaś, że czas był piękny, a on konno jeździć lubił i umiał, zachciało się dosiąść *dzianeta*. Wymówił się więc, że dla wielkiej parady wystąpi konno. Tak się stało!

Tołoczko też, żeby się przed panną z tym popisać, iż koniem włada dzielnie, kazał sobie podać wierzchowca i ledwie mu wyperswadowali, że się jak na solenność jaką nie przystroił w łuk i kołczan po staremu. Hetman, bojąc się śmiechu, buńczuka mu przed sobą nieść nie dał.

Jeszcze z miasta nie wyjechali, gdy na gościńcu spotykają Radziwiłłowską bandę, powracającą z miasta, ze śniadania, wszyscy podchmieleni, a przodem wywija najlepiej podejrziety pan Marcin Judycki.

Co mu się stało na widok Putkamera, Pan Bóg wie. Wprost z koniem sadzi na niego, *kańczukiem* w rękę wywijając.

Putkamerowi ani się śniło, ażeby go mógł zaczepić. Wtem Judycki przypadłszy, jak nie zacznie go po plecach tą *pletnią*, którą trzymał w ręku, okładać! Nim Putkamer miał czas szabli dobyć, wygarbował mu plecy porządnie, konia spiął ostrogami i poleciał.

Zawierucha się stąd wzięła okrutna, bo i hetman z karety chciał wysiadać, i jego ludzie za Judyckim gonić, ale Radziwiłłowskich nie było ani znaku.

Kobiety w krzyk i płacz, oprócz hetmanowej, która ze Putkamera nie lubiła, śmiać się poczęła.

Złożyli to potem na pijaństwo Judyckiego, że z niego oszalał... choć jako żywo, potem zdrowiuteńki był.

Hetman z pierwszego popasu napisał własnoręcznie list bardzo ostry do wojewody ze skargą i przycinkami na to jego pijaństwo, na rozpustę jego towarzyszków. Wątpić jednak można, ażeby ów doszedł księcia wojewodę, bo on naprzód listów nie lubił i nie czytał ich. Kazał sekretarzowi je rozpieczętowywać i *rezolucje* komponować. Sekretarz zaś, przyjaciel Judyckiego, pewnie skargę do kieszeni schował.

Putkamer wszędzie głosił Judyckiego za wariata i na tym się skończyło.

W czasie tej podróży wiosennej Tołoczko ciągle asystował pani hetmanowej i pannie Anieli, która otrzymawszy to, czego sobie życzyła, a nie chcąc, aby o Tołoczce rozgadywano, że się o nią stara, unikała go i odwracała się. Nie miał więc wielkiej pociechy, ale że był cierpliwy i wytrwały, więc się tym do panny nie zraził.

Podróż była nie bardzo wesołą, zwłaszcza że w drugiej jej połowie deszcz ze śniegiem i burze wiosenne dokuczać zaczęły. Powozy się psuły, na popasach i noclegach nie było wygody, którą hetmanowa lubiła. Z tego powstawały złe humory i kwasy.

Hetman nie chcąc ich znosić, pod pozorem, że mu pilno było, spiesznie ruszył przodem, tak że żona drugiego dnia dopiero po jego przybyciu do Wysokiego nadjechała.

Tu pannę strażnikównę czekały różne niespodzianki. Przy pani hetmanowej, jak na wszystkich pańskich dworach, przebywało mnóstwo rezydentek³⁸) różnej kategorii. W Wysokiem liczono ich około dziesiątka. Wszystkie, rozumie się, szlachcianki, żadna więc sobie uchybić nie pozwoliła.

Pannie Anieli zdało się, że od nich była czymś lepszym i na większe zasługiwała względy. Naprzód więc zaraz pierwszego dnia, gdy jej dano mieszkanie z panną Szyszko, łowczego córką, bardzo się skrzywiła, pretendując mieć osobne. Wyszła na ganek i znalazłszy Tołoczkę poskarżyła mu się.

Wiedział rotmistrz, jak tu trudno co wytargować będzie i że skarga źle usposobi hetmanową dla strażnikówniej, ale pobiegł i kołatał, aż dostał pokój z jednym łóżkiem. Ale tu było znowu ciasno, ciemno i wilgotno.

Panna płakała. Rotmistrz się jątrzył i gniewał. Wszystkie zaś rezydentki od pierwszego wystąpienia z panną Szyszko spiknęły się na pannę Anielę.

Trudno powiedzieć, jak wiele dokuczyć można na pozór nic nie czyniąc. Dostyc spojżenia, uśmiechu, ruszenia ramion, aby prześladowany w ten sposób uczuł się nieszczęśliwym.

Panna Aniela, która się tu nie takiego szczęścia spodziewała, znalazła się najbiedniejszą w świecie.

Dopiero hetmanowa postrzegłszy to, gdy ją litość wzięła, z pannami się rozmówiła i trochę zapobiegła, aby strażnikównie dano pokój.

Nastąpił pokój wrzekomy. Niektóre z panien posłuszne a znające i przenikające hetmanową poczęły się zbliżać do panny Anieli, przypoehlebiać jej, wyciągając ją na słówka. Dziewczę nie posądzając ich o chytryść wywnętrzyło się ze wszystkim, więc po kątach ją wyśmiewano, ale była trochę spokojniejsza.

Życie w Wysokiem, które ona sobie wyobrażała strumieniem rozkoszy, zabaw, muzyki, tańców, rozmów dowcipnych i wesołych, na miejscu się wcale inaczej prezentowało. Naprzód, mimo pozornej zgody i miłości między małżeństwem, życie ich było ciągłą walką i łataniem dla pokoju. Ustępował hetman tylko, bo ona, poty się skarżyła i lamentowała, aż na swoim postawiła.

Tych, których księżę w domu lubił, sama pani nie znosiła i upatrywała w nich nieprzyjaciół, na odwrót, kogo księżna protegowała, był hetmanowi podejrzany. Donoszono księciu na faworytów pani, jej — na ulubieńców męża.

Zwykle znalazł się jakiś *modus vivendi* i ciągnęło się z biedy, każde z nich na swoją rękę, ale gromadziły się rankory i potem niespodzianie następował wybuch. Księżna dostawała *waporów* i słabła, księżę musiał żałować za grzechy, przeproszać i koić.

Gości bywało dosyć, ale nie takich, jakich by sobie panna Aniela życzyła. O zabawach myślano rzadko. Księżę, gdy chciał czas spędzić wesoło, wyjeżdżał do sąsiedniego folwarku i tam męskie towarzystwo zapraszał na kawalerskie polowanie. Księżna miewała wizyty rodziny, przyjaciółek, zamykała się z nimi i nie przypuszczała nikogo.

Pozostawały wielkie *święteczne recepcje*, ceremonialne, niedzielne z kościoła nabożnych zaprosiny na obiady i wieczorki dla *fracymeru*, na które przychodzili do tańca wyżsi oficjaliści i wojskowi.

Panna Aniela strasznie noskiem kręciła... tego, czego ona chciała, nie było wcale.

Dosłyszała, że fracycmer dosyć pogardliwie traktowano i przezywano panny do niego należące Łowczankami. Usiłowała więc wydobyć się z ogółu Łowczanek jako panna strażnikówna trocka, ale nie chciano tego zrozumieć.

Miała nadzieję być powiernicą i przyjaciółką hetmanowej, a pobywwszy tu dni kilka przekonała się, że tego dostąpić nie będzie mogła. Zyskała tylko, że ją księżna używała czasem do czytania na głos francuskich komedii i do pisania mało znaczących listów, bo gdy poufne potrzeba było ekspediować, pisała je sama, bez ortografii, niepoprawnie, lecz nie zwierając ich nikomu.

Tołoczko teraz prawie nie opuszczał Wysokiego zabiegając około panny Anieli. Pozbawiona wszelkich innych kawalerów i nadziei, przekładając go dla stosunków nad Bujwida, powoli strażnikówna oswajać się zaczęła z myślą, że mogłaby wyjść w ostatku i za niego.

Z domu swego obiecywała sobie uczynić rezydencję przyjemną, która by dystyngowane towarzystwo przyciągała. Ostrożna jednakże, w ostateczności dopiero gotową była zaspokoić się Tołoczka.

Wysokie czasu pobytu obojga hetmanostwa, choć miało pozór pański, dwór liczny, petentów i klientów oblegających je mnóstwo, dla oszczędności, bo w

złych interesach był hetman, utrzymywano na stopie bardzo niewykwintnej dni powszednich, tak że panna Aniela za swój miły grosz musiała sobie coś kupować na miasteczku, aby nie mrzeć głodem.

Przy gościach zbytek był czasem wielki, potem nagle taki wikt, że i na folwarku gorszym być nie mógł. W ogóle ładu brakło, a nikt go zaprowadzić nie umiał.

Księżnej życie wydawało się bardzo czynne, choć nie robiła nic. Nie nadszedł dla niej jeszcze ten wiek, gdy nabożeństwo zastępuje wszystko. Hetmanowa chciała być młodą i ładną i była nią jeszcze, ale nie tak czarującą jak w pierwszej młodości, gdy dla niej wszyscy głowy tracili. Zabawiała się więc, jak mogła, naprzód pisaniem listów, intrygami politycznymi i *komerażami*, na ostatek haftami, do których u krosien zasiadało mnóstwo ubogich dziewcząt, a te dla niej całe suknie, płaszcze, białe hafty i na jedwabiach kolorowe wyszywały.

Sama hetmanowa rysunki wynajdowała, kolory dobierała i komponowała te cuda, którymi potem stroje jej się odznaczały.

Panna Aniela, której do pomocy w tym zażyć chciała, okazała się zupełnie niezdolną. W jej przekonaniu były to rękodzieła, których szlacheckie paluszki dotykać nie były powinny.

Do stołu, choćby gości nie było, a rzadko się dzień trafił, aby ktoś nie przyjechał, zasiadało osób przynajmniej dwadzieścia kilka. Ale tu rozmowy bardzo trywialne toczyły się w polskim języku i przypominały rubaszością Bujwida.

Księżna hetmanowa była zalotną i sentymentalną, miała zawsze kogoś w myśli i sercu, ale na oko surowszej nad nią nie było. Im sobie więcej pozwalała, tym mocniej dbała o to, ażeby zachować w tajemnicy... serdeczne stosunki.

W czasie wielkich uroczystości kościelnych surowo pilnowała, aby dwór się od nich nie uwalniał i do kościoła uczęszczał. Panna Aniela też była zmuszoną siedzieć z książką godzinami na nabożeństwach.

Słowem, utrapień w tym życiu było mnóstwo, a rozrywek i zabaw bardzo mało. Nie śmiała się skarżyć o to nawet przed Tołoczka, który na osłodę tej *egzystencji* tyle tylko mógł, że cukierki wykwintne, czekoladę i przysmaki różne przywoził.

Po nocach biedna strażnikówna łzami się zalewała.

Nie poszcęściło się panie strażnikównie w Wysokiem, ale nadto była dumną, aby się do tego przyznała, owszem umiała wesołą przybrać postawę i nie okazać po sobie ani księżnie, iż się tu we wszystkim zawiodła. Jeden Tołoczko wiedział, co o tym trzymać.

Ten, biedaczysko, do panny się coraz więcej przywiązując popadł przez to w niewolę i mógłby był narzekać na nieopatrność własną, że się tak dał zakuć, ale miłość mu wszystko słodziła. Panna w duszy się z niego śmiała, ale go nie zrażała, aby mieć choć jednego sługę na rozkazy.

Ale nikt na tym nie wyszedł lepiej nad panią hetmanową, która nigdy Tołoczki na usługi swe tak wylanym nie miała jak teraz, gdy się od niej i przez nią ręki Anieli spodziewał.

Hetmanowa miała mnóstwo interesów, które jej zastępowały miłości dawne i intrygi romansowe, a do tych Tołoczko ciągle był potrzebny. Mogła się nim posługiwać, jak chciała, ani mruknął. Nawet w potrzebach swych pieniężnych, gdy bez wiedzy hetmana pożyczkę zaciągnąć na prosty *oblig* była zniewoloną, Tołoczko musiał albo sam dać, lub kapitalistę znaleźć, który by bez zastawu, bez wnoszenia do akt dokumentu pieniądze chciał wyliczyć.

I hetman polny, i sama pani, oboje tkwili w tej wojnie domowej, która kraj na dwa obozy dzieliła. Księżna na oko — z mężem zgodnie, on zaś postępując wedle wskazówek, jakich mu ludzie przebieglejsi dostarczali.

Z Radziwiłłem na bakier będąc nie zrywał całkowicie hetman, owszem, po tej stronie stał niby i jej dopomagał, choć ona księciu wojewodzie najgorzej życzyła i cieszyłaby się z jego upokorzenia.

Do Czartoryskich ciągnęła hetmanową potajemna miłość ku stolnikowi litewskiemu, która już zwolna przez obojętność jego w nienawiść się zmienić miała.

Radzono coś ciągle, knowano, przygotowywano, bo zwyciężywszy w Wilnie, potrzeba było w Koronie ustalić przewagę tego stronnictwa królewskiego, tak samo w Piotrkowie, nie dopuszczając Czartoryskich do Trybunału swojego.

Zjeżdżano się na *konsylia* i konferencje to w Białymstoku u hetmana wielkiego koronnego, to w Nieświeżu. Z osób nawet wyżej stojących wiele było, jak hetman, niepewnej barwy. Posądzano Massalskiego, hetmana

litewskiego, który miał urazę jakąś do kanclerza, że i on gotów był odstąpić go... byle mu nieco bębenka podbito.

Najdziwniejsze było położenie hetmana Branickiego, który, z Czartoryską żonaty, przeciwko familii stawał, a pani hetmanowa, milcząca i skryta, sercem była z nią i mówiono, że potajemnie stąd o wszystkim donosiła do *Wolczyna*.

Ponieważ Sapieha po kilkakroć Branicki zapraszał i wzywał do siebie, a i hetmanowa pałała żądzą odwiedzenia Białegostoku, ułożono się, aby przed św. Janem i imieninami, na których być musieli, odwiedzić hetmana i przypomnieć mu się.

Oboje państwo w chęci zrobienia tej wycieczki zgodni byli, Sapieha sam wniósł, że do boku swego weźmie rotmistrza Tołoczkę.

O pannie Anieli wcale mowy nie było, ażeby jechać miała, ale rotmistrz życzył sobie być z nią, aby korzystać z podróży, dającej okazję przybliżenia się; począł więc molestować księżną, aby strażnikównę zabrała z sobą.

Wielkiej ochoty do tego nie miała księżna z przyczyny, do której sama się sobie może nie przyznawała. Oto świeża twarzyczka młodej panienki krzywdę czyniła jej płci malowanej i podrobionym rumieńcem. Naśmiawszy się i nadrażniwszy rotmistrza w końcu zgodziła się pannę zabrać z tym warunkiem, aby suknie i ubiory dla wystąpienia na świetnym dworze białostockim wstydu jej nie uczyniły.

— Strażnikowa skąpa jest — powiedziała Tołoczce — jedynej córce załuje na sukienki, ja zaś, szczerze ci powiadam, i grosza na wyrzucenie nie mam, i obdarzać dziewczyny mającej nie widzę potrzeby; postarajże się, aby ubrać się w co miała, bo choćbyśmy pojechały do Białegostoku, na pokoje jej lada jako, po parafiańsku wystrojonej nie wezmę.

Nie podobna odmalować i tej radości, i tego strachu, jaki przejął pannę strażnikównę, gdy się o wyroku na sobie *ferowanym* dowiedziała. Natychmiast umyślnego u Tołoczki uprosiwszy napisała do matki, zaklinając i prosząc, aby choć ten jeden raz jej błaganiu uczyniła zadość.

Garderoba strażnikówny jak na Białystok bardzo była skromną. Właśnie pod ten czas rezydencja hetmana wielkiego była w całej Polsce najświetniejszym dworem, cudzoziemską modą wykwinną i przepychem słynącym. Był Białystok dobrego tonu i francuszczyzny stolicą. Życie na wielkiej stopie, bez jutra, płynęło tu jednym strumieniem zabaw, rozrywek i popisów pańskiej wspaniałości.

Przyjaciele hetmana marzyli nawet, iż po Auguście Trzecim, którego zdrowie zdawało się chwiać i niedługo obiecywać życie, nie kto inny jak on zasiądzie na tronie.

Marzenie o tym pono i Branickiego upajało. Żył też zawczasu po królewsku. Przez żonę zbliżony był do Czartoryskich, których mało spodziewał się mieć za sobą.

Małżeństwo to nawet było na owe czasy, nawet w tej sferze, w której polityka, rachuba, chciwość je zawierają, jednym z najosobliwszych. Hetman był już w wieku podeszłym, choć jeszcze życia pełnym i trzymającym się świeżo, księżniczka mu przeznaczona młoda, piękna, wykształcona i godna wielkiego losu. Spodziewano się, że go zawojuje z łatwością, rachowano na to, tymczasem hetman, wystygły już, zobojętniały, oczarować się nie dał. Z wielkim poszanowaniem obchodził się z żoną, dał jej swobodę wielką, nie okazywał nawet zazdrości, ale nie dozwolił okiełznać.

Małżonkowie po niejakiem czasie pozostali z sobą na stopie grzeczności, galanterii i zupełnego zobojętnienia.

General Mokronowski, domownik hetmana — nie było to już tajemnicą — i pozyskał serce pani.

Z mężem nic już nie łączyło opuszczonej, na dworze białostockim była obcą i samą, serce więc ciągnęło ją ku swoim, a szczególnie do brata stolnika. Wszystko, co otaczało męża, było jej nienawistnym; posądzano więc ją, że o wszystkim, co się tu działo, dawała różnymi sposobami znać do Wołczyzna. Mokronowski, wierny, służył, do czego tylko chciała, za pośrednika.

Nie przeszkadzało to Białostokowi bawić się, bankietować, wyprawiać fety świetne w **Choroszczy**, zapraszać na bale, na których piękna uroczo, powabem smaku otoczona pani hetmanowa królowała.

Branicki tyle miał do wyrzucenia samemu sobie, tyle winy ciążyło na nim, iż nie miał prawa niczym ze strony żony się obrażać, jej świat wybaczał przywiązanie do Mokronowskiego, bo on sam osobiście zasługiwał na nie, a okoliczności uniewinniły oboje.

Dwór, towarzystwo tutejsze, sposób życia słynęły w całej Polsce, każdy był ciekawym bliżej je poznać... nie dziwna więc, że biedna strażnikówna żądzą tą pałała aż do suszenia na tę intencję i modlitw natrętnych.

Umyślny poseł pobiegł do matki i odpowiedź przywiózł pomyślną, chociaż strażnikowa prosiła córkę, aby ta jej zachcianka była ostatnią.

Panna Aniela zapewniła Tołoczkę, iż się za nią hetmanowa wstydić nie będzie, przygotowywała się do podróży, spodziewała się, że Sapieżyna zechce widzieć jej stroje, lecz hetmanowej odeszła ochota i ani spytała więcej o to.

Miała daleko większą troskę — jak stosunki męża zabezpieczyć i nie dopuścić, żeby się ani zbyt wiązał przymierzem, ni narażał chłodem.

Chodziły pogłoski, iż się tu i *hetman wielki litewski* miał znajdować.

Sapieżyna dbała o honor domu i o znaczenie męża, chciała stać na straży, aby go nie lekceważono.

Upojona swym szczęściem wyjechała panna strażnikówna, a w wyobraźni jej rezydencja hetmana wydawała się czymś czarodziejskim. Obiecywała sobie nowy świat, nowych ludzi, ideały. Jej przeznaczenie widocznie ją tu wiodło ku jakiemuś tajemniczemu losowi, tam ją coś czekać musiało — młodzieniec nadzwyczajnej urody, wielkiego imienia, ogromnych posiadłości pan padał przed nią zachwycony... i uprosiwszy u matki błogosławieństwo prowadził do ołtarza.

Śniło się to panie strażnikównie, ale połowa przynajmniej marzeń ziściła się w rzeczywistości. Pałac i ogrody, pokoje, z wytwornością i smakiem wielkim przyozdobione, uczyniły na niej wrażenie. Z dziecinną ciekawością i zachwytem przypartywała się wszystkiemu, uśmiechała do tych wspaniałości nie oglądanych... nigdy w życiu.

Z dała i ludzie, którzy przepelniali te sale, postrojeni, obwieszani wstęgami i gwiazdami, ludzie, których peruki wydawały woń, fiołków i lilij, okryci koronkami, błyszczący od brylantów, wydali się jej istotami nadziemskimi... a panie i panny w rogówkach, na których drapowały się mieniące barwami tęczy jedwabie, upokarzały skromne, choć wytworne niby ubranie. Uczyla się patrząc na te nimfy i *sylfidy*... jak miała uśmiechać się i chodzić.

Z początku nawet tak ją zajmowało przypatrywanie się temu obrazowi, że zapomniała o sobie i nie tęskniła za tym, czy sama w nim jakąś odegrała rolę. Później jednak oko jej zaczęło szukać kogoś, co by jej choć najmniejsze okazał zajęcie, współczucie. Na próżno! Przechodzący spoglądali obojętnie i nikt nie zapytał o strażnikównę trocką.

Los tylko, gdy szli do stołu, nastreczył jej nieznanego, który przybliżywszy się (a był po francusku ubrany) z uśmiechem podał jej bardzo zgrabnie w kabłąk wygiętą rękę i poprowadził do stołu.

Kilka słów przemówił w czasie podróży do miejsca przeznaczonego piękną wcale fracuszczyzną i znalazłszy nie bez trudności krzesło u stołu sam musiał się wyrzec zajęcia miejsca przy niej, gdyż kobietom musiano ustępować.

Wejrzeniem pełnym wdzięczności podziękowawszy mu panna Aniela usiadła pomiędzy dwoma paniami, które na nią dosyć drapieżnie spoglądały.

Jedna z nich przecie, grzeczniejsza, rozpoczęła rozmowę i okazała się znajomą pani strażnikowej. Rozmowa więc dalej szła już dosyć poufale. Pani starościna wskazywała Anieli osoby, czasem trochę złośliwie komentując ich znajdowanie się w Białymstoku.

Panna Aniela uśmiechała się, słuchała, uczyła, a nie zaniedbała też oczyma szukać tego młodzieńca, który ją przyprowadził do stołu. Nie przyszło jej łatwo go odkryć gdzieś w tłumie, w kącie przy małym stoliczku, w towarzystwie mężczyzn, co umiała sobie wytłumaczyć tym, iż poufałym być musiał u hetmana albo może jego powinowatym.

Uczta wykwintna trwała nadzwyczaj długo. Pod koniec jej porządek był zmieszany, część mężczyzn pozostała w sali jadalnej, a panie do innej przechodzić zaczęły. Panna Aniela po oddaleniu się starościnej już chciała niespokojna sama prześliznąć się za innymi, gdy towarzysz jej wierny znalazł się przy boku w czas, podał rękę i z wesołym bardzo usposobieniem, rozpychając stojących na drodze, poprowadził do rzęsiście oświetlonej sali z chórami, na których już odzywała się pełna życia muzyka.

Serce biło mocno pannie Anieli. To być musiał ten mąż przeznaczenia, ten wymarzony jej towarzysz w przyszłości!

Zaledwie odprowadziwszy ją do krzesła znowu pokłonił się, gdy sądziła, że się przy niej zatrzyma... i zniknął. Natomiast prawie w tejże chwili ujrzała przed sobą pana buńczucznego.

Ten także był bardzo ożywionym po uczcie i uśmiechał się wdzięcznie spod siwiejącego wąsa.

— Niech mi panna strażnikówna daruje, że ja jej do stołu służyć nie mogłem — rzekł. — Hetman mi narzucił panią starościneę ponikwicką i musiałem z nią iść w parze. Szczęściem, że mnie Francuz wyręczył.

— Francuz? — żywo zapytała panna Aniela.

— A Francuz — odparł Tołoczko — i wielki ulubieniec pana hetmana, domownik jego od lat kilku.

Panna o inne szczegóły pytać się nie śmiała, aby zazdrości w rotmistrzu nie obudziła, ale Tołoczko zdawał się na ten raz cierpliwym.

Francuz, domownik, przyjaciel, ulubieniec hetmana, zapewne wysoki stopień w *hierarchii* wojskowej zajmujący. Markiz może lub hrabia — mówiła sobie panna Aniela... i serce znów żywiej jej zabiło.

Tołoczko teraz zamiast cudzoziemca tego wziął ją do polskiego, a choć to był odbijany i panna Aniela poszła od jednego do drugiego całym szeregiem nieznanym jej mężczyznom, spodziewając się, że los znowu jej da tego Francuza, nie zbliżył się już do niej. Później przywoływała go nawet wejrzeniami, pełnymi znaczenia, ale Francuz nieczułym na nie pozostał.

W obejściu się jego było coś dziwnego; musiał to być w istocie, jak mówił Tołoczko, domownik a może powinowaty hetmana, bo sam mało się bawił, ale czuwał nad drugimi, aby się zabawiali.

Biegał, prowadził, zapoznawał, częstował, dobierał pary do tańca, a sam nie tańczył, chyba chwilowo kogoś zastąpić było potrzeba. Naówczas z wielką gracją występował i chował się szybko do kąta.

Panna Aniela widziała w nim tajemniczą jakąś istotę.

Tańce przeciągnęły się bardzo długo. Strażnikówna nie miała szczęścia w nich, mało ją zapraszano i sama widziała, że wśród tylu postrojonych pań, szczególnie mężatek z fryzurami kunsztownymi na głowach, z brylantami i perłami na szyjach, ona w skromnym swym stroju, bez klejnotów, nie robiła żadnego wrażenia.

Tołoczko miał zbyt wiele tego wieczoru obowiązków, ażeby się mógł cały pannie Anieli poświęcić. Hetmanowa kazała mu pilnować, aby jej męża nie upojono. Sapięha posyłał go do różnych osób, z którymi się rozmówić pragnął w sprawie przyszłego Trybunału, na ostatek i hetman się do niego zwracał nieraz. Zabiegał więc tylko, gdy mógł, przynosząc limoniady, ciastka i cukierki, czuwając nad swym skarbem, który w końcu znudzony się i zdesperowany, prawie już drzymał.

Najboleśniej jej to było, że owego grzecznego Francuza przywabić do siebie nie mogła. Oczy jej zawód zrobiły, traciła ufność w siebie.

Rotmistrz zapytał, czy tańcowała, odpowiedziała kwaśno, iż nie miała znajomości i zapewne z tego powodu nie zapraszano jej do tańca.

Z tym odszedł Tołoczko, a że był, choć w litewskim wojsku, ale buńczucznym hetmana i miał stosunki, przyprowadził jej trzech towarzyszków kawalerii narodowej, panów Merłę, Puzyra i Oporkotowicza. Imiona te, wcale nie-arystokratyczne, nie podobały się pannie strażnikównie, ale chłopcy byli bardzo młodzi, ochoczy, weseli; ale cóż? u hetmana, który był sam na wpół Francuzem, dla niej się dobrali tacy, z których żaden nie umiał po francusku, a wszyscy przypominali rubaszością Bujwida.

Z tym wszystkim Oporkotowicz przypadł jej do smaku, choć bez francuszczyzny.

Pod koniec wieczora hetmanowa mając się usunąć od zabawy posłała Tołoczkę po pannę Anielę, który ją do niej przyprowadził. Po drodze spotkali Francuza, ale był mocno zajęty.

Pannie Anieli chciało się dowiedzieć, kto ów był, zwróciła się dosyć zręcznie do Tołoczki, śmiejąc się z tego, iż ów jegomość, co ją miał odwagę prowadzić do stołu, nie ośmielił się jej prowadzić do tańca.

— Miał rozum — rzekł rotmistrz krótko — bo do stołu, gdy zabrakło kawalerów, to co innego, lepiej on niż żaden, a do tańca!!

— Dlaczegoż nie mógł prosić do tańca? — zapytała panna Aniela.

— Nie wypadało mu — odparł Tołoczko.

— Dlaczego?

— No, a już ciż ze względu tego, kim jest.

— Jak to?' A któż on jest? Pan mówiłeś, że tak jak domownik bawi w Białymstoku i hetman go lubi.

— Szczera prawda — potwierdził Tołoczko.

— Któż on jest?

— Asystuje na wszystkich balach — dokończył rotmistrz — mówią nawet, że szlachcic, ale tymczasem tylko mistrz do tańców. Kawaler d'Ormont.

Panna Aniela zbladła jak ściana. Ona, strażnikówna trocka, była zmuszoną podać rękę tancmistrzowi!

Zbrzydł jej nagle Białystok, zabawa, świat... wszystko!

Szlachecka duma Koiszewskich odezwała się w niej silnie. Nazajutrz jeszcze wycieczka na cały dzień do Choroszczy, choć obiecywała wiele przyjemności, wspomnieniem tancmistrza była zepsuta.

Ale od tego zasłaniał ją Oporkotowicz, towarzysz kawalerii narodowej, którego się wstydzić nie potrzebowała.

Tego dnia gości przybyło więcej, a niektórzy znikli. Pod tą zabawą niewinną nawet niepodejrzliwe oko mogło się domyśleć jakichś potajemnych zmów, schadzek i narady. Poważniejsi panowie, czynniejsi ich towarzysze, znane postacie tych, którzy Radziwiłłom, Sapieże, Massalskiemu, hetmanowi służyli, przesuwali się z papierami i siedzieli gdzieś po kątach. W kancelarii nikt nie miał spoczynku.

W istocie, choć się tam nic dnia tego nie rozstrzygało, wszyscy na wypadek wiedzieć chcieli, z kim trzymać i na kogo rachować mogli. Oprócz tego kresy nadeszłe z Warszawy dawały do myślenia.

Już wyjeżdżający z Drezna król wielu się wydał zmienionym, smutnym i chorym. Nie rokowano mu długiego życia. Wiadomości przywiezione ze stolicy saskiej brzmiały niedobrze. Brühl zrobił, co tylko mógł, aby król przyjechawszy znalazł Drezno przynajmniej takim, jakim je opuścił.

Jechał do niego stęskniony, z bijącym sercem, cały przejęty wspomnieniami młodości, ale tu zamiast nich znalazł zawód tylko smutny. Wszystko mu jakoś w oczach zmalowało, zbrukało się, zmieniło. Dwór wedle *starego etatu* nie mógł być jeszcze zebrany, poumierali mu ludzie, wiele rzeczy brakło, bo je zniszczyła wojna, zabrali Prusacy. Okazałość, którą on tak lubił jak ojciec, nie dorównywała dawniejszej.

Zapytywał po cichu Brühla i choć odbierał zaspakajające odpowiedzi wykretne, smutno mu było. Żałował nawet żony, która się tak heroicznie broniła najazdowi na zamku, choć synowie go ożywiali, zdało mu się smutnie i żałobnie.

Wedle rozkazania pańskiego Magdalenę Correggia, którą on miał z sobą w Warszawie, odwieziono do galerii. Pozbawienie jej kosztowało go wiele. Madonna Sykstyńska Rafaela wydała mu się przyciemniała. *Chrystus z groszem* nie miał dawnej żywotności kolorytu, *Rembrandty* mgłą jakąś były okryte.

Dietrich, który przyszedł powitać pana niosąc mu jednego *Mierisa* przez siebie zrobionego i *Gerarda Dowa* naśladowanego cudownie, ledwie zdobył obojętne słowo. Na dobitkę pierwsze polowanie w lasach około Hubertsburga nie powiodło się. Rzecz niesłychana, poczwarna, nie do uwierzenia, wstydliva, król do rogacza chybił!!

Wy tłumaczono to tym, że nie on, ale strzelba dopuściła się tego kryminału, ale niemniej była to straszliwa wróżba. Na każdym kroku zawód spotykał powracającego w laurach powiędłych pana. Uśmiechał się, dławił w sobie to, co doznawał, lecz nie oszukał nikogo.

Doświadczał tego, co wszyscy ludzie długim oczekiwaniem czegoś spragnieni; osiągnięty cel życzeń nie odpowiadał temu, co wy karmiła wyobraźnia tęsknoty...

Boleść, jakiej doznał, i ukrył ją w sobie, pomimo starannego tajenia się z nią była wszystkim w oczy. Nosił ją wypiętnowaną na pięknej niedawno twarzy, nagle zgrzybiałej, obwisłej, w oczach zgasłych, na plecach przygarbionych, w mowie jękającej się i wstydzie, który go zmuszał kryć się przed ludźmi.

Po jedzeniu zaraz usypiał snem ciężkim, a obudzwszy się, gdy mu podano fajkę ulubioną, nie smakując i w niej, pykał milczący do wieczora, nie odpowiadając na pytania. Błazny jego zamiast pochwał i podarków dostawali surowe wejrzenia.

Król miał zamiar powróciwszy na swą ziemię na pamiątkę szczęśliwego odzyskania jej kazać uwolnić wszystkich, którzy siedzieli w Konigsteinie. Było ich tu wprawdzie mniej niż za czasów Augusta ojca, ale twierdza nie stała próżną. Na pierwszą wzmiankę o tym Brühl zaprotestował.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — mało co ich tam jest, ograniczyliśmy liczbę do ostateczności, ale to, co pozostało, ludzie są bardzo niebezpieczni, którzy by Waszej Królewskiej Mości pokój mogli zakłócić.

W istocie byli to tylko nieprzyjaciele ministra i ludzie, których on się obawiał.

Opowiadania o stanie zdrowia króla nie obudziły żalu ani obawy, ale przynagliły oba obozy do przygotowań na czas bezkrólewia.

Wszyscy pragnęli się wiązać, skupiać, aby przeważyć i mieć w ręku swym przyszłość.

Trzeciego czy czwartego dnia pani hetmanowa wybrała się nazad do Wysokiego z Tołoczka, którego zastępował spóźniony Putkamer. Do Wysokiego nie było się po co śpieszyć, a że hetmanowa miała kilka domów przyjaznych na drodze, korzystała z podróży, aby je odwiedzić. Tołoczko nieodstępny, ciągle na usługach panny, zużytkowywał zręczność dla przypodobania się pannie. Mówił już z nią otwarcie.

— Niech panna strażnikówna zważy tylko dobrze, czy nie będzie stokroć swobodniejszą u mnie niż teraz przy matce. Za Bujwida gburą wyjść, pani sama widzi, znaczy sobie kamień przywiązać do szyi. Pani ze mną robi, co zechce, jam jej sługa do grobowej deski.

Zawód, jakiego doznała w Białymstoku, usposobił ją do słuchania cierpliwego...

— Ja pana rotmistrza szacuję wielce — odpowiedziała mu — ale doprawdy nie wiem, czybym go uczyniła szczęśliwym. Kapryśne ze mnie dziecko. Pan lubisz wieś, spokojne życie, a ja — świat, zabawy, wesołość, stroje!

— Ja dla panny Anieli gotowem gusta odmienić, wszystko poświęcić — przerwał rotmistrz. — Dom otworzymy, pojedziemy do Warszawy... pani — nie ja będę komenderował.

I całował ją po rękach, a pochlebstwami obsypywał. Zwolna dała się nieco nakłonić do słuchania, do wspólnych marzeń o przyszłości.

— Ale co to po tym? — szeptała w końcu. — Choćbym ja się nawet zgodziła na to, matka nie pozwoli. Chce mnie koniecznie wydać za Bujwida, którego ja znieść nie mogę. Znam ją, gdy co powie, to jej przełamać nie można.

— Niech panna Aniela da mi tylko słowo — odparł rotmistrz — niech mi pozwoli, a ja rękę, znajdziemy sposób; pani hetmanowa całym sercem pomoże. Uplanujemy tak, przygotujemy wszystko, iż strażnikowa nie będzie mogła stawić przeszkody.

Obietnice Tołoczki, popierane przysięgami, zwolna poskutkowały; panna Aniela przychyliła się do jego życzeń. Bujwid był jej nienawistny, nad nim panować nie miała nadziei. Rotmistrza zawojować spodziewała się na pewno. Hetmanowej dom ułatwiłby jej wejście w świat.

Nie dając jeszcze słowa milczała; Tołoczko chciał bić żelazo, póki było gorące, nie odstępował jej ani na chwilę.

Na jednym noclegu księżna Sapieżyna widząc go tak służącym pannie, że o reszcie zapomniał, zapytała na ostatku.

— Cóż tam, panie buńczuczny, jak idą twoje interesa? Panna Aniela zawsze ci tak sroga, jak była?

— Nie będę się chwalił, Mościa Księżno — odparł Tołoczko — wszelako zdaje mi się, że czasu nie stracił. Gdybyś pani raczyła poprzeć moją sprawę, byłbym pewny wygranej.

— Ho, ho! tak zaszedłeś daleko? — rozśmiała się Sapieżyna. — Boję się, ażebyś nie doznał zawodu.

Tołoczko ją w rękę pocałował.

— Służyłem, służyć będę — odezwał się — ulituj się nad sługą swoim.

— Cóż mam czynić?

— Proszę przemówić za mną do panny — począł rotmistrz.

— Mnie się zdaje — przerwała hetmanowa — że choćbyś *pannę skonwinkował*, matka ci nie da córki. W tym sęk!

— Na to jest sposób — wtrącił rotmistrz — tylko że bez pani hetmanowej ja nie mogę nic.

— Mówże bo raz jasno i otwarcie!

— Gdy, da Bóg, zgodzi się panna, prosta rzecz, zrobimy uroczyste zaręczyny. Strażnikowa się pogniewa, złaje mnie, zbeszta córkę, bo to u niej nie nowina, ale zrękowin nie złamie, bo te są tak ważne jak sam ślub.

— Że waćpana złaje i córkę, to nic; — poczęła śmiać się Sapieżyna — mnie się też dostanie, obwoła mnie intrygantką!

— Nie będzie śmiała — odparł Tołoczko. — Proces, który miał rozstrzygnąć Trybunał, za moim staraniem odłożony został dla *komportacji*

dokumentów. Jej o ten proces tak idzie, że córkę gotowa oddać dla niego. Będzie musiała milczeć.

— Nigdy się nie spodziewała, abyś tak podstępny był intrygantem — zawołała księżna. — Na wszystko masz odpowiedź, obmyśliłeś...

— Mościa Księżno — zawołał Tołoczko bijąc się w piersi — to ostatnia życia mojego nadzieja.

— Panna ci przyrzekła? — spytała księżna.

— Jeszcze nie, ale choć usta nie wyrzekły słowa, wiem, że dłużej opierać się nie będzie.

— No, to staraj się mieć od niej zapewnienie, bo bez tego nic. Ja kroku nie zrobię, dopóki ona mi przy świadkach nie powie, że sobie życzy wyjść za waćpana i że się zgadza na zaręczyny, bo innego nie widzę sposobu.

Pocałował w rękę Tołoczko, uniżył się do stóp księżnej, poprzysiągł wiekuiłą wdzięczność i rzucił się dobijając targu z panną. Zdawało mu się, że rzecz tak jak skończona, okazało się jednak, że strażnikówna w chwili, gdy sobie miała świat zawiązać, przeleżała się. Pomyślała sobie, że była młodą jeszcze, że mogła roczek, dwa poczekać, że Bujwidowi się opędzi. Zawahała się w samym progu.

Rotmistrz, który sądził, że już był pewien serca, w rozpacz wpadł prawie. Widząc go tak zdesperowanym panna prosiła o zwłokę. Sama wprawdzie nie wiedziała, jak ją miała zużytkować, ale nie mogła jeszcze oswoić się z myślą, że klamka zapadła. Płakała po nocach.

Wtem przyszedł list od Szklarskiej, nabazgrany na zrzynekach sinego papieru, ale było go sześć stron i dwie przypisków. Panna Szklarska donosiła ukochanej swej, że wszystko już zmówione, obmyślane, aby natychmiast po powrocie wydać ją za Bujwida. Starosta pogorzelski skłonił strażnikówną do tego wyrzekając się posagu gotowizną i obiecując kontentować procentem. Sumy tej potrzebowała Koiszewska dla procesu i długu.

„Na twoim miejscu, serce moje — pisała — ja bym wolała Bujwida i przyjęła go, ale to niedźwiedź, którego ty nigdy nie nauczysz nawet nosa utrzcć po ludzku.

Żal mi ciebie, bo szczęścia z nim nie zaznasz. Zwlekaj więc powrót, może cię to ominie... nie pokazuj się w domu, bo matka cię już nie puści...

Wiem najpewniej, że wyprawę na gwałt szyją, jejmość kupiła futro i kuśnierze siedzą w stołowej izbie pod dozorem Perkowskiej, bielizna się znaczy".

Tegoż dnia, gdy pismo Szklarskiej nadeszło, Tołoczko przypuścił szturm nowy. Padł jej do nóg, Aniela zerwała się i chciała uciekać, gdy nadeszła przygotowana już hetmanowa.

Widząc, co się dzieje, łagodnie zaczęła Anielę nakłaniać przyrzekając jej opiekę swoje i męża. Wspomniała proces, dla którego matka musiała się dać przebłagać.

We dwoje tak z buńczucznym zmusili na ostatek niemal strażnikównę, iż słowo dała i zgodziła się na wszystko, zaklęwszy tylko księżnę, aby jej nie opuszczała.

Hetmanowa chciała nie bawiąc, zaraz w dni kilka uroczyste sprawić zaręczyny, sprosić gości, sprowadzić muzykę; ledwie strażnikówna wyprosiła *frysz*, dopóki na list, który miała napisać do matki, odpowiedzi nie otrzymała.

Nie daj Boże, aby staremu człowiekowi, który już lata płocze poza sobą pozostawił, miłość do serca zawitała i przyśniło się to szczęście, którego człowiek raz tylko w życiu kosztuje, a nie każdemu i to dano.

Na Tołoczce najlepszy był dowód tego, iż człowiek, gdy sobie nieco cugli popuści, namiętność go poniesie... na złamanie karku.

Człek był zacny, stateczny, poważny i nic mu nigdy, a szczególnie *dysymulacji* zarzucić nie było można... a teraz, gdy go miłość dla panny Koiszewskiej zagnała w taki kąt ciasny, skąd wyjścia nie było.

Uchodził on powszechnie za bezdzietnego, bo nigdy nie mówił o swojej przeszłości, chociaż miał syna z pierwszego małżeństwa, który u babki ciotecznej od dziecka się wychowywał. Mało kto o tym wiedział.

Wyjawiając tę tajemnicę obawiał się zrazić i pannę, i matkę, więc milczał powiadając sobie iż dosyć będzie czasu później syna zaprezentować. Zdawało mu się, że w tym grzechu nie było. Nie kłamał tym, że milczał... a nie było zbrodnią mieć potomka.

Z dnia więc na dzień odkładając ogłoszenie, iż go Pan Bóg pobłogosławił potomstwem, sam się z tego przed sobą uniewinniając brnął dalej. Niekiedy tylko robiło mu się gorąco, gdy pomyślał, co to będzie za wrzawa, jak się Koiszewska o tym dowie.

Księżna Sapieżyna, która dawniej Tołoczki nie znała, wcale o niczym tyczącym się go nie wiedziała. Sapieha zapominał o bliższych daleko, a o swojego buńczucznego stosunki familijne wcale się nie troszczył. Nikt go tu zdradzać nie myślał, ale położenie było bądź co bądź nie do zazdrości i przed zaręczynami wypowiedać się było potrzeba pani strażnikowej.

Nie był pewnym, czy i panny ten syneczek, pono dziesięcioletni, nie zrazi.

W czasie tych zabiegów rad zapominał, co go jeszcze czekało, ale teraz, gdy termin się zbliżał, strach go taki ogarniał i wstyd jakiś, że głowę od tego tracił. Wiadoma f rzecz, czym się w takich razach za owych czasów leczyć byli zwykli ci, którym ból serdeczny dokuczał. Zapijano frasunek...

Tołoczko nie lubił pić, ano teraz bezwiednie prawie ciągle za kieliszek chwycił.

Chodził jak błędny, oczy mu wpadły, kaszlać zaczął i gdy mu hetmanowa szczęścia winszowała, wzdychał jak kowalskie miechy. Żal brał patrzeć na niego.

Panna zaś przeciwnie, raz postanowiwszy wyjść za niego z myślą się tą oswajała, godziła i wesołą była jak nigdy. Tołoczce zaś wyrzucała, że chodził jak z krzyża zdjęty i zdawał się żałować chyba tego, co uczynił.

Męcząc się po dniach i nocach, na ostatek, gdy mu hetmanowa wymawiała też jego frasunek, wybuchnął.

— Żeby pani hetmanowa wiedziała, co ja mam za troskę, to by mi nie wyrzucała, że się śmiać nie mogę.

— Jeżeli nie wiem, a powinnam, czyjaż wina? — odparła księżna.

— A! moja wina! moja wina! moja bardzo wielka wina! — bijąc się w piersi zawołał rotmistrz i oczy sobie zasłonił.

— Ja powiadam — wykrzyknęła Sapieżyna — że z waćpanem jak z dzieckiem kapryśnym, nie wiedzieć co robić... Cóżes sobie uroił?

— A! nie uroiłem ci — wtrącił rotmistrz — alem zgrzeszył.

— Cóż? grzech śmiertelny? — zapytała przedrzeźniając go księżna — to ja chyba władzy rozgrzeszenia nie mam. Mów prędko, cóżes popełnił? Masz pewnie jakąś jejmość, której ci się pozbyć trudno? co? nie zgadłam?

— Żadnej nigdy nie miałem —, żałośnie stęknął rotmistrz — ale byłem żonaty i z pierwszej żony syna mam, który się od dzieciństwa chowa u babki. O tym synu mało kto wie, a jam nie wspominał.

Skrzywiła się księżna.

— W istocie — odezwała się — nie ma nic, a waćpana to jakby na kłamcę wystrychnie.

— Nikt się mnie nie pytał — rzekł Tołoczko — cóżem miał za obowiązek głosić, że syna mam?

Potrząsnęła głową Sapieżyna.

— Ja bo waćpanu powtarzam, nie ma nic, a będzie wstyd!!

Przeszła się po pokoju.

— Ja o tym wiedzieć nie chcę — dokończyła.

Rzucił się jej do stóp Tołoczko.

— W łeb sobie palnę — zakrzyknął.

— Nie rozumiem, co by to ci pomóc mogło? — odparła Sapieżyna.

— Niech mi Wasza Książęca mość poradzi, co mam czynić? — błagał.

Hetmanowa zlitowała się.

— Niesmaczna to rzecz — odpowiedziała — ale jak się poczęło, tak kończyć potrzeba... Nie mówiłeś waćpan o synu dotąd, *suponując* że o nim wszyscy wiedzą, milczone już.

— A jak się dowiedzą? — zapytał rotmistrz.

— Nie obrachuję, co oni poczną — po namyśle odezwała się hetmanowa. — Zdaje mi się, że waćpana odprawią, bo matka go nie chce... a to pretekst doskonały.

— Mam ja to powiedzieć pannie? — radził się rotmistrz.

Parsknęła księżna.

— A, wy, mężczyźni! — poczęła. — Krzyczycie na nas, że my was zwodzimy, nazywacie te biedne kobiety najgorszymi przezwiskami, chytróść nam przypisujecie i zdradziectwo, a co sami robicie? Kobiety zwieść to wam fraszka. Wam wszystko wolno...

Tołoczko stał jak pod pręgierzem.

— Moje całe tłumaczenie, zem się za późno pokochał, a od tej miłości głowę utracił.

— Ja nie wiem, czy ją miałeś kiedy — przerwała księżna. — Takesz sobie z tą całą sprawą poczynał, jakbyś naumyślnie ją chciał zawikłać. Co tu radzić dziś, kiedy pora, w której trzeba było coś na to poczynać, minęła. Nie mówiłeś w czas, milcz, a po ślubie co będzie, to musisz przyjąć jako karę za grzechy. Na sucho ci to nie ujdzie.

Nic nie zyskawszy u księżnej, ale trochę sobie ulżywszy ciężaru tym zwierzeniem się, rotmistrz zajął się jak najgoręcej przygotowaniem do zaręczyn, które przyśpieszyć usiłował.

Tymczasem burza się gotowała.

Strażnikowa wprawdzie ulegając księżnie dała jej córkę, chociaż domyślała się, że to była intryga Tołoczki. Nie sądziła go jednak wcale niebezpiecznym dla córki, bo Bujwid był przystojniejszy i młodszy.

W ostatku, gdy hetmanowa się uparła wydać Anielę za rotmistrza, strażnikowa spodziewała się, że jej wyświadczy jakieś dobrodziejstwo, puści dzierżawę, zapisze sumę, wyrobi coś u króla. Nierada była temu wszystkiemu, ale czuła, że nie mogła się uwolnić od tych łask i protekcji.

Wahając się tak a ciągle Bujwida mając na myśli, w końcu swojego dawnego opiekuna, krewnego starego, marszałka Glińskiego, postanowiła wezwać i zwierzyć mu się a pójść za jego radą.

Gliński ów, którego niekiedy kniazem tytułowano, bo się wywodził od owego sławnego *warchola*, był człowiekiem znacznym, choć niezbyt majątnym. Umiał sobie w obywatelstwie wyrobić wziętość i słynął z rozumu. Był to doradca, pośrednik, rozjemca, do którego z najdalszych stron ludzie jak chorzy do doktora się zjeżdżali.

Ogromnego wzrostu i tuszy, z twarzą wielką, rozlaną, brodawkami dziwnie porośłą, z brzuchem, który mu chodzenie utrudniał, marszałek był nadzwyczaj czynny i szczyił się tym, że dla współobywateli życie poświęcał. Stosunki miał rozległe bardzo, znajomości wiele, pamięć ludzi i pokrewieństw a koligacji zadziwiająca. W całej Litwie nie było może rodziny, której by wszystkich członków nie mógł wyliczyć. Była to genealogia chodząca.

Nie śmiejąc go zapraszać do siebie Koiszewska pojechała do niego.

Przyjął ją, jak był zwykł przyjmować wszystkich mnogich swych klientów, tak jak gdyby szczególny miał afekt dla każdego z nich. Wiedział już o wszystkim i o tym nawet, że Aniela była w Białymstoku.

Strażnikowa wyznała mu, że właśnie dla poradzenia się o nią przybyła.

Marszałek, który miał sobie za prawo wyrozumiewać petentów i raczej w ich myśl niż przeciw niej iść, łatwo odgadnął, że strażnikowa była za Bujwidem. Stało się to dla niego wskazówką, jak sobie miał postąpić. Tołoczkę znał bardzo dobrze i od bardzo dawna, nie był z nim jednak ani źle, ani dobrze.

Wysłuchawszy długiej chryi pani Koiszewskiej, rzuciwszy pytań kilka zamyślił się głęboko.

— Jesteś pani strażnikowa matką — rzekł — serce jej pewnie dla dziecięcia najlepiej poradzić potrafi. Co do mnie, chociaż ja przeciwko Tołoczce nic nie mogę powiedzieć, bo człek zacny, uczciwy, rozumny, ale zdaje mi się ani wiek, ani te koła, w których się on obraca, nie czynią go partią stosowną dla panny Anieli. Z protekcją hetmana albo raczej hetmanowej może się posunąć wysoko... chybaby go król obdarzył starostwem, królewszczyzną, bo inaczej to tam honorów będzie pod dostatkiem, ale chlebaomal... Tołoczko wyszedł z rodziny zubożalej, dopiero mu pierwsza żona wniosła posag i posadziła go na wiosce, ale to, krom dożywocia na wsi, nie jego własność, ale syna.

Koiszewska się porwała przestraszona.

— Syna, jakiego syna? Jako żywo, nigdy mi nikt nie mówił o synach? Więc ma syna? Miał może chyba, ale umarł.

— Przepraszam panią strażnikową; syn się chowa u ciotecznej babki, oddaje go do szkół do *Połocka* chłopiec ma, *ni fallor*, lat dziesięć.

Strażnikowa, cała purpurowa z gniewu, słuchała.

— Jakże to nazwać, jak? — odezwała się — żeby słowo pisnął o synku? Więc to po prostu podejście; chciał, byśmy myśleli, że to, co ma i czym świeci, do niego należy...

Marszałek pogładził łysinę i sapnął. Nie zaprzeczał ani potwierdzał tego sposobu zapatrywania się pani strażnikowej.

— Nie mogę o tym sądzić — rzekł — ale zawsze jest niedelikatność. Co się tknie majątku, moja mościa dobrodziejko, nie jest tajemnicą, że odłużony. Rotmistrz żył, popularności mu się chciało, karmił, poił, sejmikował... długów dziś przez wierzch głowy, na majątek jego wcale się nie ma co oglądać.

— A! jak Boga kocham — krzyknęła impetycznie Koiszewska — córki mu nie dam! Straciłby jej posag, jak zmarnował majątek pierwszej żony! Niech sobie hetmanowa robi, co chce: córkę odbiorę, zamknę, wywiozę i nie dam mu się ani zbliżyć.

— Pewno, że to będzie najrozumniejszym — rzekł Gliński — ale i to pewna, że z hetmanową pani będziesz miała przejście ciężkie. Obawiam się, czy rzeczy nie za daleko zaszły. Naszą panią hetmanową trzeba znać; rządziła pierwszym mężem, panuje nad drugim, zręczna, rozumna, gwałtowna... Pomóc nie może wiele, ale zaszkodzić, oho! okrutnie... a jest uparta i mściwa!

— Cóż ona mi zrobić może? — wyrwało się Koiszewskiej, która na krótko zapomniała o procesie.

— To prawda — poprawiła się — ten nieszczęsny proces...

— Właśnie chciałem go przypomnieć — wtrącił Gliński. — Ona po trybunałach gospodaruje jak u siebie w domu.

Zasmuciła się strażnikowa i łzy jej w oczach stanęły.

— Nie trzeba tracić męstwa — dodał marszałek. — Zechce ona szkodzić, będziemy pomagali.

— A! kochany marszałku — wykrzyknęła strażnikowa. — Zaklinam was, nie opuszczaj mnie sieroty. Córki dla procesu gubić nie mogę; miałabym ją na sumieniu.

— Za pozwoleniem — przerwał Gliński — jakże usposobiona, za kim panna Aniela, bo i to trzeba wziąć w *konsyderację*.

— Nie będę tała — rozpoczęła strażnikowa — córkę mi siostra zbałamuciła. Chciałam ją mieć dobrą gosponią i kobietą jak my wszystkie; nabili jej głowę elegancją, francuszczyzną, zabawami... Bujwida ona nie lubi, bo rubaszny jest... Tołoczko układny, ale kłamca, oszukaniec. Dworskich się klamek trzyma, kochać go ona nie kocha, ale z Tołoczką się spodziewa wejść w ten świat, do którego tęskni. Ot, co jest.

— Hm! — bąknął Gliński — skomplikowana sprawa, potrzeba energii, którą waćpani dobrodziejka masz, aby szczęśliwie wyjść z tego, ale ufam, że się to pomyślnie ukończy.

Po długich w tym przedmiocie naradach i rozprawach, które utwierdziły strażnikową w przekonaniu, że powinna nie dopuścić małżeństwa z Tołoczką, nastąpił obiad; a po nim zjawił się gość, właśnie z okolic Wysokiego Litewskiego, pan podstarości Górski.

Był to jeden z tych ludzi gładkich, bywających wszędzie, od wszystkich mile widziany, a wyśmiewający tych nawet, których się najserdeczniejszym głosił przyjacielem. Górski nie przebaczył nikomu, a tak lubił dowcipkować, że dla dowcipu wszystko poświęcał. Im zaś kto wyżej siedział, imię nosił piękniejsze, odznaczał się czymś więcej, tym on dla niego był surowszym. Sapięha, którego bawił, lubił go, zapraszał i bierał z sobą.

Zobaczywszy strażnikową, zaledwie ich przywitał, natychmiast począł winszować mariażu córki.

— A daj mi pokój, panie podstarości — odparła. — Anielka młoda, wydawać ją ani myślę.

— Jakże, a te bliskie zaręczyny?

Wprost zaprzeczyła im Koiszewska.

Pana Górskiego być posądzonym o puszczanie fałszywych pogłosek oburzało. Uparł się.

— A, za pozwoleniem — rzekł. — Jest to rzecz pewna, iż w Wysokiem się spodziewają obchodzić je wkrótce bardzo uroczyście.

— Bez mojego zezwolenia, bez mojej wiedzy chyba! — wołała strażnikowa. — To by było coś nowego, porządek naturalny obalony... Jestem matką.

Górski się tłumaczył bardzo obszernie i namiętnie, dowodząc, że nic nie zmyślał... Strażnikowa w końcu musiała zamilknąć. Gospodarz pocieszał.

Powróciwszy stąd Koiszewska, która miała siłę męską, umiała wiele znosić, walczyć, czekać, tym razem bardzo osłabła. Trzeba było na gwałt ratować córkę od Tołoczki, przewidywała, jakie będzie mieć trudności do zwalczania, lecz obiecywała sobie nie dać się pokonać i córkę odebrać.

Napisała list grzeczny do pani hetmanowej, przepraszając, że sama po córkę przybyć nie może z powodu choroby, i domagając się powrotu Anieli. Nastawała na to, że była chorą i że miejsce córki było przy matce.

Listy do hetmanowej i do Anieli były przyczyną wielkiego niepokoju.

Hetmanowej nie szło o to w istocie wiele, za kogo strażnikównę wydadzą i czy ona będzie szczęśliwą lub nie, ale nie mogła tego dopuścić, aby jej się sprzeciwiać śmiano, jej łaskami pogardzać i mieć swoją wolę.

— Nie dam Koiszewskiej córki — zawołała list odczytawszy. — Ja na to pozwolić nie mogę!

Aniela przelękła się; postanowienie wyjścia za rotmistrza było teraz jak najmocniejsze. Tołoczko, który chciał się zalecić pannie, w ciągu ostatnich dni w rozmowach uczynił jej obietnice wielce nęcące.

Przyrzekł jak najuroczyściej, iż mieć będzie karete, podobną do tej, którą jeździła ks. Sapieżyna, cug koni sześciu, dworzanina, hajduka, liberią. Do kościoła miała jej towarzyszyć służba niosąc poduszki herbowe i książki. Co rok dwa razy co najmniej zobowiązywał się ją wozić do Warszawy, wyprawiać zapusty świetne i na rok nowy spraszać sąsiedztwo.

Obietnice te w rozmowie przychodziły, bez żadnego nacisku, z największą łatwością. Rotmistrz nie rachował się z niczym, głowę tracił, *submitował się*, *akomodował* i nie odmawiał nic a nic.

Zawołano pannę Anielę do hetmanowej¹.

— Moje dziecko — odezwała się do niej. — Pisze mi strażnikowa, że chora, i żąda twego powrotu, na który ja pozwolić nie mogę. Chora nie jest; to *rzecz symulowana*, idzie o to, aby ciebie pochwycić. Nie mogę ci dać ginąć i do rozpacz przyprować Tołoczkę, który cię do szaleństwa kocha.

Rozplakana panna Aniela padła jej do nóg.

— Odpiszę, że waćpanna też chora jesteś i że doktor Muller ruszać ci się nie pozwala.

Tak się stało; pół dnia czekał posłaniec na odpowiedzi i otrzymał obie odmowne, chociaż ocukrowane i osłodzone.

Rotmistrza, gdy się to działo, nie było w Wysokiem; powrócił późno i uradował się mocno, dowiadując, że księżna tak się energicznie znalazła.

Panna Aniela wybiegła naprzeciwko niego... poruszona i przelękła. Tołoczko widząc ją we łzach zaklął się, że chybaby mu życie odjęto, inaczej nie wyrzecz się nigdy w świecie tej, którą już uważał za przyrzeczoną i jakby poślubioną.

— Niech panna Aniela rozkazuje, co mam czynić, gotówem na wszystko, a najpierwej jechać, szukać tego Bujwida i raczej mu życie wziąć niż odstąpić bogdanki.

Chciał go zaraz wyzwać na rękę, na szable, na pistolety, jak zechce. Panna Aniela złąła się krwi przelewu, płakała.

Tołoczko w gorączce po korytarzach biegał, rzucał się, odgrażał i naprawdę myślał o rozprawie z rywalem. Ledwie go księżna zawoławszy umitygowała.

Od księżnej poszedł do hetmana, gdzie się upił nie wiedząc o tym, co robi, tak był wielkiego animuszu tego wieczora.

Poszli spać nade dniem. Rotmistrz pacierz ledwie zmówił, ciągle sumując o tym, co tu robić, zawziął się i nie kładąc się spać pobiegł zbudzić przyjaciela Rybińskiego, który był pod nim chorążym, aby z nim jechać szukać Bujwida.

Nie było nic łatwiejszego jak go znaleźć, bo się nigdy do kąta nie chował. Rybiński, rębacz sławny, nie mógł odmówić przyjacielowi, odział się natychmiast, do węgierskiego swego wozu kazał zaprzęgać i ruszyli.

A że na wsiadany po wczorajszym chmielu *wódką się gdańską* trzeźwili, nie odjechawszy jeszcze za wrota pospali się oba.

Gdy Tołoczko obudził się wreszcie, musiał sobie chwilę dobrą oczy przecierać, rozpamiętywać, nim przypomniał, po co jedzie i gdzie jest.

W karczmie na granicy, o pół mili od dworu Bujwida, Tołoczko musiał czekać, a Rybiński pojechał wyzywać.

Ale jak pojechał, tak w wodę wpadł, nie było go do wieczora, nie powrócił w nocy; aż z rana rotmistrz musiał posłać wyrostka na zwiady.

W godzin parę wrócił ze smutną nowiną, że Rybiński jadąc wczora wieczorem, gdy siłę konie na mostku spłoszyły, z bryczką i z nimi spadł do rzeczki i potłuczony strasznie, ze złamaną nogą leżał u Bujwida we dworze.

Rotmistrzowi zmaćło się w głowie; co tu robić? Nie mógł się cofnąć ani odkładać, musiał w sąsiedztwie szukać, kto by mu zastąpił Rybińskiego. Przeszedł cały dzień na tym poszukiwaniu po nieznaney okolicy, aż znalazł się stary towarzysz broni.

Był on niegdyś rotmistrzem w kawalerii, guzów i blizn miał dużo, opowiadał o sobie dzieje osobliwe, ale już teraz ręka mu się trzęsła i szablą nie władał. Za to swadę miał osobliwą i gębę wyparzoną.

Po wszystkich tych przejściach następnego dopiero dnia Bujwid, wyzwany, nie wymawiając się rzekł:

— Służę!

W Tołoczce krew kipiała, gdy go zobaczył przed sobą na placu; Bujwid był spokojniuteńki. Pojedynek nie konno z pistoletami, jak naówczas się często trafiało, ale umówiony był na szable.

Trwał on nadzwyczaj długo, gdyż oba byli prawie równych sił, na koniec się złożyło tak, iż rotmistrz głęboko ciął w ramię Bujwida, a ten mu dwa palce u ręki oberznął jak brzytwą.

Zakrzyczano: — Dosyć!

Tołoczko się domagał słowa, że mu Bujwid w drogę wchodzić nie będzie, ten nawzajem żądał, aby mu rotmistrz nie przeszkadzał.

Bić się natychmiast dalej nie było sposobu, nahałasowawszy rozeszli się, nie sprawiwszy nic. Tołoczko musiał zaraz do cyrulika śpieszyć, aby mu rękę obwiązał, bo na palce rady nie było.

Nie żałowałyby ich, gdyby spotkanie korzyść jaką przyniosło, a tu rotmistrz przekonał się tylko, że z Bujwidem nierychło koniec być może, zaś zgoda nigdy.

Straszliwie przybity ewentem tym, już nawet do Wysokiego nie wracając pojechał do doktora, do **Brzeźcia**.

W Wysokiem pod bronią czekała pani hetmanowa strażnikowej albo wiadomości od niej, a panna Aniela modliła się.

— Dziej się wola Boża — mówiła. — Nie odstąpię rotmistrza... hetmanowa nam wiele obiecuje. Bujwid mnie przeciw mojej woli mieć nie będzie.

Rozniosła się zaraz wieść o tym, że Tołoczko z Bujwidem o pannę się porąbali i wielką obudziła ciekawość.

Bujwid, z mocno rozplątanim ramieniem, choć miał jechać do strażnikowej, nie mógł, bo dostał gorączki. Cyrulik noc i dzień czuwał przy nim.

Nie było nawet komu dać znać Koiszewskiej, która się od sąsiadki dowiedziała o tym, co się stało.

Gniew ją opanował wielki z powodu tego szczególnie, że niepotrzebna awantura ta na córkę jej oczy zwracała i języki. Nie było już nic do stracenia, więc strażnikowa krótko pomyślawszy pojechała sama do Bujwida.

Miało to wielkie znaczenie, a Koiszewskiej o to szło, żeby Bujwida sobie zachować. Zobowiązała go też do wielkiej wdzięczności i choć doktor wzbraniał, byłby się z łóżka zerwał przyjmować strażnikową, ale ona mu ruszać się nie pozwoliła.

Przeciwko Tołoczce niechęć i gniew Koiszewskiej doszły do najwyższego stopnia, a że gwałtowną była zawsze, nawet w sprawach mniejszej wagi, tu już miary nie miała. Niemniejszy żal i oburzenie opanowały ją na wspomnienie księżnej, której przebaczyć nie mogła przywłaszczenia sobie jakiejś władzy nad córką i dziwnej zachcianki kierowania jej losem.

Nieszczęśliwa strażnikowa na przemiany przeklinała, łajała, płakała i odgrażała się.

Wróciwszy z tej wycieczki do domu, musiała się do łóżka położyć, bo choć jej zdrowie zawsze służyło, teraz tak była przeciągniętą niespokojnością zmęczona, iż nawet energią swą dźwignąć się nie mogła.

Ani *krople Hoffmana*, ani inne *medykamenta* pokrzepiające nie pomogły jej nic, dopóki sama nad sobą pracować nie zaczęła, aby męstwem pokonać przeciwność.

— Córki mi przecie gwałtem odebrać nie mogą, a ja Tołoczce jej nie dam, choćby konał — wołała, po kilku dniach wstając, znękana strażnikowa.

W tym usposobieniu znalazł ją gość wcale niespodziewany — Tołoczko.

Jak on do tego doszedł, aby uznać potrzebę osobistego widzenia się i rozmówienia z panią Koiszewską, wytłumaczyć nam trudno. Namiętności mają swą logikę odrębną. W istocie nie było może ani potrzeby swoją obecnością drażnić pani strażnikowej, ani się mógł najmniejszej z tego spodziewać korzyści, ale znajdował się w takim stanie ducha, który przekłada najgorszą ostateczność niż niepewność.

Koiszewska przeżegnawszy się i zmówiwszy „Pod Twoją obronę” wyszła do niego blada, ale wielce poważna i dumna.

Tołoczko chciał rozpocząć od obszernego wykładu sprawy swojej, dla której chodził jeszcze z ręką ogromną chustą oplataną. Zaczynał już ab ovo, ale strażnikowa mówić mu nie dała.

— Co pana tu sprowadza? — zapytała.

— Chciałem pani strażnikowej dobrodziejce wyznać uczucia, które mnie do panny Anieli wiążą i...

— Odwiąże się waćpan od niej i ode mnie — odparła gospodyni. — Ja mojej córki za waćpana nie wydam... i otwarcie mu to mówię, abyś darmo jej nie bałamucił, a mnie nie męczył.

— Sercu nakazać nie można — rzekł rotmistrz.

— Nie takimi drogami zdobywa się serce — przerwała Koiszewska — nie przez protekcję magnatów, nie przez fałszywe wieści i kłamstwa.

— Pani dobrodziejko! — zawołał Tołoczko.

— Zataiłeś waćpan, że masz syna z pierwszego małżeństwa, abys się nie wydał z tym, że nie masz nic... a długów po uszy — mówiła strażnikowa. — Opresją chcesz wymóc na mnie, czego z dobrej woli mieć nie możesz. Ale ja należę do tych, którzy sobie gwałtu czynić nie dają. Mnie ani hetman, ani hetmanowa nie nabawią strachu. Wydam córkę, za kogo zechcę, i zaręczam, że nie za waćpana. Bywaj waćpan zdrów!

Chciał odpowiedzieć zmieszany tym przywitaniem rotmistrz, ale strażnikowa słuchać go nie myśląc odwróciła się, wyszła i drzwi za sobą zatrzasnęła.

Nie miał już tu co robić nieszczęśliwy i czapkę pod bok wzięwszy wyniósł się.

Nie było się z czym chwalić; przyjechawszy więc do Wysokiego zmilczał i ani o bytności swej u Koiszewskiej, ani o tym, co od niej posłyszał, nie mówił nikomu.

Księżna tymczasem przy swoim stała z równym oporem, choć z mniejszym prawem niż matka. Aniela też trwała w swym postanowieniu. Hetmanowa, która ją lepiej poznała teraz, wiedziała, czym przynęcić, i obietnic świetnych nie skąpiła.

Drugi list, wzywający pannę Anielę do powrotu do domu, wysłała Koiszewska wieczorem tego dnia, gdy ją odwiedził Tołoczko.

Napisany był zimno, ostro, tonem obrażonej matki i nakazywał jej powracać natychmiast, jeżeli nie chciała, aby się jej wyrzekła.

Podobneż wezwanie do księżnej, aby pannę Anielę odesłała, w bardzo krótkich wyrazach, oddano do rąk własnych hetmanowej.

Jedynym sposobem z księżną Sapieżyna, aby nic nie otrzymać, było chcieć co na niej wymóc siłą, aby się potem chlubić, iż ona ulec musiała. Jak skoro tak nalegano o wydanie córki, postanowiła ją bronić i zatrzymać.

Anieli kazano natychmiast pójść do łóżka i nie wstawać, a księżna odpowiedziała zimno pani Koiszewskiej, że córce jej doktor nie pozwala wstać ani się z miejsca poruszyć, więc księżna dbając o jej zdrowie nie może dozwolić na to, aby się narażała na niebezpieczeństwo. Troskliwość o pannę Anielę w liście księżnej wyglądała tak, jakby była wyrzutem, iż rodzona matka o nią nie dbała.

Między hetmanową a strażnikową przychodziło tedy do walki i zdawało się, że pierwsza zwyciężyć musi. Koiszewska miała za sobą prawa matki, charakter śmiały i energiczny, ale księżna Sapieżyna przebiegłość, wszystkie środki ludzi bardzo możnych, rozgałęzione stosunki, w potrzebie i protekcją króla.

Im to drożej kosztować miało, tym mocniej stała przy tym, że Anielę wyda za swojego Tołoczkę.

A że ze strony strażnikowej mogły być wszelkie środki użyte, nawet podstęp i przemoc, w Wysokiem z rozkazu pani hetmanowej obmyślano ostrożność, nadzór, czuwanie na korytarzach itp.

Tymczasem jednak strażnikowa nie uczyniła żadnego kroku; musiała się namyślać. W pisma się wdawać nie chciała, posłała więc po Szklarską zapraszając ją, aby chorą odwiedziła.

Stara panna nadbiegła natychmiast, uprosiwszy konie u pana strażnika koronnego. Wiedziała już mniej więcej o wszystkim i oburzała ją ta prepotencja kobiety, która cudzym dzieckiem dla swojej fantazji lub interesów rozporządzać chciała.

Koiszewska przywitała ją w progu.

— Szklarsiu moja droga, wzywam cię na pomoc. Anielę mi hetmanowa skonfiskowała. Pisałam dwa listy nadaremnie; jedź, przekonaj się, czy prawda, że chora, a Anieli powiedz, że jeśli nie chce, abym się jej wyrzekła jako córki wyrodnej, niech powraca.

— Słuchajże, strażnikowo — odparła Szklarska — pojedę! Ty wiesz, że ja się nikogo nie ulęknię, ale daj mi słowo, że jej ty gwałtu nie zadasz i nie zmusisz iść za Bujwida. Ona go nie chce.

— Ale ja go chcę! — zawołała strażnikowa — na tym dosyć.

— Nie pojedę — skonkludowała Szklarska.

Zaczęły się z sobą już niemal kłócić, gdy Koiszewska w końcu oświadczyła, iż za Bujwida nigdy przymuszać nie będzie, ale za Tołoczkę nigdy nie pozwoli.

— Jedź mi ją przywieź — rzekła — głupia jest! ja ją kocham, chcę jej szczęścia... ona woli słuchać obcych, co nią frymarczą, niż matki, która ją ma jedne i dla niej tylko żyje.

Szklarska za ledwie spoczawszy chwilę pognęła do Wysokiego. Śmiała i rezolutna, nie myśląc się księżnie oznajmywać, wprost się udała do panny Anieli, która z pokoju swego nie wychodziła, ale chorą nie była.

Nie wpuszczono posła tego i dano znać hetmanowej, która Szklarską kazała prosić do siebie.

Mówiliśmy już, jak się ona ubierała ze staroświecka i cudacznie. Jadąc do Wysokiego w ostatniej karczemce na drodze wystroiła się tak śmiesznie, że wyglądała jak straszdyło na wróble. W tym stroju stanęła przed hetmanową, która się liczyła do największych elegantek współczesnych. Ta mało ze śmiechu na jej widok nie parsknęła.

Chciała zaimponować przybyłej, ale Szklarska nikomu nie pozwalała sobie uchybić.

— Przyjechałam tu z mandatem od pani strażnikowej trockiej, aby zabrać jej córkę — rzekła.

— Panna Aniela jest chora — odparła hetmanowa. — Muller jej jechać nie pozwala. Pani strażnikowa jest niewdzięczną, mogę powiedzieć; zajęłam się losem jej córki, którą pokochałam... i muszę za to znosić nieprzyjemności.

— Pani strażnikowa bardzo księżnie pani jest wdzięczną, umie łaskę jej ocenić, ale chce sama nad swym dzieckiem czuwać.

Hetmanowa usta zagryzła.

— Nie puszczę panny Anieli, chyba by ona sama tego zażądała — rzekła po namyśle. — Możesz się pani widzieć z nią i przekonać, że ja jej gwałtu nie zadaję, owszem, od niego bronię.

Na tym księżna Sapieżyna skończyła, dumnie odprawiwszy Szklarską, która też niezmięszana pożegnała ją ledwie głową skinąwszy.

W chwilę potem zaproszono przybyłego posła do panny Anieli. Tu już było wszystko przygotowanym na przyjęcie. Okna zapuszczono firankami, przy łóżku poustawiano flaszki od lekarstw, Aniela, na pół ubrana, leżała sparła na poduszkach.

Zostawiono je same, ale Aniela wiedziała, że księżna nieochybnie będzie podsłuchiwała. Szklarska wpadła ze zwykłą swą gwałtownością i uściskawszy strażnikównę z góry wpadła na nią.

— Jak ty możesz rodzonej matce odmawiać posłuszeństwa! — krzyknęła.
— Strażnikowa chora, narzeka na ciebie... jedź, zmiłuj się, ja przybyłam po ciebie, gotowam czekać do jutra.

— Ale i ja jestem chora! — odparła Aniela.

Szklarska śmiechem parsknęła.

— Chora jesteś na upór, Anielko — zawołała. — Tołoczko i ta twoja protektorka, księżna, okłamują cię... obiecują góry złote, a to wprost rachuba na twój posag. To hołysz, ten Tołoczko, w długach po uszy. Księżna nie chce mu nic dać z kieszeni, płaci z cudzej, nie wiem, za jakie posługi. Ja ci przywożę od matki zapewnienie, że Bujwida ci nie narzuci, ale musisz powrócić.

Milczała panna Aniela.

— Zlituj się, moja Anielko, nie rób tego, co cię w oczach ludzi potępi. Matka ma swe prawa! Co ci ten Tołoczko tak bardzo miły. To człowiek już niemłody, majątku nie ma.

Wtem Aniela przerwała gwałtownie.

— Wiem, wiem, że na niego potwarze rzucają, ale ja im nie wierzę... darmo mi ich nie powtarzaj. Dałam mu słowo i dotrzymam.

Szklarska ręce załamała.

— Bój się Boga, ależ to bunt!

— Matka mnie nie dla mojego szczęścia chce dać za Bujwida, ale dlatego, że on się jej podobał. Ja go nie cierpię!

— Ja się też w nim nie kocham, wierz mi — zawołała Szklarska — parobek jest i tyle. Nie sądz jednak, aby matka się upierała; mam jej najuroczystsze zapewnienie, że zmuszać nie będzie. Nie chcesz go, nie wyda cię za niego.

— Moja Szklarsiu — słodko, zmieniając ton poczęła prawie błagająco strażnikówna. — Kochałaś mnie, miałaś litość nade mną, nie przyprowadzaj mnie do rozpacz. Ja tylko z Tołoczka mogę być szczęśliwą. Każdy ma swoje upodobania i gusta... ja potrzebuję żyć na świecie, na wielkim świecie. Śmieję się ze mnie, ale wolę nie żyć jak gnić na wsi. Tołoczko, to rzecz umówiona,

poprzysiężona, da mi karekę, konie, służbę, dom otworzy. Wymówiłam sobie to u niego... On mi będzie posłuszny.

Szklarska poczęła się śmiać.

— Oni bo wszyscy są przed ślubem posłuszni, a po ślubie zobaczysz, w co się to obróci. Jemu na to nie starczy.

— Dostanie starostwo — przerwała Aniela.

— A! moja pani starościanko — ciągnęła dalej Szklarska — pozwól sobie powiedzieć, że dzieckiem jesteś.

Zasiadłszy przy łóżku stara panna zajęła się przekonywaniem Anieli, namawianiem jej, lecz znalazła opór tak niepokonany, iż oprócz łez nic z niej nie wycisnęła.

Wieczór nadszedł, musiała Szklarska nocować. Z gniewu tylko wieczerzy księżnej jeść nie chciała i kontentowała się dobytym z kieszeni suchym chleba kawałkiem.

Nazajutrz powracała z niczym...

Daje to wyobrażenie o charakterze pani hetmanowej polnej litewskiej, że daleko i nieskończenie ważniejsze mając na swej głowie sprawy panną strażnikówną i Tołoczka tak się zajmowała gorąco, jak gdyby nic więcej do czynienia nie miała. Podziwiać było potrzeba niezmordowaną pracę, zabiegi, intrygi, którymi jednych ku sobie ciągnęła, drugich starała się pozbyć.

Tołoczko naturalnie służyć jej musiał do wszystkiego, rzucała nim, posyłała wcale go nie oszczędzając, a że się jej zdawało, iż mu małżeństwo zapłaci to sownie, nie miała nawet tej delikatności, ażeby narażając go na koszta znaczne, kiedykolwiek o tym dać wspomnieć. Rotmistrz musiał opędzać wydatki z własnej kieszeni, a były niemałe. Niejednemu podobne całą substancję zjadły.

Dnia jednego prawie spocząć mu nie dając, księżna wysyłała go za swymi interesami. Tołoczko musiał nie z potrzeby, ale dla okazałości, aby hetmanowi nie czynić wstydu, ciągnąć z sobą gromady ludzi i koni. Rzadki dzień, aby gdzie przyjmować, poić i karmić nie był zmuszony, a co się sam najadł gorczy, to się też nie liczyło. Słowem męczeński wiódł żywot. Długi rosnać musiały i to już lichwiarskie.

Na posążek strażnikówny musiał rachować, aby je popłacić, bo na hetmanową rachować, ażeby ona go *indemnizowała*, ani było myśleć.

Hetmanowa naówczas właśnie snuła jedną z tych intryg, którymi usiłowała podkopać znaczenie wojewody wileńskiego w miejsce jego podstawując hetmana Massalskiego.

Powszechnym naówczas przekonaniem było, że Massalski ojciec i syn jego, biskup wileński, stali oba również przeciwko Radziwiłłowi, trzymając się księcia kanclerza Czartoryskiego.

Wtajemniczeni tylko, jak przebiegła księżna, wiedzieli, iż hetman miał żal głęboki do kanclerza za to, że Ogińskiemu sprzyjał i do województwa wileńskiego go prowadził, że kanclerzowi mógł stanąć opornie... i do przejednania jako pośrednika bezpiecznie by go użyć można, a Radziwiłła zostawić na stronie.

Księżna chciała hetmanowi Massalskiemu dać rolę mediatora i pojednawcy ze dworem, Radziwiłła opuszczając.

Wciągnięto w to i marszałka nadwornego, Mniszcha, i wiele innych osób, a że hetmanowa sama nie chciała być zbyt widoczną, więc się zbierano nie w Wysokiem, ale w Białymstoku.

Potrzeba było ciągle tam posyłać, ciągle jeździć, a że Anieli porzucić nie chciała, bo się lękała, aby pod jej niebytność wpadłszy matka nie zabrała, wozila ją więc z sobą.

W oczy topiło, że strażnikówna do Białegostoku bywała zawsze zdrowa, a w Wysokiem ciągle chorą.

Konieczność sprawienia naprzód bodaj zaręczyn, potem wesela lub od razu dania ślubu Tołoczce stawała się niezbytą. Trzeba się było zapewnić, że znajdzie się duchowny, który bez pozwolenia matki pobłogosławi nowożeńców.

Tymczasem z księdzem kanonikiem, proboszczem w Wysokiem, hetmanowa była w stosunkach bardzo nieprzyjaznych. Nawykła dysponować według swojej fantazji domownikami, których żeniła, rozporządzała nimi nie pytając o nic, księżna po kilkakroć miała nieprzyjemne zajścia. Kanonik był surowy i w sprawach Kościoła się tyczących obstawał przy prawie, niczym się nie dając przekonać.

Tołoczko posłany, aby go wyrozumiał, znalazł wprost ślub bez matki i pozwolenia jej niemożliwym. Prosić i błagać ani było sposobu.

Sama hetmanowa już nawet o tym z nim mówić nie chciała. Lecz na szczęście jej ówczesne duchowieństwo, pod wpływem czasu, całe było na dwa wielkie obozy podzielone. Jedni widząc Kościół zagrożony prześladowaniem w surowości szukali obrony i ściślej niż kiedy trzymali się nie tylko ducha prawa, ale litery i formy. Z tymi o żadnych ustępstwach nie mogło być mowy. Drudzy mieli to przekonanie, że Kościołowi tolerancją, wyrozumiałością, posuniętą do ostatecznych granic, zyszczą zwolenników. Ci lekceważyli prawa kościelne, *kanony* i tolerowali nawet jawnogrzesznictwo.

Ksiądz kanonik znajdował monstrualnym ślub bez matki, ale inny, wolnomyślniejszy kapłan mógł go dać nie oglądając się na formalności.

Księżna tego drugiego łatwo znaleźć mogła. Był nim bawiący w Białymstoku ksiądz Francuz, kanonik de la Branche, który już po kilkakroć miał z *nuncjaturą* nieprzyjemne zajścia, ale mimo to dawał śluby po pięćdziesiąt czerwonych złotych, jak obwarzanek — za grosz.

Kanonik Francuz tłumaczył, że wszystkie przepisy małżeństw się dotyczące później zostały wymyślane i że parze, która pobłogosławioną być żądała, kapłan nie mógł odmówić błogosławieństwa.

W jednej ze swych wycieczek do Białegostoku księżna na pokojach spotkała się z kanonikiem, który był wielkim galantem i adoratorem wdzięków przywiedłych, ale nadzwyczaj starannie odświeżanych, księżnej pani.

— Kanoniku — zawołała chwytając go po drodze — szukałam cię, tęskniłam za tobą, mam cię prosić o jedne łaskę.

— Mościa księżno! — wykrzyknął Francuz — dla mnie to łaską będzie, jeżeli mi sobie w czym usłużyć pozwolisz.

— Mam pod moją opieką dwoje ludzi, którzy się kochają — ciągnęła dalej — chcą się połączyć, chcą sobie miłość poprzysiąc... ale matka barbarzyńska staje im na przeszkodzie. Dasz im ślub?

— Z największą przyjemnością, z rozkoszą — odparł Francuz — choćby mnie miał *Loci ordinarius* wsadzić do domu *demeritów* na rekolekcje.

— Ale do tego nie przyjdzie, matka po ślubie da się przebłagać.

— Jestem na rozkazy Waszej Książęcej Mości — dodał kanonik.

— Mam wasze słowo? — zapytała księżna z uśmiechem.

— Jak najuroczystsze — potwierdził kanonik. — Chrystus zabronił przysięgać nienawiści, ale miłości przysięgę utwierdzać zalecił. Mogę wiedzieć, kogo błogosławić będę?

— A! to są osoby do naszego należące dworu — odparła od niechcienia księżna — hałasu z tego nie będzie wielkiego.

— Młodzi? — zapytał kanonik.

— Ona młoda, on człowiek dojrzały — mówiła hetmanowa.

Rozmowa po kilku jeszcze zamienionych z obu stron komplementach na tym się skończyła. Kanonik tylko zawarował sobie, aby jedna z osób, którym miał ślub dawać, zasiedziała parafię w Białymstoku.

Hetmanowa więc uspokojona przy pierwszym widzeniu się z Tołoczka umiała to tak łatwo wyrobione przyrzeczenie wystawić mu jako uzyskane z nadzwyczajną trudnością i zapewnić sobie za to niezmierną wdzięczność.

— Widzisz, rotmistrzu — dokończyła — że ja dla ciebie się *sakryfikuję*, że nie zapominam o tobie.

Było to doskonałym wstępem do nowych wymagań od Tołoczki, który musiał za to pojechać szpiegować księcia wojewodę i dojść, kto mu radził i nim kierował.

Postępowanie Radziwiłła zdradzało głowę rozumną i człowieka wytrawnego, a hetmanowa nie miała wojewody za obdarzonego tymi przymiotami.

Im więcej skutkiem swego temperamentu nieunoszonego popełniał wybryków, tym Sapieżyna więcej się tym radowała. Starła się też męża od niego trzymać z daleka, bo wiedziała, iż pojednanie jej interesom byłoby szkodliwe.

Zamiast w Wysokiem, zbierano się teraz na narady w Białymstoku. Było to ze wszech miar dogodniejsze i mniej kosztowne. Panna Aniela, nie odbierając od matki przez czas jakiś wiadomości ani przynagleń, łudziła się nadzieją, że przestała się opierać... i że ją łatwo będzie przebłągać.

Stało się to jednak wcale inaczej, niż ona sobie wyobrażała. Bujwid się wylizał ze swej rany dosyć prędko, tak że nawet już ręki na temblaku nie nosił, tylko mu jeszcze dolegała i ubierać się było trudno. Ale chłop był zdrow i silny, na ból nie zważał i jak tylko kontusz mógł wsadzić, pojechał do strażnikowej na zwiady.

Koiszewska przyjęła go radośnie, ale na zapytanie o córce odparła, że jej znać nie chce, że myśli adoptować małą Skrzyńską, krewne swą, a o niewdzięcznej zapomnieć.

— Strażnikowo, dobrodziejko, nie czyń tego, zlituj się! Ja mam w Bogu nadzieję, że wszystko się zmieni. Panna Aniela z hetmanową raz wraz jeżdżą do Białegostoku i tam przesiadują, ja też u hetmana i generała Mokronowski ego mam zachowanie, pojedę i ja. Będę na złość Tołoczce przysiadła się do panny... coś mi mówi, że ja sobie dam radę.

Koiszewska nie odciągała go od tego przedsięwzięcia, zostawiła mu swobodę postąpić, jak sobie życzył, i Bujwid wystrojony po polsku, ale nadzwyczaj elegancko, zjawił się jednego dnia na pokojach, właśnie gdy wczoraj przybyła księżna Sapieżyna z Anielą występowały.

Przestraszyła się nieco panna, ale nie straciła całkiem odwagi i gdy starosta pogorzelski przystąpił do niej z komplementem, przywitała go z powagą.

— Bardzo szczęśliwy, że ja tu pannę strażnikównę spotykam — rzekł Bujwid — frasowałem się właśnie o to, gdzie mam jej szukać, aby przeprosić.

— Za co? — spytała zdumiona panna.

— Za to, że obciąłem tak haniebnie bogdankę jej, bo to całemu światu wiadomo, że pani hetmanowa ją wydaje za Tołoczkę. Jam temu niewinien; sam mi w oczy wlażył i guza szukał. On mnie też palnął w ramię, że przez kilka tygodni cyrulika musiałem trzymać i plastrami się okładać. Ramię moje się zrosło, ale żeby jemu palce odrosnąć mogły, to wątpię! Mańkutem się musi uczynić, aby pannie służyć.

Panna Aniela słuchała ze spuszczonej oczyma. Bujwid baraszkował, żartował i jak gdyby do niej żalu nie miał, nadskakującym był. Przy pierwszej jednak sposobności, gdy pan starosta napomknął o małżeństwie, panna mu otwarcie oświadczyła, że ma niezmiennie postanowienie oddać rękę Tołoczce.

— Niech tylko pani stara się wprzód z matką pojednać, bo mocno obrażona i dotknięta, głosi, iż małą Skrzyńską chce adoptować, jej oddać wszystko, a

stracić tak marnie piękną *substancję* niemiło będzie pani, a jeszcze więcej da się to czuć rotmistrzowi, bo on nie ma zanadto.

Wiadomość o tym strwożyła nieco pannę Anielę i nie miała nic pilniejszego nad wypowiedzenie się z niej natychmiast hetmanowej. Tę już nudziło nieustanne zajmowanie się Anielą; odprawiła ją dosyć kwaśno tym, że niedorzecznych plotek słucha i że Koiszewska pewnie tego nawet uczynić nie mogła.

Chociaż zapewniła o tym Anielę, sama jednak hetmanowa pewną nie była, czy ta pogróżka się spełnić może lub nie. Tego dnia zaraz wzięła na bok jednego z prawników, na których naówczas ani w Białymstoku, ani nigdzie nie zbywało, i przełożyła mu wypadek.

Jurysta głową potrząsł.

— Może to być i może nie być, bo, mościa księżno dobrodziejko, *est modus in rebus*, ale niech z piekła nie wylezie, kto taką myśl poddaje. Jeżeli prawnie by się to nie dało zrobić, matka ma tysiąc sposobów wydziedziczyć córkę. Kłopotliwa to rzecz i lepiej zgody szukać niż takiej ostateczności dopuszczać.

Odpowiedź utkwiała w głowie księżnej.

Bujwid dwa dni przebywszy na białostockim dworze wyjechał i jakby grali z sobą w mienianego z Tołoczka, nazajutrz nadciągnął z Nieświeża rotmistrz przywożąc raport dosyć hetmanowej przyjemny.

Wysłuchawszy go Sapieżyna westchnęła.

— Boli mnie, że ja ci nie mogę wywdzięczyć równie dobrą wiadomością — rzekła. — Być może, iż Bujwid kłamie, ale oznajmił Anieli, że matka jej, rozgniewana na nią, powzięła myśl adoptować małą jakąś Skrzyńską, a ją wydziedziczyć. O pieniądze ci nie chodzi pewnie — dodała — ale smutna rzecz pannę brać młodszą, potrzebującą wiele, a po niej nic.

Rotmistrz zająknął się, chciał coś mówić, w ustach mu zaschło. Zimny pot wystąpił na czoło.

— To pewna — począł — to pewna, że ja tam o pieniądze tak bardzo nie stoję, mościa księżno, ale powietrzem człowiek nie żyje... smutna rzecz stracić taką fortunę.

— Ha! masz się jeszcze czas namyślić — dodała księżna — możesz się cofnąć.

Rotmistrzowi serce się w piersiach ścisnęło; gdyby mógł, zapłakałby.

— Ostatnia nadzieja szczęścia w życiu — mówił w duchu — mamże się ja jej wyrzekać dla marnego grosza! Nigdy w świecie... Chyba by mnie sama panna odpędziła, ale ona tego nie uczyni. Szczęście do nas zawitać może. Matka nie będzie tak okrutną.

Witając potem pannę Anielę, przybrał postawę bardzo wesołą. Ona, niespokojna, zaledwie słów kilka z nim zamieniwszy zapytała go, czy wie, z jaką wiadomością Bujwid tu przyjechał.

Tołoczko oświadczył, że nie wiedział o niczym. Opowiedziała mu panna Aniela, co przywiózł.

Rotmistrz słuchając głową potrząsł.

— Jakże to panna strażnikówna nie zmiarkowała, że jego tu wysłano umyślnie z postrachem, bo to nic innego nie jest jak straszenie panny Anieli i mnie. Co się mnie tknie, ja sobie z tego nie czynię nic. Zechce pani strażnikowa wydziedziczyć, wola jej, ja na posag i pieniądze nie polowałem... a da Bóg żyć, znajdziemy się czym *sustentować* i bez posagu. Mogłaby panna Aniela i jednej koszuli nie mieć, zawsze bóstwem dla mnie będzie.

Oświadczenie to wywołało z powodu koszuli rumieniec na twarzy panny, którą Tołoczko w rumianą, bo niezbyt białą, rączkę pulchną z paluszkami krótkimi pocałował dodając:

— Jawna rzecz, że to nowy sposób rozerwania tego związku, który jest życia mojego jedynym celem. Niech panna Aniela będzie spokojną. To są strachy na Lachy.

Tołoczko tymczasem czas jakiś wypoczywał w Białymstoku, zarówno z innymi ciągle starając się między panią hetmanową Branicką a panem hetmanem ekwilibrować, iżby się każdemu z małżonków zdawać mogło, że jemu jest oddany.

Wszyscy przyjaciele domu, to jest wybornego i wesołego życia w rezydencji hetmana, doskonale wiedzieli, jaki jest stosunek dwojga państwa, żyjących z sobą, obok siebie, ale jakby się wcale nie znali. Hetman z francuską grzecznością przychodził oddać żonie dzień dobry i zapytać, jak spała, i

dowiedzieć się o jej rozkazy. Dzień potem za wspólną zgodą schodził w Białymstoku, w Choroszczy, na wycieczkach, a hetmana i samą panią otaczali przyjaciele, rozdzieleni na dwa obozy, choć na pozór jeden stanowiący.

Hetman wśród dnia rzadko się zbliżał do żony, ona do niego nigdy. Pośrednikiem, który w razie potrzeby służył mężowi i żonie, był generał Mokronowski, o którym wiadano, że się kochał w hetmanowej, i domyślano, że pozyskał też jej serce. Nie było to tajemnicą dla hetmana, ale nie chciał tego widzieć. Mokronowski był mu potrzebnym.

Ona dla generała była na pozór zimną, surową, obojętną, co go bynajmniej nie zrażało.

Mokronowski dowcipny, wesół, uprzejmy, był raczej typem Francuza niż Polaka. Można go było postawić na wzór dyskrecji, taktu, delikatności. W sprawach politycznych bardzo zręczny, wielkiej do nich pasji nie zdradzał, lecz hetmanowi służyć musiał.

Nie okazując tego Mokronowski w Białymstoku był jednym z najczynniejszych, najwięcej ważących ludzi. Począwszy od najmniejszych spraw aż do najważniejszych, nie omijały go żadne i przeciw jego woli rzadko co się dokonać mogło. Hetman apatyczny, dumny, wyżyty, bez niego by był żyć nie mógł. Zazdrość wydawała mu się śmieszną, a byłaby za późną.

Sapieżyna, która umiała i starała się wszystko zużytkować dla siebie, była z Mokronowskim bardzo dobrze, a generał, jako galant, okazywał jej nadzwyczajną grzeczność. On to miał wyrobić, ażeby wesele panny strażnikówny mogło się odbyć w Białymstoku.

Pani Branicka znudzona, na wszystko, co rozrywkę obiecywało, chętnie się zgadzała. Dla księżnej miała usposobienie tym przyjaźniejsze, że stolnik, ukochany jej brat, nią się zajmował, a ona nie tała się ze słabością dla niego. Wolała też ją jako kochankę brata niż rywalkę jej, wojewodzicową mściławską, która była z domu Branicka, ale z rodziny zupełnie obcej starożytnemu rodowi, którego hetman był ostatnim potomkiem. Ta jednostajność imion tak nierównego znaczenia w Rzeczypospolitej panią hetmanową drażniła.

W kółku poufnym mówiono już o weselu, które zaimprovizować miano. Hetmanowa litewska chciała je przyśpieszyć, Tołoczko był w gotowości, ale pannie Anieli bez wyprawy, bez tego, co pozostawiła w domu, smutno było z parą sukienek skromnych iść do ołtarza. Chciała przez Szklarską chociaż gotową swą wyprawę otrzymać.

Z tą troską panna Aniela znowu po kilkudniowym pobycie w Białymstoku wracała do Wysokiego.

Księżna Sapieżyna przez całą drogę mając Anielę z sobą rozmawiała z nią i przekonać się mogła, że dziewczę roilo tylko o życiu na wielkim świecie z Tołoczka, bo przez matkę nie spodziewała się nigdy wydobyć z cichego zakątka, w którym jej miłości własnej było za ciasno.

Księżna wiedziała bardzo dobrze, że rotmistrz tych pragnień wygórowanych nie był w możności zaspokoić, ale dla niej była to rzecz obojętna. Natomiast postawienie na swoim, zwycięstwo odniesione nad matką bardzo jej pochlebiało. Miała despotyzm w charakterze.

Na ostatek Tołoczko w kłopotach, zadłużony, stawał się jeszcze zależniejszym od hetmana i od niej, a ona go ciągle potrzebowała. Był wtajemniczony we wszystkie jej intrygi, a co mu nakazywała, ślepo spełniał.

Przyprowadzić więc to małżeństwo do skutku, było zawyrokowanym.

W Wysokiem zastała hetmanowa mecenasa Piaskowskiego, który miał sobie powierzone interesa księcia na Litwie. Prawdę rzekłszy, był to więcej daleko sługa jej niż męża, bo tak interesami kierował, by zawsze się spełniała wola księżnej, i temu był winien, że od lat dziesiątka pozostał na miejscu dostając co roku gratyfikację.

Zobaczywszy go przypomniała sobie zaraz wydziedziczenie Anieli, którym ją straszono.

— A! mój mecenasie — zawołała — rada ci jestem niewymownie, bo tobie jednemu wierzę. Ty mi powiesz, czy to może być, aby matka córkę wydziedziczyła i jej się wyrzekła?

Mecenas prosił o szczegóły, które księżna w krótkich słowach zawarła.

— Mościa księżno — odparł Piaskowski — nim na to pytanie będę mógł odpowiedzieć kategorycznie, proszę mi pozwolić sprawdzić okoliczność jedną. Oto przypominam sobie, że byłem na pogrzebie ś. p. strażnika i tam rozmowa się toczyła o jego spadku. Zdaje mi się, że nie cały majątek należy do żony, że on też coś zostawił, a to, co po nim zostało, tego nikt w świecie pannie Anieli odebrać nie może.

Hetmanowa się uradowała bardzo.

— Nie jestem tego pewnym — rzekł Piaskowski — ale jutro i tak do akt jechać muszę, zrobię *kwerendę*.

Nazajutrz w istocie mecenas pojechał, a hetmanowa pannie nic nie powiedziała. Trzy dni zabawiwszy powrócił i wszedł na pokoje, podbiegła do niego hetmanowa.

— A cóż? a co?

— Nie omyliłem się! — rzekł mecenas. — Połowa majątku należy do nieboszczyka męża, a na tej strażnikowa ma tylko dożywocie.

— Pewnym jesteś tego? — zapytała Sapieżyna. Piaskowski dobył notatki, na której stały daty zapisów; nie ulegało to więc wątpliwości.

Z wielką potem radością, rozpromieniona, kazała do siebie przywołać pannę Anielę.

Życie w Wysokiem od chwili, gdy się rozpoczęły intrygi z Tołoczka, było nudami lub męczarnią. Chodziła z myślami swymi, nie mając się komu z nich zwierzyć, nierada z siebie, kwaśna. Rozrywką jej jedyną były książki, francuskie romanse, które zamiast ją pocieszać, zdawały się wyrzucać, iż próżności i dumie życie oddawała, a sercem nie żyła wcale. Lecz mogłaż pokochać Tołoczka, Bujwida lub kogokolwiek z tych ludzi, którzy się jej nastęrczali?

Jeden jedyny powierzchownością swą ją złudził, a i ten był, niestety, tancmistrzem! Los spikał się na nią.

Weszła do salonu tak blada i smutna, że księżna... zamiast się jej ulitować, do najwyższego stopnia tym wyrzutem została dotknięta.

— A! moja panno Anielo — zawołała — nie czyńże się tak nieszczęśliwą! Patrząc na ciebie, można by sądzić, że ja-jestem tyranem... i że wam bardzo źle u mnie.

— Niech księżna wierzy — odparła strażnikówna — że ja łaskę jej dla mnie ocenić umiem, ale tak jestem nieszczęśliwą...

Sapieżyna ruszyła ramionami.

— A ja wacpannie dobrą wiadomość zwiastuję — uśmiechając się dodała opiekunka. — Matka wacpannie grozi, że ją wydziedziczy; otóż, choćby chciała,

uczynić tego nie może, bo połowa majątku należy do nieboszczyka ojca jej i na niej matka ma tylko dożywocie.

Aniela rumieniąc się pocałowała ją w rękę, ale zaboląło ją to, że matce zarzut taki czyniono... że się musiała niemal wstydić za nią.

Napisała zaraz tegoż dnia do Szklarskiej, że ją zaklina, aby się widzieć mogła. Długo musiała czekać odpowiedzi na list ten i nie przyszła ona wcale, ale powołana przyjaciółka przybyła sama.

Nie czyniono jej trudności z wpuszczeniem do Anieli,, która z rozdrażnienia nerwowego powitała ją łzami.

— Moja droga przyjaciółko — rzekła na wstępie. — Wiesz całą tę moją historią nieszczęśliwą. Matka mi zagroziła wydziedziczeniem. Rozeszło się to już po świecie. Nie powiem, ażeby miło mi było chodzić z tym piętnem złego dziecka na czole, jako odepchnięta przez własną matkę, ale nie mnie jedną z tej okazji srom spotyka. Ludzie się zaczęli grzebać w papierach i doszli, że matka nie ma do tego prawa, bo połowa majątku należy do ojca. Matce więc zarzucają, iż chce ludzi i swe dziecko zwodzić!

Szklarska się porwała z siedzenia. Zakryła sobie oczy.

— Daję ci słowo, że ja o tym nie wiedziałam — zawołała. — Serce matki dobrze ci życzy, pragnie twojego szczęścia, używa wszelkich środków, aby cię uratować od zguby. Tołoczko jest stary, zadłużony i człek chytry, poluje na twój posag. Bujwida ci nie narzucają, zerwij z księżną i z nim!

— Ja! byłabym najniewdzięczniejszą! — krzyknęła Aniela. — Ja już nawykłam do innego towarzystwa... matka mnie zamknie, a potem wyda za jakiego hreczkosieja... A! nie! nie!

Zmienić jej postanowienia nie było sposobu. Szklarska więc przyrzekła jej tylko ostrzec matkę, aby się nie narażała na złe języki głosząc to, czego nie mogła uczynić, ale stara panna, zniecierpliwiona w końcu, powiedziała prawdę Anieli, wy łajała ją i ledwie się dając nieco przebłagać powróciła do strażnikowej.

Za nieboszczyka króla Augusta, zwanego przez Sasów Mocnym, pomiędzy licznym dworem znajdował się mało komu znany, choć zaszczycony zaufaniem króla, niejaki Reinold Steinheil, który przez czas dosyć długi do osoby króla samego był przywiązany. Nie miał ani żadnego tytułu, ani ściśle oznaczonych

funkcji, ale nawet najwyżej położeni w łasce pańskiej, w hierarchii, w zaufaniu monarchy, obawiali go się.

Steinheil miał zawsze wolny wstęp do króla. Powiadano, że w jakimś wypadku życie mu ocalił i że tym miłość i nieograniczoną ufność sobie pozyskał. Utrzymywali niektórzy, że czasem, gdy August sobie pozwalał nadto, Steinheil ośmielał się mu we cztery oczy wyrzuty czynić i że widząc w końcu króla niepoprawnym, płochym i lekkomyślnym a okrutnym razem do starości, wyprosił sobie oddalenie zupełne od dworu, małą pensyjkę i obowiązek *sine cura* rezydenta saskiego w wolnym mieście Frankfurcie nad Menem.

Tu się w zacisze usunąwszy Steinheil zabawiał się badaniami starożytności greckich i rzymskich jak student. Słyszał też z biegłości i znawstwa w tym przedmiocie.

Krół August, gdy go sumienie gryzło, gdy miał drażliwą jaką kwestię do rozstrzygnięcia, niekiedy potajemnie wzywał rezydenta do Drezna, zamykał się z nim godzinami, konferował i odpuszczał obdarzonego.

Po śmierci króla Steinheil pozostał z nazwiskiem radcy tytularnego na swoim stanowisku we Frankfurcie.

August Trzeci, który pamięć ojca miał w najwyższym poszanowaniu i respekt dla ludzi, których on kochał, po śmierci jego wezwał do siebie Steinheila.

Radca przybył, zabawił tu trzy dni i po kilku długich z królem rozmowach odjechał nazad do Frankfurtu. Przed siedmioletnią wojną parę razy go sprowadzano, ale Brühl się go obawiał i nie lubił. Skończyło się na tym, iż zupełnie został zapomniany.

Po powrocie króla do Drezna, w dni parę, w porze, o której król nie przyjmował nikogo, a w przedpokoju oprócz służby nikt się nie znajdował, znalazł się tu stary Steinheil.

Wpuszczać do króla kogokolwiek bądź bez pozwolenia Brühla było to narazić się na zemstę jego.

Powiedziano radcy, ażeby się oznajmił Brühlowi. Stary się skrzywił i zasępił.

Stał tak naprzeciw drzwi, iż za otwarciem ich August, zawsze na jednym miejscu siedzący z fajką, musiał go zobaczyć. Traf chciał, aby się drzwi otwarły, bo jeden ze sług wychodził.

Król spostrzegł Steinheila. O mało nie krzyknął i porwał się z krzesła swego wołając, aby go wpuszczono. Wahali się lokaje wiedząc, co ich od ministra spotkać miało, ale król poczynał się niecierpliwić.

Wpuszczono starego przyjaciela rodziny. Król się rozplakał. Powitanie było bardzo serdeczne.

Brühl tego dnia — było to snadź w jego przeznaczeniu, zasnął dłużej nieco, potem przeciągnął z jakiegoś powodu przyjscie na zamek, tak że gdy przybył tu, nie zastał już króla Augusta.

Służba zdumioną była tym, że tego dnia król się emancypował i okazywał swą wolę.

Ranek był bardzo piękny, powietrze czyste i łagodne. August, który od przyjazdu z Warszawy chodził posępny i niespokojny, szukał widać sobie jakiegoś ratunku, pociechy, rozrywki. Steinheil nastęczył zrzeczność do tego.

Czy chciał Najjaśniejszy Pan użyć świeżego powietrza, czy uciec od natrętów i sam na sam zostać ze sługą ojca, nikt nie odgadywał; faktem było, że nikomu nie rozkazując sobie towarzyszyć, dwie lektyki dworskie zawołać kazał i siadłszy do jednej, w drugiej polecił nieść za sobą radcę.

Niesiono ich wprost do Bazantarni.

Przed tym pałacykiem, teraz pustym, około którego domki małe zajmowali w części oficjaliści, stanęły obie lektyki. Król opierając się na lasce wysiadł. Oczy miał nabrzmiące, twarz zarumienioną do zbytku, oddychał ciężko.

— Patrzące, mój Steinheil — odezwał się — jak tu dziwnie: i nic się nie zmieniło, i wszystko teraz jest inaczej! Próżno mi perswadują — ja się w Dreźnie nie czuję swobodnym panem. Co chwila się boję, aby mnie gruzy nie przysypały.

Steinheil słuchał z uwagą i poszanowaniem.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — ja toż samo tu czuję.

— Poczciwy Brühl stara się we mnie wmówić, że ja z tej wojny wyszedłem jeszcze zwycięsko — po cichu, idąc zwolna, począł mówić król. — Mnie tu nikt prawdy nie powie, chyba ty. Oni mi mówią, że powinienem być szczęśliwym; — ja się czuję upokorzonym i biednym.

Zdaje się, że zagadnięty tak rezydent znalazł się w bardzo przykrym położeniu. Dumął z głową spuszczoną, nie odpowiadając nic. Król zamilkł także, aż w końcu Steinheil rzekł:

— Prawdę mówić, Najjaśniejszy Panie, często, rzecz i niebezpieczna, i mało pożyteczna. Człowiek lubi się łudzić, wielu tej gorzkiej medycyny nie znosi.

— Ja, ja — wyjąknął August — zdaje mi się...

— Najjaśniejszy Panie — przerwał Steinheil — monarchowie w ogóle rzadko prawdę słyszą, a Wasza Królewska Mość nie stanowicie wyjątku.

— Ale Brühl mówi mi wszystko — zawołał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, wszystko, co znajduje właściwym, a co nie zaburza spokoju Waszej Książęcej Mości.

— Co trzymasz o Brühlu? — wtrącił August. — Zdolności ogromne, miłość dla mnie niewzruszona?

Steinheil się uśmiechnął bardzo nieznacznie, lecz król, który niespokojnie go badał, dojrzał ten nienarodzony półuśmiech i zasępił się.

— Gdyby nie Rosja — rzekł — gdyby nie Moskwa, Brühl tak prowadził interesa moje, że bylibyśmy wszystko odzyskali. Ocalił wiele, honor mój cały. Saksonia odżyje... Polska wybierze po mnie jednego z synów... Al beż to nie świetny koniec takiej zajadłej wojny? Siedem lat wytrwać, alboż to nie bohaterstwo?

Za każdym frazesem król się zatrzymywał spodziewając odpowiedzi. Steinheil patrzył w ziemię i milczał. August łagodnie, jakby go chciał przebudzić z uspienia, wziął za suknię i rękę położył na ramieniu.

— Mów, mów — odezwał się łagodnie. — Od mojego powrotu męczę się myślami. Cierpię... Brühl mnie pociesza... ale wewnątrz czuję, słyszę jakieś głosy.

Rezydent zwolna podniósł głowę, stara jego, jakby z pergaminu wykrojona twarz przybrała wyraz uroczysty, poważny.

— Najjaśniejszy Panie — odparł. — Ci, co mówią ci pochlebstwa, kłamią, a głos twój wewnętrzny prawdę ci mówi. Siedmioletnia wojna zadała ci cios śmiertelny. Prusy rozpoczęły te zdobycze, które się skończą ich panowaniem

nad Niemcami całymi. Nie twoja jedna korona zachwiała się na skroni; cesarska także chwieje się i spaść może.

August stał blady.

— Polska nie ucierpiała nic za mojego panowania, wojna jej nie tknęła — począł żywo — spodziewam się miłości od nich, rządziłem łagodnie, nie posadziłem nikogo na Kónigsteinie. Saksonia, boli mnie to, mówią, że wycieńczona, ale Brühl powiada, że ją *zniszczył Szwed*, a Prusacy już przyszli na wynędzniałą. Jednakże podatki płacą, pieniądze mamy, nie brakło ich nigdy, nigdy. Pytałem o to Brühla.

— Najjaśniejszy Panie, jeżeli była czyja wina — rzekł Steinheil — to pewna, że nie twoja.

— Brühlowi winienem największą wdzięczność — mówił August — a za to, że się dla mnie poświęcił — ściga go nienawiść, obrzucają go potwarzami.

Rezydent zamilkł.

— Mówże — nalegał król.

— Nie będę kłamał — odparł Steinheil — ale po ca Wam, N. Panie, po czasie zgryzoty szukać? Brühl służył wam może dobrze, ale sobie lepiej jeszcze, uczynił was niewolnikiem, nie dopuścił ludzi ani prawdy do uszów waszych...

— Jak to? I ty go obwiniasz? — przerwał król przestraszony.

— Ja nie! ale własne jego sprawy... — począł powoli Steinheil.

Na chwilę August zamilkł oniemiały. Podeszli kroków kilkanaście.

— Nie uwierzysz — zaczął król znowu, zmieniając ton — jak mi smutno teraz. W tym ogrodzie, za życia mego ojca, co to była za wesołość, jaki przepych, jakich tu miewaliśmy gości! A ja, ja... nie mam już takiego myślistwa. Opera mi nie smakuje, trzeba ją odnowić. Nikt do mnie nie przyjeżdża, aby mi powinszować powrotu. Nie Brühl temu winien, ale moje przeznaczenie. Gdyby nie Brühl, byłbym najniezwyklejszym z ludzi. Patrz, że z siedmioletniej wojny, która mogła pożreć wszystko i pochłonąć, wszystkie klejnoty ocalone. Galerię schował do Kónigsteinu i ona ocalała. Bez niego czy ja bym dał radę sobie z burzliwymi Polakami? On dopiero ich okiełznać potrafił. Sam się zrobił Polakiem, aby tego dokonać. Wiesz ty o tym?

— Słyszałem, Najjaśniejszy Panie — westchnął rezydent.

— Widzisz, ja jemu winienem wszystko.

Nie otrzymawszy odpowiedzi król się żywiej trochę poruszył.

— Przekonałem cię? — zapytał.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — rzekł Steinheil. — Z innym człowiekiem ty byś ucierpiał więcej, ale Saksonia nie miałaby w sobie zarodu śmierci, zyskałbyś przynajmniej wieniec i palmę męczeńską.

Zachmurzył się król.

— Nie mogłem zrobić nic więcej — rzekł po namyśle. — Brühl nie winien nic.

I wśród milczenia powtórzył kilka razy z niespokojnym naleganiem też słowa: — Nic! nic!

Rezydent schylił głowę.

— Ja ci tego nie mam za złe, że ty go nie oceniasz sprawiedliwie, ja jeden go znam. Wierz mi. Wiem, że ma nieprzyjaciół, ale heroicznie znosi pociski, które na niego miotają. Co za człowiek!

Steinheil nie odważył się już powiedzieć nic więcej. Król, jakby czuł potrzebę wywnętrzenia się, ciągnął dalej.

— Nie mogło być inaczej, a gdyby inaczej było, to nierównie chyba gorzej. Wystaw sobie, pałac mu zburzyli... te piękne sale, tę bibliotekę, te obrazy... czego me pochował, to wszystko zniszczono... przez zemstę nad nim... bo on mnie ocalił! on!

— Ocalił! — wyrwało się Steinheilowi.

— Bez niego byłoby tysiąc razy gorzej — ciągnął dalej król. — Na zamku, prawda, nie tknęli nic, tylko to archiwum.

— A, wiem o archiwum — zawołał rezydent — bom słysząc, co zaszło z królową, o mało nie umarł z bólu i wstydu.

August pobladał jak ściana.

— Archiwum i królowa? — zapytał — ale cóż wspólnego ma nieboszczka święta pani z archiwum?

— Najjaśniejszy Pan nie wiesz?

— Ja? nie! — odparł król.

— Aleś wiedzieć powinien — odezwał się Steinheil. — Królowa przeczuwała, że do archiwum dostać się zechcą. Leżała chora, kazała się podnieść, prowadzić i wzięwszy klucze, siadła we drzwiach archiwum, aby nie dopuścić łupieży.

Król czerwienił się i blednął. Wargi mu drżały.

— Nie pomogło to nic — dokończył rezydent — kazano żołnierzom ująć królowę i opierającą się, krzyczącą żołdacy gwałtem odnieśli, aby drzwi mogli wyłamać.

Król słuchał i łzy mu z oczów ciekły.

— Nie powiedzieli mi tego — szepnął. — Na jutro nakażę nabożeństwo uroczyste za jej duszę. *Heroinę* się stała... gdy ja... Ale cóż bym ja poradził tu, gdybym został? Czyżby oni mnie poszanowali?... Biedny Brühl, ile go to kosztować musiało, aby zataić to przede mną, aby mnie goryczą nie napić!

Zmęczony niedługą przechadzką August usiadł na ławce, sparł się na lasce i głęboko zamyślił. Stojący przed nim rezydent z politowaniem patrzył na niego, nie śmiejąc już się odezwać. Król jakby o nim zapomniał. Po długim przestanku podniósł głowę, potoczył wzrokiem dokoła.

— Wszystko tu posmutniało — rzekł. — Jeździłem do Hubertsburga, byłem w Moritzburgu, zwierzyny prawie nie ma, tak mi ją Prusacy wybili, ale Brühl mówi, że się rozmnoży rychło... Radziwiłł gotów mi ją z Litwy przysłać. Wiesz? on jeździ niedźwiedziami. Kazałem tu przysłać żubry, których nie ma w Europie, ja jeden ich mam... tym się król pruski nie pochlubi!

Wstał nagle.

Lektyki i ludzie mający je nieść, w kanarkowych frakach z granatowymi wyłogami, stali pokornie na stronie... ruszyli się ku lektykom. Wtem dał się słyszeć turkot powozu. Karetka mała, parą koni pięknych zaprzęzoną w złocistych szorach, biegła w tę stronę.

— To Brühl! — zawołał król uradowany i zwracając się do Steinheila szepnął — ja mu nic nie powiem.

Rezydent miał wielką ochotę oświadczyć, że tajemnicy z myśli swych nie czyni, ale nie miał już czasu na odpowiedź i król się oddalił wyszedłszy naprzeciw ministra.

Na twarzy Brühla dziwnie się mieszały dwa sprzeczne wyrazy: — wielkiej radości kłamanej i wielkiego niepokoju rzeczywistego.

Ucałował naprzód rękę królewską, a gdy August powiedział mu jedno słowo tylko — Steinheil!! — rzucił się z przesadzoną czułością witać go i ścisnąć.

Rezydent przyjął to z wielkim umiarkowaniem, można by powiedzieć ze wstrętem.

— Wierny, stary sługa Waszej Królewskiej Mości — rzekł minister — ale ten ranek... był dla mnie niespodzianek pełen. Wasza Królewska Mość wyjechałaś nie o swej godzinie. Co powie doktor, który zalecił ostrożność taką? Przeraziłem się...

— Ja bo się zdrów czuję — rzekł August — ranek piękny, no i Steinheil mi się trafił!

— Gdzie? — zapytał Brühl.

— Zobaczyłem go przez drzwi otwarte i natychmiast przywołałem...

Podejrzliwie spoglądał Brühl na rezydenta, który milczał.

— Powróćmy na zamek — odezwał się August — jeżeli doktorowie nie pozwalają.

Uśmiechnął się Steinheilowi.

— Niech cię niosą za mną, ja cię jeszcze chcę widzieć. I skinął na niego tajemniczo, ale Brühl pochwycił to przelatujące skinienie.

Steinheil wsiadł do lektyki spokojnie. Brühl do powozu swego. Konie musiały iść noga za nogą, bo minister nie chciał króla odstąpić ani na chwilę. Droga do zamku trwała dosyć długo.

Zbliżając się ku niemu Brühl zatrzymał swój powóz, wysiadł i przystąpił do królewskiej lektyki. Tu pochylony, w postawie pokornej, bardzo długo z królem rozmawiał. Królewską lektykę wnoszono w bramę zamkową, gdy Brühl odstąpiwszy od niej skierował się ku Steinheilowi.

Pomógł mu wysiąść z tego pudełka, w którym był zamknięty, i przywitał nadzwyczaj miłym uśmiechem.

— Panie radco — odezwał się — nie wiem, czy król kazał wam się stawić zaraz na zamku, ale mnie dał polecenie powiedzieć wam, że się czuje trochę zmęczony i życzy, abyście poczekali, aż wezwać was każe.

— Byleby to niezbyt długo trwało, bo ja nie dworak, życzę sobie do Frankfurtu powrócić.

— Macie słuszość, Frankfurt jest jednym z najprzyjemniejszych miast niemieckich — mówił Brühl — pobyt w nim bardzo miły, woda bardzo zdrowa... klimat łagodniejszy niż u nas.

Rozśmiał się w końcu.

— I pieniędzy tam mają dużo... Żegnam was — dodał — dam znać, gdy król wezwać was raczy.

Rezydent nic nie odpowiedział i poszedł pieszo do gospody.

Niespokojny, rozdrażniony, Brühl rozpoczął na zamku od śledztwa, kto śmiał Steinheila wpuścić tak do przedpokoju, ażeby go Najjaśniejszy Pan mógł spostrzec.

Jedni składali na drugich. Brühl przypominał, że za zbrodnię dopuszczenia kogoś bez jego wiadomości karą było — wygnanie. Nastraszył wszystkich, ale nie wypędził nikogo.

Przygotował się do rozmowy z królem sam na sam. Skutkiem długiego obcowania z królem miał dar szczególny, zgadywał on, co na wszelki przypadek król miał odpowiedzieć, a nawet co uczynić. Rachuba nigdy go nie myliła. Grał tak na duszy jego jak wirtuoz na znanym sobie muzycznym narzędziu. Łatwo mu więc było doprowadzić Augusta, gdzie chciał i potrzebował.

Przed wejściem do gabinetu, w którym król przez znaczniejszą część dnia fajkę palił, Brühl się zatrzymał u progu, jakby układał program rozmowy.

Wszedł wesół i słodki, uśmiechnięty, dobroduszny, nade wszystko pokorny. August spoglądał na niego z czułością i myślał w duszy.

— I tego człowieka obwiniać śmieją!

— A! uradowałem się też zobaczywszy Steinheila — zawołał. — Tyle go czasu nie widziałem, a tak go szanuję... O, to mi człowiek!!

Król słuchał widocznie uradowany.

— I ani się dobija wywyższeń, tytułów, majątności; pragnie tylko służyć wiernie swemu panu! Nieoceniony człowiek!

Król coraz żywiej puszczał kłęby dymu... a fizjonomia jego potwierdzała.

— Takich ludzi mało — ciągnął dalej Brühl.

— Bardzo mało — potwierdził August.

— Niestety tylko, że Steinheila i jemu podobnych do niczego użyć nie można, choć oni by byli do wszystkiego zdolni.

Król zachęcał do mówienia, ale sam nie wtrącał nic.

— Nieoszacowani w zwykłych życia okolicznościach, wśród zawikłań politycznych głowy tracą. Ze złymi, przewrotnymi ludźmi mając do czynienia polityk musi odgadywać złe myśli i czasem, aby zapobiec nieszczęściu, sam się postawić w dwuznacznym położeniu. Tego Steinheil, otwarty do zbytku, *weredyk*, apostoł prawdy, nie umiał nigdy. Najzacniejszy z ludzi, ale najmniej użyteczny. We Frankfurcie na swoim miejscu, ale na dworze, w ministerium, którego byłby godnym... a ja bym go rad tak w nim widział, byłby szkodliwym nam i sobie! Jaka to szkoda! Ja go tak kocham...

— Poczciwy Brühl — odezwał się król rozczulony — ty masz rozum i baczność na wszystko.

Brühl stał chwilę wpatrując się w królewskie oblicze.

— Jak się Wasza Królewska Mość dzisiaj czuje? — zapytał.

— Nieźle — odparł August.

— Trzeba się oszczędzać— dołożył minister — a nade wszystko porządku życia nie zmieniać. Ja się obawiam o tę ranną przejażdżkę do Bażantarni i to jeszcze w towarzystwie tego najzacniejszego Steinheila, który ma dar karmienia i pojenia goryczą.

Król spojrział zdumiony tym, że odgadnięto rozmowę.

— Dlatego — dodał minister — jeżelibyś Wasza Królewska Mość życzył sobie widzieć się i mówić z Steinheilem, jako *antidotum* mieć trzeba kogoś, co by był obdarzonym weselszym poglądem na rzeczy. Ale ja bym był tego zdania — dodał — abyś Wasza Królewska Mość nie zaraz przynajmniej kazał go zawołać. Ja sam tego doświadczam; po każdej z nim rozmowie wypoczynek pewien jest potrzebnym.

— Sądzisz? — spytał król.

— Wasza Królewska Mość masz ślady znużenia na twarzy — dodał Brühl.

August spojrział w zwierciadło. W istocie twarz miał nabrzęklą i jakby nalaną, powieki ciężkie, senne zapadały mu na oczy, skóra fałdowała się około ust zaciśniętych.

— Przyznam ci się, że chciałem widzieć tego poczciwego Steinheila — rzekł cicho.

— Ale dlaczegóż nie, i owszem — przerwał minister— nie wiem tylko, jak Wasza Królewska Mość tym rozporządzisz. Mnie by pilno było bardzo posłać go do Frankfurtu właśnie dla naradzenia się z rezydentem cesarskim co do... przyszłej sukcesji tronu. Nierad bym tego odkładać, Steinheil jest mi potrzebny, jemu jednemu to powierzyć mogę, bo jego jednego jestem pewnym. Więc chybabyś Najjaśniejszy Pan za powrotem jego...

Król głową dał znak przyzwolenia.

— Pożegnajże go ode mnie — rzekł łagodnie.

Brühl się skłonił.

W godzin parę potem karetka jego stała przed Złotym Aniołem, w którym Steinheil zajmował małą izdebkę.

Na stoliku leżał otwarty *Tacyt*, który w drodze mu towarzyszył. Steinheil stojąc czytał z niego coś, kończąc kawałek chleba posmarowany ulubionym mu gęsim smalcem. Wszedł Brühl i niezmiernie uprzejmie go powitał.

— Przychodzę od króla — rzekł. — Najjaśniejszy Pan, który do waszych usług najwyższą przywiązuje wagę, prosi cię, byś do Frankfurtu pośpieszył. Kazał mi wyrazić ubolewanie, że się na teraz widzieć z wami nie będzie, a tyle sobie z tego obiecywał rozkoszy! Ale król swoją rozkosz zawsze jest gotów dla dobra kraju złożyć w ofierze. Święty to monarcha.

Steinheil milczał, ocierał usta i patrzył na Brühla, jak się czasem spogląda na wyprawiających hecę. Minister mówił żywo.

— Zdaje mi się, żeście mi oświadczyli, że życzyście sobie powrócić do Frankfurtu.

— Jak najrychlej! — rzekł rezydent.

— Wracajcież, gdyż i sprawy króla tego wymagają — dodał minister.

— Nie omieszkam — zamknął *lakonicznie* Steinheil.

— Mam królowi co powiedzieć? — zapytał Brühl.

— Wyrażcie mu cały smutek mój, iż ręki jego ucałować nie mogę — rzekł Steinheil. — Jadę dziś jeszcze.

— Czynicie rozumnie, chwili dziś nie ma do stracenia — mówił Brühl. — Wojna jest skończona na pozór, myśmy ze wszystkich zasadzek wyszli zwycięsko, ale dlatego nieprzyjaciele nasi, pozorni zwycięzcy, wycieńczeni, osłabieni, na nowo kopać pod nami poczynają doły. Wy jesteście naszą przednią strażą.

Steinheil słuchał tylko. Brühl, mający nadzieję dobyć coś z niego, przekonawszy się, że nie jest skłonny do zwierzeń, spojrział na zegarek, podał mu rękę i pożegnał go.

Steinheil nie odprowadził go nawet do wschodów.

Na dole, przyparta do wrót, stała niepozorna bardzo figurka, mężczyzna w wyszarzanym kapelusiku na peruczce rudej. Minister spojrział na niego i dał mu znak. Mijając go rzucił mu w ucho:

— Ani kroku stąd, dopóki nie wyjedzie... i dać znać...

Niepozorny człowieczek słuchał jednym uchem, drugim chwycił, co się działo koło niego. Brühl zniknął, a on pozostał w miejscu jak przykuty.

W izdebce zajętej przez Steinheila po odejściu ministra rozległ się śmiech szyderski. Rezydent złożył Tacyta i począł się ubierać na drogę.

Niepozorny ów stróż, który pozostał u wrót gospody, szukał sobie wygodnego miejsca, w którym by mógł spoczywając nie tracić z oczów ruchu, jaki panował Pod Aniołem, i tak dobrze umiał się zaszyć w kątku, iż nikt jego bytności nie dostrzegł.

Steinheil miał między Polakami i Niemcami przyjaciół. Gdy się dowiedziano o nim, poczęli go odwiedzać wszyscy. Posłał był już na pocztę po konie, gdy szambelan królewski, Zabięło, zapukał i nie czekając odpowiedzi wszedł do niego.

— Kochany panie radco — odezwał się od proga — nie posądzaj mnie o natrętność, gdy cię nudzić przychodzę na wsiadany.

— A skądże wiecie, że mam wsiadać — zapytał rezydent.

— Przypadkiem — odparł szambelan oglądając się dokoła. — Nie przychodzę z własnej woli, ale jestem przysłany do was.

— Jeszcze od Brühla? — zapytał Steinheil.

— Ja? od Brühla? — ofuknął Zabięło. — W wielkim sekrecie sam Król Jego Mość do ciebie mnie posyła.

— W sekrecie przed Brühlem? — zapytał Steinheil.

Zabięło skłonił głowę.

— Kazał mi przeprosić, że już cię widzieć nie może, czuje się chorym, a ty, biedny panie radco, musisz, jak się zdaje, w pilnych sprawach do Frankfurtu powracać.

Śmiał się Steinheil.

— W istocie — rzekł — sprawa pilna... mówiono mi o wynalezieniu nieznanego ułamku *pism Cicerona*, rozumiesz, panie szambelanie, że potrzeba śpieszyć, aby się z tym poznać.

Zabięło stał patrząc mu w oczy.

— Biedny król — westchnął — otoczony jest taką troskliwą opieką, że się ona równa niewoli. Miałżebyś ty, panie rezydencie, podejrzanym być, żeś go z niej chciał wyzwolić?

— Nie wiem, ale dziś rano król mi dał posłuchanie bez wiedzy dyktatora i został za to ukarany. Schwymano nas na gorącym uczynku tajemnej narady w Bażantarni!

— Jak to? król śmiał? bez zezwolenia?

— Bez wiedzy nawet — dokończył Steinheil. — Domyślałem się rozstając z nim, że mnie już tam więcej nie dopuszczą.

— Biedny nasz pan — rzekł Zabięło. — Kazał mi wam wyrazić cały swój dla was szacunek i obiecuje wkrótce powołać do Drezna.

Rezydent zadumał się milczący.

— Znalazłem go strasznie zestarzałym i zmienionym — odezwał się po małej pauzie. — A wy?

— Niestety! — odparł Zabięło — bogdajbym nie był prorokiem. Dni jego są policzone. Gryzie się i niepokoi, kłamie sam przed sobą, czepia się Brühla... w polowaniu i operze szuka pociechy, ale jej nigdzie znaleźć nie może. Widmo Fryderyka, którego ciężkie stopy wszędzie się tu wypiętnowały, chodzi za nim. Widmo królowej, która tu znękana i upokorzona umarła, wyrzuca mu słabość jego.

— A Brühl? — zapytał Steinheil.

— Jest, czym był — odparł szambelan. — Potrafił króla uczynić swym sługą i drzy, aby się na nim nie mszczono tej niewoli. Tu przyszły elektor, księżę Kurlandii, *Chevalier de Saxe*, cała rodzina ze zgrozą patrzy na to, na co myśmy w Polsce przez lat kilka patrzyli, i zemsta dojrzewa w ich sercach. Wie i czuje, ale nie może zmienić nic ani się cofnąć. Wie, że gdy król oczy zamknie, on z nim umrzeć powinien, aby nie poszedł na Kónigstein lub wygnanie. Mówią, że nosi przy sobie drogo opłaconą truciznę, ażeby swej władzy nie przeżyć.

Steinheil podniósł rękę.

— O, biedny ten oślepiiony pan nasz — zawołał. — Nigdy on nie przejrzy? Nikt mu oczów nie otworzy?

— Operacja ta byłaby za późną — odparł Zabiello. — Wszystko, co mogło dotknąć Saksonię i Polskę, spełniło się już!

Zabiello westchnął.

— Król nienajlepiej wygląda — rzekł rezydent.

— Bardzo źle nawet — dodał Zabiello. — My, co go kochamy i bolejemy nad nim, ze strachem patrzymy na jego oblicze.

— Historia nam nie daje przykładu takiego panowania — po chwili namysłu rzekł Steinheil. — Kilkadziesiąt lat trzymać króla nieprzystępnym, nieświadomym, pojonym kłamstwem, nie dać mu się przebudzić i przejrzyć, pieścić go, aby samemu nad nim i nad krajem panować!

— Zbogacić się, urosnąć — dorzucił Zabiello. — Kraj nasz zawichrzony też z jego łaski... leży dziś bezsilny, zdany na samowolę tego, co go zechce opanować.

— Ale po cóż te żale daremne — dodał — my, panie radco, zamiast starożytnego *fatum*, które tłumaczyło wszystko, mamy naszą chrześcijańską wiarę w Opatrzność Bożą. Pocieszamy się nią. Rzeczpospolita dźwignie się... a i Saksonia odrodzić się może... bogdajby tylko nie wydawała na świat więcej podobnych ministrów.

— Saksonia? — podchwycił Steinheil. — Przepraszam was, panie szambelanie, ten mąż wielki nie urodził się w Saksonii, przyszedł do niej na służbę... i tak samo się wpił w nią jak we wnętrze wasze, wywodząc się z polskiego rodu. Wszystko w nim było kłamstwem, począwszy od religii aż do skóry. Maluje się jak kobieta, a wiarę mienia jak suknie. Ewangelik w Dreźnie, jest katolikiem w Warszawie.

Steinheil śmiał się gorzko.

Wtem przed hotelem zabrzmiała trąbka pocztowa i sługa rezydenta wszedł ubrany już do podróży.

— Bądź zdrow, panie szambelanie, ucałuj rękę tego biednego króla mojego, którą bym chciał rozkuć, ale już dziś za późno!

Zabięło wkrótce potem wyszedł z hotelu i wrócił na służbę do zamku.

Król widząc go z powrotem nie miał pokoju, aż mijając go, ostrożnie mu szepnął.

— Byłeś u niego?

— Byłem, gdy wsiadał do powozu z rozkazu ministra pośpieszając z powrotem na swe stanowisko.

August trochę się zdziwił temu pośpiechowi, lecz zdawał się swobodniej oddychać.

U drzwi pałacu Brühla, który już znowu wspaniale wyglądał, bo potłuczone posągi odzyskały, co z nich pruscy żołnierze otłukli, i ściany świeciły nową sukienką, stał niepozorny człeczek i patrzył we wnętrze, gdy powóz ministra wyjeżdżał wioząc na wieczór ustrojonego Brühla.

Zobaczywszy go podniósł się minister i pochylił ku niemu.

— Wyjechał! — szepnął prędko człek mały.

— Był kto u niego?

— Szambelan króla, Polak.

Minister zbladł i zagryzł usta.

— Który?

— Najśluszniejszy i z największymi węsami — rzekł zapytany.

— Zabięło! — mruknął Brühl.

Powóz, który niby przypadkiem zwolnił biegu w bramie, na dany jakiś znak ruszył nagle, a Brühl znalazł się z przeciwnej strony na poduszkach jego w głębi.

W przyciemnionym pokoju gościnnym u pani strażnikowej trockiej odbywał się rodzaj rady rodzinnej. Kilka osób z twarzami smutnymi otaczało biedną Koi-

szewska, która miała głowę i gardło podwiązane, a głos jej schrypły, ciężki, gdy się z tych chust dobywał, tak był stłumiony, iż ledwie go z bliska dosłyszeć było można.

Na stole stały zapomniane szczątki zastygłej kawy poobiedniej i butelka omszona. Wszyscy byli znużeni, spoglądali po sobie i oczyma się pytali siebie:

— Długoż to tam tego będzie jeszcze?

Pierwsze miejsce przy kanapie zasiadał naturalnie Gliński, który je sobie zawsze umiał przywłaszczyć. Prawnik, mecenas Tołudziejowski, przywieziony przez niego, siedział na krześle, przez uszanowanie nieco w tył cofniętym, z włosom do góry nastrzępionym i fizjognomią wrażliwą postrach, groźną i nachmurzoną.

Jeszcze dalej krył się w kątku Bujwid i dwóch ubogich krewnych milczących. Panna Szklarska i staruszka w białym czepku z żółtymi wstążkami, obok strażnikowej na ostatek mała Skrzyńska — dopełniały tego frasobliwego zgromadzenia.

Głos miał Gliński.

— Cóż tu mówić o *preponderancji* i przemocy, jaką na nas wywierają te familie, co sobie nad nami *regimen* przywłaszczyły w sprawach politycznych, gdy nawet stosunki nasze rodzinne wolne od gwałtów nie są. Któż pani hetmanowej polnej prosił o tę opiekę nad osobą mającą matkę i majątek a nie potrzebującą ani rady, ani darów? Że się panna strażnikówna dała uwieść *splendorem* domu, zaszczytem spoufalenia z księżną jejmością, dziwić się nie możemy, ale że z tego księżna korzystać się ośmiela, podziwu godnym jest. Do Trybunału o *rapt* pozywać trudno.

— Słyszałem — przerwał Tołudziejowski — iż jakieś obietnice dobrodziejstw poczynione zostały.

— Obietnice uczynić — obiecanka, cacanka... pańska rzecz — wtrącił Gliński. — Ale jakaż nadzieja, aby się one ziściły, gdy hetman i hetmanowa nawet własnych wierzycieli wiatrem, to jest słowem kontentować są zmuszeni.

— Ja ich dobrodziejstw nie potrzebuję — z oburzeniem odezwała się Koiszewska. — Nie należeliśmy i nie należym do tych, którzy klamki się trzymając z panów żyją i tyją.

— Najsmutniejsze to, że panna Aniela po ich stronie — wtrącił Tołdziejowski.

Szklarska się poruszyła na swym krześle.

— Cóż w tym dziwnego? — zawołała. — Dziewczę niedoświadczone obalamucić, nic łatwiejszego! Bo żeby się choć kochała w tym gachu pięćdziesięcioletnim, żeby taki zachwycający był... ale to stary rzemień. Żołdakami dowodzić i *ogony końskie wozić* przed hetmanem, tyle jego, a do zalotów ani mu postawy, ani wiek jego po temu.

Tołdziejowski, demagog, gdy mu było potrzeba, przerwał głośno, jakby stał przed kratkami.

— Ogólne to prawo, gdy ci magnat dobrodziejstwo ochce uczynić, patrzaj dobrze, pewnie miodem smaruje usta, by wyrwać ząb trzonowy. Tak i tu. Z kieszeni pani strażnikowej trockiej życzą sobie wynagrodzić imć pana buńczuczego, który im faktorował po sejmikach i spełniał wszelkie usługi. Pani hetmanowa kocha tak pannę strażnikównę, aby ją staremu dać. Tołoczko *ultimis spirat*, bo mu już pono mięsa na kredyt nie dają., więc się posag przyda.

— Ja żadnego nie dam! — zawołała strażnikowa.

— Ze swojej substancji — rzekł Tołdziejowski — ale rozpatrzmy się, czy nic nie dać można. Co pan strażnik zostawił po sobie?

— Nic — krótko i gniewnie rzekła strażnikowa.

— Przecież? — spytał Gliński.

— Mieliśmy z mężem wszystko wspólne na przeżycie — odezwała się gospodyni — a ponieważ Bogu się podobało mnie uczynić nieszczęśliwą wdową...

— Za pozwoleniem — rzekł poważnie Gliński. — Podobno te zapisy na przeżycie z powodu zmienionego stanu fortuny uległy *modyfikacji* za wspólną zgodą małżonków. Rozdzieliliście państwo fortunę na dwie schedy. Pozostała tedy scheda nieboszczyka, która na córkę przypada, *salvo advitalitio* pani dobrodziejki.

— Tak by to było — żywo poczęła Koiszewska — ale mój mąż czując się chorym naprawił omyłkę i znowu mi schedę swą zapisał.

— Ale tego w aktach nie ma — odparł Tołudziejowski.

— Tak, to prawda, spisał wolę swą ostatnią przy jednym świadku... nie było nawet czasu przyłożyć pieczęci, ale co to ma do ważności rozporządzenia? Nikt mi nie-śmie zaprzeczyć!

— Za pozwoleniem — przerwał znowu Tołudziejowski. — Córka nie będzie negocjować, ale zięć może i będzie. Rozwinie się tedy akcja o ten dokument, który trudno,, aby się utrzymał w znaczeniu swym. Przewidujemy najgorsze.

— Ja pójdę choćby do Trybunału — oparła się strażnikowa. — Apelować będę, niebo i ziemię poruszę, grosza nie dam.

— Pani strażnikowo! — przerwał Gliński. — Nie godzi się mścić na własnym dziecku.

— Nieposłusznym, krnąbrnym!

— Obałamuconym — rzekł Gliński.

— Ale ja proces ten wygram. Chybaby w świecie sprawiedliwości nie było! — wykrzyknęła kaszląc mocno strażnikowa.

— Ja bym za to nie ręczył — reflektował Tołudziejowski.

— I skandal... ludzkie języki — dodał marszałek.

— Ale radźcież mi, proszę, jak ja inaczej postąpić mogę? — z płaczem prawie poczęła strażnikowa. — Odbierają mi córkę, chcą wyrwać majątek... a ja mam z pokorą przyjąć to i... milczeć. Nie byłabym Koiszewską!

Wszyscy zamilkli.

— Ja bym radził — rzekł Gliński — córce dać wolność wyjścia za mąż, tylko z tą groźbą, że jej pani strażnikowa znać nie chce jako swe dziecko. Co się tyczy wiana, niech idzie wedle prawa, ale niech Tołoczko pozywa, waćpani się broń, ani grosza nie dać... w sądach pójdą *delaty*, odkładania, wyroki i kasaty, rozpoczynanie *ab ovo, de noviter repertis*, dwadzieścia lat się to ciągnąć może, a waćpani dobrodziejka nie dasz złamanego szeląga krom tego, co wezmą mecenasi.

Rozśmiał się Tołudziejowski.

Strażnikowa *nie replikowała*.

— A ja powiadam — odezwała się Szklarska — że to wszystko daremna zgryzota. Strażnikowa tylko miej cierpliwość. Im panna Aniela dłużej pobędzie u hetmanowej, im się lepiej przypatrzy, im się rozsłucha więcej, a Tołoczkę pozna bliżej, tym, pewniejsze, że powróci do nas ze skrucą. Za rotmistrza nie ręcę, czy gdy się dowie, iż na posag czekać trzeba, nie cofnie się. Za hetmanową, gdy ją to znudzi, iż musi matkę zastępować nie sercem, ale workiem, bo nawet wyprawy nie damy, nie ręcę, żeby rąk nie umyła.

— Naówczas ja — wtrącił śmiejąc się starosta pogorzelski — submituję się jako zastępca rotmistrza, chociaż bez buńczuka.

— Nie ma z czego żartować — westchnęła strażnikowa.

— Ja też wcale nie lekko to mówię — rzekł Bujwid. — Mam nawet prawo stanąć jako pretendent, gdy mnie za pannę obcięto.

— Tołoczce waćpan dwa palce obciąłeś! — śmiejąc się dodała Szklarska — będziesz musiał za to grzywny zapłacić.

— Gotówem, gdy mi dowiedzie, że były warte choć tynfa... i że nimi, gdy je miał, zrobił co dobrego.

Tołudziejowskiemu rozmowa tak przechodząca w żarty nie podobała się; począł papierami, które trzymał na kolanach, szeleścić.

— Tandem — rzekł — radźmy, a nie prawmy *ioivialitates*, bo nie pora.

— Nie dam nic — zakończyła strażnikowa — zresztą, gdy i błogosławieństwa odmówię, niech sobie robią, co chcą... A że się przebłagać nie dam, to pewna!

Gliński pochylił się i w rękę ją pocałował.

— Cierpliwości tylko, strażnikowo dobrodziejko — rzekł. — Widzę ze wszystkiego, o czym się tu dowiaduję, że dotąd się nic nie stało, co by się odstać nie mogło. Z obu stron straszycie się, spieracie, a przy acani dobrodziejce jest i prawo, i słuszność. Hetmanowa rada by zaimponować; nie dać się trzeba i stać przy swoim. Gdy córka zobaczy, że tego starego pretendenta do ręki jej inaczej mieć nie może, tylko narażając się na niełaskę matki, na wyrzeczenie się — w ostatniej chwili rozmyśli się i powróci z pokorą prosić o przebaczenie.

— Święte słowa pana marszałka — potwierdził Tołudziejowski — inaczej być nie może!

Powoli wszyscy zaczęli potakiwać marszałkowi; pani Koiszewska uspokoiła się.

— Cóż mam robić? — zapytała.

— Nic, obojętnie patrzeć i nie okazywać wcale niepokoju — dodał Gliński.
— Powiedziałbym — śmiać się, gdyby się godziło tak poważne sprawy śmiechem zbywać. Przyślą może prosić o wyprawę, bo ta podobno była gotową.

— Nie dam jej — przerwała strażnikowa. — Jeszcze czego?!

— Za pozwoleniem — kończył Gliński. — Co się tyczy wyprawy ściśle wziętej, jak pani chce, ale inne rzeczy należące dawniej do panny Anieli ja bym wydać kazał, aby nie okazywać, że się o to wielce troszczy, wróci czy nie wróci. Pierzyny i bieliznę, suknie panieńskie — odeślij pani.

Szklarska śmiejąc się przerwała.

— Marszałek jesteś niebezpiecznym, tak umiesz kombinować wszystko bacznie. Te *dystynkcje* między wyprawą a garderobą!

Gliński uśmiechnął się z widocznym zaspokojeniem miłości własnej.

— Służę już moim braciom, szlachcie, lat tyle radą i doświadczeniem, żem się wiele nauczył — dodał z uprzejmym zwrotem do starej panny. — Gdy asindzka będziesz miała iść za mąż, proszę mnie zawezwać do pisania interczyzy!

— O! o! dziękuję! ja za mąż wcale iść nie myślę — rzekła Szklarska — ale gdy testament przyjdzie układać, pewnie go będę fatygowała.

Tak skończyła się konferencja, z której opuchła strażnikowa wyszła spokojniejszą. Wielki nawet żal do córki ustąpił politowaniu nad tą ofiarą przewrotności magnatów.

Wszystkich swych gości strażnikowa zatrzymała potem na wieczerzę i rozmowy weselej już się toczyły o rzeczach obojętnych, tylko że wszyscy do hetmanowej mieli żal za Koiszewska i za jej dumne obchodzenie się ze szlachtą, opowiadano o niej różne historie nie pozostawując poczciwej nitki.

— Gdyby nie mój proces — tłumaczyła się Koiszewska — córki bym tam nie dała... albo ją dawno odebrała, ale my, biedna szlachta, z życiem i mieniem na ich łasce, bo oni panują w trybunałach, oni na sejmach, oni u boku króla, oni sami wszędzie, a nasi panowie posłowie na sejm im jadą służyć. Królewską moc objęli zupełnie pod pozorem wolności, ale w istocie, żeby sami panowali.

Na odjezdnym Bujwid polecając się łaskawym względom strażnikowej zapewnił ją, że gotów czekać mając szczere przywiązanie do panny, którą o nim przekonać się spodziewał.

Szklarska pozostała ze strażnikową, choć dla niej siedzenie na miejscu, skazanie się na spoczynek, na zabawianie strażnikowej i proboszcza, który przyjeżdżał czasami, było wielką męczarnią. Nudziła się strasznie, choć miała zawsze robotę jakąś w rękach.

Drugiego tygodnia wytrzymać nie mogąc wtrąciła nawiasem, że może by nie szkodziło, gdyby ona od siebie pojechała do Wysokiego zobaczyć się z Anielą.

Strażnikowa, której dokuczyło to, że nic o córce nie wiedziała, mało co się zawahawszy zgodziła się na to.

— Dałabym ci konie i moją bryczkę na pasach — rzekła — ale poznają i pomyślą, że jesteś przysłaną przeze mnie, a to by było niedobrze.

Postarano się więc o konie i woźnicę, a powóz proboszcz dostarczył.

Panna Szklarska w doskonałym usposobieniu pojechała do Wysokiego. Nie było już trudności z wpuszczeniem do strażnikówny, która zobaczywszy ją z wykrzykiem radosnym pobięła ją uściskać.

— Widzisz ty, niewdzięczna jakaś — odezwała się Szklarska — ja umyślnie jadąc do pani Dzierżanowskiej zajechałam do ciebie. Co u ciebie słyhać?

Zadumała się Aniela.

— Hetmanowa przygotowuje się do zaręczyn i wesela — odpowiedziała — ale z tą moją wyprawą. Wystaw sobie, matka mi nic wydać nie chce, ja też nie mam, a od księżnej, przekonałam się, nie dostanę nic; choć mi wielkie rzeczy obiecuje, ale małych nawet nie da. Jakże tu stanąć na kobiercu?

Załamano ręce.

— Co się tyczy twojej starej panińskiej garderoby — przerwała Szklarska — sama słyszałam strażnikowe mówiącą, że ci ją wydać rozkaże, ale na wyprawę nie rachuj. Matka mówi: „głupia bym była, żebym ją stroiła i obdarała, kiedy przeciwko mej woli z domu mi ucieka”.

— Księżna ani myśli o wyprawie — mówiła dalej Aniela — ciągle mi jednak coś obiecuje; może w sekrecie chce mi zrobić niespodziankę.

Uśmiechnęła się Szklarska.

— Księżna nie da ci nic — rzekła — a mężowi, przybywszy do domu, kazać zaraz się oporządzać, od pończoch począwszy... rzecz niemiła. Ja jestem starą panną, ale gdyby mi w tych warunkach udawało się zaślubić choćby księcia Ostrońskiego, nie poszłabym za niego. Mężczyźni mają potem zwyczaj wypowiadać: wziąłem cię bez koszuli itp.

— Wiem ja to wszystko i mówiłam to sobie stokrotnie, ale cóż poradzę?

Wyczekawszy nieco Szklarska ciągnęła dalej.

— Mówisz, co poradzę? Poradzić by łatwo było, ale na to potrzeba rezolucji wielkiej. Powiedzieć wręcz i hetmanowej, i Tołoczce: bez pozwolenia matki nie pójdę lękając się niebłogosławieństwa Bożego.

Aniela nie odpowiedziała. Tyle już nasnuła i namarzyła o życiu z panem rotmistrzem, przy dworze hetmanowej, w towarzystwie białostockim, w rezydencjach pańskich, wśród Francuzów prawdziwych i naśladowanych, że wyrzec się tego wszystkiego nie miała siły. Opuszczenie przez matkę miało dla niej znaczenie — ułagodzenia.

Szepnęła o tym Szklarskiej.

— Mylisz się, moja Anielko — odpowiedziała — matka, dopóki miała nadzieję, że cię odzyszcze, rzucała się, wołała, gniewała: teraz, straciwszy ją, ani myśli o tobie Cała zajęta tą smarkatą, Skrzyńską.

Aniela widząc się tak łatwo zapomnianą zapłakała.

Przez cały czas bytności w Wysokiem przyjaciółka pracowała nad nawróceniem jej, ale nie widziała sposobu. Spozregła tylko, że strażnikówna z mniejszym zapalem mówiła o księżnie i zdawała się mieć do niej jakąś urazę. Więcej teraz rachowała na Tołoczkę.

— Kiedyż tedy ten los ma się rozwiązać? Kiedy się to raz skończy? — zapytała stara panna.

— Albo ja wiem? — odparła strażnikówna. — Mnie się zdaje, że wszystko gotowe, tylko ja zwlekam spodziewając się, że matka mi da wyprawę. Sama teraz nie wiem, co robić. Powiadasz, że matka mi odeszła rzeczy! A widziałaś ty kiedy moją panięską garderobę? Chyba nie. Koszule wszystkie stare, pończochy cerowane, jedwabnych dwie pary i to nie nowe, suknie z pani matki przerabiane. Mizernej rogówki nie mam!

— A cóż ty poradzisz bez niej? Toć do ślubu nawet bez niej nie pójdziesz!

— Chyba mi księżna pożyczy, ale z niej będzie krótka i mała — mówiła Aniela. — Rogówka, choćby używana, kosztuje pewnie ze dwadzieścia kilka dukatów, a ja grosza nie mam.

— Pożyczyłabym ci, rozumie się, pieniędzy, choć rogówką się brzydzę jak grzechem śmiertelnym — odparła Szklarska — ale ja też jestem bez grosza.

Kłamała przyjaciółka, ale nie chciała w istocie pożyczki ułatwiać i przyspieszać wesela.

— Księżna widząc cię w takim położeniu będzie musiała pomóc — dodała Szklarska.

Aniela ramionami poruszyła.

— Ja księżnej nie rozumiem — szepnęła cicho. — Mówiąc ze mną, złote góry obiecuje, a tu, gdy o drobnostkę chodzi, nie chce zrobić nic. A! żeby się to już raz skończyło — dodała strażnikówna — gdyby raz było po ślubie, ja bym z rotmistrza wydobyła, co bym chciała.

— Mówią wszyscy ogólnie, że wiele stracił, a mało co mu pozostało — rzekła Szklarska.

— To nie może być, nie może! — przerwała niecierpliwie Aniela. — Choć zaręczyn nie było, przywiózł mi pierścień; pokażę ci go, kto takie klejnoty chowa, ten nie może być ubogi.

To mówiąc strażnikówna pobiegła do swego kuferka, otworzyła go i dożyła z głębokości pudełeczko, starannie obwiązane. W nim na pięknie usłanym bawełną łóżeczku spoczywał pierścień, w którym w istocie połyskiwał ogromny

brylant rzucając iskier tysiące dokoła. Oprawa była staroświecka, kunsztowna i bardzo piękna.

— Mówią, że może być wart z pięćset dukatów — podała Aniela kładąc go na palec.

— Pewnie! pewnie! — potwierdziła przyjaciółka — ale twoja wyprawa daleko więcej była warta, a z niego ci nic; oczy tylko nasycisz!

Schował się więc pierścień nazad do kufra, a rozmowa powróciła do rogówki, która wszystkie myśli panny Anieli ku sobie pociągała.

Bez rogówki ani do ołtarza, ani na bal... nigdzie nie było można! Jeżdżąc do Białegostoku z księżną pożyczła jej u Barcińskiej, ochmistrzyni księżnej, ale ta opuściła, była Wysokie, a gdyby i była razem ze swą rogówką, ta tak zużyta, płaska była i nieforemna, że na ślub ją włożyć nie było sposobu.

Suknię białą *morową*, zasłonę ślubną i inne przybory księżna półgębkiem obiecywała. Co się tyczy rogówki, wyraźnie zapowiadała, że jej dostać nie może.

Szklarska uczyniła tę uwagę, że pięknej, świeżej rogówki dostać na wsi było bardzo trudno, chyba po nią posyłać do Warszawy.

Tak o rogówkach rozprawiając do nocy, rozstali się, bo Szklarska nazajutrz do dnia chcąc odjechać, nocować miała w miasteczku.

— Nie dałabym za to grosza, że się wszystko o rogówkę rozbije — mówiła sobie w duchu, wsiadając do bryczki.

Aniela miała sen niespokojny, a wstawszy dowiedziała się, że w nocy przyjechał rotmistrz Tołoczko.

Pośpieszyła więc asystować przy śniadaniu księżnej, spodziewając się go zastać. Serce jej biło, ale do rogówki, nie do niego — niestety!

Księżnę zastała po śnie ciężkim ziewającą i kwaśną. Tołoczko też nieosobliwe przywoził wiadomości. Wszystkie starania około Massalskiego, aby go z kanclerzem rozdziwić, nie powiodły się.

Radziwiłł, którego spodziewano się zaplątać w zawikłanie z wojskiem ruskim i doprowadzić do wybryku zuchwałego, który by go sparaliżował, znajdował się nad wszelkie przewidywanie ostrożnym, baczny i trzeźwym.

Wyciągnąwszy z niego, co tylko mogła, hetmanowa poszła do męża na radę, zostawując pannę Anielę z rotmistrzem. Strażnikówna zrozpaczona postanowiła chwilę tę zużytkować.

— Panie rotmistrzu — odezwała się — od dawna zbierałam się z nim mówić otwarcie; nie mogę dłużej milczeć. Matka nie chce mi przebaczyć ani na małżeństwo nasze zezwolić. Ja postanowiłam mimo to oddać mu moją rękę mając opiekę księżnej, ale ta opieka... mów pan z nią... mnie potrzeba niezbędnie wielu rzeczy, ja nie mam nic... Wyprawy matka nie wyda.

Jąkała się i plątała biedna panna strażnikówna.

Rotmistrz słuchał i bladł, a czerwieniał. Tegoż samego dnia właśnie począł się biedzić, że na *cukrową wieczkę* wina, *kondymentów* różnych, słodyczy nie będzie miał kupić za co.

Spodziewał się, że pannę mu hetmanowa przystroi i opatrzy sutą wyprawą.

— Panno strażnikówno, dobrodziejko — rzekł — księżna pani nasza ma dla niej macierzyńskie serce, niech pani się z nią otwarcie rozmówi.

— Mówiłam! — odparła strażnikówna. — Obiecała mi suknię do ślubu, ale ja wszystko zostawiłam u matki, ja nie mam nic, nic!

Tołoczko czupryny potarł... bo czuł zimne poty.

— Z przeproszeniem pana — dodała strażnikówna — rogówki mi nawet braknie.

Rotmistrz się uśmiechnął.

— E! cóż bo znowu — rzekł — ta się chyba znajdzie łatwo.

— Ale ja jej ani szukać nie umiem, ani znaleźć nie będę mogła! — dodała panna. — Powtarzam panu, mów o tym z księżną, nie chcę się wstydem nakarmić. Bez futra nie wyjechać też.

Zniżyła głos, łzy się jej z oczów polały.

— Widzisz pan, zem mu wszystko sakryfikowała — rzekła w końcu — więcej nie mogę.

— Niech panna strażnikówna będzie spokojną, wszystko się załatwi. Proszę o tym nie myśleć. Hetmanowa ma na głowie mnóstwo kłopotów, zapomina się, ale serce jej najlepsze.

Wstyd jej było i łez, i dłuższej o tym rozmowy, słysząc szmer domyśliła się nadchodzącej pani — uciekła.

Rotmistrz stał długo jak skamieniały. Znał nadto dobrze księżnę, aby się łudzić, że skutecznie i wspianałomyślnie przyjdzie w pomoc... nie wiedział sam, co robić.

Mówić z nią o tym zawczasu, było ją nabawić złego humoru i gniewu może. Sądził, że zostawując rzeczy naturalnemu ich biegowi będzie najlepszym sposobem dojścia do celu. Księżna będzie musiała dać, co brakło.

Hetmanowa, powracająca od męża, z którym miała ciężką przeprawę, weszła zaperzona i znalazła rotmistrza samego; domyśliła się, że i tu coś zająć musiało.

— Cóżście to się z panną Anielą nie porozumieli? — zapytała.

— I owszem, i owszem, mościa księżno — rzekł szybko Tołoczko — frasuje się tylko, że jej wiele rzeczy brak... ale to fraszki...

— Ona mnie już nudzi tymi wymaganiami — zawołała hetmanowa. — Wiesz waćpan co? jedź do strażnikowej jeszcze raz, powiedz jej, że nic nie żadasz, ale niechże jej przynajmniej przyszłe koszule i trzewiki!!

Rotmistrz, który wiedział, jak zostanie przyjęty, strasznie się zmieszał.

— Mówię ci, jedź — dodała — jedź do niej ode mnie! Zajmę się losem córki... ale żebyś miała wyprawę jej robić!! Czasu nawet nie starczy, bo wesele musi być w przyszłym tygodniu. Jedź waćpan nie zwłóczęc...

Tołoczko nie mógł się wymawiać, skłonił i przyrzekł, że pojedzie.

Zaledwie się wysunął od hetmanowej powoli krocząc korytarzem, gdy drzwi pokoju panny Anieli się otworzyły. Słuchała ona rozmowy rotmistrza z księżną.

— Niech pan pamięta o rogówce!! — rzuciła mu w ucho i uciekła.

Rotmistrzowi się w głowie zawracało.

— Piwam sobie nawarzył! — zamruczał.

Zawołano go do hetmana, potem jeszcze raz do pani samej, na ostatek pod wieczór kazał zaprzęgać, aby z Wysokiego się wydobyć i nazajutrz rano być u Koiszewskiej.

Gościła tu jeszcze panna Szklarska i ona go pierwsza zobaczyła. Pobiegła do strażnikowej.

— Tołoczko przyjechał — rzekła śmiejąc się.

— Co? Tołoczko? — zakrzyczała gospodyni. — Każżę mu powiedzieć, żeby sobie wracał, skąd przybył; ja go znać nie chcę i mówić z nim nie będę.

— Strażnikowo kochana!

— Nie będę! — tupiąc nogą powtórzyła Koiszewska. — Ty mnie znasz, skoro powiadam, nie będę, dosyć na tym!

Nie podobna było nalegać. Szklarska poszła sama.

Rotmistrz z wielką pokorą prosił o posłuchanie.

— Bardzo mi przykro panu to zwiastować — odezwała się Szklarska — ale strażnikowa mocno chora i widzieć się z nim nie może i nie będzie.

— Pani dobrodziejko...

— Ja na to nic nie poradzę, wyrok jest nieodwoalny.

— Przybywam nie od siebie, ale wysłany przez panią hetmanową.

— To zupełnie wszystko jedno — odparła Szklarska. — Gdyby nawet pani hetmanowa honor ten uczyniła Koiszewskiej i sama przybyła, ręczę, że nie byłaby przyjętą. Tak — powtórzyła — nie byłaby przyjętą.

Tołoczko potrzebował namysłu, nim się na dalsze transakcje zrezolwował¹⁰⁹). Rozpoczął je z delikatnością wielką, zawsze w imieniu księżnej.

— Ja nic więcej nad to nie mogę — odpowiedziała pośredniczka — że żądanie zaniósę i odpowiedź wiernie powtórzę.

Wyszła więc.

Tołoczko zaczął po pokoju się przechadzać, zatopiony w myślach, i ani się spostrzegł, że pół godziny upłynęło, nim panna Szklarska powróciła.

— Pani strażnikowa kazała mi powiedzieć — rzekła — że garderobę córki wydać rozkaże, ale nie wyprawę. W istocie wyprawa jest w gotowości, ale pani strażnikowa nie wydając córki wedle życzenia dawać jej nie myśli i do tego jej skłonić nikt nie potrafi.

Powiedziawszy to Szklarska z pończochą usiadła na kanapie i Tołoczko prosić jej już nie mógł, aby raz jeszcze poszła w poselstwie do Koiszewskiej.

Wymęczywszy się z godzinę to prosząc, to usiłując zmiękczyć serce pośredniczki, rotmistrz w końcu musiał wziąć za czapkę.

Wyszło mu w gardle od argumentowania, a nawet kieliszkiem wódki go nie poczęstowano. Przeklinał więc w duchu strażnikową, a może dzień i godzinę, gdy się niepotrzebnie zajął panną Anielą. Tyle tylko zyskał, że mu garderobę nazajutrz wysłać obiecywano.

Strażnikowa tak była rozżaloną przeciw córce, że to, co jej oddawała, jakby naumyślnie spakować kazała bezładnie, bieliznę nie praną, suknie pogniecione a niektóre z nich podarte i pocerowane tak, że wstyd tylko ich było.

Można sobie wyobrazić, jakie to wrażenie uczyniło na biednym dziewczęciu. Na domiar wstydu sama księżna przyszła oglądać, co wysłano, i nielitościwie sobie szydziła.

Wpadła niemal w gorączkę panna Aniela, aż ją trzeźwić musiano, uspakajając, koić i pocieszać. Słuchając, gdy hetmanowa wymyślała na jej matkę, porywała się jej bronić i nie umiała. Powzięła tylko do księżnej żal i uczucie jakiegoś niewysłowione wstrętu... tak że rada była co najprędzej się stąd i spod jej opieki wydobyć.

Nazajutrz wreszcie z rozkazu pani ochmistrzyni i panny szwaczki zajęły się jakimś przygotowaniem czegoś, co wyprawę zastąpić miało.

— Nie wyobrażaj sobie, mój Tołoczko — mówiła do niego hetmanowa — że ja namęczywszy się, żeby ci dać żonę, przyczyniwszy sobie tym nieprzyjaciół, których i tak mam dosyć, będę się sadzić na wyprawę. Musisz biorąc żonę pomyśleć o tym, żeby ci wstydu nie robiła.

Kto by w tych dniach strapienia widział pana buńczuczego, siedzącego na krześle i zajętego swoim przyszłym szczęściem, które wyglądało na

męczeństwo, nie poznałby w nim wesołego, ochoczego, mężnego dowódcy janczarów z dawnych czasów.

Panna chodziła nie patrząc na niego i nie mówiąc. Gdzie się posunął tylko o pożyczkę, odprowadzono go z niczym. Księżna gderwała na niego i gniewała się, że nie był szczęśliwy. Nie wiedział, gdzie się obrócić.

A ,że o rogówce słyhać nie było, w końcu panna Aniela raz jeszcze, w korytarzu, bardzo serio i z naciskiem wielkiego znaczenia powtórzyła mu, iż rogówkę mieć musi.

Przyparty tak, nieszczęśliwy rotmistrz musiał pójść na zwiady, gdzieby mógł dostać tej rogówki, którą przeklinał.

Litościwa dusza jakaś oznajmiła mu, że wdowiec, pułkownik Matuszewicz, miał ich pono aż. dwie po żonie i życzył sobie je sprzedać. Siadł tedy rotmistrz na bryczkę i choć z pułkownikiem był nienajlepiej, ruszył na zdobycie rogówki.

Dotarwszy do miejsca dowiedział się, że pułkownika nie było. ale rogówek aż dwie w istocie.

Stara jejmość, pani Urmowska, która się gospodarstwem pułkownika zajmowała, grzecznie bardzo kazała przynieść rogówki, objaśniła wszystkie ich zalety, zaręczała za trwałość i za to, że nieboszczka więcej nad parę razy żadnej z nich nie miała. Oba te drogocenne dzieła sztuki nie więcej nad kilkadziesiąt dukatów sztuka kosztowały. Skrzywił się rotmistrz, ale byłby zapłacił, gdyby miał czym.

Potrzeba było pieniędzy, zresztą księżna, zdaniem jego, powinna była opłacić. Kupno więc do namysłu odłożono.

— Niech się pan rotmistrz śpieszy — odezwała się Urmowska — bo tu już kilka pań jest, co się o te rogówki dobijają. Teraz bez nich ani stąpić, kto w świecie bywa... a tu ich na okolicę nigdzie nie dostanie. Tym bardziej tak przedziwnych jak te, które pewnie aż z Paryża pochodzić muszą.

Rotmistrz powrócił z tym do Wysokiego.

Bywało w Wysokiem wesoło, ale bywało też tak nudno, że sam hetman unikał pod czarną godzinę księżnej Magdaleny, a ludzie sobie od ziewania szczęki wyłamywali.

Despotyczna pani nie znosiła twarzy wesołych, gdy sama raczyła być smutną, ani pochmurnego oblicza, jeśli miała usposobienie do śmiechu i zabawy. Nie zawsze się powodziło, była nadzwyczaj drażliwą i nie umiała nic znieść spokojnie; przychodziły więc bardzo często burze a rozpędzić je nie było łatwo.

Sprawa potajemnego knowania przeciwko Radziwiłłowi, ożenie Tołoczki, obojętność stolnika, którego chciała i spodziewała się pociągnąć ku sobie, wszystko to razem nadzwyczaj źle wpływało na humor hetmanowej, a od niej szła burza na cały dwór i na pana hetmana.

Opór Koiszewskiej, niemożność postawienia na swoim prędko i łatwo samej księżnie już tak dokuczyły, że chciała skończyć jak najprędzej. Gotowa była nawet na pewną ofiarę, byle nie pieniężną, bo pieniędzy w kasie nie było. Napadła na Tołoczkę, ażeby wszelkie drobne trudności i przeszkody starał się sam załatwić.

— Mościa księżno — odparł pokornie rotmistrz — Bóg widzi, oddałbym ostatnie, ale muszę się przyznać — niewiele mam. Świeci się tam coś jeszcze, taję, jak mogę, żem zadłużony po uszy, ale ostatkami gonię i nie wiem, skąd wziąć na wesele, bo mi Żydzi nawet pożyczyć nie chcą.

— Gdzieżeś się tak zaszargał? — zapytała księżna. Tołoczko, zdesperowany, zdobył się na odwagę, zarumienił się i rzekł:

— Na usługach Waszej Książęcej Mości.

Zmarszczyła się piękna pani.

— Widzi księżna całe moje życie, nałogów żadnych nie mam, kawałkiem chleba razowego gotówem żyć, ale gdy idzie o służbę księciu lub księżnie, z jutrem się nie rachuję.

Westchnął ciężko.

Księżnie się go jakoś żal zrobiło.

— Mój rotmistrzu — odparła — spodziewam się, iż wiesz o tym, że my oboje tym, co nam z serca służą, umiemy wdzięczność okazać, możesz się więc nie frasować swoją przyszłością. Chcę też Koiszewskiej pokazać, że nie na przekór jej córkę wzięłam, ale coś dla niej uczynię. Choćby dlatego, aby nie żałowała, co traci ze strony matki.

Skłonił się z przyklęknięciem Tołoczko, a że do księżnej przywołano któregoś z jej faworytów, wyszedł żywo rozmyślać o przyszłym szczęściu i o rogowce, której wspomnieć nie śmiał.

Wieczorem po wieczerzy książe go wziął do swego gabinetu. Miał minę jakąś uroczystą, na stole leżał list. wielką pieczęcią Sapieżyńską zamknięty. Książe był wesół i dobrej myśli.

— Wiem od Magdusi o twych kłopotach i wiernych służbach — rzekł do niego hetman — naradziliśmy się z nią, czym ci dopomóc. Mnie w tej chwili ciężko, bardzo ciężko, ale mam przyobiecane u Brühla dla waćpana *pierwsze pomierne* starostwo, jakie zawakuje. Dowiaduję się właśnie, że Kąkolownica jest do dania, bo ten, co ją trzyma, umiera. Doktorowie go widzieli. Nikt o tym nie wie, nikt się nie spodziewa, potrzeba korzystać z czasu. Musisz dniem i nocą jechać do Drezna. Do Brühla mam list gotowy, zalecam cię, dał mi słowo, otrzymasz Kąkolownicę. Tylko pośpiech potrzebny gwałtownie. Ruszaj natychmiast do Drezna.

Rotmistrz hetmana w ramiona i po rękach całował, Sapieha mówił dalej:

— Daję ci listów dwa, do Brühla i do szambelana Zabięły. Nim się tu ludzie o wakansie na Kąkolownicę dowiedzą, ty powinieneś mieć w kieszeni list królewski.

— A któż go zapieczętuje? — westchnął rotmistrz.

— To moja rzecz — dodał Sapieha — przywieź tylko.

— Mam zaraz jechać? — przerwał Tołoczko.

— Mówiłem ci, dziś na noc jeszcze, ale nikt wiedzieć nie powinien dokąd i po co. Gdy powrócisz starostą — i kredyt się znajdzie, i wszystko pójdzie jak po maśle, a nawet strażnikowa zmięknie. Pożegnajże bogdankę twą, księżnie podziękuj, bo jej winienez najsilniejszą instancję, i w imię Boże!

Wdzięczności Tołoczki opisać nie podobna: zdawało mu się, że litościwe nieba kładły koniec jego cierpieniom. Wszystko się teraz składało dobrze i łatwo. Żmigrodzki rotmistrz jechał do Drezna i ofiarował się podróż tę odbyć z Tołoczką.

Z wieczora jeszcze tegoż dnia otrzymał audiencję u księżnej, nie mogąc wyjechać nie podziękowawszy. Księżna kazała przywołać pannę Anielę do swego pokoju, aby rotmistrz i jej rączki mógł ucałować, dała mu notatkę

sprawunków w Dreźnie zapomniawszy dać pieniędzy na nie... i Tołoczko mógł wyjechać natychmiast, bo na porękę Żmigrodzkiego Żyd Aron Białostocki dał mu oberżniętych sto dukatów.

Rotmistrz się zobowiązał wypłacić je za trzy miesiące z przyrostem tylko pięćdziesięciu. Ale żeniąc się kto zważa na takie bagatele!

I to też do pomyślnego składu okoliczności zaliczyć można, iż do podróży dostał takiego nieoszacowanego towarzysza, jakim był Żmigrodzki, sławny jowialista, *oczajdusza*, człowiek serca szerokiego, kochany od wszystkich. Z nim w drodze rozkosz była, bo jeśli się nie śmiał lub nie rozśmieszał, to śpiewał, a częstować nadzwyczaj lubił. Humor miał taki, że go na pogrzeby nie zapraszano, boby na cmentarzu do śmiechu pobudził.

W Warszawie miał przysły starosta dostać pismo polecające go panom poczmistrzom jako jadącego w pilnym interesie Jego Królewskiej Mości.

Pora była jesienna i chłodna, ale przewidując to Żmigrodzki miał w nogach puzderko z flaszkami napełnionymi wódką gdańską i kubek srebrny dobrej miary. Raczyli się więc po drodze, na przemiany zakasując to piernikiem toruńskim, to *półgęskiem*.

Do Warszawy przybyli nie opatrzywszy się. Tu goście nie myśleli i natychmiast wybitym naówczas traktem saskim podążyli nad Elbę. We Wrocławiu pierwszy raz coś ciepłego zjedli.

W drodze spotykając się ciągle z jadącymi do Warszawy mieli sposobność się dowiadywać o zdrowiu króla. Zaręczano im, że i Brühl, i on cieszyli się jak najlepszym.

Działo się to dnia trzeciego października.

Dnia następnego zostawując Żmigrodzkiemu zupełną swobodę obracania się tu wedle własnego natchnienia, rotmistrz z listami udał się naprzód do Brühla. Nie zawsze do niego dostąpić było można. Dopiero przed samym obiadem, wystawszy się w przedpokoju Tołoczko został przypuszczony do oglądania pożółkłej twarzy ministra, który udawał jeszcze młodego, strojny był z przepychem i elegancją, ale na obliczu zmęczonym nosił najsmutniejszą przepowiednię.

Brühl okazał się nadzwyczaj dobrze usposobionym, bo wojując z Czartoryskimi wszystko, co im opór stawiało, rad był sobie pozyskać i trwale przywiązać.

— Spodziewam się — rzekł mu w końcu posłucham a Brühl — że jutro lub pojutrze król waszmość panu list na to starostwo podpisze, a jeżeli waszmość panu pilno z powrotem, będziesz mógł się stawić Najjaśniejszemu Panu z podziękowaniem natychmiast.

Zadał jeszcze Tołoczce kilka pytań dotyczących się Radziwiłłów i sytuacji wojsk ruskich i z uprzejmością nadzwyczajną do widzenia go pożegnał.

Szambelan Zabiello przyjął też znajomego sobie z dawna Tołoczkę rad, że z nim o Litwie będzie mógł pogawędzić.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — dodał — że przywilej na starostwo podpisany zostanie. Brühl taki tu wszechmogący, jak był w Warszawie, a daleko mu się łatwiej obracać.

— A król? — zapytał Tołoczko.

— Król, zdaje mi się, że utył już nawet od swego przybycia. Nie może się nacieszyć Dreznem — mówił Zabiello; — teatr mu przyozdabiają, przygotowują polowania, które gdyby nie żubry, zagasiłyby Białowieżskie i Pragskie. Przed swoją ukochaną Madonną, sam widziałem, gdy się modlił i płakał. Nie ma nad niego szczęśliwszego człowieka, bo tego, co by go zgryźć mogło, nie widzi.

Rozmawiali długo, Zabiello opowiadał o życiu w Dreźnie, o dworze, o następcy tronu, który *był chory i kaleka*, o księżniczkach... królownie i tym, co Augusta otaczało.

Od Zabielly dowiedział się rotmistrz, że rano, o siódmej godzinie król był zwykły słuchać mszy św. w kaplicy zamkowej, do której wstęp tylko osobom wybranym był dozwolony. Szambelan też obiecywał wprowadzić z sobą rotmistrza, aby na intencją pomyślnego skutku zabiegów swych mógł się pomodlić i rodzinę pańską zobaczyć, bo tej nie znał wcale.

Resztę dnia ledwie mógł spocząć Tołoczko, tak go rozrywali panowie przy królu bawiący, ciekawi dowiedzieć się, jak stały sprawy od czasu ich wyjazdu. Szło głównie wszystkim o *Trybunał Piotrkowski*, który Potocki, wojewoda kijowski, tak samo miał opanować jak Radziwiłł Wileński, i jeden z Potockich już był na marszałka głosem powszechnym desygnowany.

Tołoczko i Żmigrodzki biesiadować musieli od rana do nocy, bo ich sobie z rąk do rąk podawano.

W rotmistrza też przy tak szczęśliwych wróżbach wstąpiło męstwo, powróciła mu wesołość. Dość późno powrócił do gospody swej Pod Trębaczem za bramą i zasnął snem twardym. Żmigrodzki dużo później powróciwszy zabawił się tym jeszcze, aż go w najlepsze usypiającego poty wołał i potrząsał nim, aż go zbudził, oświadczając, że chciał tylko wiedzieć, co mu się śniło.

Zasnął potem znowu Tołoczko i przez pacholika trochę za późno rozbudzony, ledwie miał czas się przyodziać, aby do kaplicy na mszę świętą pobiec do zamku.

Z wyznaczonego mu miejsca mógł się przypatrzeć królowi, który wszedł stąpając ciężko, bo zdawało się, że nogi miał obrzękłe. Twarz, choć łagodnie uśmiechnięta, nadzwyczajnie wyrażała znużenie, w czasie nabożeństwa oczy mu się przymykały i zdawał się drzemać. Słuchał jednak i mszy, i modlitw po niej następujących klęcząc pobożnie i modląc się... dopiero gdy mu przyszło wstać do pocałowania pateny, ludzie pomagają i pod rękę go wziąć musieli, ale Zabiello zwyczajem to tłumaczył.

Nie wiedzieć z jakiej przyczyny rotmistrz ciekawie się wpatrując w Najjaśniejszego Pana znalazł go smutnym i sam doznał przykrego wrażenia.

Zabiello, który mu towarzyszył, a miał tego dnia służbę i pokój dla siebie na zamku, zaprowadził go z sobą. Nie spodziewał się Tołoczko, aby dnia tego mógł dostać wiadomość pomyślną od Brühla, ale chciał się pilnować, aby czasu nie tracić. Zbliżenie się więc do osoby króla, do szambelana, który mógł mieć o podpisaniu papierów wiadomości, bardzo mu było na rękę. Zabiello też śniadanko swe z królewskiej kuchni rad był podzielić z przyjacielem.

Za orszakiem dosyć licznym dworaków, towarzyszących Najjaśniejszemu Panu, udali się na zamek, w którym Brühl już na niego oczekiwał.

Zabiello odprowadził Tołoczkę do pokoju. Kazał śniadanie rychło podawać, bo miał zawsze wilczy apetyt, a sam się poszedł stawić na chwilę na pokoje.

— Król przekąsi coś pewnie i siądzie z fajką słuchać, co mu Brühl na ten dzień przyniesie, a ja będę mógł do was powrócić.

Siadł tedy Tołoczko u okna i przypatrując się ruchowi nader ożywionemu na podwórzach zamkowych, spokojnie na przyjaciela oczekiwał.

Czasu trochę upłynęło, nim szambelan powrócił i zawołał o przekąskę.

— Króla widzieliście? — spytał rotmistrz.

— A jakże! Zagadnął mnie nawet o tym, iż słyszał o kilku ichmościach przybyłych z Polski, a jam mu was wymienił.

Rozśmiał się buńczuczny.

— Niewiele się z tego nauczył, bo mnie jako żywo nie zna, tak jak większej części swych wiernych poddanych. Jakże się dziś ma? — dodał Tołoczko.

— Zdrów, tylko nogi podobno w kaplicy przeziębził, a ma zadawnioną pedogrę w nich — odparł szambelan. — Pedogra dopóki w nogach, poty człowiek zdrow, gdy pomaszeruje do głowy i piersi — nie ma ratunku. Kazali mu się panowie doktorzy w łóżko położyć, aby się odgrzał. Siądzie potem do obiadu o swej porze i zje dobrze, bo na popis może wystąpić z apetytem. Je i pije co się zowie.

— Daj Boże na zdrowie — wtrącił Tołoczko.

Niedługo zabawiwszy Zabięło wysunął się dla służby, a rotmistrz znalazłszy wygodne krzesło, skórą obite, zanurzył się w nim i myślał o pannie Anieli.

Szambelana, który miał natychmiast wrócić, nie było pół godziny; upłynęła godzina, nie doczekał się go rotmistrz. Zbliżało się południe.

Aprensji stąd jednak żadnej nie powziął Tołoczko; sądził, że Zabięłą służba przy królu zatrzymała lub chęć dowiedzenia się o czymś, dla usłużenia jemu.

Jednakże w korytarzach jakaś bieganina, ruch żywy, głosy niecierpliwe, dające się słyszeć coraz częściej, wydały mu się podejrzany. Znajdował to czymś nadzwyczajnym, ale się uspakajał tym, że zwyczajnego życia nie znał.

Wtem drzwi się rozwarły nagle i Zabięło wpadł spiesźnie, ale jak ściana blady.

Tołoczko zerwał się z krzesła.

— Nieszczęście! — wykrzyknął wbiegając szambelan — nieszczęście! Królowi od tych nóg przeziębionych pono pedogra do góry postąpiła. Pełno już koło niego doktorów i cyrulików. Przed chwilą, gdym do ciebie przyszedł, nie było najmniejszego niebezpieczeństwa, a lękam się, aby za chwilę nie było już żadnej nadziei.

Rotmistrz ręce załamał i naiwnie wykrzyknął:

— A mój list na starostwo nie podpisany! To trzeba mojej doli! Ale możeż to być. co pan szambelan mówi? Król wczoraj miał być zdrow jak ryba?

— Zdrow był jeszcze przed godziną, gdy mi się leżąc w łóżku uśmiechał. Szyję bym był dał, że do obiadu wsiane, a teraz, gdy tu szedłem, ten łotr cyrulik Charon zamruczał mi: „Co tu doktorów sprowadzać? Jemu ksiądz potrzebniejszy niż oni”.

Zbladł Tołoczko i jakby w niego grom uderzył, stał osłupiały.

— Mój rotmistrzu — odezwał się do niego Zabięło. — Mnie się zdaje, że ty tu nie masz co robić. Na zamku, w tej izbie, samemu siedzieć smutno ci będzie i niewygodnie. Powracaj do gospody, dam ci znać, co Pan Bóg m nas ześle. Nie taję jednak, że z tego, co słyszałem i widziałem, złe bardzo wróżby. Siódmego tego miesiąca mieliśmy jego sześćdziesiąt siódme urodziny obchodzić; daj Boże, aby ich dożył!

— Nieszczęśliwa ta dola moja! — zamruczał Tołoczko. — Ha! dziej się wola Boża!

Schwycił za rękę Zabięłą.

— Mój szambelanie — dodał — pozwól, żebym ja tu pozostał; prędzej się dowiem, co mnie czeka. Lecz co tu mówić o sobie, kiedy nie wiadomo, co się z krajem stanie!

— Jeżeli chcesz — rzekł szambelan biorąc już za klamkę — zostań tu. Jesteś o kilka kroków od sypialni króla, co się stanie, dam ci znać.

To mówiąc wybiegł z wielkim pośpiechem.

Korytarz zamkowy pełen już był nadbiegających zewsząd członków królewskiej rodziny, duchowieństwu, urzędników, lekarzy.

Nikt nie zwracał uwagi na rotmistrza, który chcąc się lepiej przypatrzeć i przysłuchać, co się działo, pozostał przyparty do ściany, na przesmyku, którego biegli przestraszeni słudzy i dworacy.

Na twarzach wchodzących i wychodzących czytać było można, jak położenie groźnym się stało.

Mówiono głośno. Lekarze na zapytanie o zdrowie króla odpowiadali otwarcie.

— Król żyć nie będzie, jest bardzo źle! Nikt z nas nie ma najmniejszej nadziei. Krew mu jeszcze puszcza.

Brühl, który w czasie zmiany zaszłej nagle w stanie zdrowia króla Augusta nie był na zamku, dopiero w godzinę później przyniesiony został w lektyce.

Rotmistrz zobaczył go bezprzytomnego prawie, wpadającego na górę i przeciskającego się do sypialni, w której drzwiach był natłok służby i starszyzny dworskiej.

Wszechmogącego przed chwilą ministra popychano i jakby już upadek jego był przewidziany, nikt nie zważał na niego, nie odpowiadano mu na pytania natrętne. Chciał z przedpokoju przebojem dostać się do łóżka chorego, ale gdy już jedną nogą stał na progu, drzwi gwałtownie z wnętrza zamknięto. Kapłan spowiednik wszedł z Przenajświętszym Sakramentem.

Nastają cisza wielka i oczekiwanie. U drzwi w trwożnym niepokoju stała cała rodzina: elektorowa, córki królewskie, zbite w jedną grupę, jakby szukały w sobie opieki, szeptały płacząc. Obok nich z załamanymi rękami, zapłakany jak one, stał książę kurlandzki. Nieco opodal Chevalier de Saxe i *książę Ksawery*. Wszyscy porażeni tym ciosem, który się wydawał śmiertelnym.

Ci, co króla w tym roku, szczególnie ku jesieni widywali, nie taili się z obawą. Doktorowie na zapytania odpowiadali ruszeniem ramion i mrużeniem niezrozumiałym. Sam humor króla od powrotu z Warszawy, zmieniony stan umysłu, niepokój, uskarżanie się na dolegliwości, napępiały trwogą.

Nie było dziwnym dla nikogo, że po wejściu spowiednika August został z nim zamknięty przez godzinę. Przez cały ten czas ci, co byli zgromadzeni w przedpokoju, nie śmiejąc się ruszyć pozostali w miejscu jak przykuci.

Rodzina króla na przedzie stała odosobniona. Z niej książę kurlandzki i córki najwięcej okazywały boleści.

Brühl stał opodal nieco, nie śmiejąc się zbliżyć do rodziny, której znał uczucia dla siebie. Nie zachęcała go też obejściem się swoim, nikt nie spojrzał, nie przemówił do niego. Z urzędników też nikt się nie zbliżył. Pozostał odosobniony, opuszczony, jakby już skazany i czekał tylko wyroku. Jak ta w baśni postać tajemnicza, która się staje niewidoczną, tak on dla cisnących się i ocierających o niego już nie istniał. Twarz jego blada, nagle zestarzała, zwiędła,

napiętnowana nieopisaną trwogą, kamieniała w oczach, gasło życie. Nie miał woli, nie miał może myśli, tak się mu one splątały... nie mógł się poruszyć.

Oczekiwanie to niemal trwało do końca spowiedzi. Zwolna otwarły się drzwi, zabręczał dzwonek, niektórzy z przytomnych poklękali. Łkanie i płacz dały się słyszeć wśród kobiet.

Gdy towarzyszący kapłanowi usunęli się, na łożu dała się widzieć twarz sina a przy niej najbliższej księżę kurlandzki, który przyklęknął... Król poruszać się nie mógł... szeptał coś tylko.

Zabięło, szambelanowie sascy i polscy zbliżyli się sądząc, że ich usługa będzie potrzebna.

Z łona milczenia głos cichy dał się słyszeć:

— Kona!

Zawtórowały mu bolesne okrzyki niewiast. Elektorowa tylko stała nie dając po sobie poznać wzruszenia.

Ponad głowami przyklękających połyskiwała bladym światłem ogromna gromnica, którą pomagał królowi trzymać ulubiony syn, ale wkrótce padła na ziemię... Król postradał zmysły.

Na okrzyk oznajmujący konanie rzucili się instynktowo lekarze, chcąc próbować przywołać go do życia. Powstał szmer pomiędzy nimi, nie opuszczono umierającego nacierając, potrząsając nim, oblewając woniami, próbując jeszcze krwi upuścić... ale w martwych już zwłokach iskierki życia nie było.

Zaraz po otwarciu drzwi, za innymi, krokiem chwiejącym się, niepewnym wsunął się Brühl. Szedł, jakby nie swoją popędzany siłą, z musu, nie z własnej woli, oczy szklane trzymając wlepione w coś dla drugich niewidzialnego. Zwróciły się potem mimowolnie na zwłoki króla, zatrzymały uwięzione na nich, stanął... Ale nikt nie poznawał w nim wczorajszego Brühla — minister umarł razem ze swym monarchą!

Scena boleści prawdziwej, rozdzierającej odegrywała się w grupie kobiet, których płacz przerywały krzyki. Królowny mdlały, słaniały się padając na ręce otaczających je dworzan.

Zabięto pierwszy pochwycił księżniczkę Kunegundę, inni dwaj porwali pozostałe na ręce i z pomocą towarzyszków wynieśli z pokoju.

Książę kurlandzki leżał na ziemi u zwłok ojca i na głos zawodząc, żałośnie płakał, a płaczowi jego towarzyszyła modlitwa księży. Jęki sióstr wyrwały mu z ust słowa łkaniem przerywane.

— Straciliśmy najlepszego ojca, godnego łez, pozostał nam sierotom tylko Ojciec nasz niebieski, łaskawszy i mocniejszy nad niego.

Nie tknął nikt jeszcze zwłok, gdy wśród szmeru modlitw rozpoczętych dał się słyszeć brzęk kluczków...

Elektorowa blada, z wyrazem jakiegoś przestachu na twarzy, w zastępstwie męża, który kaleką będąc ruszyć się nie mógł i nie był przy śmierci ojca, zamykała szuflady i szafy, wołała, aby jej znoszono klucze, rękami drżącymi zagarniała porozsypywane papiery przewidując, że coś by ukryć przed nią chciało.

Na widok tego gospodarstwa przy trupie nieostygłym jeszcze, twarz księcia kurlandzkiego przybrała wyraz sromu i wstrętu.

Wtem wzrok elektorowej padł na skamieniałego jeszcze Brühla, zatrzymała się pytając oczyma, czego tu stał jeszcze, jak śmiał urągać się swoją przytomnością tym, co z jego więzów zostali oswobodzeni.

Z tłumu wysunęła się jakaś ręka koścista, poźółkłą skórą okryta i dotknęła ministra. Drgnął jakby elektryczną iskrą zbudzony, poruszył się, zakrył oczy dłońmi, ale iść nie mógł... Na dany przez elektorowa znak jeden z szambelanów ujął go za ramię i wyprowadził.

Tołoczko z dala całej tej tragedii się przypatrywał i trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, zapomniał o sobie patrząc na nią. Dopiero Zabięto, księżnę Kunegundę oddawszy na ręce jej kobiet i powróciwszy nazad, bo sobie przypomniał rotmistrza, ściągnął go z tego miejsca, które zajął, niedobrze świadom tego, co czynił.

Tołoczko odmówił Anioł Pański za duszę nieboszczyka i odszedł pogrążony w myślach smutnych.

— Nie mam ja tu już co robić — odezwał się do Zabięty. — Trzeba spieszyć do domu, bo tam się gotują wielkie i straszne rzeczy. **Kaptur** będzie burzliwy, a kto przemoże na nim, ten króla da. Czartoryscy ani chybi uproszą

sobie pomoc imperatorowej. Musimy bronić interesów swoich i przyjaciół naszych. Dziś mi myśleć nie o starostwie, które przepadło, ale o przyszłej elekcji.

— Ale ja też — odparł szambelan — muszę do swoich. W Dreźnie się moja służba skończyła. Pospieszę też za wami. Kiedy jechać myślicie?

— Dziś, zaraz, w nocy lub najdalej jutro — zawołał rotmistrz.

— Widzieliście Brühla? — spytał Zabiello. — Dziwię się, że przeżył tę chwilę... znenawidzony przez wszystkich... może się spodziewać takiego bezprzykładnego upadku, jak bezprzykładną była jego dyktatura.

— Obwiniliby ojca, gdyby go prześladowali — rzekł Tołoczko.

— Weźmie truciznę — zawołał Zabiello — i wszystko się skończy tym, że mu majątko skonfiskują. Żal mi syna, bo lepszym był od ojca.

Okrywszy się płaszczami, oba rozmawiając po cichu usiłowali się wydostać z zamku.

Tłum ludzi zapelniał podwórze, wschody i przyległą ulicę od strony kościoła, którego wszystkie dzwony głosiły już śmierć króla. Powozy, lektyki, konni, piesi przybywali i odpływali w różnych kierunkach. Niektórzy ze sług zmarłego płakali po kątach.

W gromadkach na ulicy opowiadano sobie zmyślane szczegóły śmierci. Powszechny odgłos był, iż króla siedzącego u stołu raziała apopleksja...

Ciekawi jacyś szli i stawali naprzeciw pałacu Brühla, jakby się spodziewali, że go zobaczą wkrótce wiezionego na ten Kónigstein, w którym on więził nieprzyjaciół. Brama pałacu stała zamknięta, straż jej nawet usunęła się wewnątrz, żywej duszy nie było w oknach, a zapuszczone firanki nic widzieć nie pozwalały.

Tołoczko na próżno szukał sposobu jakiegoś śpieszniejszego przybycia Pod Trębacza.

Wszystkie powozy były przejmowane, wszystkie lektyki w ruchu. W ulicach, miejscami pustych, gdzieniegdzie zbierały się gromadki i żywo rozprawiły poruszając rękoma.

Rozstawszy się z Zabiellą u wrót, rotmistrz musiał pieszo wyruszyć do gospody. Na drodze spotkał również przyspieszającego Żmigrodzkiego.

— A cóż? — zawołał z dala, poznawszy go towarzysz podróży — i ja, i wy na próżnośmy do Drezna tak śpieszyli, przybyliśmy *post factum* i nie ma tu co robić.

— Ja dziś lub jutro do domu, na miłego Boga — zawołał Tołoczko — tyłem tylko zyskał, zem na moje oczy widział króla umierającego, a obrazu tego póki życia nie zapomnę. A wy kiedy w drogę?

— Byle konie, choć natychmiast — odezwał się Żmigrodzki. — Nie mamy obowiązku czekać na pogrzeb, a u nas będzie co robić, bo się gotuje bezkrólewie, jakiego dawno nie bywało.

— Tu się spodziewają pono kalekę nam dać na następcę po ojcu — rzekł rotmistrz. — Słyszałem o tym wczoraj.

— Mieliśmy dwóch i nie kaleków — przerwał Żmigrodzki — sędzę, że nam ich starczy! Do trzech razów sztuka. Niech sobie Sasi biorą, kogo chcą; nam czas zerwać to małżeństwo, które za drogo kosztowało. Łaska Boża, iż nie potrafili nas w niewolników obrócić i na dziedziczne królestwo przerobić, czego im się chciało.

— Daj Boże, aby kto inny nie zastąpił ich w tym — rzekł Tołoczko. — Myśmy w ciągu tych dwu panowań i zgnuśniali, i ogłupieli. Czartoryscy się mieli czas przygotować, Prusy zmocnić, my osłabnąć... niechże Bóg nas z opieki swej nie wypuszcza, aby owo sławne proroctwo Jana Kazimierza, gdy składał koronę, *nie ziściło się*.

— Ty bo czarno widzisz wszystko — przerwał Żmigrodzki. — Wytrzeźwimy się my, gdy nam niebezpieczeństwo zagrozi.

Wchodzili do gospody Pod Trębaczem, gdzie już przyniesiona wieść o królewskim zgonie taki ruch niespokojny wywołała jak w mieście całym. Podróżni na gwałt konie zaprzęgać nakazywali. Gospodarz lamentował łyż ocierając fartuchem.

Popłoch jakiś, którego nikt sobie wytłumaczyć nie umiał, rozpędzał wszystkich. Obawiano się nie wiedzieć czego. Niektórzy dopytywali się o Brühla głosząc, że go miano wywieźć na Kónigstein, drudzy mówili o truciznie, bo nie chciał przeżyć swojej władzy... inni głosili, że uciekł, jak się tylko o śmierci króla dowiedział.

Mrok tymczasem szedł i noc nadeszła, koni dostać nie było można. Ci, co je mieli, kazali sobie płacić za niepokój, jaki panował.

Tołoczko dopiero nad rankiem potrafił ściągnąć woźnicę z przedmieścia i razem ze Żmigrodzkim opuścili żałobne Drezno.

Powróciwszy ze swej nieszczęśliwej wyprawy Tołoczko rozchorował się naprzód z utrapienia, jakiego doświadczył.

Hetmanowa, która to sobie tłumaczyła obawą, aby się małżeństwo nie zerwało, chcąc pocieszyć rotmistrza posłała mu dać znać, ażeby się gotował stanąć do ślubu, gdyż ona wszystko bierze na siebie i dawszy słowo dotrzyma go.

Rotmistrz po swojemu kochał pannę Anielę, podobała mu się jej młodość, nęcił go urok tego zaledwie rozkwitającego pączka, ale też i ów posag, i wioska nie były do pogardzenia — i one wchodziły w rachubę... A tu o posagu pod poduszką ani było myśleć można, a po najdłuższym życiu strażnikowej, kto wie, czy się co zostać miało, jeżeli wydziedziczyć chciała?

Jakże się tu żenić dawszy słowo, że będzie kareta i cug, i liberia?

Zdawało mu się chwilami, że lepiej było odłożyć małżeństwo i choćby nawet z niego się wycofać.

— Taka jest moja dola! — mówił w duchu. — Do każdego *ewentu* idę, a gdy już tylko rękę wyciągnąć, aby ująć, co człek pragnął, umyka mi gałąź i jabłko złote uchodzi do góry.

Wydobrzawszy nieco rotmistrz pojechał do Wysokiego, gdzie go hetman pilno przywoływał, bo wszystko było w całej Polsce w niezmiernym ruchu, gdy nadeszła wiadomość o królewskiej śmierci.

Właśnie się zabierano Trybunał w Piotrkowie otwierać, który Czartoryscy swoim mieć chcieli, a Potocki, wojewoda kijowski, stawał przeciwko nim, gdy goniec z Drezna przywiózł żałobną wieść.

Czartoryscy nie myśląc już o Trybunale, ale o przyszłej elekcji, tejże nocy z miasta wyruszyli. Kanclerz i wojewoda kijowski, oba teraz nie o przewagę chwilową, ale o poprowadzenie przyszłej elekcji po swej myśli starać się i

zabiegać poczęli. Co było więc ludzi obrotnych, mogących pozyskać dla niej siły, panowie powoływali do swego boku.

Przebąkiwano, że cesarzowa poprze, bodaj wojskiem, wybór swojego kandydata, którym miał być stolnik litewski lub jeden z Czartoryskich. Drudzy mówili o Potockim, wojewodzie kijowskim, o hetmanie Branickim, a na ostatek i saska dynastia łudziła się, że miała przyjaciół.

Hetman polny i księżna pani bardzo sobie' życzyli na ten czas, gdy im zrzeczny sługa był potrzebnym, pozyskać Tołoczkę... Hetmanowa dowodziła, iż strażnikównę mu dając, na wieki go sobie zobowiąże.

Powołano go więc do Wysokiego, ale księżna myślała tylko o ślubie, a nie o tym, co do niego było potrzebnym.

Koiszewska się rozbroić nie dawała. Tołoczko był w kłopotach pieniężnych. Księżna pomoc mu nie mogła, bo sama długi miała. Ze starostwem się nie powiodło... Co było począć? Cofnąć się, odkładać nie chciała, bojąc się, aby się z niej nie wyśmiewano.

Panna Aniela nudziła ją równie płaczem jak wymaganiami. Nie mogła ona jeszcze pogodzić się z tą myślą, że nie będzie mieć ani wyprawy, ani posagu, a natomiast obietnice tylko.

Siedząc w Wysokiem, mogła się przekonać najdowodniej, że księżna była skąpą i że nią być musiała, bo jej na występowanie świetne nie starczyło.

Widząc się tak nieszczęśliwie zawikłaną, miała żal i do Tołoczki, i do siebie, i do matki, i do księżnej. Przychodziła do stołu z zapłakanymi oczyma, a gdy hetmanowa starała się ją pocieszać, z takimi się odzywała żadaniami, iż gniew w niej obudzała.

Nikt jednak z tych wszystkich osób, co nieszczęśliwe małżeństwo gotowały, nie chciał się wyrzec raz powziętej myśli. Tołoczce żal było panny, księżna miała w tym punkt honoru, jak mówiła, Aniela chciała być rotmistrzową i jeździć kareta.

Kanonik w Białymstoku oczekiwał z daniem ślubu, rzecz była rozgłoszona. Księżna już tylko powtarzała:

— Panu Bogu dziękuję, gdy się to raz skończy.

Przybywszy do Wysokiego rotmistrz naprzód musiał zdać relację o śmierci króla, potem słuchać, co tu projektowano broniąc się przeciwko Czartoryskim i ich kandydatowi, na ostatek w nagrodę za wszystko, co ucierpiał, księżna mu oznajmiła, że do ślubu wszystko gotowe.

Musiał dziękować.

— Na nieszczęście — dodała prędko — gdybym chciała waćpanu dopomóc i pannie, nie mogę. Czas kontraktowy się zbliża, wierzyciele niepoczciwi mnie cisną. Wiem, że waćpan byś darowizny ani wymagał, ani przyjął, alebym pożyczką choć służyła... cóż, kiedy jestem jak turecka święta! Jesteś mężczyzną, masz przyjaciół, radź na razie, a potem i Koiszewska się udobrucha, i starostwo się wyrobi.

Potrzeba było milczeć tylko i dziękować.

Panna Aniela, która zwykle wychodziła do salonu zaraz, gdy się o przybyciu rotmistrza dowiedziała, tym razem się nie pokazała, aż po nią posłano.

Zjawiała się wreszcie, ale z miną tak kwaśną, tak nadąsaną, zbywając czułego Tołoczkę swoim chłodem, że nie wiedział, na którą stąpić nogę.

Hetmanowa widząc to pomiarkowała, że najlepiej ich zostawić samych, aby się rozmówić mogli. Wyszła do gabinetu.

Rotmistrz przystąpił chcąc począć rozmowę obojętną; panna nie dopuściła.

— Mówiłeś pan z hetmanową?

— Tak jest — rzekł Tołoczko — i zdaje mi się, że się cieszyć mogę, bo wszystko, co na przeszkodzie stawać mogło, usunięto.

— Wszystko? — ruszając ramionami niecierpliwie, wykrzyknęła panna — ale ja nie widzę nic. Ja nie mam wyprawy! To, co mi ofiaruje księżna, ledwie by jakiejś łowczance starczyło. Nie będę miała w czym się pokazać...

— Niech panna strażnikówna raczy to księżnie wytłumaczyć, że wyprawę trzeba całą robić nową, a więc na to i czasu pójdzie niemało. Będę się starał najgorliwiej, ażeby się ona pani podobała. Spodziewam się dostać pieniędzy, których na razie gotowych nie mam, moja siostra zajmie się wszystkim... Ale — powtórzył — na to trzeba czasu, dużo czasu. Wesele zatem musi być odłożone, a odkładane rzeczy — westchnął — nie zawsze dobre!

Zamilkł; panna usta zagryzła i zzymnęła się podrażniona. Zamilkli.

— To coś nowego — zamruczała.

— Ale w tym nie moja wina — dodał Tołoczko. — Jeżeli księżna tym się zniecierpliwi, wszystkiego się wyrzeczy i w tym wina będzie nie moja!

— A czyjaż? moja może? — oburzyła się panna Aniela.

— Na miłość Boga! niechże się pani nie gniewa — zawołał Tołoczko — anim myślał, anim mówił, żeby to pani winą być miało.

— No, to czyjaż?

— Przepraszam, ale winna temu będzie pani strażnikowa — dokończył rotmistrz.

Aniela spuściła oczy.

— Wyprawę moglibyśmy zrobić po ślubie — dodał po chwili — pani byś naówczas sama nią pokierować i choćby do Warszawy po nią pojechać.

— Wyprawa po ślubie — łyżka po obiedzie — rezolutnie odezwała się panna.

Tołoczko czekał wyroku. Spojrzała na niego; stał jak winowajca czekający wyroku.

— Prawdziwie, że głowę tracę — zawołała Aniela.

— Ja, pani moja, już dawno jej nie mara — szepnął Tołoczko.

— No, *suponujmy* — poczęła nagle strażnikówna — że wyprawę będziemy robić po weselu, chociaż to niesłychane, ale są rzeczy niezbędne, które ja do ślubu mieć muszę, na przykład futro, no i rogówka, bo ja panu rotmistrzowi mówiłam, że bez rogówki do ołtarza nie przystąpię.

— Ale mnie się zdaje, że księżna pani rogówkę na siebie wzięła.

— Tak, coś pono jakby obietnicę czyniła, iż ją dostanie.

— Ja właśnie dwie po pani Matuszewiczowej napytałem — rzekł rotmistrz — i ceny ich przywiozłem.

— Księżna znajduje, że są bardzo drogie — dodała panna Aniela.

— To już nie moja rzecz o tym sądzić, a nawet troszczyć się o to — pospieszył objaśnić Tołoczko. — Jak skoro księżna wzięła na siebie rogówkę, ja się jej ani tknę. Księżna by mi to miała za złe.

Aniela skrzywiła się i jakby sama do siebie odezwała się stanowczo:

— Ja to tylko wiem, że bez rogówki co się zowie nie pójdę do ślubu.

— Więc już tylko o nią idzie jedną? — podchwycił Tołoczko.

Aniela skłoniła mu się i wyszła nie mówiąc słowa.

Rotmistrz będąc od dawna w stosunkach ze dworem hetmanowej miał tu stosunki liczne; zapragnął przez nie się dowiedzieć, co w istocie księżna zamierza względem tej nieszczęsnej rogówki i spróbować, czyby przez kogo na nią wpłynąć nie można. Do przyjaciółek Tołoczki należała panna Lewandowska, łowczanka bielska, która choć się nie pokazywała w Wysokiem i żyła w kątku, była u księżnej najlepiej położoną z całego fraucymeru. Zwała ją przyjaciółką.

Panna Lewandowska, gdyby nie wąsiki ciemne, które się jej wysypały przed laty kilkoma, byłaby mogła jeszcze uchodzić za wcale ładną brunetkę. Słusznego wzrostu, pięknie zbudowana, zdolności też miała niepospolite. Wyuczyła się z łatwością kilku języków, pamięć miała doskonałą, a że wszystkiego była ciekawą, o wszystkim zawsze najlepiej była zawiadomioną.

Rotmistrz ujmował ją grzecznością, całował ją w rękę, czego drudzy nie czynili, nazywał ją łowczanką, gdy inni witali wprost: „jak się ma panna Lewandowska?” Był tedy w łaskach.

Rotmistrz poszedł do niej po obiedzie i zastał przy kawie.

— A! witam pana — zawołała z radością. — Słyszę, że byłeś przypadkiem przy śmierci króla, prawda to?

— Stałem przy drzwiach sypialni w czasie, gdy zaszła ta katastrofa — rzekł Tołoczko.

Posypały się pytania, na które badany musiał odpowiadać, i w końcu panna Lewandowska miała relację jak najdokładniejszą, którą by do gazety posłać mogła.

— A, panno łowczanko — w końcu dorzucił rotmistrz — ja do pani po ratunek... Co ze mną będzie?

— Przecież ślub zapewniony?

— Ale mi moja panna stawia warunki i wymagania — rzekł rotmistrz.

— Jakie?

— Ma słuszość, potrzebuje choćby futra na drogę do Białegostoku... i rogówki. Co do tej ostatniej, zapowiedziała mi, że się bez niej nie ruszy.

Lewandowska śmiała się, wzięwszy w boki.

— Słyszałam o tym, bo podobno wszystkim to powtarza.

— A pani hetmanowa? — zapytał Tołoczko.

— Pani hetmanowa — zniżając głos poczęła łowczanka — tak już jest znudzoną, tak zniecierpliwioną, że lękam się, aby w końcu... nie porzuciła wszystkiego.

— A! pani! — trącił rotmistrz.

— Nie bój się pan — śmiejąc się dodała Lewandowska — na to poradzimy. Najgorsza rzecz, że nie wiedzieć, gdzie rogówek szukać. Ze swojej garderoby nie może pani żadnej dać, a...

— Dwie jest na sprzedaż po pułkownikowej Matuszewiczowej, ja sam je targować jeździłem.

— Ja o tym wiem przecie — dodała panna Lewandowska — ale ceny są niesłychane. Rogówki używane.

— Tak jak nowe, oglądałem je.

— Pan się na tym nie znasz, ja wiem nawet metryki obu rogówek — mówiła panna. — Rogówki są używane, a ceny szalone.

— Choćby przyszło jedną przepłacić... — podszepnął rotmistrz.

— Niech Bóg uchowa! — krzyknęła Lewandowska. — Księżna nie cierpi, gdy ją chcą *eksploatować*. Nie da grosza złamanego nad wartość.

— Ja bym później dopłacił — rzekł Tołoczko.

— Pan byś później dopłacił, a tu teraz zaraz trzeba zapłacić kilkadziesiąt dukatów... Księżna się zakłęła, że nie da tyle.

Załamano ręce Tołoczko.

— Cóż się stanie?

— Nie wiem, ale mogę zaręczyć, że ceny, jakiej żądają, hetmanowa nie zapłaci.

— Choć płacz! — zawołał rotmistrz.

— Cóż tu płacz pomoże? — odezwała się Lewandowska.

Po krótkim milczeniu odezwała się poufale do ucha łowczanka.

— Nie pamiętam — rzekła — żeby księżna była kiedy, od bardzo dawna, w takim jak dziś położeniu. Wydatki ma ogromne, drą ją na wszystkie strony, a tu nie wiedzieć skąd brać pieniędzy? U księcia w kasie pająki sieci snują. Posyłała do swoich dóbr — odpowiedział Worzyński, że nie może dać nic, aż po Nowym Roku. Pożyczyć nie ma od kogo. Hetmanowa wszystkim się pozadłużała. Klejnotów na zastaw dać nie zechce za nic, a my monety kuć nie możemy.

— Rozstąp się ziemio — szepnął Tołoczko, który miał znaczny zapas desperackich wyrażań.

— Żal mi waćpana bardzo — ciągnęła dalej Lewandowska — aleś sam sobie kupił taki kłopot, że o większy trudno. Gdybyż panna miała rozum, przepraszam — ale jej się zachciewa nie wiedzieć czego, a sądzi, że strażnikówna trocka...

Nie dokończyła przez wzgląd na biednego Tołoczka, który spuścił głowę i stękał.

— Co ja tu zrobię? — rzekł. — Gdybyś panna łowczanka była łaskawa starać się skłonić hetmanowe do nabycia tej rogówki.

— Widzę, że waćpan nie znasz naszej pani — odparła łowczanka. — Ma taką naturę, że gdy ją kto namawia na co, niezawodnie zrobi na przekór; po wtóre, mówię waćpanu, że pieniędzy nie ma. Na ostatek powiada, że się nie chce dać obdzierać. Jeśli co jest do zrobienia — dodała panna — to chyba dostać inną rogówkę.

— Gdzie? skąd? — zawołał rotmistrz — to wprost niepodobieństwo!

Tołoczko tak był znękany, że łowczance żal się go zrobiło.

— Nie desperuj — rzekła — księżna chce na swoim postawić przeciwko Koiszewskiej... więc jakoś się to złoży. Miej cierpliwość i trzymaj się w gotowości.

Tołoczko ucałował jej rękę, zaklął na wszystko i poszedł.

U hetmana była właśnie rada, do której go potrzebowano, wino stało na stole, wychylił spory kielich i trochę mu się lżej na sercu zrobiło.

Kraj cały był w takim niespokojnym ruchu i obawa najścia wojsk imperatorowej, o których kanclerz mówił otwarcie, iż dla zapewnienia ładu i spokoju były potrzebne, tak się wydawała groźną z powodu prowiantów, których im trzeba było dostarczać, że w ciągu dnia godzina nie przeszła, żeby hetman nie miał odwiedzin lub listu nie odebrał.

Hetmanowie ściągali wojska. Moźniejsze domy dopełniały swe milicje. Zbrojono się jak do nadchodzącej wojny domowej. Z obu stron zawczasu sposobiono się do konfederacji. Przeworniejsi z góry już prorokowali, że Czartoryscy, poparci przez cesarżowę, wezmą górę i ich kandydat na tronie osiadzie.

Oburzało to wojewodę kijowskiego i hetmana Branickiego, którzy też mieli pewne na koronę widoki.

Jeżeli mógł ją pojąć Wiśniowiecki lub Sobieski, czemuż nie mieli oni?

Za kurfirstem saskim mało co albo nic nie przemawiało. Kalectwo jego zrażało, wspomnienie dwóch nieszczęśliwych panowań nie zachęcało do trzeciej próby.

Nie było tajemnicą dla wielu, że August Drugi układał się z królem pruskim o rozerwanie Rzeczypospolitej i chciał ją połączyć z Saksonią jako państwo dziedziczne.

Dla silnego dotąd na Litwie domu Radziwiłłowskiego, który i teraz miał zająć stanowisko przeciwko Czartoryskim, moment był stanowczy. Albo miał przyjść do znaczenia większego jeszcze dla pochwylenia władzy i przewagi na elekcji, albo... albo mógł zażec wojnę domową.

Tu brakło nie sił ani środków, ale głowy. Doradców Radziwiłł miał wielu, ale na własne zrozumienie położenia zdobyć się nie mógł. To, co chwilowo pochlebiało jego dumie, chwycił, choćby w przyszłości miało się stać szkodliwym. A na dobitkę w tym czasie, gdy najpotrzebniejsze było trzeźwe zapatrywanie się na wypadki, wojewoda biesiadował, bankietował i kraj zapełniał wesołą wrzawą. Poza nią nie słyszał nadchodzącej burzy.

Hetman, jaśniej widzący rzeczy, radził sobie, jak mógł. Do niego się zjeżdżano ze skargami, doniesieniami, z planami postępowania.

Tołoczko przez cały wieczór tu pozostawszy o własnym frasunku zapomniał.

Hetmanowa miała też wiele do czynienia. Stolnik litewski, którego imię jako kandydata do tronu już się słyszeć dawało, serce jej a raczej głowę zajmował całą. Wydrzeć go wojewodzicowej mściśławskiej jakimikolwiek środkami było na teraz najgłówniejszym zadaniem. Zdawało się jej, że może tego dokonać. Miała już pewne wskazówki, oznaki pewne, iż nie była mu całkiem obojętną.

Wojewodzicową mściśławską oczernić i zniechęcić ku niej bardzo było łatwo, gdyż nikt mniej nad nią nie dbał o dobrą sławę. Niepodobieństwem było, aby stolnik nie wiedział o tym, o czym mówił świat cały.

Sprawa więc panny Anieli i pana rotmistrza Tołoczki schodziła na plan drugi... Przeciągnięcie odbierało jej urok.

Gdy panna łowczanka Lewandowska spróbowała potem zagadnąć ją o to, ofuknęła się niecierpliwie.

— A! dajcież wy mi pokój z tą strażnikówną! Już mi ona kością stoi w gardle. Żal tylko Tołoczki, ale kto mu winien, że sobie miłość do niej uroił?...

Lewandowska nie śmiała przeciągnąć o tym rozmowy.

Do obiadu przyszedł Tołoczko z miną obudzającą politowanie, milczący i smutny jak noc. Pokazała się i panna Aniela dumna, kwaśna, milcząca także i ciągle to rumieniąca się, to bledniejąca. Nic tknęła obiadu.

Hetmanowa zapytała ją, czy nie chora.

— Nie, ale apetytu nie mam.

Ktoś zażartował, że odzyska go po powrocie z Białegostoku.

— A — przerwał hetman usłyszawszy to — kiedyż' jedziemy do hetmana?

Księżna chwileczkę się zadumała.

— W początku przyszłego tygodnia — była odpowiedź.

— Ja także towarzyszyć będę — dokończył Sapieha. Panna Aniela słuchała i musiała liczyć dni. Była to sobota, a początek tygodnia, z *ekskluzją* poniedziałku jako dnia do podróży *feralnego*, przypadał we wtorek.

— Ciekawam — pomyślała — skąd tak rychło wezmą rogówkę?

Może i Tołoczce przyszło toż samo na myśl, oczyma strzelił ku pannie, ale się z jej wejrzeniem nie spotkał. Trzymała oczy wlepione w tulipan żółty, odmalowany na talerzu z saskiej porcelany, który stał przed nią.

Przez cały ten dzień strażnikówna czuła się straszliwie zapomnianą, opuszczoną, nikt się do niej nie zbliżył, nic zagadnął o nic, nie zajmował jej losem. Rotmistrza po obiedzie zabrał hetman z sobą.

W niedzielę na sumę wszyscy jechali do kościoła. Koiszewska przybywała tu zwykle także, a od czasu zajścia z księżną tym gorliwiej, aby się ludziom nie zdawało, że się jej boi albo unika.

Siedziała w jednej z pierwszych ławek i nie chciała widzieć ani księżnej, ani córki, bo oczyma manewrowała tak, aby się z nimi nie spotkać.

Właśnie tej niedzieli ksiądz dziekan wychodził ze święconą wodą pobożnych pokropić i pobłogosławić, gdy Koiszewska swe miejsce zajęła.

Panna Aniela, która też niby nie patrzyła na matkę, zobaczyła nie tylko ją w bardzo pięknej szubce sobolowej, o której wiedziała, że dla niej niegdyś była przeznaczoną, ale przy niej małą Skrzyńską tak wystrojoną... przybraną w atłasy, w *kuny*, w czapczkę złocistymi sznurkami naszywaną, że wszystkich oczy pięknnością swą i smakiem, z jakim ubraną była, zwracała.

Zazdrość jej serce ścisnęła., łzy piekące zakręciły się w oczach... Ona nie miała nawet mizernej rogówki, księżna która tyle jej obiecywała, znajdowała za drogą tę, którą stręczono! Jeżeli tak mały wydatek ją zrażał, jakichże się dobrodziejstw spodziewać było można?

Myśli te i z nimi pokrewne tak oprymowały pannę, że ani się spostrzegła, gdy prześpiewano suplikacje i dwór cały począł wychodzić zabierając się do powozów, aby na zamek powrócić.

Przechodząc rzuciła okiem ku ławce matki, ale ta już była próżną. Strażnikowa wyszła wcześniej.

Gniewna i nadąsana ciągle, panna Aniela przez cały dzień tak unikała Tołoczki, że mu z sobą mówić nie dała, i bardzo wczesnie wróciła do swego pokoiku.

Tu się jej na łzy zebrało, a w sercu towarzyszył im ku wszystkim gniew taki, iż się uspokoić nie mogła.

Z rozmowy przy stole i z tego, co mówiła służba, dowiedziała się, że wyjazd do Białegostoku naznaczony był na wtorek. Zostawał tylko poniedziałek, a o rogówce mowy nie było. Tego już było zanadto!

Nad rankiem nie mogąc zasnąć panna Aniela usiadła na łóżku, podparła się na łokciu, otarła oczy, dumiała długo, zmarszczyła brwi groźnie... i powziąwszy jakieś postanowienie, nagle rzuciła się na poduszki.

Sen, jakby na to czekał, powieki jej zamknął i nie obudziła się już, aż na śniadanie wołać poczęto.

Ubrała się z pośpiechem wielkim i zbiegła na dół do salki, w której się hetmanową spotkać spodziewała.

W istocie siedziała ona tu jeszcze po wypiciu czekolady, dając rozkazy do jutrzejszej podróży, ale do Anieli wcale się nie zwróciła nawet.

Strażnikówna ledwie w swej kawie umoczywszy usta czekała.

Jakby umyślnie porzuchodzili się wszyscy... pozostały same. Księżna się obejrzała dokoła.

— Toaleta dla waćpanny gotowa — rzekła — oglądałam ją sama, jest bardzo ładna i gustowna!

— Bardzo za nią dziękuję księżnie pani — odezwała się z odwagą wielką panna Aniela — ale się ośmielam spytać, co będzie z rogówką? Ja bez niej do ślubu nie stanę!

Posłyszawszy wspomnienie o rogówce księżna się porwała, jakby ją co ukąsiło.

— Nie potrzeba rogówki do ślubu — zawołała. — Zresztą w Białymstoku ja się postaram o pożyczanie u hetmanowej, ale żebym miała tę fantazję waćpanny przepłacać — nigdy w świecie! nigdy!

Słowa te wymówiła żywo i nie czekając na odpowiedź zaczęła iść ku drzwiom. Strażnikówna stała tak zbladła, iż zdawało się, że padnie... ale w oczach jej czarnych zapłonął ogień; połyskiwały czerwonym blaskiem.

— To ostatnie słowo pani hetmanowej? — odezwała się podniesionym głosem.

— Ja nie mam ostatniego, bo zawsze mam tylko jedno — odparła dumnie Sapieżyna i wyszła.

W salce nie było nikogo. Zatrzymała się nieco jeszcze strażnikówna, zebrała całe swe męstwo i krokiem powolnym, ale pewnym wyszła wprost do swojego mieszkania. Tu stanęła, namyślając się raz jeszcze potrząsnęła głową i na powrót opuściwszy swoją izdebkę udała się do mieszkania panny Lewandowskiej.

Wiadomo było, że kto miał coś do żądania od księżnej lub chciał jej co donieść w godzinach, gdy nie była przystępną, czynił to za pośrednictwem panny Lewandowskiej.

Zobaczywszy wchodzącą tak zmienioną, iż się czegoś straszego dowiedzieć spodziewała, łowczanka wstała na jej przywitanie.

— Co pannie strażnikównie? chora jesteś? — zapytała śpiesznie.

— Nie — zaczęła panna Aniela — proszę mnie tylko posłuchać. Widzę, że jestem wielkim ciężarem dla pani hetmanowej. Jutro mamy wyjeżdżać do Białegostoku, mnie braknie wielu rzeczy, bez których w Białymstoku wstyd by mi się pokazać było. Widzę, że najmniejszy wydatek jest pani hetmanowej dla mnie trudnym. Nie mam łaski. Z tych wszystkich pobudek prosiłabym pani,

abyś ode mnie oświadczyła, że ja nie jadę do Białegostoku, ale powracam do matki. Gotowam jechać choć natychmiast!

Panna Lewandowska słuchała zdumiona i wysłuchawszy do końca, zamruczała:

— Muszę uprzedzić pannę strażnikównę, że gdy się o tym raz dowie pani hetmanowa, wszystko skończone i już odmienić się to nie da!

— Ja też wcale zmieniać postanowienia nie myślę i pakuję się do drogi!

Powiedziawszy to dygnęła z lekka i wyszła, drzwiami rzucając za sobą.

Panna Lewandowska, jak stała, choć poczęła była włosy rozplątywać, narzuciła tylko chustkę na nie i pobiegła do hetmanowej.

Księżna siedziała w fotelu papiery mając przed sobą a w progu faktora Chaimka, eleganta w nowiuteńkiej jarmulce.

Zobaczywszy wpadającą tak obcesowo Lewandowską zmarszczyła się.

— Pilny, bardzo pilny interes! — zawołała łowczanka. — Chaimek pochodzi po korytarzu.

Faktor czym prędzej zniknął za drzwiami.

— Panna Aniela tylko co wyszła ode mnie — poczęła Lewandowska. — Prosiła, abym oświadczyła księżnie, iż nie jedzie do Białegostoku, ale prosi o konie i powraca do matki.

Księżna się tak mało spodziewała czegoś podobnego, iż zrazu zdawała się nie rozumieć.

— Słowo daję, wraca do matki! — powtórzyła łowczanka.

Gniew przebiegł po twarzy pięknej pani, usta już rozpoczynały coś bełkotać bez namysłu, ale po małej rozwadze krzyknęła podniesionym głosem:

— Bardzo dobrze, niech ją sobie wywiozą! Rada jestem, że się zbędę tego ciężaru z głowy. Powiedz, dysponuj, niech ją fornał który na sanie wsadzi i uwolni mnie od tej nieprzyjemnej załogi. Proszę cię, poślij po Tołoczkę.

Księżna, chociaż zaręczała, że rada jest pozbyć się tego ciężaru, przez czas jakiś siedziała pomieszana; nie powołała nawet Chaimka, który marznął w kurytarzu.

Lewandowska tymczasem dwóch lokajów wyprawiła w dwa przeciwne końce po Tołoczkę, spodziewając się, że jeden z nich go gdzieś wyszuka.

Nie była to rzecz trudna, bo rotmistrz z innymi dworzanami i wojskowymi siedział jeszcze przy śniadaniu.

Na dany mu ordynans, którego tu wszyscy pilniej słuchali niż rozkazów samego hetmana, chwycił za czapkę i ruszył do pałacu.

Księżna stała w rannym szlafrocuku, bardzo jej do twarzy będącym, widocznie podrażniona i niecierpliwa.

— Wiesz waćpan nowinę? — zapytała żartobliwie niby, ale w głosie mając gniew stłumiony.

— Nie wiem, Mościa Księżno.

— Panna strażnikówna trocka, rozmyśliwszy się dopiero teraz, osieraca nas i powraca do matki.

Klasnęła w ręce ze śmiechem.

— Nieprawdaż, że nowina nad nowinami!

— Ale jakże to może być? — pytał jakby odurzony rotmistrz.

— Jest, jak waćpanu powiadam — powraca do matki!

Zamyślił się głęboko Tołoczko. Wielkiego żalu po nim znać nie było, owszem, oddychał jakoś swobodniej. Szło mu o to tylko, jak wypadało postąpić. Westchnął z głębokości swych szerokich piersi.

— Muszę pójść, dowiedzieć się — rzekł cicho i nieśmiało.

— I pożegnać — dodała hetmanowa — bo to pewna, że gdy odjedzie raz, ja po nią więcej nie poślę.

Usiadła księżna, a Tołoczko pobiegł do znanego mu dobrze mieszkania strażnikówniej. Drzwi stały na pół otwarte. Panna Aniela chodziła żywo po pokoju; słysząc kroki odwróciła się. Tołoczko witał ją ukłonem.

— Czyż to może być — wyjąknął powoli — co mi pani hetmanowa oznajmiła...

— Że ja powracam do matki? — przerwała panna Aniela. — Tak jest. Jeżeli mi pan chcesz wyświadczyć grzeczność, proszę się o konie wystarać... Sądzę, że to przyjdzie łatwiej niż kupienie rogowki.

To mówiąc ukłoniła się szydersko a unizenie.

— Panno strażnikówno — zawołał zalem jakimś przejęty poniewczasie rotmistrz — niech się pode mną ziemia zapadnie, jeżeli ja w tym co zawinił!

— Ja pana nie obwiniam ani w ogóle nikogo — odparła panna. — Nie mamy się o co spierać, nie mamy mówić o czym, ja wyjeżdżam... i żałuję tylko, że tego wcześniej nie zrobiła... Żegnam pana!

Rotmistrz spróbował raz jeszcze się tłumaczyć, panna powtórzyła:

— Żegnam pana...

Wyszedł więc zrozpaczony.

Nagle to postanowienie panny Anieli, gniew hetmanowej, desperacja Tołoczki, wszystko, czego ukryć nie było podobna, piorunem poszło z ust do ust, a że w Wysokiem próżniaków było dosyć, którzy na przeżuwanu plotek czas trawili, posypały się komentarze, złośliwe sądy i przekąsy.

Panna Lewandowska, stateczniejsza niż inni, chociaż odebrała rozkaz, aby fernal wywiózł pannę do matki, jakby mierzwę na pole, nie myślała tego w gniewie rzuconego wyroku spełnić. Byłoby to przeciwko hetmanostwu oburzyło całą szlachtę.

Panny Anieli, która z ufnością oddała się księżnie poświęcając jej matkę, nie godziło się tak zbywać pogardliwie.

Widziała, gdy rotmistrz wbiegł do strażnikówniej i jak odprawiony krótko, trzymając się za głowę, odchodził zdesperowany. Pośpieszyła naprzeciwko niego, dając mu znaki. Tołoczko podszedł.

— Wiesz pan rotmistrz, na czym się skończyło? — spytała.

— Wiem, na rogówce! — zawołał żałośliwie Tołoczko — wiem...

— Wszystko to przez waćpana amory, panie rotmistrzu — mówiła dalej Lewandowska.

Chciał się tłumaczyć, nie dała mu przyjść do słowa.

— Księżna pannę wprost na furze wywieźć kazała do matki — ciągnęła łowczanka — ale to się tak powiedziało w gniewie; obowiązkiem jest waćpana, aby choć przyzwoicie się stąd dostała do matki, aby ją kto odprowadził.

— Ale któż? ale jak? — począł jąkać się rotmistrz — co ja tu poradzę?

— Nie wiem, co poradzisz — odparła Lewandowska — ale to wiem, żeś radzić powinien.

I widząc Tołoczkę bezprzytomnego prawie, trącego sobie czuprynę i łamiącego ręce na przemiany, spytała:

— Jest kto u hetmana?

— Jak to, czy jest? — zawołał Tołoczko. — Ścisk jak na kiermaszu, wrzawa!

— Kto tam jest? Może się z przyjaciół strażnikowej znajdzie kto, co by córką się zajął.

Nie odpowiadając na pytanie rotmistrz wykrzyknął tylko... Pocałował ją w rękę i puścił się do hetmana.

Tu w istocie były bardzo burzliwe o kapturach narady, o elekcji, o ludziach, którzy w tych ciężkich czasach na czele powiatów stawać mieli. Nie około hetmana, ale około słynnego w owych czasach, czynnego i przebiegłego Marcina Matuszewicza gromadziło się to koło improwizowane. Był to brat pułkownika, którego rogówka, drogo oceniona, taką wywołała burzę.

Pan Marcin był z dawna przyjacielem domu strażnikostwa, tak jak niezliczonych innych rodzin, którym rozumem i stosunkami służył.

Tołoczko z największą trudnością wy dobył go zza stołu, zapał do kąta i gorąco, ale zwięźle opowiedział mu wypadek cały.

Matuszewicz nie potrzebował zachęty ani prośby, ażeby się Ująć za sprostowaną strażnikówną. Posłyszawszy, jak rzeczy stały, skoczył szukając czapki.

Nie miał on nabożeństwa do księżnej i może mu na rękę było z nią się rozprawić. Pobiegł do niej.

Hetmanowa, która jeszcze gniewu nie wydychała, domyśliwszy się, o co szło, przyjąć go nie chciała. Począł tak hałasować w przedpokoju, że mu drzwi otworzyć musiano.

Z Matuszewiczem sprawę od razu za przegraną było można uważać.

— Przychodzę do Waszej Książęcej Mości — odezwał się — w interesie mojej przyjaciółki, pani strażnikowej, która córkę swą powierzyła opiece Waszej Książęcej Mości. Co zaszło, w to nie wchodzę, ale szlacheckiego dziecka tak na furce z parobczakiem do domu odesłać nie godzi się. Wasza Książęca Mość masz zapewne więcej przyjaciół niż sobie niechętnych, ale ich sobie przyczynić w tej chwili nie byłoby politycznym.

— Karetę jej mam dać? — podchwyciła księżna złośliwie.

— Nie byłoby to nic nadto od pani hetmanowej i księżnej Sapieżyny — rzekł Matuszewicz — ale panna Aniela nie potrzebuje ani karety, ani wozu, bo ja mam z sobą landarę, którą ją zabiorę, a pod rzeczy furę najmę. Przyszedłem tylko o tym oznajmić Waszej Książęcej Mości.

Zmieszana mocno, stała księżna pierścionki przesuwając na palcach.

— A jeżeli książę hetman czasu tych zawikłań, teraz, nie będzie mieć za sobą szlachty — dodał — czego się lękam, niech księżna tego nie przypisuje czemu innemu, tylko, tylko...

— Rogówce brata waćpana — przerwała pogardliwie hetmanowa.

— Tak jest — zakończył Matuszewicz. — Kupi ją teraz Koiszewska na pamiątkę ocalenia córki, bo to prawdziwy cud, że się i panna, i posag nie dostały staremu, poczciwemu Tołoczce, któremu nie żony potrzeba, ale pieniędzy i ciepłego pieca, za którym by siedział.

Matuszewicz dobył spiesznie zegarka, popatrzył nań i pokłon złożony cofnął się ku drzwiom, a księżna się na odpowiedź mu nie zebrała.

Smutno było w Kuźnicy u pani strażnikowej trockiej od czasu gdy ją córka niewdzięczna opuściła dla księżnej hetmanowej. Żywa zawsze, czynna, odważna Koiszewska chodziła teraz tak w myślach pogrążona, że panna Szklarska, która przez miłosierdzie siedziała przy niej nie mając odwagi zostawić samą, często po trzy i więcej razy musiała jej o coś pytać, nim się doczekała odpowiedzi. Zabawiała ją, jak mogła i umiała, sprowadzała gości, wymyślała nabożeństwa, tworzyła plotki, mogące odwrócić jej myśli od córki — nic to wszystko nie pomagało.

Czasami Koiszewska próbowała się do małej Skrzyńskiej przywiązać, brała ją na kolana, pieściła, sadzała przy sobie, ale to obce dziecko zamiast przynieść jej pociechę, ścigało wspomnienie o Anielce, gdy dzieckiem była.

Szklarska w końcu powiedziała sobie, że na choroby wielkie i lekarstw silnych potrzeba. Wpływ namaszczonego słowa zdawał się jej jedynym sposobem mogącym tę krwawą zagoić ranę.

Żył naówczas niedaleko od Białegostoku w klasztorze mnich znany z pobożności i życia ascetycznego, o którym cuda opowiadano. Jedni go za świętego mieli, drudzy za kacerza — to tylko pewna, że staruszek miał dar słowa porywający, władzę nad sercami ludzkimi, którą Bóg tylko wybranych obdarza. Żył starzec ten na świecie, ale oderwany od niego, nie szacując wcale tego, co świat cenił najwyżej, w ludziach widział tylko ludzi, a pastucha stawiając na równi z najdostojniejszymi dygnitarzami Rzeczypospolitej.

Obawiano się go, bo na nic względu nie miał, a prawda z ust płynęła mu nigdy niczym nie osładzana. Ale dla biednych, cierpiących, utrapionych i łzawych słowo pociechy wychodzące z jego serca było balsamem. Umiał pocieszać, a położywszy często ręce, gdy nieszczęśliwego pobłogosławił, leczył go cudownie. Mówiono o przykładach takich, iż ci, co szli do niego oszaleli rozpaczą, wracali z wesołym uśmiechem rezygnacji. Prostaczkowie zarówno i ci, co się mądrością chwalili, korzyli się przed nim i kraj szaty całowali z wdzięcznością.

Szklarska miała to szczęście, że go знаła i że był dla niej względny. Przyszła jej myśl trochę dziwna szukać ratunku dla strażnikowej u starego, pobożnego mnicha.

Pojechała do klasztoru, z wielką trudnością dostała się do celi za pozwoleniem przełożonego i znalazła mnicha zatopionego w czytaniu *świętego Bernarda*.

Popatrzył na nią chwilę.

— Cóż cię to tu, moje dziecko, do mojej celi ściągnęło? — zapytał. — Nie prosta ciekawość pewnie ani tęsknota po mnie. Boli cię co?

— Mój ojciec — odparła żywo Szklarska — dla siebie bym was nie trudziła, bo się nie godzi świętych ludzi niepokoić dla lada dolegliwości, ale posłuchajcie mnie, ojciec.

I Szklarska poczęła mu opowiadać historię Koiszewskiej i jej dziecięcia. Stary słuchał, czasami tylko poruszając z lekka ramionami lub w górę podnosząc oczy.

— Czegóż ty chcesz ode mnie? — rzekł. — Czas tę ranę uleczy... Smutne to, zaprawdę, żeśmy dożyli tego, iż ostatni węzeł, co trzymał rodzinę, miłość dla rodziców, poszanowanie ich potargane zostały. Ale wie Bóg, dlaczego przechodzimy próbę wielką.

— Mój ojciec, mój ojciec — całując rękę jego dodała Szklarska — wy byście ten ból mojej pocziwej przyjaciółki jednym słowem uleczyć mogli, bo twe słowo cuda sprawia.

— Milcz! — zawołał mnich. — Nie moje słowo, ale moc Boża czyni cuda! W niegodnym naczyniu Bóg często łaskę swą mieści.

— Ojciec, uczyn łaskę! — rzucając mu się do nóg dokończyła Szklarska — pojedź do niej ze mną. Zgrom ją, pociesz, ulecz, niech o dziecku niewdzięcznym zapomni. Ma na wychowaniu pokrewną dziewczuszkę, do niej się przywiąże, zastąpi jej córkę.

Mnich spojrział na nią z góry.

— Jakże z twego słowa czuć, żeś ty ani serca matki, ani dziecka nie miała. Cóż może straconą miłość zastąpić?

Kłęczała u nóg mnicha Szklarska, poszła potem do przełożonego, wróciła do niego, błagała, aż na koniec jechać jej przyrzekł.

Nazajutrz na prostym wozie, z różańcem w ręku, starzec jechał do Kuźnicy. Wiedzano tam już, jakiego Bóg miał dać gościa. Czekwała na ganku strażnikowa.

Wprost tedy z wozu poszedł z nią i z domownikami przed obraz Najświętszej Panny dla odmówienia modlitwy i litanii.

Siedli potem dokoła starca słuchając natchnionego słowa jego.

Miał łzy w oczach i ręce mu drżały, zdawał się duchem gdzieś błędzić daleko. Do Koiszewskiej nie mówił o niej, nie starał się jej pocieszać, przecież słowa jego, na pozór obojętne, sprowadzały spokój i dusza znękana czerpała w nich ochłodę i siły.

— Płyną łzy wasze — mówił — i cierpią serca, i trwożą się dusze, boć przyszedł czas, gdy narody całe, jak Chrystusa *na górze Oliwnej*, ogarnia twoga wielka, albowiem nadchodzi godzina próby i męczeństwa.

Patrzcie na te znaki czasu! Oto rodzice się wyrzekają dzieci, a dzieci wyłamują spod błogosławionej władzy tych, co im dali życie. Na nasze suknie plwają ci, co nas nie znają... wałą się kościoły... a podnoszą pod niebiosy domy rozpusty, pałace i domy tego rozumu i nauki, która, pokory pozbawiona, ślepa — wkrótce tylko siebie znać będzie... choć jej starsze siostrzyce wszystkie równie mądre, dziś prochem i śmieciem leżą w mogile.

Płaczcie, bo łzy te zdrowe są, a kto płacze, ten nie bluźni...

Co znaczy strata jednego, choćby najdroższą perłę utracił, gdy tu cała ludzkość straciła ewangelię, którą im przyniósł Chrystus... Jesteśmy jak Izraelici na puszczy, modlimy się znowu złotemu cielcowi i cielcom żywym, *w purpurę poodziewanym*.

Wyście stracili córkę?... a ludzie na długie wieki stracili światło i chodzić będą w ciemnościach.

Mówicie, że córka odeszła od was dla wielkiej pani, co się jej losem zająć przyrzekła... a nie czuła tego, że ta, co dziecię matce wydziera, nic dobrego uczynić nie może, bo nie ma serca.

Wielkości nasze stały się wzorami zepsucia, wodzowie prowadzą do przepaści... Znaki to straszne na ziemi... a nim te kwiaty rozwinęły się, jakaś zgnilizna musiała do wykarmienia ich zbierać się wiekami.

— Płaczesz, moje dziecko — mówił obracając się do strażnikowej — ależ my wszyscy we łzach tonąć powinni, bo to, co się stało z wami, jutro spotka wszystkich i nie zechce nikt szanować ani siwego włosa, ani rozumu, ani cnoty, ani potęgi ducha, czerpanej z Boga...

Strażnikowa słuchała i płakała, ale na sercu jej lżej było; przynajmniej dziecię jej nie było jedynym potworem, ale biedną, słabą istotą, którą prądy porwały.

Zdawał się mówić rzeczy niezrozumiałe dla prostaczków, ale mocą jakąś jego słowa otwierały głowy i serca... prawda wchodziła w nie.

Wśród tych przerywanych narzekań proroczych uciszyło się... wiatr jakiś powiał w podwórcach, stary mnich głos zniżył, umilkł. Czekał na coś...

Szklarska pierwsza posłyszała turkot powozu i głosy w ganku... Ona i strażnikowa domyślały się jakiegoś gościa i strwożyły lękając się, aby nie przerwali mnichowi jego namaszczonego nawracania i nie zamknęli mu ust.

Szklarska nie miała czasu wstać, aby zapobiec najściu natrętnemu, gdy drzwi otwały się szeroko i poważny Matuszewicz ukazał się w nich za rękę prowadząc Anielę.

Na widok jej Koiszewska krzyknęła, porwała się, jakby uciekać chciała, i nie miała siły się ruszyć, a strażnikówna tymczasem przypadła do jej kolan i objąwszy je łkać i płakać poczęła.

Koiszewska, która chciała odepchnąć niewdzięczną, spojrzała na starego mnicha. Modlił się ręce złożony. I jej ręce się rozłożyły, i wyciągnęły ku dziecku. Pochwyciła ją za głowę, namiętymi okrywając pocałunkami.

Starzec błogosławił powstawszy.

— Wracą owieczka zbłąkana do zagrody — zawołał — niech się jej otworzą wrota i serca! Przebaczone jej, jako chcecie, aby wam Bóg przebaczył!

Matuszewicz, pobożny bardzo, dopiero zobaczywszy mnicha, którego czcił od dawna... rzucił się do rąk jego całując je.

— Ojcze, was tu chyba łaska Boża na ten dzień i godzinę nam zesłała... Nakażcież zgodę i zapomnienie winy.

Starzec nieco się cofnął przed natarczywością swojego wielbiciela.

— Piękne słowa wasze — rzekł z goryczą — nie zbywa na wymowie wam ani na przenikliwym wzroku, gdy w cudzą duszę patrzycie. Zajrzyjcież we własną. Któż to te dzieci nieposłuszne stworzył, jeśli nie kłótny żywot wasz... nie chciwość wszystkiego, co znikome, a zapomnienie o tym, co wieczne? Któż

ojcem rozpusty, jeżeli nie ci wasi elektorowie, których dwory stały otwarte jak szynkarnie, aby naród rozpojony rozum utracił? Mielście *cnotliwego Leszczyńskiego* i pchnęliście go na wygnanie, bo wam smakowała bezmyślna rozpusta. W kraju ludzie polowali na ludzi.

— Ojczy — przerwał obrażony Matuszewicz — nie myśmy to poczęli...

— Aleście wy dokończyli — rzekł starzec — a teraz, gdy wstrzymać zechcecie zepsucie i pożąacie ładu, i zapragniecie pokoju, miłości i zgody... nie znajdziecie ich!

Wtem nagle wstrzymał się starzec, siadł, podparł na rękę i w piersi uderzył.

— Wina moja — rzekł — nie prorokujmy złego, Bóg wielki i miłosierny. Oto widzimy przykład... zesłał pociechę sercu matki.

To mówiąc wstał, wyprostował się, oczy podniósł ku niebu, począł się modlić po cichu... i błogosławił, rękę zwracając ponad głowy i zatrzymując ją, jak gdyby z niej płynęła odżywiająca moc, gdzie jej więcej było potrzeba.

Wszystko potem w jakimś błogim uspokojeniu przetrwało czas długi... nie śmiejąc ni ust otworzyć, ni oczów podnieść, a gdy gospodyni wreszcie, wsparta na ramieniu córki, chciała się poruszyć, aby pójść starcowi podziękować, bo jego modlitwie swe szczęście przypisywała... krzyknęła przestraszona — mnicha już między nimi nie było...

Z kijem w rękę szedł nazad do swego klasztoru.

KONIEC.

San Remo, 1886.

OBJAŚNIENIA

¹⁾ *Pamiętniki Marcina Matuszewicza* kasztelana brzeskiego-litewskiego 1714 — 1765. Wydał Adolf Pawiński. Warszawa. 1876. 4 tomy. Rok 1763 opisuje Matuszewicz w obszernym rozdziale czternastym w wydaniu Pawińskiego tom czwarty, strona 1 — 137). O Matuszewiczu por. m. in. sąd Piotra Chmielowskiego, który podkreśla zewnętrzną jego pobożność, nikczemność zaś w postępkach; nie pojmował on „częstokroć doniosłości poniżenia moralnego, którego szczegóły maluje. Jest on najjaskrawszym przedstawicielem tej nieświadomej niemal sobie degradacji duchowej, w jaką społeczeństwo nasze za czasów saskich popadło". (Historia literatury polskiej. Warszawa. 1899. Tom drugi, strona 123). Podobny ujemny sąd o wartości moralnej Matuszewicza wydał także Aleksander Bruckner (*Dzieje literatury polskiej. Warszawa [1924].* Tom pierwszy, strona 376).

Najważniejsze opracowania o Matuszewiczu zestawia Gabriel Korbut. *Literatura polska. Wydanie drugie. Warszawa. 1929. Tom drugi, strona 23.*

²⁾ *Książę Jędrzej Kitowicz w Pamiętnikach do panowania Augusta Trzeciego i pierwszych lat Stanisława Augusta* (wydanych przez Edwarda Raczyńskiego. Poznań. 1840) zupełnie nie wspomina o 1763 roku. O śmierci króla Augusta Trzeciego podaje tylko krótką wzmiankę (Tom pierwszy, strona 170 n). Drobne szczegóły o życiu prywatnym króla (Tom I, strona 171n) jako też wiadomości o trybunale piotrkowskim (Tom pierwszy, strona 190n) mógł zaczerpnąć Kraszewski z Kitowicza. O trybunałach wileńskim i piotrkowskim por. *Józefa Szujskiego Dzieje Polski. Lwów. 1866. Tom czwarty, strony 356.* Teodor Morawski w obszernym dziele: *Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane.* (Poznań, 1871) zupełnie nie mówi o trybunale "wileńskim, a o śmierci króla Augusta Trzeciego czyni krótką wzmiankę (Tom czwarty, strona 345).

TOM PIERWSZY

1) *Na zamku nieświeżskim:* Nieśwież, największa posiadłość Radziwiłłów. Marcin Matuszewicz opisuje tak Nowy Rok w Nieświeżu U księcia wojewody wileńskiego pod 1763 roku: „Książę wojewoda bardzo pić zaczął, kazał z armat wielkich, burzących ognia dawać tak dobrze, że się zaczęły bardzo w pałacu zamkowym mury trząść, a szkła z okien jak grad padać zaczęły. Nawet sam książę zapalając armaty, a nieostrożnie stojąc tak był lawetami trącony, że aż z impetem wielkim na ziemię padł. Złękliśmy się rozumiejąc, że bardzo był sfluczony, ale przecież nic mu nie szkodziło." (Pamiętniki cztery, 1: Rozdział czternasty Rok 1763). Szczegół o Radziwille Kraszewski pominął.

2) **Siedmioletnia wojna** trwała od 1756 —1763 roku, prowadzona przez Prusy przeciwko Austrii i jej sprzymierzeńcom, m. in. także przeciw Saksonii, zakończona zwycięstwem Prus.

3) **Brühl Henryk** (1700 —1763), wszechwładny minister na dworze Augusta Trzeciego. Por. o nim powieści Kraszewskiego: *Brühl* (1874), *Z siedmioletniej wojny* (1876), *Starosta warszawski* (1877).

4) **Flemming Jan Jerzy Detlov** (1699 —1771), od 1746 — 1765 podskarbi wielki litewski, ożeniony z Antoniną Czartoryską, podkanclerzanką litewską, a po owdowieniu z siostrą jej Eleonorą; był stronnikiem Czartoryskich.

5) **Infamia** (łac.): niesława; tu: sądowe pozbawienie czci, utrata praw obywatelskich.

6) **Metresa** (fr.): pani; kochanka.

7) **Cosel Anna hrabina** (1680 —1763), z domu Brockdorf, za-mężna za ministrem saskim Hoymem, kochanka Augusta Drugiego, wyniesiona do stanu hrabiowskiego. Popadłszy w niełaskę królewską została wywieziona do twierdzy Stolpen. Po śmierci Augusta Drugiego zwolniona z więzienia pozostała do końca życia w Stolpen. Por. o niej powieść Kraszewskiego: *Hrabina Cosel* (1874), nadto wzmianki w powieści: *Brühl* (1874).

8) **Lubomirska Urszula**, żona Jerzego Dominika Lubomirskiego, podkomorzego wielkiego koronnego. Jako kochanka Augusta Drugiego otrzymała tytuł księżny cieszyńskiej. Po raz drugi wyszła za mąż za Ludwika księcia Wirtemberskiego. Por. o niej powieści Kraszewskiego: *Hrabina Cosel* (1874), *Brühl* (1874), *Za Sasów* (1889).

9) **Kierownik sumienia**: ojciec Guarini, jezuita, spowiednik Augusta Trzeciego, wywierał zgubny wpływ na politykę saską. Por. o nim powieści Kraszewskiego: *Brühl* (1874), *Z siedmioletniej wojny* (1876).

10) **Faustyna Bordoni** (1700 —1786), żona Jana Adolfa Hassego, primadonna opery saskiej, jedna z najślawniejszych śpiewaczek w pierwszej połowie osiemnastego wieku. Wspomina o niej szczegółowo Kraszewski w powieści: *Brühl* (1874).

11) **Rafaël Santi z Urbino** (1483 —1520); jeden z największych malarzy włoskich.

12) **Pokutująca Magdalena**: obraz Antoniego Correggia (1494 — 1534), malarza włoskiego.

13) **Fryderyk Wielki**, król pruski, urodzony 1712, panował od 1740 do 1786 roku

14) **Hubertsburg** (niem. = gród Huberta, patrona myśliwych): królewski zamek myśliwski, wybudowany w 1721 roku, pamiętny z pokoju zawartego w nim 15 lutego 1763 roku, kończącego wojnę siedmioletnią.

15) **Moritzburg** (niem. = gród Maurycego): zamek myśliwski elektorów saskich w okolicy Drezna, założony przez Maurycego Saskiego w szesnastym wieku.

16) **Kónigstein**: twierdza saska na lewym brzegu Łaby.

17) **Aleksander Wielki**, król macedoński (urodzony 356 roku przed Chrystusem)

panował od 336 — 323 roku.

18) **Karuzel** (fr.): dawne konne igrzyska rycerskie.

19) **Branicki Jan Klemens**, herbu Gryf, hetman wielki koronny (1689 — 1771); mając 60 lat poślubił 18-letnią Izabelę Poniatowską, siostrę króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

20) **Ocieszyńskie starostwo**: wyrobił sobie Henryk Brühl (por. objaśnienie 3) starając się o szlachectwo polskie w 1748 roku.

21) **Mowa o Alojzym Brühlu**, synu Henryka Brühla i Marii Anny Kolowrath. Por. o nim powieść Kraszewskiego: Starosta warszawski (1877).

22) **Te Deum** (łac.): początkowe słowa hymnu kościelnego.

23) **Refektarz** (średniołac.): sala jadalna w klasztorze.

24) **Trybunały powstały w Polsce** za staraniem króla Stefana Batorego, dla Korony w 1578 roku, dla Litwy w 1581 roku. Były one najwyższą instancją w sprawach cywilnych. W skład trybunału wchodziłi deputaci, wybrani przez sejmiki i duchowni do spraw kościelnych, wysyłani przez kapituły.

25) **Lukullus Lucjusz Licyniusz** (114 — 51 przed Chrystusem), wódz rzymski, walczył zwycięsko z Mitrydatem, królem Pontu. Słynny z uczt wyprawianych z niesłychanym przepychem.

26) **Niekuśliwy**: niekuszony, nie dający się skusić (w przeciwieństwie do poprzedniego zdania, w którym mowa, że szlachta kusila się na pańską postawę).

27) **Konarski Stanisław** (1700 — 1773), pijar, niezmiernie zasłużony jako działacz na polu reform politycznych i na polu oświaty. Ku czci jego kazał król Stanisław August Poniatowski wybić medal z napisem *Sapere auso* (temu, który odważył się być rozumnym).

28) **Massalscy**: możny ród książęcy nieprzyjazny Radziwiłłom. Z rodu tego pochodził Ignacy Jakub Massalski (1729 — 1794), syn Michała, hetmana wielkiego litewskiego. Był biskupem wileńskim od 1762 roku. Działalnością swą jako duchowny zapisał się smutnie w pamięci potomnych.

29) **Faraon**: hazardowna gra w karty.

30) **Duńczewski Stanisław** (1701 — 1767), profesor astronomii i matematyki w Akademii Zamojskiej. Głośne były jego kalendarze, wydawane przez 40 lat (1725 — 1766), pt.: „Kalendarz Polski i Ruski”. Wychodziły także po jego śmierci do 1775 roku.

31) **Haur Jakub Kazimierz** (1632 — 1709), ekonomista polski, autor dzieła: „Oekonomika ziemiańska generalna” (Kraków 1675), która później doczekała się jeszcze trzech wydań (w latach 1679, 1693 i 1711).

32) **Sofizmat** (gr.): ubranie fałszu w pozory prawdy.

33) **Konstytucja** (łac.): ustawa, prawo.

34) **Korektor** (łac.): poprawiający błędy. Tu mowa o poprawiających błędy w konstytucjach.

- 35) **Słowa z Ewangelii świętego Łukasza.**
- 36) **Księżna cieszyńska:** por. objaśnienie 8.
- 37) **Denhoffowa Maria,** córka Kazimierza Ludwika Bielińskiego, wielkiego marszałka, żona Ernesta Denhoffa, generała artylerii litewskiej, kochanka Augusta Drugiego, rozwiedziona z mężem w 1719 roku. Por. o niej powieść Kraszewskiego: *Za Sasów*.
- 38) **Kónigsmark Aurora hrabina** (1666—1725), kochanka Augusta Drugiego, matka Maurycego Saskiego (marszałka).
- 39) **Królowa Józefa** (1699 —1757), córka cesarza austriackiego, Józefa Pierwszego, żona Augusta Trzeciego.
- 40) **Mowa o operze** Piotra Metastasia, kompozytora włoskiego (1678 — 1782) *Semiramide reconscente*. Treścią jej były losy Semiramidy, żony króla assyryjskiego Ninusa.
- 41) **Artemiza:** opera ze współczesnego repertuaru drezdeńskiego, osnuta na losach Artemizji, królowej Karii, żony króla Mauzolusa (W w. przed Chrystusem), na którego pamiątkę wystawiła w stolicy swej Halikarnasie wspaniały grobowiec (Mauzoleum).
- 42) **Hetman Branicki,** por. objaśnienie 19.
- 43) **Katarzyna Druga,** carowa rosyjska, panowała od 1762 do 1796 roku.
- 44) **Wojewoda wileński** Karol książę Radziwiłł „Panie Kochanku” (1734 — 1790), syn Michała Kazimierza Radziwiłła „Rybeński” i Franciszki Urszuli z Wiśniowieckich.
- 45) **Biskup kamieniecki:** Adam Stanisław Krasieński (1741 — 1800).
- 46) **Dietrich,** Christian Wilhelm Ernest (1712 — 1774), głęboki znawca sztuki.
- 47) **Radoszkowskie starostwo:** Radoszkowce na północ od Mińska.
- 48) **Wschowa:** miasteczko w Wielkopolsce na zachód od Poznania.
- 49) **Coup d'etat** (fr.): zamach stanu, gwałtowna zmiana rządu.
- 50) **Parquallini:** nazwisko błędnie wydrukowane, ma być Pasquallini (właściwie Pasquale Bruscolini), śpiewak włoski, który m. in. śpiewał w Warszawie w 1754 roku.
- 51) **Buńczuczny:** Por. u Matuszewicza czwarty, 39: „Tołłoczko na popularności zaczął fortunę tracić, a Sapieha wojewoda połocki hetmanem polnym zostawszy uczynił go buńczucznym swoim i oprócz gaży buńczucznej dał mu kapitulację roczną na dwa tysiące złotych polskich”.
- 52) **Possesionatus** (łac.): posiadający własność ziemską.
- 53) **Koligacja** (łac.): powinowactwo, pokrewieństwo.
- 54) **Czartoryska Konstancja,** żona Stanisława Poniatowskiego, wojewody mazowieckiego, później kasztelana krakowskiego, matka króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.
- 55) **Książę kanclerz:** Michał Fryderyk książę Czartoryski (1696 — 1775), syn Kazimierza, kasztelana wileńskiego, i Izabeli z Morstinów, kanclerz litewski od 1752 roku. „Panda”: przekręcony wyraz: „Banda”. Mowa o Bandzie

Albańskiej, stowarzyszeniu utworzonym przez księcia Panie Kochanku, nazwanej od Alby, wioski pod Nieświeżem, w której księżę chętnie przebywał z towarzyszami swymi i przyjaciółmi.

Według Henryka Rzewuskiego nosili członkowie „Bandy Albańskiej” mundury, albańskimi zwane, kontusze żółte, błękitne żupany. „Każdy z nich się sposobiał do rycerskiego rzemiosła i im kto wymyślił zapamiętaleszy czyn odwagi, tym większy szacunek kolegów uzyskiwał” (Pamiętki Pana Seweryna Soplicy cześnika parnawskiego, rok dziesiąty. Pan Wołodkowicz).

56) **Ewent** (łac.): wynik.

57) **Sumy neapolitańskie**: Bona, żona króla Zygmunta Starego, wyjechawszy z Polski, wywozła olbrzymie sumy, które wypożyczyła Filipowi Drugiemu, królowi hiszpańskiemu i neapolitańskiemu (zwano je dlatego sumami neapolitańskimi); sumy te nigdy nie wróciły do Polski. Zwrotu: „sumy neapolitańskie” używa się na oznaczenie wielkich kwot pieniężnych.

58) **Zefir**: w mitologii greckiej łagodny wiatr zachodni. Dla ociężałej psiny, z powodu otyłości ledwo poruszającej się, nie bardzo była odpowiednia nazwa powiewnego Zefira.

59) **Pod poduszką**: było zwyczajem w dawnej Polsce szlacheckiej, że rodzice panny młodej składali w noc ślubną panu młodemu posag córki „pod poduszkę”.

60) **Maltański kawaler**: członek zakonu rycerskiego Św. Jana Jerozolimskiego, założonego w roku 1048, a od roku 1530 mającego swą siedzibę na wyspie Malcie.

61) **Veto** (łac.): nie pozwalam.

62) **Rogówka**: sznurówka, przesywana rogiem wielorybim (fiszbinem), z wyciętym gorsem, powleczone atłasem lub kitajką.

63) **Robron** (fr.): używana dawniej, szeroka, odstająca suknia kobieca.

64) **Aluzja do wystąpienia** Stanisława Szczepanowskiego, biskupa krakowskiego, przeciwko królowi Bolesławowi Śmiałemu.

65) **Antakol**: przedmieście Wilna na lewym brzegu Wilii. Nazwa pochodzi od wyrazów litewskich: ant te kolną — na tej górze.

66) **Kardynalia**: pałac radziwiłłowski zbudowany za czasów kardynała Jerzego Radziwiłła (1556 —1600), biskupa wileńskiego.

67) **Jurydyka**: obszar nieruchomości w mieście, należącej do któregoś z magnatów i wyłączonej spod ogólnych praw miejskich.

68) **Snipiszki**: przedmieście Wilna na prawym brzegu Wilii.

69) **Szpak**: tu przen. — mający włosy szpakowate, podsiwiały.

70) **Mitawa**: stolica Kurlandii.

71) **Piotr Wielki**: car rosyjski, panował od 1682 do 1725 roku.

72) **Kurlandia**: kraj położony nad Bałtykiem. Mowa tu o tzw. sprawie kurlandzkiej. Karol, syn Augusta Trzeciego, królewicz sasko-polski, ożeniony z Franciszką Krasińską, był księciem kurlandzkim od 1759 do 1763.

73) **Plenipotencjariusz** (łac): pełnomocnik.

74) *Per fas lub per nefas* (łac.): w sposób godziwy lub niegodziwy, słusznie lub niesłusznie.

75) *Incompatibilia* (łac.): urzędy, których nie powinien piastować równocześnie jeden i ten sam człowiek.

76) *Arbitrowie* (łac.): sędziowie polubowni, rozjemcy.

77) *Księżna wojewodzicowa mściławska*: Elżbieta z Branickich. księżna Sapieżyna.

78) *Relata refero* (łac): powtarzam to, co słyszałem; zwrot używany dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności za wiarogodność opowiadanych szczegółów.

79) *Dwa arcydzieła Correggia*: Magdalena pokutująca (por. objaśnienie 12) i Święta Noc.

80) *Wakans* (fr.): wolna posada w urzędzie do obsadzenia.

81) *Hajduk* (węg.): żołnierz w piechocie węgierskiej; także służący w stroju węgierskim na dworach wielkich panów.

82) *Pajuk* (perskie): pokojowiec sułtana tureckiego; także pokojowiec na dworach możnych panów, towarzyszący pojazdowi konno z przodu lub siedząc w tyle powozu.

83) *In viscera* (łac.): we wnętrzności.

84) *Praecedens* (łac.): wypadek poprzedzający inny, podobny.

85) *Mediator* (łac.): pośrednik.

86) *Superarbiter* (łac.): rozjemca w sądzie polubownym, od którego zależy wydanie ostatecznego wyroku w danej sprawie.

87) *Voltaire Franciszek Maria Arouet de* (1694 — 1778), francuski filozof, główny przedstawiciel tzw. Oświecenia, autor licznych utworów dramatycznych, powieści, dzieł historycznych.

88) *Heroina* (gr.): bohaterka.

89) *Rousseau Jan Jakub* (1712 — 1778), francuski pisarz, filozof, żądał powrotu do natury, wychodząc z założenia, że człowiek z natury jest dobry, zepsuty jednak przez kulturę. Wywarł olbrzymi wpływ na rozwój wolnomyślicielstwa i na Wielką Rewolucję Francuską. Główne jego dzieła: *La nouvelle Heloise* (1761), *Emil ou de l'Education* (1762), *Du Contrat Social ou Principes du Droit Politique* (1762).

90) *Korektura* (łac.): poprawka.

91) *Łukta* (łac): walka.

92) *Autorament* (fr.): tu pokrój.

93) *Kondykt*: wyrok zasądający na zapłatę pieniężną.

94) *Parle franse*: zwrot przekreślony z fr.: *parler francais*: mówić po francusku.

95) *Submisja* (łac.): tu — wytłumaczenie się, usprawiedliwienie.

96) *Remuneracja* (łac.): wynagrodzenie.

97) *Rachować jak na Zawiszę*: Zawisza Czarny z Garbowa, herbu Sulima, bohater polski z piętnastego wieku, zginął w walce z Turkami w 1428 roku.

Znany był ze swej prawości i sumienności, stąd powstało przysłowie: „Rachuj jak na Zawiszę”.

98) **De noviter repertis** (z domyślnym: modis, łac): na nowo wynalezionymi sposobami.

99) **Alwar**: gramatyka łacińska. Nazwa pochodzi od jezuitę Emanuela Alyares lub Alyarus (1526 — 1582), filologa, autora gramatyki łacińskiej, używanej w dawnych szkołach jezuickich w Polsce. Po raz pierwszy wyszła w 1574 roku pt.: *De institutione grammatica Ubri tres*.

100) **Fircyk**: modniś, trzpiot, lekkoduch.

101) **Ansambl** (f r.): zebranie towarzyskie, zabawa wieczorna, raut.

102) **Deferencja** (łac.): uległość, poważanie.

103) **Privatim** (łac.): prywatnie.

104) **Le quart d'heure de grace** (fr.): kwadrans łaski. *Un quart d'heure de disgrace* (fr.): kwadrans niełaski.

105) **De bonne ou mauvaise grace** (fr.): z łaski lub niełaski.

106) **Uszak**: rama drzwi, odrzwia.

107) **Legalitas** (łac.): postępowanie zgodne z prawem.

108) **Kosmopolita** (gr.): uważający cały świat (kosmos) za swoją ojczyznę.

109) **Propagator** (łac.): szerzyciel jakichś zasad, poglądów.

110) **Bojarowie**: szlachta na Litwie i w Rosji.

111) **Bachus** (gr.): w mitologii greckiej bożek wina.

112) **Pod hełmem**: być pod dobrą datą, być pijanym.

113) **Konsyderacja** (łac.): rozważanie, wzięcie pod uwagę.

114) **Maioritas** (łac): większość.

115) **Sakryfikować** (łac.): poświęcić.

116) **Kontempt** (łac.): pogarda.

117) **Katylna Lucjusz Sergiusz** (108 — 62 przed Chrystusem), uknuł spisek przeciw rzeczypospolitej rzymskiej, stłumiony głównie dzięki wystąpieniu przeciwko niemu konsula Cyclerona w sławnych jego mowach przeciwko Katylinie.

118) **Wocyferacja** (łac.): głośnie wołanie.

119) **Podkurek**: posiłek podawany nad ranem biesiadnikom, bawiącym się przez całą noc, tuż przed paniem koguta (podkurek), składający się zwykle z barszczu, bigosu i kiełbasy.

120) **Naliboki**: miasteczko w powiecie oszmiańskim.

121) **Ablucja** (łac.): obmycie, umycie się.

122) **Desiderata** (łac.): życzenia.

123) **Mniejsza buława** była oznaką hetmanów polnych, podczas kiedy większa buława oznaczała hetmanów wielkich.

124) **Insynuować** (łac): podsuwać myśl, wmawiać coś w kogoś, budzić podejrzenia.

125) **Wapory** (łac): wyziewy, przerośnię: spazmy, atak nerwowy.

126) *Pudermantel* (niem.): obszerny płaszcz damski, który dawniej zarzucały kobiety na siebie, aby przy posypywaniu włosów pudrem nie powalać sukni.

127) *Casus* (łac.): wypadek.

128) *Antalek* (węg.): ósma część okseftu (= beczki, zawierającej 200 litrów).

129) *Hetmanowa Branicka*: por. objaśnienie 19; była ona siostrą, a nie ciotką króla Poniatowskiego.

130) *Transpirować* (łac.): wypacać, pocić się; przenośnie: dochodzić do czyjejs wiadomości, przenikać.

131) *Lew Sapieha* (1557 —1633), kanclerz w. litewski, hetman

132) *Delia* (łac.): rodzaj ozdobnego płaszcza z szerokimi rękawami, podbitego i obszytego futrem.

133) *Wołkowysk*: miasto na płd.-wschód od Grodna.

134) *Słonim*: miasto nad Szczarą.

135) *Sakryfikować* (łac.): patrz. obj. 115.

136) *Pacificie* (łac.): pokojowo, w pokojowy sposób.

137) *Designatus* (łac.): przeznaczony.

138) *Deliberacja* (łac.): zastanowienie się, namysł.

139) *Paktyzować* (z łac.): układać się, porozumiewać się w sprawie warunków pokoju, rozejmu.

140) *A tout prix* (fr.): za wszelką cenę.

141) *Kontradykcja* (łac.): zdanie przeciwne, sprzeczność, przeciwieństwo.

142) *Pro vacanti* (łac.): jako wakującą; ten sam zwrot u M. Matusiewicza: Pamiętniki IV, 26, Por. objaśnienie 80.

143) *Pro honore domus* (łac.): w obronie honoru domu.

144) *Ad deliberandum* (łac.): do namysłu.

145) *Propter bonum pacis* (łac): dla dobra pokoju; ten sam zwrot u Matuszewicza, jak wyżej IV. 26.

146) *Preliminaria* (łac.): układy przedwstępne, tymczasowe.

147) *Sine qua non* (łac.) (z domyślnym *conditio*): warunek nieodzowny.

148) *Urbi et orbi* (łac.): miastu i światu.

149) *Opressor* (łac.): ciemieżyciel, gnębiciel.

150) *Paritas* (łac): równość.

151) *Głos wołającego na puszczy*: głos daremny.

152) *Komplanacja* (łac.): układ pojednawczy, kończący spór.

153) *Admiruję* (z łac.): podziwiam.

154) *Na sztych wystawić* (sztych (niem.): ostrze): narazić na coś.

155) *Morfeusz*: w mitologii greckiej bożek snu.

156) *Ostentacja* (łac.): okazałość.

157) *Incognito* (wł.): tu — nie chcąc być poznaną.

158) *Goście ewangeliczni tu*: biedniejsza szlachta.

159) *Perkun*: w mitologii litewskiej bóg ognia i piorunów.

160) *Adherent* (łac.): stronnik.

161) *In pontificalibus* (łac.): w szatach biskupich, ceremonialnych, uroczystych.

162) *Praesidium* (łac.): załoga, obrona.

163) *Wokanda* (nowołac.): lista spraw przeznaczonych do sądenia, porządek wywoływania spraw w sądzie.

164) *Partyzanie* (fr.): partyzant — należący do jakiegoś stronnictwa, tu: stronnicy.

165) *Rożenek*: szpada, rapir.

166) *Jurysdykcja* (łac.): sądownictwo.

167) *Ekstra* (łac): tu — nadzwyczaj.

168) *Król Stefan Batory*, urodzony 1522 roku, panował od 1576 do 1586 roku.

169) *Karbunkul*: drogi kamień koloru czerwonego, rubin lub granat.

170) *Kita*: pióropusz na czapce.

171) *Kawalkata* (wł.): orszak konny.

172) *Ekskomunika* (łac.): wyklęcie.

173) *Z partesów stąpać*: niby w takt (partesy = nuty), z godnością, ze sztuczną powagą.

174) *Unanimitate* (łac.): jednomyślnie.

175) *Stante pede* (łac.): natychmiast.

176) *Decenter* (łac.): przystojnie, jak przystoi.

177) *Rankor* (łac.): uraza.

178) *Benedykcja* (łac.): błogosławieństwo.

179) *Tynf*: dawny pieniądz polski, nazwany od Tympfa z Torunia, który w połowie siedemnastego wieku zawiadywał mennicą polską.

180) *Ingres* (łac.): wjazd.

181) *Stellae minores* (łac.): mniejsze gwiazdy.

182) *Iterum* (łac.): ponownie.

183) *Ob metum* (łac.): z powodu obawy.

184) *Diluyium sanguinis* (łac.): przelew krwi.

185) *Accedere* (łac.): przystąpić.

186) *De facto* (łac.): w istocie, w rzeczywistości.

187) *Absencja* (łac.): nieobecność.

188) *Ante omnia* (łac.): przede wszystkim.

189) *Infamujący* (łac.): zniesławiający.

190) *Rewindykować* (łac.): odbierać na powrót swoją własność.

191) *Feliciter* (łac.): szczęśliwie.

192) *Zanimowany* (z łac.): zachęcony.

193) *Kontuzja* (łac.): zmieszanie, zakłopotanie.

194) *Sentymenta* (łac.): uczucia.

195) *Palestrant* (nowołac.): członek palestry, kształcący się na prawnika, pomocnik adwokata.

TOM DRUGI.

- 1) **Goliat:** wg Starego Testamentu olbrzym filistyński, zabity w walce przez Dawida.
- 2) **Muszkiet** (fr.): strzelba, ciężka rusznica.
- 3) **Buzdygan** (tur.): rodzaj buławy, osadzonej na krótkim drzewcu; oznaka stopni wojskowych.
- 4) **Cum dignitate** (łac.): z godnością.
- 5) **Ciura:** luzak wojskowy, żołnierz.
- 6) **Miserere** (łac.): zmiłuj się.
- 7) **Alians** (fr.): przymierze, sojusz, związek.
- 8) **Ab ovo** (łac.): od jaja (w Rzymie zaczynały się uczty od podawania jaj); przenośnie: od początku.
- 9) **Tadeusza zakwili:** przysłowie: śpiewać, zakwilić Tadeusza = klepać biedę, być w nędzy, pójść z torbami, żebrać. Przysłowie to wzięło początek od starodawnej pieśni żałobnej o św. Tadeuszu, śpiewanej przez żebraków.
- 10) **Animozja** (nowołac.): zaciętość, zawziętość, zapalczywa niechęć.
- 11) **Prepotencja** (łac.): zbytnia moc, przewaga siły, nadmierna wielkość.
- 12) **Ekonomia** (łac.): tu mowa o dawnych dobrach królewskich stołowych, które służyły na utrzymanie dworu królewskiego.
- 13) **Cirkumstancje** (łac.): położenie rzeczy; okoliczności mające związek z jakąś sprawą.
- 14) **Faire bonne mine a mauvais jeu** (fr.): robić dobrą minę przy złej grze; przenośnie: udawać zadowolenie wobec niepowodzenia.
- 15) **Cug** (niem.): zaprząg w cztery lub sześć koni jednakowej maści.
- 16) **Chmiel:** przenośnie: trunek wyrabiany z chmielu, tj. piwo.
- 17) **Fundum** (łac.): wieża, więzienie.
- 18) **Kresy:** poczta kresowa; wiadomości otrzymywane przez pocztę kresową.
- 19) **General artylerii:** Alojzy Brühl (por. objaśnienie 21 w tomie pierwszym).
- 20) **Dynastia Wettinów:** Wettinowie, saski ród książęcy.
- 21) **Macchiavelli Mikołaj** (1469 — 1527), polityk, historyk, poeta. Autor głośnego dzieła: *Il principe* (Książę); przenośnie: zręczny dyplomata.
- 22) **Ad usum legis** (łac.): na użytek króla.
- 23) **Perypecje** (gr.): nagła, niespodziewana zmiana losu.
- 24) **Tandem bona causa triumphat** (łac.): wreszcie dobra sprawa triumfuje.

25) **Jagermeister** (niem.): naczelnik jegrów (— strzelców), naczelný łowczy.

26) **Landjager** (niem.): łowczy powiatowy.

27) **Kamerłowczy junkrowie**: dworscy łowczy pochodzenia szlacheckiego.

28) **Nadformeister** (niem.): główny łowczy.

29) **Myślistwo par force** (fr.: dosłownie — przemocą) polega na tym, że myśliwi na koniach, z chartami lub psami gończymi, ścigają aż do zmęczenia zwierzynę, którą wreszcie dopadłszy zabijają.

30) **Wojewoda kijowski**: Franciszek Salezy Potocki (t 1772), jeden z najbogatszych magnatów polskich w drugiej połowie osiemnastego wieku, zwolennik Augusta, przeciwnik króla Poniatowskiego. Por. o nim Kraszewskiego: *Starościnę bełską (1855)* i *Starostę warszawskiego (1877)*.

31) **Konwinkować** (łac.): przekonywać.

32) **Promować** (łac.): popierać.

33) **Admonicja** (łac.): napomnienie.

34) **Dzianet** (wł.): okazały koń rasy włoskiej, hiszpańskiej lub tureckiej.

35) **Kańczuk** (tur.): bicz, batóg pleciony z rzemyków.

36) **Pletnia**: bicz z kilku rzemyków.

37) **Rezolucja** (łac.): postanowienie; tu: odpowiedź.

38) **Rezydentka** (łac.): krewna zamożniejszego człowieka, pozostająca na jego utrzymaniu.

39) **Modus vivendi** (łac.): sposób życia.

40) **Wapor** (łac.): wyziew; przenośnie: atak nerwowy, spazmy.

41) **Recepcja** (łac.): tu: przyjęcie gości.

42) **Fraucymer** (niem.): pokój, mieszkanie dla dam, przebywających na dworze panujących lub możnowładców; przenośnie: damy, znajdujące się na dworach panujących lub możnowładców.

43) **Komeraż** (fr.): plotka, wywołująca waśń, niezgodę; nieporozumienie.

44) **Egzystencja** (łac.): byt, istnienie.

45) **Oblig** (wł.): rewers, pisemne zobowiązanie.

46) **Konsylium** (łac.): narada.

47) **Wółczyn**: miejsce urodzenia króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

48) **Ferowany** (łac.): wydany.

49) **Mokronowski Andrzej** (1713 —1784), generał, w 1776 roku marszałek sejmu, od 1781 r. wojewoda.

50) **Choroszcza**: miejscowość niedaleko Białegostoku.

51) **Hetman wielki litewski**: Michał Massalski, stronnik Czartoryskich.

52) **Nimfy, w mitologii greckiej dziewicze boginie**; Oready (zamieszkujące! góry), Driady (zamieszkujące lasy) i Najady (mieszkające w strumieniach). Sylfidy: przenośnie: postaci wdzięczne, powiewne.

53) **Hierarchia** (gr.): ustalone starszeństwo stanowisk lub porządek kłimw według ich ważności i znaczenia.

54) **Etat**: skład, stan.

55) Chrystus z groszem: Cristo della moneta, obraz malarza włoskiego Vecellia Tycjana (1477 — 1576).

56) **Rembrandt**: Harmensz van Rijn Rembrandt (1606 —1669), największy malarz holenderski; w Galerii Drezdeńskiej znajdowało się wiele jego obrazów.

57) **Sylwenler de Mirys** (1700 —1790), sfrancuziały Szkot, przywędrowawszy do Polski osiadł jako malarz w Białymstoku u Jana Klemensa Branickiego, hetmana wielkiego koronnego. Malował dla teatru białostockiego dekoracje, ponadto portrety wybitniejszych osób. Jego kurtyna, olejno malowana, dla teatru białostockiego, „przedziwnej piękności”, przedstawiająca sceny mitologiczne z bogami, nimfami, muzami i satyrami, była sławna w Polsce.

58) **Dow** (Kon, Douw) Gerard (1613 —1675), wybitny malarz rodzajowy holenderski, uczeń Rembrandta. W Galerii Drezdeńskiej znajduje się osobna sala, poświęcona jego twórczości (Douzimmer).

69) **Skonwinkować** (łac.): zjednać, pozyskać.

60) **Komportacja** (łac.): dostarczenie.

61) **Frysz** (niem.): czas, termin.

62) **Dysymulacja** (łac.): udawanie, obłuda.

63) **Suponować** (łac.): przypuszczać.

64) **Sławnego warchoła**: kniazia Michała Glińskiego, który w 1507 roku podniósł bunt przeciwko królowi Zygmuntowi Staremu.

65) **Połock**: miasto nad Dźwiną.

66) **Ni fallor** (łac.): jeśli się nie mylę.

67) **Konsyderacja** (łac.): rozważanie, rozwaga.

68) **Submitować się** (łac.): tłumaczyć się pokornie, usprawiedliwiać się.

69) **Akomodować** (łac.): zastosowywać się.

70) **Symulowany** (z łac.): udany, zmyślony.

71) **Wódka gdańska**: znana ze swej dobroci.

72) **Brześć Litewski**: miasto przy ujściu Muchawca do Bugu.

73) **Krople Hoffmanna** (anodyny): mieszanina eteru siarczanego z wyskokiem, uśmierzająca ból.

74) **Medykament** (łac.): lekarstwo.

75) **Indemnizować** (średniołac.): wynagrodzić; tu: pokryć.

76) **Kanony** (gr.): przepisy.

77) **Nuncjatura** (średniołac.): urząd i miejsce zamieszkania nuncjusza (= posła i pełnomocnika papieskiego przy dworach panujących).

78) **Loci ordinarius** (łac.): administrator okręgu kościelnego.

79) **Demeritus** (łac.): ksiądz skazany za przewinienie na pokutę w domu poprawczym dla duchownych.

80) **Sakryfikować się** (łac.): patrz obj. 115 tom pierwszy.

81) **Substancja** (łac.): majątek.

82) **Est modus in rebus** (łac): jest sposób (rada) w rzeczach; na wszystko można znaleźć radę. Jest to cytat z Horacego (Satyry I, 1, 105).

- 83) **Sustentować** (łac.): utrzymywać, żywić.
- 84) **Kwerenda** (łac.): poszukiwanie.
- 85) **Szwed**: Karol Dwunasty, król szwedzki, w 1704 roku pobił Augusta Drugiego, ścigając go przez ziemie polskie aż do Saksonii.
- 86) **Heroina** (gr.): bohaterka. O tym zdarzeniu opowiada Kraszewski szczegółowo w powieści: *Z siedmioletniej wojny* (1876).
- 87) **Weredyk** (łac.): mówiący prawdę.
- 88) **Antidotum** (łac.): odtrutka, środek przeciw truciźnie. Ogólnie: środek zaradczy.
- 89) **Tacyt**: Publius Cornelius Tacitus (55 —118 po Chrystusie), jeden z najwybitniejszych historyków rzymskich. Jego dzieła: *Germania*, *Vita Agricolae*, *Annales*, *Historiarum libri*.
- 90) **Lakonicznie** (gr.): krótko, węzłowato, zwięźle.
- 91) **Cicero**: Marcus Tullius Cicero (106 — 43 przed Chr.), największy mówca rzymski.
- 92) **Cheyalier de Saxe**: Jerzy, syn Augusta Drugiego i Urszuli Lubomirskiej.
- 93) **Fatum** (łac.): przeznaczenie.
- 94) **Preponderancja** (łac.): przewaga.
- 95) **Regimen** (łac.): rząd, władza.
- 96) **Splendor** (łac.): świetność, okazałość, wystawność.
- 97) **Rapt** (łac.): porwanie.
- 98) **Ogony końskie**: umieszczane w buńczuku (por. objaśnienie 51 w tomie pierwszym).
- 99) **Ultimis spirat** (łac.): ostatkami dyszy.
- 100) **Modyfikacja** (łac.): zmiana.
- 101) **Salvo advitalitio** (łac.): z zachowaniem dożywocia.
- 102) **Delaty** (łac.): odwłoki, odwleczenia.
- 103) **Replikować** (łac.): odpowiadać na zarzuty.
- 104) **Jovialitates** (łac.): krotchwile, żarty, facecje.
- 105) **Dystynkcje** (łac.): różnice.
- 106) **Morowy**: zrobiony z mory (tkaniny jedwabnej lub wełnianej).
- 107) **Cukrowa wieczera**: złożona z cukrów, podawana gościom na końcu wesela.
- 108) **Kondyment** (fr.): przyprawa, zaprawa.
- 109) **Na transakcję się zrezolwował**: zdecydował się na układy.
- 110) **Pomierny**: mierny, skromny.
- 111) **Oberżnięty**: w dawnej Polsce było w obiegu wiele monet złotych i srebrnych, które obrzynano na ich obwodzie, przez co traciły one na wadze, a tym samym na swej wartości.
- 112) **Oczajdusza**: urwis, hultaj, hulaka, awanturnik.
- 113) **Półgęsek**: połowa tułowia gęsiego uwędzona.
- 114) **Następca tronu**: Fryderyk Krystian, najstarszy syn Augusta Trzeciego, zmarł w Dreźnie na ospę 17 grudnia 1763 roku.

115) **Trybunał Piotrkowski**: wiadomość podana na podstawie Pamiętników Marcina Matuszewicza, j. w. IV, 116 n.

116) **Aprehensja** (łac.): obawa.

117) **Książę Ksawery**: młodszy brat Augusta Trzeciego.

118) **Kaptur** (łac): w dawnej Polsce na czas bezkrólewia ustanawiano nadzwyczajne sądy, zwane kapturem. Anatol Lewicki wywodzi ich nazwę od capere (łac.): chwytać.

119) **Post fatum** (łac): po dokonanej czynie; tu: po wszystkim.

120) **Sławne proroctwo Jana Kazimierza**, gdy składał koronę (16 września 1668 roku). Wypowiedział wówczas król te słowa: „Obym był fałszywym prorokiem — Polska będzie rozebrana!” Dziadek Kraszewskiego nieraz odczytywał wieczorami zebranej rodzinie ową mowę królewską; przepowiednia w niej zawarta utkwiała w umyśle powieściopisarza na zawsze, jak sam o tym wspomina.

121) **Ewent** (łac): wynik, cel.

122) **Suponować** (łac): przypuszczać.

123) **Ekspluatować** (fr.): wykorzystywać.

124) **Ekskluzja** (łac.): wyłączenie.

125) **Feralny** (łac): uważany za nieszczęśliwy, przynoszący nieszczęście, złowróżbny, niepomyślny.

126) **Kuna**: mowa o bardzo cenionym futrze.

127) **Święty Bernard** (1090 —1153) opat z Clairvaux, przyczynił się w wielkiej mierze do wzrostu zakonu cystersów.

128) **Chrystus na Górze Oliwnej** wg Ewangelii błagał Boga o oddalenie męki.

129) **Izraelici na puszczy** wg Biblii oddawali cześć posągom złotego cielca.

130) **Leszczyński Stanisław** (1677 — 1768) w latach 1704 — 1709 był królem polskim. Po śmierci Augusta Drugiego obrany królem musiał ustąpić przed Augustem Trzecim.

**

hd

